

Lloyd C. Douglas

Wspaniała obsesja

Dla Betty i Virginii

Rozdział pierwszy

W szpitalu Brightwood, w promieniu trzystu mil od Detroit znanym lepiej jako klinika Hudsona, wszyscy mówili tylko o tym, że szef mało nie wyzionął ducha. Wrzało jak w ulu.

Wszędzie, od pełnego dociekliwych pacjentów solarium na ostatnim piętrze aż po rozgadaną kuchnię na samym dole, zbierały się grupki rekonwalescentów na wózkach, pielęgniarek niespiesznie roznoszących

tace, chudych stażystów w gumowanym obuwiu, siwowłosych salowych wlokących za sobą szczotki do podłóg - wszyscy szeptali między sobą, a potem przekazywali niewesołe wieści dalej. Doktor Hudson jest u kresu sił.

U kresu? Ano tak. Według jednej z wciąż i wciąż powtarzanych pogłosek - sprawa to wielce delikatna - zasłabł we wtorek podczas operacji, którą asystujący doktorowi młody Watson musiał dokończyć w pojedynkę. A najgorsze, że następnego ranka przyszedł do pracy jakby nigdy nic.

Taka czcza gadanina, choćby nawet, tak jak w Brightwood, wynikała z troski i lojalności, gdyby tylko przedostała się przez wysoką żelazną bramę, mogłaby niechybnie zaszkodzić instytucji. Bardzo trudno było ją zdementować, ponieważ, niestety, była prawdziwa.

Widać przyszła pora na podjęcie nadzwyczajnych działań.

Doktor Malcolm Pyle, brodacz o krzaczastych brwiach, drugi po ordynatorze pod względem stażu chirurg miękki, o którym koledzy mawiali z podziwem, że jest najlepszym „miękkim” na zachód od Alleghenies, szeptał coś do ucha kościstego Jenningsa, cynicznego kawalera w średnim wieku, którego zjadliwe żarciki oraz impertynencje doprowadzały wszystkich do pasji, i jeśli do tej pory nie wykluczono go z grona personelu, to tylko z powodu jego wysokich kwalifikacji specjalisty-bakteriologa.

Jennings natychmiast przekazał wieści interniście Carterowi, który następnie spotkał na korytarzu laryngologa McDermotta i jak w sztafecie podał wiadomość dalej.

- Jasne, przyjdę - powiedział McDermott. - Ale nie jestem zachwycony pomysłem zwoływania narady bez szefa. To jak zdrada.

- To dla jego dobra - wyjaśnił Carter.

- Niewątpliwie, ale... on zawsze gra czysto i otwarcie.

- Powiedz Aldrichowi i Watsonowi. Ja pójdę do Grama i Harpera. Nie podoba mi się to tak samo jak tobie, Mac, ale nie możemy pozwolić szefowi się wykończyć.

Zanim mocno spóźniony Pyle dołączył do reszty kolegów zebranych w biurze kierowniczkich, cała ósemka, przerwawszy na chwilę zajęcia, czyli okazywanie wyniosłej nieomyślności pacjentom, niecierpliwiła się już, by jak najszybciej załatwić tę nieprzyjemną sprawę i pójść do domu - było bowiem sobotnie popołudnie.

Gdy wreszcie Pyle pojawił się w pokoju, niezbyt przekonująco wymuszając na twarzy przepraszający uśmiezek osoby spóźnionej, zastał zgromadzonych kolegów niespokojnych i posepnych - Carter zawzięcie zmieniał pozostałości ołówka w strużyny, Aldrich szeleścił kartkami terminarza, McDermott pieczołowicie wyskubywał mikroskopijne kłaczki z rękawa płaszcza, Watson ostentacyjnie potrząsał zegarkiem przy uchu, Gram wystukiwał capstrzyk na biurku Nancy Ashford, a pozostali chodzili po pokoju tam i z powrotem jak wygłodniałe pantery.

- No więc - powiedział Pyle, wskazując szerokim gestem dłoni, żeby usiedli - wiecie, po co tu jesteśmy.

- Ooczyyywiiiściee - przeciągnął samogłoski Jennings - trzeba staruszka ostrzec.

- I to natychmiast - mruknął McDermott.

- A ty, Pyle, jesteś odpowiednią osobą, żeby to zrobić.

Spodziewając się gwałtownej riposty, Jennings postanowił ratować się przed nieuchronną wrzawą i zaczął hałaśliwie wystukiwać zawartość swej

fajki o brzeg metalowego kosza na śmieci pani Ashford, która przyglądała się owej scenie z kwaśną miną.

- Jakiego staruszka, Jennings? - zapytał Pyle, wbijając przeszywający wzrok krótkowidza w nieznośnego kolegę. - On jest niewiele starszy od ciebie.

Watson przestał bujać się na krześle, dyskretnie odwrócił rudą głowę w stronę siedzącego obok Cartera i powoli przymknął jedno oko.

Zapowiadała się niezła zabawa.

- Doktor Hudson w maju skończył czterdzieści sześć lat - nie podnosząc wzroku, wyrwała się cichym głosem kierowniczką.

- No tak, jak można nie wiedzieć TAKICH RZECZY - rzucił Jennings sucho.

Kierowniczka skwitowała niegrzeczny docinek niewzruszonym spojrzeniem.

- Dwudziestego piątego maja - dodała.

- Wielkie dzięki. To mamy już więc ustalone. Tak czy inaczej, kiedy dziś rano wyczołgał się z bloku operacyjnego wynędzniały i na miękkich nogach, wyglądał, jakby miał sto czterdzieści sześć lat i ani dnia mniej.

- I co gorsza, to się zaczyna roznosić - jęknął Carter.

- Pogadaj z nim, Pyle - zaczął namawiać McDermott. - Proszę go przekonać, że potrzebne mu są wakacje, i to długie!

Pyle parsknął pogardliwie i spojrzał spod krzaczastych brwi.

- Pfff. Dobrze sobie! „Powiedz mu, że my uważamy...”, co? Hudson ma to, co my myślimy, w wielkim poważaniu. Czy kiedykolwiek - wycelował kościsty palec w pocącego się z nerwów McDermotta - czy kiedykolwiek z dobrego serca udzieliłeś doktorowi Wayne'owi Hudsonowi

jakichkolwiek przyjacielskich rad na temat jego prywatnych spraw?

McDermott zaczerwienił się, nie, nigdy, i znów zaskrzeczał surowy głos Pyle'a:

- Tak myślałem! I właśnie dlatego tak obojętnie proponujesz to komuś innemu. Widzisz, synu - porzucił kpiarski ton i ciągnął już mniej napastliwie - mamy do czynienia z niezłym dziwakiem. Drugiego takiego nie ma na całym świecie. W klinice psychiatrycznej, w którą niedługo zamieni się ten szpital, z całym personelem w kaftanach bezpieczeństwa, niektóre z uroczych dziwactw Hudsona zostaną uznane za objawy książkowej psychozy!

W gabinecie pani Ashford zapadła ciężka cisza. Wszyscy wiedzieli, że Pyle żywi niemal bałwochwalczy zachwyt dla szefa. Co chce przez to powiedzieć? To znaczy, że jego zdaniem Hudson postradał rozum?

- Nie zrozumcie mnie źle - podjął pospiesznie, widząc na twarzach zebranych zdumienie. - Hudson ma prawo do swoich wybryków. Jeśli o mnie chodzi, może mieć całe mnóstwo urojeń. Jest geniuszem, a ktokolwiek geniusza miłuje, w oddaniu swym może jedynie wszystko znosić, wszystko przetrzymać, cierpliwym być i łaskawym.

- A nie jako miedź brzęcząca - dokończył Jennings, biblijnym tonem.

- A propos brzęczenia - burknął Pyle - ale nieważne.... Wiemy, że szef jest najważniejszą osobą neurochirurgii na tym kontynencie. Ale samo mu to nie przyszło. Haruje jak wół. W jego specjalizacji ma się prawo do wahań nastroju, bo jeśli uda mu się utrzymać liczbę zgonów na poziomie pięćdziesięciu procent, to już sukces. A jaki ty miałbyś stan umysłu - zwrócił się do Jenningsa, który wyszczerzył się w uprzejmym uśmiechu - gdybyś tracił połowę pacjentów? Szybko wsadziliby cię do wanny z

gorącą wodą i karmili przez nos strzykawką.

- Mówiłeś pan o urojeniach - przerwał McDermott, wymawiając to ostatnie, niebezpieczne słowo z wahaniem. - Co masz na myśli?

Pyle wydał wargi i powoli skinął głową.

- Dosłownie to, co powiedziałem. Jedno z jego założeń, jak na razie najbardziej niepokojące z całego szeregu pomysłów - jest związane z przedziwnym podejściem do lęku. Uważa, że nie wolno mu się bać czegokolwiek. Cytując jego własne słowa: musi być ponad lękiem.

Słuchając tego gadania, można by pomyśleć, że jest zamożną neurotyczną starszą panią, która postanowiła przejść z teozofii na bahaizm...

- A co to takiego bahaizm? - zapytał Pyle z udawaną naiwnością.

- Hudson wierzy - ciągnął pomimo zirytowania Pyle - że jeśli człowiek hoduje w sobie jakikolwiek lęk, choćby niewielki i pozornie nieszkodliwy, przenika on całą jego mentalność, niszczy osobowość, czyni sługą zjaw. Tyle lat konsekwentnie żył poza lękiem - lękiem przed wyczerpaniem, przed naturalnymi skutkami przepracowania, przed zmianami w układzie nerwowym, jakie niesie ze sobą bezsenność... Nie słyszeliście, jak rozprawia o rozkoszach czytania w łóżku o trzeciej nad ranem?... Nie bał się tego swojego tętniaka: jeżdżąc konno, rzucał się w pełny galop, przypiąwszy ostrogi, z rzepami pod siodłem, wyśpiewywał coś o wolności, aż mała ducha nie wyzionął. Ale ktokolwiek by mu to wypomniał, dostałby w skórę za impertynencję.

Pyle przerwał na chwilę i rozpoczęła się ogólna dyskusja. Carter zaryzykował stwierdzenie, że skoro rozmowa z szefem tak czy inaczej wiąże się z ryzykiem oberwania za impertynencję, czemu nie wysłać Jenningsa? Aldrich zauważył, że to nie czas na żarty. McDermott

ponownie nominował Pyle'a. Gram wołał: „Pewnie!” Odsunęli krzesła. Z donośnym kłaśnięciem Pyle opuścił swe wielkie dłonie na kolana, wstał, jęknął i z kwaśną miną złożył obietnicę: on to załatwi.

- Brawo! - pochwalił go Jennings po ojcowsku. - Watson założy ci potem szwy. Ostatnio osiąga coraz lepsze efekty estetyczne, co, Watty?

Bałagan towarzyszący opóźnieniu spotkania oszczędził Watsonowi przykrości, jakie pewnie by go nie ominęły, gdyby Jennings miał okazję zdać sprawozdanie z tego, co zdołał podsłuchać

- zaledwie przed godziną przyszła do Watsona rozszczebiotana sikoreczka, by wyrazić swą wdzięczność. Czując się pewniej, ku niezmiernej, godnej satyra radości kolegi, poradził beznamiętnie Jenningsowi iść do diabła, a potem personel się rozszedł.

- Chodźmy coś zjeść - powiedział Pyle. Za rogiem korytarza Jennings chwycił Pyle'a za ramię i mruknął:

- Obaj dobrze wiemy, co gryzie szefa. Chodzi o dziewczynę!

- Masz na myśli Joyce?

- A kogo by innego? - Jennings zapiął płaszcz po same gardło i napierając ramieniem, walczył z dużymi frontowymi drzwiami oraz potężną wichurą.

- Oczywiście, że mam na myśli Joyce. Dziewczyna gna ku zatraceniu, a jemu ze zmartwienia małe serce nie pęknie.

- Może i tak. - Pyle ostrożnie balansował na ośnieżonych schodach. - Ale wydaje mi się, że nie mamy prawa roztrząsać jego rodzinnych spraw.

- Nonsens! Nie czas na etykietę. Reputacji Hudsona grozi zszarganie do cna. Nawiasem mówiąc, klinice nieźle się dostanie, jeśli wieści się rozejdą. Skoro szef nie może się pozbierać, bo zadrecza, się córką, pora otwarcie z nim o tym porozmawiać. Moim zdaniem to mała głupia geś.

- Nikogo nie interesuje twoje zdanie. I nie powinniśmy do tego podchodzić z takim nastawieniem. Może i jest, jak mówisz, głupią gęsią, ale Hudson uważa ją za bóstwo.

Ruchem ręki Jennings zaprosił Pyle'a do samochodu i zaczął grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu kluczyków.

- Ostatnio widziałem, nie zachowywała się wcale jak bóstwo, chyba że Bachus.

- Gdzie to było?

- W „Tuileries”, jakiś miesiąc temu. Była na przyjęciu w towarzystwie ośmiu czy dziesięciu rozwydrzonych bawidamków, prym wodził ten, pozał się Boże, młody Merrick - no wiesz, ten łajdaczący się wnuk Nicka Merricka. Wierz mi, byli nieźle zaprawieni.

- Czy ty... rozpoznała cię?

- O, a jakże by nie! Podfrunęła rozanielona do naszego stolika na pogawędki.

- Hm! To musiała być zalana.. Myślałem, że sobie dobrze radzi w szkole dla dziewcząt w Waszyngtonie. Wiedziałaś, że wróciła do domu? Silnik rozgrzewał się z warkotem, Jennings nacisnął sprzęgło.

- Pewnie ją wyrzucili.

Pyle wydobył z siebie jakieś gardłowe dźwięki.

- Szkoda starego Merricka. Sól tej ziemi, najwspanialszy z wspaniałych. Dość już miał w życiu zgryzot. Poznałeś kiedykolwiek Clifa?

- Nie, umarł, zanim nadarzyła mi się okazja. Ale słyszałem o nim. Prawdziwy był z niego cymbał, nieprawdaż?

- To odpowiednie określenie. A jego syn, którego osierocił, najwyraźniej zmierza w tym samym kierunku.

- Myślałem, że chłopak ma matkę w Paryżu czy gdzieś tam.
- O tak, jego matka żyje. Ale chłopak i tak jest sierotą. Urodził się sierotą. Pyle opowiedział pokrótce sagę Merricków.
- Może - zasugerował Jennings, gdy wjeżdżali do garażu - może jeśli ze starego Merricka taki wspaniały gość, to pogadasz z nim i powiesz, że młokos sprowadza dziewczynę na manowce.
- Pfff! - prychnął Pyle, idąc przodem do windy.
- No to jeśli nie podoba ci się ta propozycja, może udasz się odważnie do młodej damy i powiesz jej, że doprowadza swego znakomitego rodzica do szaleństwa? Przedstaw jej to w kategoriach uczciwej gry.
- Nie - zaproponował Pyle, zakładając na nos okulary, aby przestudiować menu. - Gotowa się tylko za to pogniewać na ojca. A on z kolei woli, żeby ludzie pilnowali swoich spraw, jak parę razy już pewnie zauważyłeś. Jest zamknięty w sobie jak małża i nie okaże wdzięczności nikomu, kto choćby w najlepszej wierze włązi z butami w jego sprawy... to na nic. Joyce jest, jaka jest, i nic się na to nie poradzi. To genetyczna kopia jej dziadka ze strony matki. Nie znałeś go. Kiedy przyjechałem do miasta świeżo po szkole, właśnie zdobywał ostatnie szlify w karierze opoja. Cummings był najlepszym chirurgiem w okolicy i największym pijakiem, jaki w ciągu dwudziestu lat pojawił się w stanie Michigan -jeden z tych, co to trzy dni nie trzeźwieją, a potem przez trzy tygodnie nie tykają butelki. Ta dziewczyna najwyraźniej odziedziczyła po nim za dużo genów.
- Uważasz, że jest dypsomaniaczką?
- No, to okropne słowo. Powiedzmy, że jest nieobliczalna. Już jako brzdąc rozpętywała prawdziwe burze. Jak chce, potrafi być najsłodsza istotką pod słońcem. A potem robi piekło i Hudson musi błagać nauczycieli, żeby ją

przyjęli z powrotem do szkoły. Ach, urozmaiciła mu żywot, bez wątpienia. A jeszcze ostatnio to picie.

- Hudson na pewno o tym wie!

- Tak myślę. I co może poradzić? Ona wcale tego nie ukrywa. Wszystko można o niej powiedzieć, tylko nie to, że jest hipokrytką.

Jennings westchnął.

- Cóż za pech - jedna jedyna cnota, a tak przyprawiająca o zakłopotanie, prawda? W każdym razie, powiem to, niech idzie do diabła, skoro chce. A my musimy namówić Hudsona, żeby wziął się w garść i odpoczął. Niech nawet pojedą gdzieś razem. Przypilnuj tego, Pyle. Bądź całkowicie bezwzględny. Powiedz mu, że to dotyka nas wszystkich.

Powinno go poruszyć. Nie znam drugiej osoby tak wrażliwej na dobro innych. Ale asa zostaw na koniec: powiedz, że jeśli czegoś z tym nie zrobi, pograży nas wszystkich!

Przez pierwsze pół godziny narady, która odbyła się w następnym wtorek w gabinecie szefa, Pyle uparcie namawiał Hudsona do podróży dookoła świata, w której miałyby mu towarzyszyć Joyce. Pomysł wydawał mu się tak dobry, że uzbroił się nawet w plik folderów na temat ciekawych rejsów. Wyznaczył fascynującą trasę - Hawaje, Tahiti, ukulele i podobne atrakcje (Pyle należał do zaprzysięgłych szczerów lądowych z niebezpiecznie tłumionym pragnieniem, by przyjemnie sobie podchmieliwszy, ułożyć się wygodnie do góry brzuchem pod palmą i słuchać łagodnej śpiewnej mowy tubylców, dorosłych dzieci, niezepsutych przez cywilizację) - potem kraje śródziemnomorskie, pół roku włóczenia się po niemieckich klinikach neurologicznych. To ostatnie dorzucił jako szczególnie kuszącą przynętę. Hudson wielokrotnie wspominał, że

pewnego dnia chętnie by się wybrał w taką podróż.

Szeł słuchał propozycji z uwagą, starał się okazać wdzięczność i zainteresowanie, lecz kiedy Pyle bez końca zachwalał swój towar, wielki człowiek zaczął się niecierpliwić - napełnił wieczne pióro, poskładał starannie papiery, zaczął nagle zawzięcie poszukiwać zapalek. Potem z uśmiechem potrząsnął głową.

Nie, choć doceniał przyjacielską troskę Pyle'a, nie uda się w podróż dookoła świata, nie teraz. Owszem, mówił o tym, może nawet zbyt często. Ostatnio myślał raczej o wybudowaniu chaty na jakimś bezludziu, ale nie za daleko, by siedzieć tam od piątkowego popołudnia do wtorku rano, przynajmniej przy ładnej pogodzie, robić wycieczki, łowić ryby, zbierać okazy botaniczne, czytać lekkie powieści, spać, wieść proste życie. I od razu zacznie szukać takiego miejsca. Już przecież lada chwila wiosna.

- A tymczasem co? - nalegał Pyle, skubiąc koniuszek swej koziej bródki. Hudson wstał, z trzaskiem zamknął szufladę, skrzyżował ręce na piersiach i spojrzał na doradcę z tajemniczym uśmiechem.

- Tymczasem? Pyle, mam nadzieję, że nie spadnie pan z krzesła. Za dwa tygodnie jadę do Filadelfii, aby poślubić koleżankę szkolną mojej córki, pannę Helen Brent.

Oczy i usta Pyle'a wyrażały całkowite zaskoczenie i zdumienie w tak komiczny sposób, że Hudson uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- A potem we trójkę spędzimy kilka miesięcy w Europie. Umówiłem się z Leightonem, że przyjadę i zajmę się przypadkami, z którymi Watson nie daje sobie rady. Watson to dobry człowiek, ma przed sobą świetlaną przyszłość. To dziwne, miałem właśnie zaproponować, żebyśmy to obgadali, kiedy pan powiedział, że chce się ze mną widzieć.

Pyle odgryzł koniuszek cygara i wymamrotał gratulacje - nie zdążył się na tyle otrząsnąć, by odegrać zachwyty.

- Bez wątpienia ma mnie pan za durnia, Pyle.

Hudson okrążył pokój, dając koledze okazję do zaprzeczenia. Pyle w zamyśleniu wypuścił z ust kłęb dymu.

- Siedemnaście lat wdowieństwa - powiedział Hudson ni to do niego, ni to do siebie. Zatrzymał się na drugim końcu pokoju i poprawiał książki na półkach. - Przez siedemnaście lat mężczyzna nabiera wielu przyzwyczajęń. - Wrócił na krzesło przy biurku. - To jak wiosna i zima, prawda?

Gdyby na miejscu Pyle'a znajdował się Jennings, zamrugałby prędko oczami i odpowiedział: „Zima? No, nie... Najwyżej późna jesień, szefie!” Pyle uśmiechnął się blado i przesunął cygaro z jednego kącika ust do drugiego.

- Nawiązałem tę cenną znajomość zeszłej zimy, kiedy panna Brent została opiekunką roku Joyce.

W nagle rozbudzonym zainteresowaniu Pyle'a był jakiś odcień braterskiej empatii, co zachęciło Hudsona do odrzucenia resztek powściągliwości i opowiedzenia całej historii.

Panna Brent jest sierotą, jej rodzice byli szanowanymi obywatelami stanu Virginia, po stronie matki ma bardzo ciekawe francuskie korzenie, płynie w niej ta sama krew, która została rozlana na gilotynie w 1789... „Jest wyraźnie francuska, przynajmniej z wyglądu”.

Jennings znalazłby w sobie tyle złośliwości, by zarechotać chytrze: „Och, w takim razie to raczej lato niż wiosna” - a potem, oczekując reakcji, wpatrywałby się w twarz szefa.

Ale Pyle, który nie miał zacięcia do psychoanalizy, nie zauważył, że umysł szefa zaprzęta rzekomy temperament młodej damy.

- Około Święta Dziękczynienia - mówił Hudson - panna Brent, po krótkiej grypie, opuściła szkołę i spędziła kilka dni w domu. Zaraz po jej wyjeździe Joyce pewnego wieczoru wymknęła się na przyjęcie gdzieś w centrum miasta i nie wróciła na czas, a w dodatku następnego dnia nie była obecna na lekcjach. Kiedy udzielono jej nagany, piekliła się i odgrażała, aż wszystko trzęsło się w posadach, krótko mówiąc, doprowadziła do tego, że ją zawieszono, mimo że dzięki dobroczynnemu wpływowi panny Brent jej wyniki w nauce były od września bez zarzutu. - Opowieść była zwięzła. Hudson nie miał zamiaru nikogo wtajemniczać we własne rozterki. Pyle milczał uprzejmie.

- Cóż, wróciła do domu i natychmiast zaczęły się problemy. Wychodziła prawie co wieczór, spała całe dnie, stała się nerwowa, drażliwa, nieodpowiedzialna. Nie umiem nawet powiedzieć, ile mnie to kosztowało. Ona jest dla mnie wszystkim. Nie wiedząc już, co począć, zaproponowałem, żeby Joyce zaprosiła do nas pannę Brent na wakacje. Wcześniej gościła u nas dwa razy z kilkudniowymi wizytami, widywałem ją też przelotnie podczas moich wyjazdów do Waszyngtonu. Proszę sobie wyobrazić: kiedy tylko w zeszłym tygodniu ta czarująca dziewczyna przekroczyła próg naszego domu, Joyce nagle przeobraziła się w zupełnie inną istotę - stała się opanowana, uprzejma, miła, słowem, prawdziwa dama!

Przerwał, by zanim opowie coś więcej, sprawdzić reakcję słuchacza, i zachęcony, mówił o szybko następujących po sobie wydarzeniach: o pierwszej wspólnej kolacji i decyzji poślubienia Helen, ale nie chciał,

nawet dla własnej wiarygodności i obrony, wspomnieć o niczym bardziej osobistym. Wszystko brzmiało tak naturalnie, tak nieskazitelnie.

Napomknął, może okazując uczucia bardziej, niż zamierzał, ile radości sprawiła Helen jemu i Joyce swoim przyjazdem. „Nie ma mowy, nie pozwolimy ci wyjechać” - powiedział wtedy, na co Joyce dodała impulsywnie: „A czemu miałyby wyjeżdżać? Jest tu szczęśliwsza niż gdziekolwiek indziej, prawda, kochanie?”

Pyle rozprostował nogi i odchrząknął, przypominając tym samym szefowi o swojej obecności.

- Trzeba powiedzieć, że pannie Brent jest u nas z pewnością lepiej niż w domu. Od dzieciństwa mieszkała ze stryjkiem, starszym bratem ojca, wybuchowym, ubogim starym prawnikiem, któremu nie udało się zrobić kariery. W rodzinie brak kobiet. Mam powody przypuszczać, że jej kuzyn, Montgomery Brent to niezłe ziółko, chociaż ona go idealizuje, nazywa „braciszkiem Monty”, uważa, że nikt go nie rozumie... Taka to dziewczyna, Pyle, broni bezdomnych kotów i psów, wstawia się za niezrozumianymi kuzynami i moją lekkomyślną, upartą Joyce... a teraz, dzięki Bogu, obiecała połączyć się ze mną! Myślę, że potraktowała to jako rodzaj misji. Chciałem nawet poczekać do czerwca, aż skończy szkołę, miałem poważne obawy, naprawdę, ale ona je rozwiązała. Powiedziała, że potrzebuję jej teraz. Modłę się do Boga, żeby to wszystko się udało! Pyle odparł, że też ma taką nadzieję, uniósł się na krześle, spojrzął na zegarek i zapytał, czy to wszystko ma pozostać tajemnicą.

Hudson potarł brodę, odwrócił wzrok.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby się dowiedzieli, ale na razie wystarczy im, że jadę z córką do Europy. - Energicznie tarł swe szerokie

czoło. - Reszty dowiedzą się w odpowiednim czasie. Niech pan przekaże Aldrichowi i Carterowi, że wybieram się na wakacje.

- Żadnych specjalnych informacji dla pani Ashford? - Pyle zatrzymał się z ręką na klamce.

Hudson wbił ręce w kieszenie spodni, podszedł do okna i wyjrzał przez nie.

- Sam jej powiem, Pyle - odparł, nie odwracając się.

Swą odciętą od świata kryjówkę doktor Hudson nazwał Flintridge. Było to miejsce mocno oddalone od jakichkolwiek szlaków komunikacyjnych. Pod budowę chaty przeznaczono zaledwie jeden akr - podczas jego nieobecności sporządzeniem projektów i ich realizacją zajął się pospiesznie wierny przyjaciel Fred Ferguson, najlepszy architekt w mieście.

Okolica nie należała do przyjaznych. Surowe skały zwieszające się spadziście nad ciemnymi wodami (długie drewniane schody prowadziły do małego hangaru dla łodzi i sąsiadującego z nim pomostu) nie zachęcały do osadnictwa, jakie dawno już rozwinęło się na zachodnim brzegu jeziora, oddalonym zaledwie o dwie mile. Powykrzywiane sosny szarpały linię skał, latem wzdychały z pragnienia, wyły wiatrem zimą.

Niemal od początku Flintridge, gdzie nie zainstalowano telefonu, nie mogło być pewne, kiedy właściciel przybędzie na weekend.

Przewidywano, prognozowano, pieczono niebiańskie biszkopty, łapano wielkie ilości strzebli na przynętę i pozostawano w nieustannej gotowości na ewentualne powitanie rośłego mężczyzny o rumianej twarzy (może nawet zbyt rumianej, co potwierdziłby każdy kardiolog o srebrzystosiwych włosach, szarych oczach w siatce głębokich kurzych łapek, ruchliwych

dłoniach, bardzo wymownych w swej wielce wyćwiczonej zręczności. Jeśli przyjeżdżał, to w sobotę późnym popołudniem. Raz tylko zabrał Joyce i Helen - mijający ich nieznajomi uznali obie za jego córki - ale w ten sposób tylko odsuwał w czasie wypełnienie obietnicy o ukryciu się w samotni. A teraz potrzebował wolnego czasu jak nigdy dotąd, bo dzięki rozmownej naturze młodej żony oraz jej ujmującej gościnności przybyło towarzyskich zobowiązań w mieście.

Z jaką łatwością dopasowywała się do jego nastrojów! Jakże był z niej dumny, nie tyle nawet z powodu jej egzotycznej urody, ile wyjątkowego poczucia dobrego smaku oraz taktu, z jakim gładko i szybko weszła w krąg jego dojrzałych znajomych. Zachwycalo go, że potrafiła dobrać odpowiednie słowa, właściwy strój, intuicyjnie wiedziała, jak poprowadzić przyjęcie, nie okazując zdenerwowania, nawet kiedy przydarzały się wpadki w kuchni. Tak, wszystko „działało” - jakże często używał tego określenia - niepomnie lepiej, niż śmiał zamarzyć.

Nawet kobiety ją polubiły! Na początku akceptacja wynikała z uprzejmości, ale kiedy okazało się, że Helen nie ma zamiaru zadzierać nosa tylko dlatego, że ich posiwiali mężowie szczerze obdarzali ją, dwudziestopięciolatkę, komplementami zarezerwowanymi zazwyczaj dla kobiet pięćdziesięcioletnich, uznały, że jest cudowna.

Lecz choć Hudson z radością przyjmował rosnącą popularność żony potwierdzaną przez coraz to nowe obowiązki życia towarzyskiego, przybywające zobowiązania nie odciążały nadwężonej tętnicy, która tak martwiła Pyle'a.

- Jak myślisz, szef w lepszej formie? - spytał Jennings.

- Chwilowo - odparł Pyle. - Ale tętniaka nie wyleczy się, organizując trzy

razy w tygodniu późne kolacje. Boję się, że się wykończy.

Często jakiś bawiący z wizytą kolega - bo do Brighwood ściągali z najdalszych zakątków nie tylko pacjenci, szpital stał się także mekką dla ambitnych neurochirurgów - bywał przywożony do chaty za miastem, by przez dzień czy dwa odetchnąć wiejskim powietrzem. Wszyscy ci przyjezdni „mózgowcy” wyglądali podobnie: posepni, roztargnieni mężczyźni koło pięćdziesiątki -

uśmiechali się z rzadka, niejako w naturalny sposób oschli, nie potrafili zagaić rozmowy. Hudson wolał konferować z nimi nad jeziorem, bo oficjalne rozmowy były zbyt nużące. Ale w końcu od ludzi, którzy na co dzień obcują ze Śmiercią, nie powinno się oczekiwać, by ożywiali przyjęcia.

Gospodarzami w Flintfridge była wierna para bliźniąt w średnim wieku. Jeśli tylko Perry Rug-głes, ze sztywną nogą, gęstym zarostem i usposobieniem teriera, nie majstrował umazanym smarem kluczem francuskim przy motorze łodzi i nie wyśpiewywał fałszywie basem, to próbował skłonić kawałek nędznej ziemi, by stał się przyjazny dla irysów i petunii. W soboty około piątej zakładał swój odświętny płaszcz, kusztykał w kierunku bramy, odgradzającej posiadłość od wąskiej wyboistej drogi i otworzywszy ją na oścież, zdrową nogą odsuwał z podjazdu na bok małe kamienie.

Jego biuściasta siostra Martha szyła oryginalne narzuty, ukrywała przed małomównym Perrym akty wandalizmu bezczelnego, wykarmionego butelką jelonka, opiekowała się parą udomowionych bażantów - przy czym ich zdolność do odpłacania za jej uczucia była w takim stopniu mizerna, jak wielka była jej potrzeba w tym względzie - raniła pulchne

ramiona przy zbieraniu wczesnych jeżyn, czekając na wielką chwilę, kiedy jej placek zostanie doceniony przez uczonego gościa pełnym lubości przymknięciem oczu, którego on, zatopiony w głębokiej dyskusji o tajnikach chirurgii, będzie zupełnie nieświadomy.

W soboty około wpół do piątej, sprawdziwszy, czy piżama doktora leży na jego łóżku i ustawiwszy wazon z różami na szyfonierze, tak by cieszył oko najwyższej osoby w domu, Martha zajmowała swe stanowisko przy oknie oszklonej werandy,

przyciskała mocno kłykcie do ładnych zębów i modliła się gorąco, żeby na zakręcie wyboistej drogi widocznej na końcu alejki karłowatych świerków pojawił się tuman żółtego kurzu i metaliczny błysk niklu.

Na chrzęst żużlu pod ciężkimi oponami, gnała do drzwi i otwierała je szeroko, zawsze z nadzieją -za co nienawidziła samej siebie - że doktor przyjedzie sam albo w towarzystwie innego mężczyzny. W obecności młodej pani Hudson stawała się bowiem niespokojna, zmieszana i niezdarna: jej uroda budziła w niej wspomnienia pewnej przedświątecznej wyprawy na zakupy, kiedy miała dziewięć lat. Zobaczyła wtedy francuską lalkę, tak piękną, że gardziołko Marthy ścisnęło się w bolesnym pragnieniu. Z tęsknych oczu trysnęły nagle łzy i niepewnie wyciągnęła przed siebie rączkę.

- Nie - ostrzegła ją matka. - Możesz na nią popatrzeć, ale nie wolno ci jej dotykać.

Na kominku w „zbrojowni” (trochę podkpiwano sobie z tej nazwy, jako że pośród różnorodnego sprzętu sportowego - kijów golfowych, wędek i tym podobnych przedmiotów znajdowała się tylko jedna strzelba) imponujący rząd srebrnych pucharów stanowił dowód, że Wayne Hudson w zajęciach

rekreacyjnych celował nie mniej niż w posługiwaniu się poważnymi narzędziami chirurgicznymi.

Bliscy często mawiali, że wrażliwość jego nawykłych do badania palców udziela się w niezwykły sposób każdemu narzędziu, jakie brał do ręki.

Jego stalówki, wędki i skalpel zdawały się mieć własne układy nerwowe.

„Ten to ma fart” - mawiali widzowie, kiedy udawało mu się celnie zaliczyć długie odbicie w golfie.

„Niepospolicie przenikliwy” - zgadzali się współpracownicy, kiedy stawiał diagnozę, która okazywała się potem całkowicie celna - na przykład na podstawie tak enigmatycznych oznak jak specyficzne uniesienie brwi, drganie warg, ułożenie dłoni podczas spoczynku albo użycie jakiegoś niestosownego wyrażenia podczas rozmowy precyzyjnie lokalizował guza mózgu u pacjenta.

Wśród trofeów, na których napisy zawsze zadziwiały odwiedzających doktora kolegów, wywołując zachwyt niezwykłą różnorodnością umiejętności, jakie opanował - znajdował się także zaśnieżony puchar za pierwsze miejsce w wyścigu pływackim na jedną milę, który doktor Hudson zdobył w początkach swej lekarskiej praktyki.

- Nadal pływasz?

- Regularnie.

- Sprawia ci to przyjemność?

- To dla mnie dobre.

- Pomaga utrzymać wagę?

- Pewnie tak. W każdym razie, jest dla mnie dobre.

W którymś momencie podczas wizyty gość zwykle rzucał żartobliwą uwagę na temat nadmiernej ostrożności wysportowanego gospodarza -

najbardziej rzucającym się w oczy sprzętem w „zbrojowni” był skomplikowany, lecz szpecący wnętrze aparat do oddychania najnowszego typu, jakim posługują się ratownicy na tłumnie obleganych plażach i nabrzeżach, zaopatrzone w niklowane pojemniki tlenowe i skomplikowaną płataninę rurek.

- A co to takiego?

Hudson objaśniał krótko i sucho.

- Po co ci to?

- Ktoś może wpaść do wody. A tu jest głęboko.

Gość, jeśli do tej pory nie zaniechał zadawania pytań, szybko orientował się, że doktor Hudson nie lubi rozmawiać na tematy wody i sportów wodnych. Zastanawiano się dlaczego. Zagadkę mógłby wyjaśnić Perry Ruggles. Kiedyś bowiem, o czym nie wiedziała nawet Martha, Flintgate było świadkiem niezwykle dramatycznych chwil, a wszystko działo się na wąskim pomoście. To właśnie potem doktor Hudson przyniósł aparat i wyjaśnił przerażonemu Perry'emu, który wciąż obawiał się owej maszynerii, jak się nią posługiwać. Aparat nękał go i prześladował niczym upiór. Perry czuł niejasno, że pewnego dnia będzie musiał wypróbować jego działanie. Poczucie odpowiedzialności ciążyło mu nieprzerwanie i bezlitośnie i nie pozwalało spokojnie spać. Owego popołudnia chirurg usłyszał od swego nieokrzesanego dozorca szczerze słowa, jakie padają zazwyczaj w męskich rozmowach. Już dawno nikt patrząc mu w oczy, nie nazwał Wayne'a Hudsona głupim. Chirurg przyjął jednak to miano z godnością.

- Może i jestem głupi, Perry - odpowiedział rzeczowo - nie tobie to oceniać. Tak czy inaczej, masz pamiętać tylko tyle: górny zawór uwalnia

tlen. Jeśli będziesz musiał użyć sprzętu, nie strać głowy i nie zapomnij. Tego niedzielnego poranka na początku kwietnia kilka zaledwie ważnych figur świata chirurgii, które gościły kiedykolwiek we Flintridge, przypomniało sobie krótką i raczej niepokojącą konwersację o pływaniu, kiedy na pierwszych stronach gazet ukazały się nagłówki: „Doktor Wayne Hudson, znany neurochirurg z Detroit utonął wczoraj popołudniu niedaleko swej letniej rezydencji nad jeziorem Saginack”.

W Seattle jedzący właśnie śniadanie doktor Herman Bliss przeczytał szokującą notatkę żonie, a kiedy zareagowała współczuciem, dodał:

- To nie tylko bardzo smutne, kochanie, ale także bardzo dziwne!

Poproszony o wyjaśnienie, opowiedział o pobycie u przyjaciela w jego letnim domu nad jeziorem i o konsternacji, jaka zapanowała, kiedy zagadnął gospodarza na temat jego upodobania do wody.

- Czy przypuszczasz - zaryzykowała pani Bliss - że w jakiś sposób, podświadomie, przewidywał, co go spotka?

Jej mąż wydał wargi i potrząsnął głową.

- Ja nie wierzę w takie teorie - zadeklarował, nazbyt gwałtownie, żeby mogło to zabrzmieć przekonywająco.

- Ale mówiłeś przecież, że doktor Hudson miał dar proroczy!

- To się tylko tak mówi, Grace. Nikt nie jest jasnowidzem, co nie zmienia faktu, że doktor Hudson był ogromnie przewidujący: miał nieprzeciętne zdolności parapsychiczne.

- Dlaczego nie przestał pływać - wypytywała pani Bliss - skoro tak się tego bał?

- Zapewne właśnie dlatego. Nie znałem człowieka, którego by bardziej mierziły ludzkie obawy i lęki i który goręcej pragnąłby się od nich

wyzwolić. Wygląda na to, że ta jedna jedyna rzecz napawała go strachem i postanowił go pokonać.

- Ale idąc tym tropem - zaprotestowała pani Bliss - równie dobrze można by skoczyć w przepaść, bo to napawa lękiem.

- To niezupełnie to samo! Przecież on doskonale pływał, nie było w tym nic niebezpiecznego. A jednak z jakiegoś powodu nagle zaczął odczuwać strach. Może kiedyś dostał skurczu pod wodą. Coś takiego zawsze może się powtórzyć. W jego

myśli wdarła się obawa, a przecież szczycił się tym, że jego umysł jest całkowicie wolny. Dopóki pozwalał owej fobii w nim tkwić, nie czuł się sobą, postanowił więc wziąć się z wrogiem za bary. Tak bym to tłumaczył. Gazety pisały dalej, że zbiegiem okoliczności aparat reanimacyjny, który doktor Hudson trzymał w swej chacie, w czasie, gdy on sam rozpaczliwie go potrzebował, był akurat w użyciu po drugiej stronie jeziora.

Kilkaset jardów od brzegu, niedaleko Windy-mere, posiadłości swego dziadka, Robert Merrick, płynąc samotnie łódką, stracił przytomność i wpadł do wody uderzony stengą bukszprytu.

- Pewnie był pijany - powiedział z oburzeniem doktor Bliss - takie rzeczy nie przydarzają się raczej na trzeźwo.

Poruszeni plażowicze, wiedząc, że w chacie Hudsona znajduje się sprzęt reanimacyjny, popłynęli po niego motorówką i po godzinie heroicznego wysiłków, udało się przywrócić młodemu człowiekowi częściową przytomność. Jego życiu nie zagrażało już niebezpieczeństwo.

- Bez wątpienia! - mruknął Bliss.

Gdyby - jak spekulowali dziennikarze - aparat został natychmiast użyty, doktor Hudson byłby uratowany. Dozorca Perry Ruggles, widząc, że jego

chlebodawca znalazł się w niebezpieczeństwie, szybko podpłynął, zanurkował i wciągnął bezwładne ciało doktora do łodzi. Wraz ze swym nieprzytomnym pasażerem zaczął desperacko wiosłować w kierunku plaży koło Windymere, aż w końcu opadł z sił. Dojrzwawszy sygnały nadawane przez Rugglesa, jakaś mała jednostka pospieszyła w jego stronę - łódkę zniosło na środek jeziora; dozorca leżał w niej, przyciskając do siebie martwego doktora, i łkał histerycznie.

- Nigdy nie widziałem kogoś tak oddanego jak stary Prerry. Był niczym wierny pies. Pognał na ratunek w ubraniu, tak jak stał, z tą swoją sztywną nogą.

Dalej pisano, że Robert Merrick jest jedynym synem nieżyjącego już Clifforda Merricka oraz zamieszkałej w Paryżu Maxine Merrick. Tamtego dnia wrócił właśnie z odwiedzin u matki, do której pojechał po ukończeniu nauki na uniwersytecie stanowym. Ustalono też, że jest wnukiem Nicholasa J. Merricka - poważnego emerytowanego założyciela i udziałowca Axion Motor Corporation, z którym mieszkał w posiadłości Windymere.

- Mam nadzieję, że szczeniak zdaje sobie sprawę - powiedział doktor Bliss, odkładając gazetę - jak wysoka była cena jego życia.

Z tymi smutnymi wydarzeniami wiązał się jeszcze jeden zbieg okoliczności. Miejscowy lekarz, podejrzewając, że obrażenia głowy Merricka wymagają specjalistycznych badań, których sam nie mógł przeprowadzić, polecił przewieźć go do szpitala Brightwood. Nie wiedział wówczas, że człowiek, który rozslawił klinikę w dziedzinie neurochirurgii nie zajmie się już młodym pacjentem.

- Jak myślisz, jak zareagował ten chłopiec - zastanawiała się pani Bliss -

kiedy powiedziano mu, jakim kosztem go uratowano?

- Cóż - odpowiedział doktor ponuro - znam takie typki jak ten dzieciak - ojciec nie żyje, matka w Paryżu, dziadek milioner emeryt, w środku dnia fragment osprzętu spycha go z łodzi... Pewnie tylko zapalił zapałkę o ramę łóżka i mruknął: „Taaa? Coś takiego!”

Rozdział drugi

Powoli i ostrożnie, bo pacjent był jeszcze osłabiony dopiero co przebyłym zapaleniem płuc, jakie wywiązało się w wyniku zbyt długiego podłączenia do respiratora przez niedoświadczonych i ogarniętych paniką ludzi, dwie pielęgniarki zawiozły młodego Merricka na taras.

- To mu nie zaszkodzi - orzekł doktor Watson -a poza tym na górze może złapać odrobinę świeżego powietrza.

Ustawwszy wózek w kąciaku, nieco z dala od reszty rekonwalescentów, w większości tak jak on z obandażowanymi głowami, milczące pielęgniarki oddaliły się, stukając obcasami, z wyraźną ulgą, że mogą już zająć się czymś przyjemniejszym.

Ich szybkie kroki wprawiły go w jeszcze większą konsternację. Wczoraj próbował wytłumaczyć ogólną niechęć personelu do rozmowy pogodą. Połowa kwietnia, a już parno i duszno, stąd to wszystko. Lekarze odnosili się do niego obojętnie i szorstko, pielęgniarki były oschłe i nieczułe, to pewnie dlatego, że zachowanie pacjentów bywa nie do zniesienia... wszyscy są zdenerwowani, to jasne.

Ale tak naprawdę nie tylko niekorzystne wskazania barometru doskwierały personelowi szpitala. Panująca posepna atmosfera była zbyt przytłaczająca, by winić za to szarożółtawe niebo, upiorny chór cykad czy rozstrajający upał. Bright-wood miało kłopoty - Bobby nie mógł pozbyć

się wrażenia, że on sam jest ich przyczyną, bo skąd ta zmowa ponurego milczenia w stosunku do niego? Mój Boże! Jakby był włóczęgą bez grosza przy duszy, wyciągniętym z rynsztoka i położonym tu z czystej litości... Czy nie wiedzą, kim on jest? Przecież jego dziadek mógłby wykupić ten cały interes, nawet nie mrugnawszy okiem!

Nie zaniechali go jako pacjenta, to musiał przyznać. Zawsze ktoś się wokół niego krzątał. Chryste! Przeszedł prawdziwy koszmar! Ta mgła... dryfował w szarobiałych rozdymających się jak balon oparach - nieprzebranych, kwaśnych, duszących. Mokra, zimna, bezlitosna chmura uciska klatkę piersiową... boli.... Coś owija się wokół jego ramion, paraliżuje nogi... powrót znikąd! Czy zdoła o tym kiedykolwiek zapomnieć? Wzdrygał się na samą myśl. I to niewysłowione wyczerpanie! Czasem go to przerastało. Kiedy z trudem zwlekał się z łóżka i potykając się, brnął przed siebie, stawiając kilka niepewnych kroków, to Coś dopadało go z rykiem spienionej oszalałej fali i wlokło z powrotem daleko...daleko w nicość. Potem na-stawała złowieszcza cisza... czy tym razem naprawdę umarł? I nagle to Coś zabierało go znów i pogrążało jeszcze głębiej w pozbawiającej tchu mgle.

Po długim, długim czasie - czuł się stary, obolały, umęczony tą beznadziejną walką - obraz zaczynał się rozjaśniać. Tu i ówdzie na płachcie mgły pojawiały się strzępiaste rozdarcia, przez które na ułamek chwili przebijały jakieś punkty orientacyjne, tak jak zarysy krajobrazu na miedzianej płytce wytrawianej kwasem. Na początku jeszcze bardzo niewyraźne, dotyczyły tylko zmysłu powonienia. Czytał kiedyś, że ze wszystkich narządów nos jest najsilniej połączony z mózgiem. Być może węch (interesował się żywo zagadnieniami fizjologii

człowieka) to najstarszy z narządów zmysłowych - najwcześniej się rozwinął. Jednak nie... jednak uczucie... najpierw uczucie, potem zapach... Wydzielona, osobna część jego umysłu przedzierała się mozolnie przez mgłę, analizując położenie, w jakim znajdowała się reszta - zdumiewało go to i bawiło zarazem.

Potem w owej przesuwającej się chmurze pojawiał się większy prześwit; wionęła przez niego mieszanka woni, które potrafił rozpoznać, intensywny zapach uderzył go mocno w nozdrza, wełna, zanurzenie w wełnie, jodoform, dym papierosowy, chlorki tego, tamtego i owego, anestezja, antyseptyka, zapach laboratorium, zapach szpitala.

Coś ciepłego prześlizgiwało się po jego piersiach. Pulsowało. Mocny nacisk, potem krótka przerwa, przesunęło się, seria ucisków, znów przerwa, nasłuchiwanie, powrót do poprzedniego miejsca, znów nasłuchiwanie, teraz z większym napięciem.

Potem ucisk na piersi zniknął, rozplynęła się też mieszanka zapachów.

Poprzez kolejny prześwit we mgłę usłyszał w oddali głosy, jeden spokojny, pewny - drugi pełen rozgoryczenia, nieprzyjazny... przyczyna późniejszej konsternacji.

- Chyba przeżyje.

- O tak! Cholerna szkoda!

I znów plątanina głosów, jeden z nich kobiecy - zanim mgła zamknęła się nad nim na powrót.

Co jakiś czas przerzedzała się i znów dźwigał ogromny ciężar, jakby brał na siebie niewyobrażalny ładunek, ponad siły, i próbował z nim iść. Chciał ziewnąć, ale nie mógł głębiej odetchnąć. Przestali już to robić... za bardzo boli. Oddycha się wtedy krótkimi, suchymi, gorączkowymi haustami,

dobrze, że w ogóle można złapać powietrze, choćby za tę cenę. Tom Masterson to potwierdził. Tom - jego obecność była pewnie tylko jednym z majaków - usiadł przy łóżku i wypytawszy o nowy sposób oddychania, skomentował: - Wszyscy tak robimy. To oczywiście nie to, co kiedyś, ale lepsze niż nic.

Wchłonął go kolejny duszący kłęb mgły, ale nie było w nim tego Czegoś. Wszystko do zniesienia, byleby Coś już zniknęło.

Otworzył oczy - do jego świadomości, przez rzeczywiste okno, dotarł widok błękitnego nieba. Powiewała firanka. Gdzieś na dole warkotał motor, na dziedzińcu zgrzytnęło sprzęgło, zachrząścił żwir. Obok, na wyciągnięcie ręki, zagrzechotał lód w szklance. Pielęgniarka w wykrochmalonym fartuchu, wpatrując się w wskazówki zegarka, chwyciła go za przedramię. Ostry koniuszek termometru wbił mu się brutalnie w wiązadła języka: więc to go poharatało, tak niefortunnie wtykali mu termometr, kiedy był nieprzytomny.

Dobiegło go monotonne warkotanie wentylatora, metaliczny furkot kosiarki na spalonym słońcem trawniku. Zdrewniałym językiem badał popękane usta. Apatycznym spojrzeniem omiótł pochylającą się nad nim pielęgniarkę i w kilku ochrypłych sylabach spytał, gdzie jest.

Odpowiedziała. Czy to znaczy, że ma jakieś urazy czaszki? Mówił bardzo sennie. Głowa, cała w bandażach, straszliwie go bolała. Dotknął jej drżącą dłonią i zadawał kolejne pytania.

- Silne uderzenie. Ale ładnie się goi. Proszę to wypić.

A potem znów zasnął. Gdy się obudził, pomieszczenie wypełniało słabe światło. Było bardzo cicho, postanowił więc na powrót zapaść w sen.

Minął kolejny dzień, dwa, może trzy... nie pamiętał.

Przyszedł rudowłosy lekarz w białym kitlu i zaczął wypytywać pielęgniarkę. Wydawał się przyjaźnie nastawiony, ale był za młody. Tu najbardziej ceniono doktora Hudsona. Skoro coś nie tak z jego głową, właśnie on powinien się tym zająć.

- Proszę pana - zawołał, z trudem odwracając oczy w kierunku młodego lekarza - dlaczego nie przyjdzie zbadać mnie doktor Hudson? Ja go znam. Bywałem u niego w domu. Czy wie, że tu jestem?

- Nazywam się Watson. Ja jestem pana lekarzem. Doktora Hudsona nie ma.

Po wyjściu doktora Watsona zawołał pielęgniarkę. Czy była tu panna Hudson? Nie, nie można jeszcze przyjmować odwiedzin, nie za często, tak, dziadek był ... i jakiś pan Masterson... Wypadek? Tak, wszystkiego się dowie, ale później. Teraz potrzebuje snu, dużo snu, nie trzeba się denerwować ani martwić. Chcemy tylko spać, pocujemy się wtedy lepiej. Wtedy przyjdzie pora na odwiedziny i bliscy opowiedzą, co tylko chcemy. Jak do dziecka! Niech to!

Tego ranka jego cierpliwość się wyczerpała. Idiotyczna zmowa milczenia tych ludzi posuwała się już za daleko! Najwyraźniej znajdował się w tarapatkach. Bardzo pięknie. Nie po raz pierwszy. I tym razem znajdzie się wyjście. Zawsze się znajduje. Czyż nie był przyzwyczajony do płacenia za zgniecione zderzaki samochodowe, potłuczoną porcelanę, odrapane meble, obrażone uczucia

i zniweczone interesy? Jeśli ktokolwiek ma do niego jakieś pretensje, niech wystawi rachunek, a on wypisze czek. Zresztą co komu do tego? A może... Czymś zawinił tej cholernej klinice? Wjechał w nią swoim wozem?

- Powie mi pani coś, pani..?

- Bates.

- Pani Bates, skąd się to wzięło na mojej głowie? Nie będę pytać o nic więcej.

- Maszt czy coś takiego, zmiotł pana z łodzi.

- Dziękuję.

Maszt zmiotł go z łodzi! Wyszczrzył zęby w śmiechu, spróbował sobie przypomnieć. No, ślicznie. Ale co to ma wspólnego z tym szpitalem?

W południe pielęgniarkę zastąpiła na godzinę bardzo ważna persona: pani Ashford we własnej osobie, kierowniczką szpitala.

Siadła przy oknie z robótką pozornie na niej skupiona, czekała na wybuch ze strony pacjenta, doskonale wyczuwając jego nastrój.

Bobby przestudiował jej twarz i uznał, że jest całkiem, całkiem. Do takiego wniosku pacjenci Brightwood dochodzili zazwyczaj szybciej niż on, ale nie miał zamiaru bez namysłu oddawać serca komukolwiek w tej instytucji, w której traktowano go z tak pogardliwą obojętnością.

Przyłapał się na zgadywaniu, ile może mieć lat. Wszyscy oddawali się takim spekulacjom, gdy spotykali Nancy Ashford po raz pierwszy.

Matczyną postawę, z jaką traktowała personel, pielęgniarki i pacjentów, kojarzono wyłącznie z bielą jej włosów. To, że dorobiła się siwizny jako dwudziestokilkulatka, po zakończonej śmiercią chorobie męża, nie zmniejszało, lecz jeszcze dodawało jej godnego matrony poważania, jakim cieszyła

się, będąc głównym doradcą w Brightwood. Mimo młodej twarzy i szczupłej, wysportowanej sylwetki, wielu starszych od niej ludzi nazywało ją matką - była wspaniałym przykładem osoby, której samo tylko

pojawienie się zachęca do zwierzeń. Niejeden ksiądz nie wysłuchał w życiu tylu wyznań, co ona.

Tragiczna śmierć doktora Hudsona pogrzyżyła ją w większym smutku, niż ktokolwiek związany z Brightwood mógłby podejrzewać, a nadanie rozpaczy pozorów zwykłego żalu stało się dla niej najtrudniejszą rzeczą w życiu.

Przez piętnaście lat pani Ashford stawała się powoli dla doktora Hudsona kimś nieodzownym. Przyszła do jego eksperymentalnego szpitala na stanowisko pielęgniarki asystującej przy operacjach krótko po śmierci męża. - obiecującego neurochirurga i protegowanego Hudsona i krótko potem niepostrzeżenie zaczęła brać na swe barki coraz więcej spraw organizacyjnych szefa, nie zdając sobie właściwie sprawy, jak zmyślnie odciąża go od piętrzących się bez końca nużących drobiazgów. Z czasem jej decyzje brano za postanowienia samego Hudsona i nie próbowano ich podważać. Nikt nie był zazdrosny o jej wpływ na szefa ani władzę, jaką w dyskretny sposób sprawowała nad szpitalem. Niefrasobliwi młodzi lekarze szukali u niej rady, gdy znajdowali się w finansowych opałach.

Pielęgniarki zwierzały się zprzygód miłosnych. Pacjenci otwierali przed nią serca, wyznawali wszystko: od drobnych codziennych kłopotów aż po poważne przewinienia, a po powrocie do domu pisali listy, nierzadko nawet oświadczały się jej, obsypywali podarkami na Boże Narodzenie.

- Czyż ona nie jest słodka? - mawiały pacjentki. Nie była. W odniesieniu do niej to zbyt infantylne

określenie. Była wyrozumiała, taktowna, a przede wszystkim silna, z dziewczęcą twarzą, męskim umysłem i siwymi włosami dojrzałej kobiety.

Gdyby Merrick wiedział co nieco o pani Ashford, zmieniłby swoje

nastawienie wobec niej już tego ranka, kiedy siedziała przy nim, wbijając igłę w wyszywanekę i czekając, aż wreszcie coś powie.

Doktor Hudson przestał ją doceniać. Przyzwyczyił się, że może powierzać jej wszystkie trudne sprawy, i bardzo rzadko interesował go jej punkt widzenia. Nie było aspektu jego pracy, którego ona by nie знаła. Weszła nawet w jego najbardziej osobiste sprawy - którymi zajmował się potajemnie, myśląc, że dobrze je ukrywa - odkrywała je przypadkowo lub po prostu snując domysły, i na tej podstawie dawno już wydedukowała niejasne i problematyczne motywy kryjące się za jego postępowaniem. Byłby zdumiony i może nawet niezadowolony, gdyby wiedział, że o mało nie rozgryzła największego sekretu jego życia.

Troszczyła się o niego całym sercem, a on domyślał się natury tych uczuć, ale z uporem nie dopuszczał ich do świadomości. Czuł, że ich odwzajemnienie spowodowałoby nieszczęśliwe komplikacje. Nie mógł jej poślubić. Joyce by tego nie zaakceptowała.

- Pielęgniarka! Tato! Nie zrobisz tego! Nie możesz!

Tego ranka, kiedy oświadczył Nancy, że w przyszły wtorek bierze ślub z koleżanką szkolną Joyce, odparła tylko szybko:

- Bardzo rozsądnie. Na pewno da ci szczęście. Ogromnie się cieszę.

- Miałem nadzieję, że tak pomyślisz - odpowiedział z wyraźną ulgą.

Na szczęście dla obojga nie patrzyli sobie wtedy w oczy. On nakładał gumowe rękawice w małym

laboratorium przylegającym do sali operacyjnej, ona zaś zapinała mu na plecach długi biały fartuch. Udawał, że nie zauważa, że zabiera jej to bardzo dużo czasu.

- Hej, tam z tyłu, wszystko w porządku? - zerkając przez ramię,

wykrzyknął wesoło z wymuszoną bez troską.

- W całkowitym porządku - odpowiedziała podobnie lekkim tonem, ale nie było w porządku... Już nic nie będzie w porządku...

Bobby poczuł, że jego serce skłania się ku tej kobiecie w nieokreślonym wieku, która tak pilnie wbijała igłę w tkaninę, nie zdając sobie sprawy z zamieszania w jego umyśle. Postanowił zmącić jej spokój. Zada jej kilka pytań, które mozolnie składał w głowie. Brzmiały trochę sztucznie, jakby nauczył się ich na pamięć. To oczywiste, mówił, że ma jakieś kłopoty. Zawsze ściąga je sobie na głowę. To jego główne zajęcie. Jest przyzwyczajony, recytował - i jego słowa nasycone były, choć tego nie chciał, głupią nonszalancją - że wywołuje zamieszanie, a szczegółów dowiaduje się dopiero następnego ranka. O co chodzi tym razem? Czy ktoś doznał uszczerbku? Nic takiego sobie nie przypominał. Jeśli spowodował jakieś szkody, to chętnie za wszystko zapłaci.

W miarę, jak mówił, brzmiało to coraz bardziej opryskliwie - pani Ashford ani razu nie zerknęła na niego znad robótki, wyraźnie też nie wsłuchiwała się zbyt uważnie w jego utyskiwania. Mylnie interpretując jej wysiłki zachowania spokoju jako kolejny przejaw obojętności, którą miał tu wszystkim za złe, Bobby wpadł w szał. Jednak w połowie jednego z warkliwych wściekłych zdań, które z siebie wyrzucał, nagle zamilkł, spojrział na nią i zmieszał się. Kiedy podniosła na niego oczy, zobaczył, że są pełne łez. Usta jej drżały.

- Co ja takiego zrobiłem? - spytał chrapliwie. - To coś strasznego. Widzę to na pani twarzy. Musi mi pani powiedzieć! Nie zniosę tego dłużej!

Pani Ashford odłożyła robótkę na stół, podeszła do łóżka i ujmując dłoń Bobby'ego w obie ręce, powiedziała:

- Przyjacielu, stało się coś, co pogrążyło nas wszystkich w bardzo, bardzo wielkim smutku. Wydarzyło się to w czasie, kiedy cię tu przywieziono. Nie możemy się z tego otrząsnąć. To nie twoja wina, ale szkody nie da się naprawić. Nie powinieneś więcej się tym zadrećzać.

Nie usatysfakcjonowany odpowiedzią, lecz nieco uspokojony łagodnym głosem pani Ashford i przekonany, że przynajmniej przez jakiś czas ten temat się nie powtórzy, Bobby zrezygnował z zadawania dalszych pytań. Wymamrotał przeprosiny i opadł na poduszki, czując się nieswojo, choć cokolwiek zaszło, nie on był temu winien. To dobrze. Lepiej, niż się obawiał.

Urozmaicenie, jakim było zalecone przez doktora Watsona solarium, przyjął z radością. Jadąc hałaśliwą windą, Bobby próbował nawet żartować, choć z mizernym skutkiem. Niemożliwe, żeby żal dręczący tak poważną kobietę jak pani Ashford mogła z taką samą siłą odczuwać ta młoda, ładna i zgrabna blondynka stojąca obok niego, która w milczeniu czekała, aż winda zawiezie ich na ostatnie piętro.

- Pudełko czekoladek w zamian za śliczny uśmiech - powiedział grobowym tonem. W tym szpitalu wypowiada się chyba najmniej słów na świecie.

Natychmiast zorientował się, że powiedział coś nieodpowiedniego. Nie podjęła rozmowy, nie była też obrażona. Po prostu jakby nie słyszała. Coś ją gryzło. To, co nękało pozostałych pracowników szpitala. Przygnębienie, z którego wyzwoliły go choć trochę pocieszające słowa pani Ashford, ogarnęło go z nową mocą.

Zignorowany przez dziewczynę, przygnieciony krepującą ciszą, gapił się tępo przed siebie, czując, jak płoną mu policzki - pielęgniarze zawieźli go

do sali, poprawili poduszki, opuścili do połowy rolety, przesunęli parawan bliżej łóżka, żeby odseparować go od innych pacjentów, i wyszli pośpiesznie bez słowa.

Dopiero po godzinie dowiedział się tego, co chciał wiedzieć.

W tym czasie, nie będąc w stanie posklejać ze sobą w całość zapamiętanych półsłówek, tak by mógł rozwikłać zagadkę, błędził myślami. Podryfowały one, może z powodu wszechogarniającego smutku i poczucia samotności, ku wspomnieniom z dzieciństwa.

Bobby Merrick dorastał poza wszelkimi ograniczeniami i zakazami, jakich muszą zazwyczaj przestrzegać dzieci w cywilizowanym społeczeństwie.

Jego ojciec, Clif Merrick, był zbyt zajęty interesami, by - oczywiście kiedy nie ścigał się jachtem, nie polował na jelenie i nie odbywał bliżej nieokreślonych wypraw - zbytnio zaprzętać sobie uwagę swym wrażliwym dzieckiem, może poza poklepaniem po główce od czasu do czasu, mijając go na schodach, gdy mały dreptał za guwernantką, czy zdawkowym i niezdarnym siłowaniem, co miało imitować przekomarzania ojca z synem. Ochota na owe niedelikatne próby zbliżenia się do dziecka nachodziła go zawsze na rauszu. Chłopiec wzdrygał się, kiedy późnym popołudniem ojciec przychodził do niego z purpurową od alkoholu twarzą i namawiał do wspólnej zabawy.

W takich chwilach, jeśli była akurat nieopodał, interweniowała znerwicowana matka Bobby'ego.

- Obchodzisz się z nim zbyt brutalnie, Clif - protestowała. - To tylko mały chłopiec. Zrobisz mu krzywdę. Przestań, proszę.

- Nonsens - odpowiadał, zerkając w stronę guwernantki w oczekiwaniu poparcia. - Nie znasz się na małych chłopcach. Prawda, Bobby?

I prawdę mówiąc, rzeczywiście się nie znała, a malec zawsze głęboko przeżywał takie sytuacje, nie mając pojęcia, co odpowiedzieć.

Kiedyś - jakże wyraźnie to pamięta - matka, złośliwie zbesztana w jego obecności, że „wychowuje rozpuszczonego maminsynka, podtykając mu lalki i garnki” (co było zresztą prawdą), zaczęła wrzeszczeć przenikliwym falsetem:

- Zostaw go w spokoju, do cholery! Nie pozwolę, żebyś się więcej nad nim po pijanemu znęcał! Jeśli jeszcze raz go dotkniesz, wezwę policję!

Policję! Grozić ojcu policją! Bobby pamięta, że się wtedy rozchorował - poczuł mdłości. Guwernantka zaniósła go na górę, gdzie dopadły go straszne torsje. Pamięta nawet, co jadł tego wieczoru: pudding porzeczkowy. Od tamtej chwili nie lubi porzeczek.

Clif Merrick regularnie i uparcie szydził z jego „babskich” zabawek, aż w końcu Bobby zbuntował się przeciwko kobiecemu wychowaniu i skwapliwie przystał na propozycję ojca, by brać lekcje boksu. O dziwo, nowy sport bardzo mu się spodobał. Nie mogąc się doczekać wypróbowania w praktyce wskazówek otrzymywanych na zajęciach, wymykał się z domu, zakładał czarny atlasowy garniturek z białymi koronkowymi mankietami i zamiast iść do szkoły na popołudniowe lekcje, stawał na rogu i czekał, aż ktoś zawoła do niego „Maminsynek!” Do domu wracał umorusany, długo doprowadzał się do porządku, ale uśmiechał się od ucha do ucha.

Kiedy Bobby miał dwanaście lat, ojciec zmarł niespodziewanie na zapalenie płuc, którego nabawił się zbyt długim polowaniem na kaczki w bardzo złą pogodę. Mimo tak młodego wieku, wiedział, że matka przyjęła żałobę spokojnie i mężnie, co w ogóle nie pasowało do jej słabej psychiki i

skłonności do uzalania się nad sobą.

Kiedy wracali z cmentarza tego ponurego popołudnia, powiedziała coś, co na trwałe wyryło się w pamięci jej syna. Żaden napis na tablicach nagrobnych i epitafiach, którym przyglądał się z dziecięcą ciekawością, gdy szli wąskimi, krętymi ścieżkami, nie zapadł w nim głębiej niż słowa matki. Czasem uśmiechał się na to wspomnienie, czasem wzdygał.

- No cóż - odezwała się, podając futro Colleen -już po wszystkim.

- Tak, proszę pani - odparła posłusznie Colleen, przyzwyczajona do tego, że co jakiś czas pani zaszczyca ją poufałą rozmową, nie zważając na dzielące je różnice społeczne. - To na pewno.

A potem, wyraźnie niezadowolona z własnej odpowiedzi, która jak na osobę żywiącą wielki szacunek wobec śmierci, zabrzmiała zbyt swobodnie, Colleen dodała ponuro:

- To musi być dla pani okropne, zostawiać go tam. Na co padły pamiętne słowa matki:

- Teraz przynajmniej wiem, gdzie go szukać!

Czasem, gdy jako student znajdował się w tym specyficznym i precyzyjnie określonym punkcie upojenia, kiedy wszystkie tragiczne przeżycia człowieka ulegają zniekształceniu i przyjmują w końcu kształt wielkiej, prostackiej farsy, a najświętsze nawet wspomnienia stroją złośliwe miny i pokazują język w pogardzie wobec wszystkiego, co szlachetne i porządne, Bobby na wspomnienie owej matczynej elegii, ryczał ze śmiechu i klepał się po kolanach. „Kapitalne epitafium!" - wykrzyknął kiedyś, a zaraz potem wyzywał się od pijanych głupków.

Bobby nie pamiętał dokładnie, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że jego

rodzice się nie znoszą. Musiał być jeszcze bardzo mały. Przestali się kłócić, kiedy miał osiem lat - ich wzajemna pogarda była zbyt ciężka, żeby stosować tak delikatne narzędzie jak mowa. Matka bez wątpienia wiele wycierpiała, ale nie było sensu jej bronić. Miała prawo do synowskiego współczucia i otrzymywała je. Chciałby mój także obdarzać szacunkiem.

Drażliwa, egoistyczna i podejrzliwa - Maxine Merrick należy nazwać osobą ze wszech miar trudną. Jedyłą umiejętnośćią, jaką opanowała w stopniu biegłym, była gra na pianinie, a widząc, że to jedyna rzecz, którą może przekazać dziecku, zaczęła dawać mu lekcje, zanim jeszcze Bobby zaczął poznawać pierwsze literki na swoich drewnianych klockach.

Jej duch był ciągle niespokojny - nękały ją „nawroty zaburzeń lękowych”. Jako ładna, podążająca za modą jasna blondynka, niezmiennie zwracała na siebie uwagę w operze (prawdę mówiąc, już z odległości trzydziestu jardów jej uroda zapierała mężczyznom dech w piersiach), poddawała się atakom melancholii, które jako żywo, służyły często za wymówkę, niezadowolona z siebie, wiecznie podejmowała próby udoskonalenia swej osoby, a to zmieniając coś w twarzy i figurze, a to próbując dostroić swój rozchwiany umysł w czasie wizyt u psychiatrów i psychoterapeutów. Jej nazwisko widniało na wszystkich listach naiwnych ofiar każdego możliwego szarlatana w okolicy; bardzo poważnie traktowała wróżenie z dłoni, zapłaciła niezłą sumkę za horoskop, ukazujący powiązanie jej spraw z ruchami Arkturusa, często zlecała przepowiadanie przyszłości.

Krażyła między instytucjami troszczącymi się o jej ciało i tymi, które zajmowały się jej duszą. Po intensywnym sezonie spędzonym w

profesjonalnych salonach piękności na poddawaniu się z konsekwentnym zapalem trwającym całymi godzinami, nierzadko bolesnym, zabiegom depilującym i wygładzającym, farbowaniu, makijażom i masażom, Maxine ogarniała zniecka fala niewypowiedzianej odrazy i natychmiast wyruszała do jakiegoś sanatorium klasy de luxe, gdzie w klasztornej niemal izolacji żywiła się mdłymi nie-solonymi pokarmami, a wieczorem wsłuchiwała się w melodyjne wykłady na temat wyrażania siebie....

kojenia nerwów... woli istnienia... czerpania z życia, po których głos zabierał, już w mniej metafizycznym tonie, głównodowodzący przybytku, i opowiadał o wewnętrznej czystości, ale nie czystości sumienia - o tym nie było mowy, jak świadczyły wystawiane przez niego bająnskie rachunki - tylko o czystości okrężnicy; rozprawiał o niej z mdlącą szczerością, niejako niepokojącą dla nowo przybyłych kuracjuszy, którzy odbywali właśnie nowicjat posłuszni niełatwemu powołaniu hipochondrii.

Podczas owych zrywów, kiedy namiętnie poświęcała się naprawie zdrowia i osobowości, Maxine traciła tyle kilogramów, ile w jej słownictwie przybywało nowych nazw chorób. Podczas takich wyjazdów niczym tybetański lama miała w pogardzie dbałość o wygląd zewnętrzny, co współgrało z jej stanem ducha.

Aż któregoś dnia pod wpływem zwykłego kaprysu, pakowała pudła i skrzynie, kupowała bilet, zamawiała taksówkę i wracała prosto do domu, ku całkowitej konsternacji joginów, którzy tuczyli się na zajmowaniu się nią, oraz zdumieniu oburzonych szarlatanów, którym nagła dezercja Maxine w jej wyprawie krzyżowej po Wieczne Oświecenie alarmująco uszczuplała dochody. Pacjenci uważali powszechnie panią Merrick za niezwykłą, wspaniałą przywódczynię społeczną. „Od czasu do czasu, po

prostu trzeba, moja droga, wreszcie się zatrzymać i odpocząć kilka tygodni, no wiesz, jak to jest" - co było czystą mrzonką, bo Clif Merrick nigdzie jej nie zabierał, a przyjaciół mogła policzyć na palcach.

Bobby nigdy nie jeździł z matką na wyprawy w poszukiwaniu młodości, piękna, słodczy i światła. Zostawał w domu pod opieką tyrającej służby oraz nieskończonego korowodu guwernantek, z których żadna nie zagrzała miejsca dłużej niż kilka tygodni. Te najładniejsze odchodziły najszybciej... czasem z godzinnym wypowiedzeniem. Bobby dostał kiedyś nie lada hysterii, kiedy panna Newman odeszła, nie powiedziawszy mu nawet do widzenia, a za urządzenie sceny dostał lanie od ojca.

Krótko po tym, gdy raz na zawsze upewniła się co do miejsca pobytu męża, Maxine sprzedała wielki dom przy Piedmont Square i zabrała Bobby'ego do Europy, gdzie jej zdrowie - zarówno fizyczne, jak i psychiczne uległo gwałtownej poprawie. Umieszczono go w szkole dla bogatych opuszczonych dzieci, gdzie bratał się z malcami, którzy stali się wstydlwym ciężarem dla rozwiedzionych rodziców. Na krótkie wakacje jeździł do

Maxine - jak ją posłusznie nazywał - do Paryża. Potrafił gniewnie okazywać zdegustowanie, kiedy nagle w obecności nowych przyjaciół zaczynała do niego pieszczotliwie szczebiotać, i odpowiadał jej tonem zawierającym wszystkie możliwe tonacje. Wypełniała olbrzymi apartament, zaproszonymi na kawior i szampana starymi wiedźmami w perukach i koliach, paplającymi jałowo o swych arystokratycznych krewnych; towarzystwo, które Bobby beczelnie nazywał menażerią, stawało się niezwykle snobistyczne.

Letnie miesiące spędzał w pojedynkę w Brighton i Deauville, samotne

Boże Narodzenia w Cannes w prywatnych szkołach z gnącymi się po pas wychowawcami, w pociągach i hotelach zawierał krótkotrwałe, powierzchowne znajomości z takimi jak on przeintelektualizowanymi, niechcianymi chłopcami, zazdrosnymi o pekińczyka matki, często podpitymi - niejeden pociągał ukradkiem z karafki w kredensie.

W wieku siedemnastu lat wysłano go do ekskluzywnej szkoły przygotowującej do studiów w Connecticut, gdzie, z powodu braku odpowiednich porcji strawy intelektualnej w przeszłości oraz doświadczenia w zachowywaniu dyscypliny, dotrwał zaledwie do Święta Dziękczynienia. Dyrektor Bowes we własnej osobie odprowadził go na pociąg i powrócił kontynuować zajęcia w kaplicy. Czoło jego rozpogodziło się w niebiańskim spokoju, w głosie natomiast zabrzmiała niekłamana wdzięczność, kiedy oznajmił: „A teraz powstańmy i zaśpiewajmy hymn”.

Za wstawiennictwem starego Nicholasa, Bobby został tymczasowo przyjęty do kolejnej szkoły przygotowawczej, tym razem akademii wojskowej na wybrzeżu. „To zwykła snobistyczna buda, tyle że reformowana”, napisał pierwszego dnia do zmartwionego dziadka, który odpowiedział, że skoro tak, to miejsce w sam raz dla niego. Wychowawcom przysparzał tyle zgryzot co sześciu innych chłopców, ale udało mu się tam zostać. W tym czasie odnowił swe porzucone zamiłowanie do boksu, pod okiem instruktora, który, o zgrozo, nieco nim pomiatał, dopóki się nie przekonał, że chłopiec jest twardy, i od tej pory poświęcał mu więcej uwagi. „Może i kiepski w algebrze, ale bić się potrafi jak żaden” - mawiał o nim pan Bowman.

Dopiero na uniwersytecie stanowym Bobby odnalazł swe mocne strony.

Nie był ani leniem, ani tępakiem i w przedmiotach, które budziły w nim ciekawość, szybko przegonił przeciętnych studentów. Zoologia!?

Dosłownie ją pochłaniał! Fizjologia... psychologia... chemia... nieustannie zadziwiał przyjaciół pilnym wkuwaniem, zwłaszcza chemii, i całkowitym brakiem zainteresowania osiągnięciami naukowymi w dziedzinach, które go nie fascynowały.

Przypominająca relację Dawida z Jonatanem przyjaźń z Tomem Mastersonem, sympatycznym młodzieńcem przepełnionym nieugaszonym pragnieniem, by zostać pisarzem, służyła mu bardziej niż Tomowi.

Spotkali się na lanczu dla pierwszaków w akademiku Delta Omega i od razu postanowili zamieszkać razem. Młody Masterson, choć pragnął wyzwolić się z panującej w domu dyscypliny, pozostał idealistą; otworzył przed Bobbym (który z początku słuchał Toma z sympatii, potem dlatego, że spodobały mu się jego opowieści) zupełnie nowy świat i zaszczepił w nim miłość do klasyków, których Bobby wcześniej nie znosił.

Ale Mastersonowi, nie wychowywanemu jak jego przyjaciel na koktajlach, nie wychodziły na dobre lekcje, które otrzymywał w zamian za wiedzę na temat greckiej i rzymskiej mitologii. Gdy tylko zaczynał pić, bez względu na miejsce, porę i okoliczności, można było bez pudła obstawiać, że nie przestanie, dopóki nie straci przytomności. Wówczas Bobby, mniej więcej trzeźwy, prowadził go do domu i z matczyną troskliwością kładł do łóżka. Najwyraźniej nigdy nie przyszło mu do głowy, że takie nawyki mogą odbić się w przyszłości na zdrowiu przyjaciela.

- Mój biedny stary Tommy! - mawiał, rozwiązując mu buty. - Chyba już nigdy nie nauczysz się pić jak dżentelmen!

Nie miał też Merrick zbyt dobrego wpływu na innych mieszkańców

akademika Delta Omega, do którego wprowadził się razem z Tomem na pierwszym roku. Nie stanowiłby zagrożenia, gdyby nie był tak czarujący. Przez swój rozbijający urok osobisty niweczył wszystkie szczytne postanowienia kolegów, którzy z całego serca pragnęli pozostać w trzeźwości i rzetelnie pracować. Nawet studenci starszych lat - tradycyjnie gardzący „młodziakami” - gdy choćby raz, początkowo sceptycznie skorzystali z jego gościnności, następnego piątkowego popołudnia pędzili z Bobbym jego wielkim krążownikiem szos do domu dziadka nad jeziorem Saginack.

Wychodząc z założenia, że młodzi będą lepiej się bawić, jeśli zostawi się im do dyspozycji cały dom, pobłażliwy staruszek pozwalał zawieźć się do miasta, by schronić się w hotelu Columbia. Sąsiedzi burzyli się, ale stary Nicholas w odpowiedzi na skargi na „zapijaczne szatańskie nasienie”, za które niewątpliwie był odpowiedzialny, rozbijające się beztrąsko samochodem bez tłumika, ale za to z wciśniętym klaksonem, powtarzał zawsze, że chłopcy tacy już są i kropka. I płacił za wyrządzane przez nich szkody.

Nie tak rzadko weekendowi goście Bobby'ego wracali w poniedziałkowy rano do Ann Harbor bez grosza przy duszy, a skarpetki na nogach mieli wyłącznie dzięki wielkoduszności gospodarza, który po całodziennej niedzielnej grze w pokera stawał się ich pełnoprawnym właścicielem. Ileż to razy obiecywali sobie: „Nigdy więcej!”, ale podstępemu uśmieškowi Bobby'ego trudno było się oprzeć. Poza tym jedzenie i warunki w pałacu Nicholasa stanowiły kuszącą odmianę wobec głodowego stypendium oraz niewygód zatłoczonego akademika, gdzie ludzi ekscytowało niewiele poza nieuchronnością comiesięcznych opłat za mieszkanie.

Od jakiegoś czasu do uszu Bobby'ego dochodziły monotonne odgłosy rozmowy za parawanem. Zaczęło go to irytować. Jakiś pajac prezentował swą domorosłą filozofię życiową.

- Cała ta gadanina o Opatrzności..., phi, też mi coś. Weźmy ten przypadek! Oto wybitny człowiek, osoba tak użyteczna, że ludzie przemierzali tysiące mil, by uzyskać pomoc, której tylko on mógł udzielić! A weźcie mnie!... Bobby skrzywił się i wymamrotał. „O taaak. Weźcie! Weźcie stąd! Nie da się ciebie słuchać!”

- Popatrzcie na mnie! Przyjechałem prosto z loway i na szczęście mnie tu przyjęto. To była jego ostatnia operacja, tak mi powiedzieli! Mogli go uratować, gdyby do tego...no... respiratora, czy jak to zwa, nie był podłączony ten młody jak-mu-tam z bogatym dziadziem! Dlaczego to on żyje, pytam się?

Nagła bladość na twarzy Bobby'ego przyciągnęła uwagę pielęgniarki, siedzącej za małym biurkiem przy drzwiach. Szybko podeszła do niego i spytała, czy czegoś nie potrzebuje. Bobby ze ściśniętym gardłem przełknął ślinę, zmusił się do wyrażającego wdzięczność uśmiechu i odpowiedział słabo:

- Może powinienem już wracać do swojego pokoju... tam się lepiej czuję., nie mam jeszcze dość siły. Powie im pani?

Solarium opuścił tak nagle, że wszyscy pacjenci zwrócili na to uwagę. Kim jest ten młodzieniec? Padały pytania i odpowiedzi. Mężczyzna, który rozprawiał o niezbadanych wyrokach Opatrzności, był głęboko skruszony... Gdyby tylko wiedział...

Pielęgniarka zawiozła Bobby'ego do łóżka i wyszła na korytarz, a przechodzący akurat lekarz rzucił:

- No to teraz już wszystko wie.
- Kiedyś przecież musiał się dowiedzieć, prawda?
- Tak, ale podano mu to do wiadomości w paskudny sposób!
- Niech pan się teraz martwi - odburknęła panna Bates.

Mijały godziny, a Bobby Merrick leżał bez ruchu, z zamkniętymi oczami, choć nie spał. Na początku miało nim święte oburzenie. Jakie prawo ma jakiś dureń z Ioway, czy skąd tam, oceniać, kto powinien żyć, a kto nie? Jak można być tak małostkowym, żeby czynić mu zarzut z tego, że udało mu się przeżyć; zakładając nawet, iż doktor Hudson, gdyby go w porę podłączono do respiratora, zostałby uratowany, to nie jego wina. W końcu nikomu go nie zabrał. Nie prosił o uratowanie mu życia za taką cenę, w ogóle o to nie prosił!

Poczucie żalu z powodu tak potwornej niesprawiedliwości spowodowało, że zaczął trzeźwo myśleć. Może jednak ma pewne zobowiązania co do zmarłego. Świetnie, okaże wdzięczność za uratowanie życia. Zaczął się zastanawiać, czy doktor Hudson zostawił odpowiednie zabezpieczenie finansowe dla młodej żony i córki. Joyce to niezłe ziółko. Wiedział, jak ciężko nad nią zapanować. Sam czasami musiał ją niańczyć.

- Proszę sprawdzić, czy pani Ashford może teraz na chwilę przyjść - zakomenderował. Pielęgniarka sztywno skinęła głową, wyszła z sali i po kilku minutach pani Ashford stała już przy jego łóżku.

Przyjmując ton, jak mu się zdawało, dojrzały, rzeczowy i oficjalny - ton posiadacza wielkiego kapitału, bogacza, który zaraz dla kaprysu ulegnie przelotnemu porywowi wielkoduszności - zapytał bez wstępów:

- Czy doktor Hudson pozostawił jakiś majątek?
- Nie wiem - odpowiedziała, a po chwili dodała sucho: - Czemu pan pyta?

Zirytowało go zimne brzmienie tego „czemu”. A przecież wcześniej okazywała mu współczucie. Wiedziała, że nie zadaje tego pytania z czystej ciekawości.

- Jak widzę, uważa pani, że to nie moja sprawa - odparł. Nancy Ashford zaczerwieniła się lekko.

- Cóż - rzuciła - a to pana sprawa?

Policzki go paliły. Znajdował się na przegranej pozycji, a ona mu nie pomagała, nie próbowała ani trochę go zrozumieć.

- Mogłaby pani chociaż wyrazić szczerą nadzieję, że jeśli to w mojej mocy, zrobię coś w tej sprawie - czynił jej wymówki ze złością.

- Przepraszam, jeśli pana uraziłam - odparła z udawanym spokojem. -

Myślał pan o przekazaniu rodzinie pieniędzy?

- Tak, jeśli ich potrzebują.

- Czyich pieniędzy?

Bobby uniósł się na łokciu i powiedział z kwaśną miną:

- Jak to czyich? Moich, moich własnych, oczywiście!

- Może tych, które sam pan zarobił?

Na chwilę zaniemówił, całkowicie zdruzgotany perfidną bezczelnością jej pytania. Opadł na poduszki i poprosił, żeby wyszła. Zamiast tego stanęła w nogach jego łóżka, oparła ręce na biodrach i w tej bojowej postawie zaczęła przemowę, niegrzeczną w swej obcesowości.

- Sam pan tego chciał - powiedziała ostro. - Wezwał mnie tu pan, żeby dowiedzieć się czegoś o Hudsonach, i wszystko panu opowiem! A potem pan im zapłaci... pieniędzmi dziadka! Czy wie pan, co zabiło doktora Hudsona? Troska! Mówią, że miał słabe serce z przepracowania ale... ja wiem lepiej! Poza pracą w jego życiu liczyła się tylko Joyce. Patrzył, jak

się stacza. I częściowo to pana wina! Dorobił się pan reputacji osoby, która wszystkich przyjaciół sprowadza na manowce!

Bobby Merrick leżał powalony jej atakiem, z oczami szeroko otwartymi ze zdumienia nad zuchwałością tej kobiety.

- Biedak próbował jakoś się pozbierać - głos jej na chwilę się załamał, ale po chwili ciągnęła ze stanowczością. - Wybudował dom nad jeziorem, pływał, choć nie powinien, wiedział o tym, dlatego na wszelki wypadek kupił respirator, a potem, kiedy go naprawdę potrzebował - użyto go dla pana! Właśnie dla pana, dla nikogo innego! A teraz tak po prostu chce pan uregulować dług za pomocą pieniędzy!

Coś w jego oczach - było w nich spojrzenie zranionego zwierzęcia - ostudziło pełną pasji diatrybę Nancy.

- Proszę mi wybaczyć - bąknęła, wciąż wzburzona - ale, jak już powiedziałam, sam pan tego chciał. Chciał pan wiedzieć. No to panu powiedziałam.

Bobby z trudem przełknął ślinę i potarł brew rękawem swej bawełnianej koszuli.

- No - wymamrotał z wysiłkiem - to mi pani powiedziała. Jeśli to wszystko, nie będę pani dłużej zatrzymywał.

Ruszyła w kierunku drzwi, zatrzymała się, odwróciła, podeszła wolno do okna i stała tak, wpatrzona w nie, wspierając lewy łokieć o prawą dłoń, a szczupłymi palcami bębniąc po ramieniu, z początku nerwowo, potem w zamyśleniu. Bobby obserwował, jak jej palce poruszają się coraz wolniej, chrząknął i postanowił wyjść jej naprzeciw.

- Tylko tyle według pani mam do zaoferowania, tak? Tylko pieniądze?

Podeszła wolno do łóżka, przystawiła sobie krzesło, usiadła i złożyła swe

krągłe ramiona na białej narzucie obok jego poduszki.

- Ma pan coś jeszcze, coś bardzo cennego, ale nigdy pan tego nie spożytkuje. - Jej ton był uroczysty, wieszczy. - Ukrywa pan to tak głęboko, że nikt nie będzie o tym wiedział. Zawsze na drodze staną pieniądze. Jest pan dziś wytracony z równowagi, bo usłyszał pan niegrzeczne insynuacje, że nie warto było ratować pańskiego życia za cenę życia doktora Hudsona. To naturalne, że jest pan oburzony. Ma pan do tego prawo. A jednak, choć w grubiański sposób, ten człowiek powiedział prawdę. Sam pan to przyznał, decydując się na darowiznę. Ale to pana nie usprawiedliwia.

Może

trochę ułatwi życie Hudsonom, ale nie pomoże panu na nowo dogadać się z samym sobą.

Ujęła po matczynemu jego dłonie. Nie patrzyła mu już w oczy, skupiła wzrok gdzieś w górze i powiedziała cicho, jakby był nieobecny:

- Oczywiście że tego nie zrobi... nie zdołaliby! Nie, nie... To by pochłonęło, za dużo pieniędzy... zbyt trudne... zabierze tyle czasu, ale, mój Boże, taka szansa!

Bobby poruszył się niespokojnie.

- Obawiam się, że nie rozumiem, o czym pani mówi, jeśli pani w ogóle mówi o mnie.

- Ależ tak, rozumie pan! - Powoli, z emfazą pokiwała głową. - Pan dobrze wie, o czym mówię i chciałby pan umieć to na siebie wziąć... ale - nagle zebrała się w sobie - ale nie da pan rady, więc nie mówmy o tym więcej.

Czy mam panu coś podać, zanim pójdę?

Bobby, chcąc ją zatrzymać, podniósł do góry dłoń i ich palce na chwilę się zetknęły.

- Chyba wiem, co pani ma na myśli. Ale, tak jak pani powiedziała, to niemożliwe. Więcej: to niedorzeczne! Doktor Hudson był sławny! Nikt go nigdy nie zastąpi! Och, przepraszam, pani Ash-ford! Nie chciałem powiedzieć nic złego!

Nancy nagle, jakby pod wpływem przeraźliwego bólu, przymknęła oczy, biała głowa pochylała się coraz niżej i niżej w przygnębieniu, które dziwnie nie pasowało do jej dynamicznej osobowości. Odważył się dotknąć siwych włosów w niezdarnej, dziecinnej pieszczocie, mamrocząc jeszcze raz słowa skruchy.

- W porządku, chłopcze - powiedziała niewyraźnie, patrząc na niego zmęczonym wzrokiem, w jednej chwili postarzała. - Proszę się o mnie nie martwić. Dam sobie radę. Moje troski są niczym wobec pańskiego problemu.

Wyprostowała się, poklepała go po dłoni i uśmiechnęła się. Bobby uniósł się na łokciu

- Równa z pani babka, pani Ashford!

- Dzięki! Lubisz takich ludzi, prawda? Ja też. Wolę być dobrym kumplem niż warta miliony! Wydaje mi się, że z ciebie też równy gość, co, Bobby? Położył się i zaczął wpatrywać się w sufit.

- Czy to z pani strony jakby... propozycja zostania moim kumplem?

- Jak najbardziej!

- Na wieki!

- Na całe życie! Z czegoś takiego nie można się wycofać. Wyciągnęła rękę, jak mężczyzna do mężczyzny.

- Idę. Na pewno nie gniewasz się już na mnie?

Bobby potrząsnął przecząco głową, z mocno zamkniętymi oczami, i

uściskał jej dłoń. Napięcie psychiczne tej ostatniej pół godziny pogłębiło jego fizyczną słabość. Gorące łzy przesączyły się przez rzęsy i spłynęły po skroniach.

Nancy puściła jego dłoń, przez chwilę w milczeniu przyglądała się chłopcu, mocno przyciskając kłykie do ust, potem odwróciła się i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Rozdział trzeci

- Mówisz, że się zmienił? - ciągnęła Joyce z zainteresowaniem .

- Chodzi o to, że wytrzeźwiał? - Masterson zaśmiał się.

- Nie udawaj głupka! - burknęła. - Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

Odstawił pustą szklankę na stojącą na stole srebrną tacę, rozsiadł się wygodnie na wyłożonej poduszkami huśtawce ogrodowej i w niedyskretny sposób taksował szczupłą, zgrabną sylwetkę Joyce, aż dziewczyna nerwowo zmieniła pozycję.

- Tak - odparł, z ociąganiem wracając do jej pytania - jest zupełnie trzeźwy, i nie tylko to. Osowiały, posępny, snuje się nocami jak Hamlet, myśli, że wszyscy mają mu za złe to, że nie utonął.

- Co za bzdura! Tak ci powiedział?

- Ni mniej, ni więcej.

Skrzywiła się, przerzucając kartki leżącej na jej kolanach powieści.

- No i co ma zamiar dalej robić? Nadymać się i dąsać?

Masterson z na wpół przymkniętymi oczami powoli pokręcił głową, dając tym do zrozumienia, że ów problem jest dla niego zbyt zawiły, i w zamyśleniu pukał koniuszkiem papierosa o poręcz huśtawki.

- Sama się przekonasz, że od czasu tego wypadku w Bobbym zaszły wielkie zmiany. Nie mogę go rozgryźć. Wczoraj, kiedy odwiedziłem go w

Windymere, myślałem, że będzie w lepszym nastroju. Już prawie wyzdrowiał, od wielu dni włóczy się po okolicy. Ale sprawia wrażenie zupełnie pochłoniętego własnymi myślami. Zasugerowałem, że może strzelimy sobie po drinku, to poprawi mu się humor, a on na to; „Częstuj się, wiesz, przecież, gdzie co jest”. Zrobiłem dość koktajlu na nas dwóch, ale nie przyłączył się, a kiedy zacząłem mu z tego powodu dogryzać, odpowiedział, jakby był gdzieś daleko, że ma inne plany.

„Najwyraźniej nie ma w nich miejsca dla dżinu”

- podsunąłem, a on zagadkowo pokiwał głową. „Właśnie” - powiedział. A wiesz, jak niewiele po sobie pokazuje, kiedy postanawia być incomunicado i przyjmuje twarz pokerzysty.

- Ale chyba próbowałaś go nakłonić, żeby ci powiedział?

- Nie. Chwilę tylko mu podokuczałem, ale nic do niego nie docierało. Siedział, jakby pozował do Myśliciela. „A cóż to za wielkie plany? - spytałem

- wybierasz się do Andy'ego Yolsteada?”

- I co on na to? - niecierpliwiła się Joyce, kiedy milczenie się przedłużało.

- Powiedział: „Nie, do cholery”, a potem wymamrotał głucho, że jedzie do Nancy Ashford.

- A kim jest ta Nancy Ashford? - spytała ostrym tonem, czerwieniąc się ze złości, że tak dużo daje po sobie poznać.

- Powinnaś wiedzieć - triumfalnie napawał się jej rozdrażnieniem. - Jest kierowniczką szpitala w Brightwood.

- A! Masz na myśli panią Ashford. Nigdy nie myślałam o niej jako o Nancy. Pewnie się zaprzyjaźnili. Cóż, to starsza pani.

- Całe szczęście, czyż nie? Skwitowała jego docinek grymasem.

- Za dużo czasu spędzasz na wymyślaniu różnych opowieści, Tommy.
Fikcja miesza ci się z rzeczywistością.

- Może i tak - zgodził się obojętnie Masterson. Rozłożył swe długie ramiona na oparciu huśtawki i patrzył na nią wścibsko, z uśmiechem. - To się staje z każdą minutą coraz ciekawsze. Co jeszcze chciałabyś wiedzieć o Bobbym?

Joyce obdarzyła go łaskawie krzywym uśmiechem:

- Mówił, że niedługo przyjedzie?

- Ani słowa na ten temat. Ale może jeszcze nie czuje się na siłach. Jest w niezręcznej sytuacji, przyznasz.

Skinęła głową. Zapadła cisza.

- Nie rozumiesz, Tom. Byliśmy z Bobbym razem... na poważnie... zanim pojawiała się Helen. Masterson przerwał jej nieprzyjemnym rechotem.

- Dziwię się, że w ogóle masz jakiegokolwiek wspomnienia z grudnia - dokuczał - nawet ja pamiętam ten okres bardzo blado.

- Tak, przyznaję, było koszmarne. Zwłaszcza twoja impreza urodzinowa. Ciężka noc na morzu. Nawiasem mówiąc, nie widziałam się z Bobbym od tego czasu. W lutym zaraz po zakończeniu zajęć na uniwerku, popłynął do Francji, do matki, nie napisał ani linijki, że się tam wybiera. Potem dostałam od niego dwa krótkie listy. Następnego dnia po jego powrocie stały się te okropne rzeczy.

Zawahała się i powiedziała:

- To już teraz wiesz, jak to jest między nami. Czy to brzmi romantycznie?

- Powinnaś pamiętać - zauważył Masterson - że Bobby czuje się bardzo źle w związku z tym, co wydarzyło się nad jeziorem. Nigdy nie widział Helen na oczy i wstydzi się z nią spotkać. Może obawia się, że będzie do niego

uprzedzona.

- Już jest uprzedzona - zgodziła się niechętnie Joyce. - To zupełnie naturalne.

- A tak przy okazji, jak ona się miewa?

- Nieźle. Chcesz się z nią zobaczyć? Powiem jej, że tu jesteś. Wstała, podając Mastersonowi książkę.

- Helen godzinę temu zabawiała pewną dziwną starszą panią, ale chyba już jest wolna. Pewnie jedna z pacjentek ojca. Tylu różnych ludzi ostatnio tu bywa... osoby, o których nigdy nawet nie słyszeliśmy, przychodzą z płaczem wyrazić wdzięczność, powiedzieć, jaki wspaniały ich zdaniem był ojciec. Naprawdę to strasznie rozstraja. Lepiej, żeby nie przychodzili. A ile listów! Pewien człowiek z Maine napisał, że ojciec dawno temu uratował mu życie. Nie podaje dokładnych okoliczności... Jakby to był sekret, jakaś tajemnica, jakby chciał coś wyznać, ale nie było mu wolno. Bardzo dziwne... Pójdę po Helen.

Odwróciła się i ruszyła w kierunku dużego białego domu z zielonymi okiennicami. Masterson śledził jej pełne gracji ruchy, kiedy szła przez trawnik. Co za dziewczyna! Rozkołysał delikatnie huśtawkę i głęboko zaciągnął się papierosem. Rasowa. Należy do Bobby'ego. Co on chciał do cholery osiągnąć, utrzymując to przed nim w sekrecie? Jeśli Joyce uważa się za dziewczynę Bobby'ego, a najwyraźniej tak jest - przyjaciel musi pozostać lojalny. Ale popatrzeć chyba wolno, no nie? I pomarzyć, że jest jego. To rodzaj komplementu. A tak poważnie, dlaczego artysta dla dobra sztuki nie miałby podziwiać piękna dla niego samego, tak jak malarz? Co za dziewczyna! Niewiele zostało już takich blondynek na tym farbowanym i malowanym świecie... jej kolory są

naturalne. Jasnozłota i młecznobiała, porusza się zmysłowo niczym dzikie leśne stworzenie... Ale z czego wnioskuje, że Bobby jest nią zainteresowany? Jest czy nie? Jeśli tak, to bardzo starannie ukrywa swe uczucia.

Pojawienie się Joyce w towarzystwie macochy wyrwało Mastersona z marzeń. Kontrast między obiema kobietami był zadziwiający. Pani Hudson wyglądała nieco latynosko: w rysach twarzy i krągłościach sylwetki, w lśniącej czerni włosów, rysunku brwi, lekkości kroku i postawie. Joyce, odrobinę wyższa, miała z kolei urodę anglosaską. Kiedy szła przodem, wyglądała na starszą od Helen.

Wyszedł im niespiesznie naprzeciw. Helen pomachała ręką na jego widok. Ku jego rozbawieniu, traktowała go jak dzieciaka. Często robili sobie z tego żarty - z niebywałym talentem wcielał się w rolę rozpieszczonego dziewięciolatka, ona zaś grała zniecierpliwioną, lecz uprzejmą matkę, usiłującą zapanować nad swym berbeciem, nie robiąc przy tym scen.

Pewnego wieczoru, u Byrne'ów, wyszło im to bardzo spontanicznie. Laura Byrne, jak potem opowiadała, „o mało nie padła”. Senator Byrne twierdził, że numer zrobiłby furorę w jakimś słynnym wodewilu. Oni sami uznali, że było to owszem, całkiem niezłe.

Konwencjonalny strój młodej wdowy podkreślał tylko młodość Helen.

Wydobywał dziewczęcą witalność, uwydatniał dołeczki w policzkach oraz biel szyi, podobnie jak ascetyczna rama kolorowej akwaforty podsyca tylko barwy obrazu i podkreśla jego walory.

Podąła mu drobną dłoń i uśmiechnęła się. Wydarzenia ostatniego czasu pozostawiły widoczne ślady. Była blada i nieco nieobecna, sprawiała wrażenie osoby, która dopiero co przeszła poważną chorobę.

Po jej twarzy przemknął uśmiech, i choć zaraz zniknął, był to dokładnie ten uśmiech, na który czekał, próbował podstępnie wywołać, a potem daremnie przywoływał w pamięci. Kiedyś Masterson usiłował nakłonić jedną z bohaterek opowiadania, by uśmiechnęła się w taki właśnie sposób. Napisał wtedy w swej Głowie:

„To było coś więcej niż uśmiech. To była mała sonata w trzech częściach. Pojawiał się najpierw w oczach, które stawały się coraz większe i błękitniejsze. Prawie niedostrzegalnie, ale niepokojąco, arystokratyczne brwi unosiły się odrobinę, jakby prosiły o pozwolenie. Adagio.

I nagle muzyka przenosiła się na jej usta, jak wtedy, gdy organista jedną ręką szuka niższych tonów. Wargi rozchylały się, ukazując drobniutkie, proste, białe zęby. Scherzo.

Zaraz jednak, jak gdyby przestraszone własną śmiałością, na powrót skromnie się zwierały. Ale długo potem, jak znikł z ust, uśmiech pobrzmiwał jeszcze w zewnętrznych kącikach oczu - oto largo. Largo dolcemente.

A odbiorca? Ach - jego tętno ruszało z kopyta w szybkim, pulsującym strotto\"

Masterson zdawał sobie sprawę, że opis jest nieco nedorzeczny. Dodał na końcu, na dowód bezradności:

„Wielce poruszający był to uśmiech, ukazywany bardzo dyskretnie, w towarzystwie nieugiętych, starszych mężczyzn lub rodziny\".

Helen Hudson uśmiechnęła się. Dziś sonatina w trzech częściach: adagio, andante, lento - ale w swej powściągliwości nie mniej porywająca.

- Dawno cię nie widziałyśmy, Tom - powiedziała silnym kontraltem, zapraszając go gestem, by usiadł obok niej na huśtawce.

Joyce stała.

- Tommy - powiedziała - obiecałam Nedowi Brownlow, że wybiorę się z nim na przejażdżkę. Czeka na mnie przed domem. Nie będziesz miał nic przeciwko temu, że was opuszczę?

- Idź w pokoju! - Masterson podniósł dwa palce do góry w papieskim geście. - Jestem w doskonałych rękach.

Odchodząc, Joyce przesunęła pieśczośliwie drobną dłoń po ramieniu macochy.

- Niedługo wrócę, kochana - powiedziała.

- Wychodzisz w ogóle ostatnio? - zagaił Masterson z przyjacielską troską. Helen potrząsnęła głową.

- Jestem zbyt zajęta. Ludzie przychodzą tu o każdej porze, nie mogę odmawiać im spotkania, bo to pacjenci doktora Hudsona i ci, z którymi widocznie w taki czy inny sposób się zaprzyjaźnił. Wiesz, ile w domu jest kwiatów, a każdy bukiet to dowód pamięci.

- W życiu nie widziałem tylu kwiatów!

- Cóż, Tom, przynieśli je ludzie pochodzący ze wszystkich możliwych miejsc na ziemi, a ich powiązania z nami są dla mnie bardzo niejasne.

Wielu z nich nie rozpoznaje nawet nikt z Bright-wood. Codziennie przyjmuję gości, których zupełnie nie znam. Przychodzą zapytać, czy mogą cokolwiek zrobić dla mnie i Joyce. Wczoraj pewien dziwny Włoch chciał podarować mi tysiąc dolarów. To tylko jedna z podobnych sytuacji. Ich historie są bardzo różne, ci ludzie niewiele mówią o sobie, są zagadkowo powściągliwi, ale wszyscy mają coś wspólnego - gdzieś kiedyś doktor Hudson pomógł im w trudnej chwili - zazwyczaj coś im ofiarował, choć nie zawsze chodziło o pieniądze, czasem o dobrą radę albo wpływy.

- Niewątpliwie miał wielkie serce! - powiedział Masterson.

- Jasne, ale to jeszcze nie wszystko. Mnóstwo ludzi ma wielkie serce, umie hojnie dawać. Tu chodzi o coś innego. Jego związki z nimi były innej natury. Wszyscy zachowują się, jakby razem z nim należeli do jakiegoś tajemnego stowarzyszenia. Chcą coś - cokolwiek - dla mnie zrobić i w ten sposób wyrazić wdzięczność, ale kiedy tylko spróbujesz przyprzeć ich do muru, żeby opowiedzieli, w jaki sposób zaciągnęli dług wobec naszej rodziny, zaczynają się wymigiwać i płatać. Niebywałe. Od drugiej po południu słuchałam historii, która zadziwiła mnie bardziej niż wszystkie pozostałe, może dlatego że dzięki niej dotknęłam nieco głębiej całej tej tajemnicy. Starsza pani, o której istnieniu nie miałam wcześniej pojęcia, przyszła tak jak inni powiedzieć, jakim wspaniałym człowiekiem był doktor Hudson, i spytać, czy może mi jakoś pomóc. Chciałabym komuś o tym opowiedzieć. Nie zanudzisz się?

- Nie, mów, proszę.

- Według pani Wickes wszystko zaczęło się od operacji jej męża. Doktor Hudson ostrzegął ich wcześniej, że to beznadziejna sprawa. Rodzina została bez grosza. Podobno ze szpitala nie przyszedł w końcu ani jeden rachunek, i w dodatku doktor Hudson załatwił jej starszemu synowi niezłą pracę, a córkę, która miała talent do rysowania, posłał do szkoły plastycznej. Wskazała na ten piękny nadmorski krajobraz, który wisi u nas w salonie nad kominkiem i powiedziała: „To namalowała moja córka i podarowała doktorowi. Ten obraz był wystawiany w Nowym Jorku”. Podobno doktor Hudson opiekował się nimi, dopóki nie stanęli na nogi, a potem, kilka lat później, pani Wickes przyszła do jego gabinetu z niewielką sumą w ramach tego, co byli mu winni, ale nie chciał przyjąć

tych pieniędzy; powiedział, że przyniosły mu już dość radości i nie chce większej zapłaty. „Czy wspominała pani komukolwiek o naszych układach?” - spytał. „Nie - odpowiedziała. - Poleciał mi pan nic nie mówić, więc nie powiedziałam.” „W takim razie - on na to z mocą
- Nie mogę przyjąć tych pieniędzy.”

Oczywiście jako prawdziwa dama, była niezadowolona z takiego postawienia sprawy - ale kiedy zaczęła nalegać, wyjaśnił: „Gdybym na samym początku uznał to za pożyczkę, mógłbym teraz przyjąć spłatę. Ale pomagając pani rodzinie, tak nie myślałem. Odnieśliście większy sukces, osiągnęliście więcej, niż oczekiwałem. Tak więc, skoro postanowiłem, że wam to wszystko ofiaruję, nie mogę przyjąć pieniędzy z powrotem, bo sam już je wszystkie zużyłem.”

- Bardzo przepraszam - powiedział Masterson

- chyba nie zrozumiałem. Co takiego powiedział na końcu?

Helen z tajemniczą miną skinęła głową i powtórzyła ostatnie zdanie.

- Mógłbyś mnie długo pytać, co to znaczy - ciągnęła. - Zagadnęłam o to panią Wickes, ale ona zrobiła się niespokojna. „Nie mogę powiedzieć, bo nie jestem pewna”, odparła. „Ale domyśla się pani” -ja na to. Wtedy natychmiast zmieniła temat, wyciągając z torebki gruby portfel. Naciskała, żebym wzięła pieniądze. Zainwestowała je, a teraz chciałyby zwrócić. Powiedziałam: „Skoro doktor Hudson nie chciał ich przyjąć, to ja też nie mogę. Proszę je ponownie zainwestować. Tam, gdzie poprzednio, jeśli zysk był dobry.” „Och, nie mogę - odparła - Wie pani, one już są zużyte.” Po takich słowach dałam za wygraną! Kompletnie nic z tego nie rozumiem!

- Może staruszka jest trochę stuknięta - podsunął Masterson. Helen

zamyśliła się

- Tak, można by tak uznać, dać sobie spokój i skwitować sprawę uśmiechem, gdyby była jedyna.

- To znaczy, że spotkałaś się z podobnymi przypadkami?

Skinęła głową.

- Wczoraj odwiedził mnie pewien znany człowiek interesu. Na pewno byś go rozpoznał. On także dziesięć lat temu zetknął się z doktorem Hudsonem. Dawał mi całkiem pokaźną sumę, która, jak twierdził, jest splatą procentów od pożyczki. Oferowanie zapłaty po tak długim czasie wydało mi się dziwne, ale wyznał, że doktor Hudson odmówił wzięcia pieniędzy. No więc oczywiście, ja postąpiłam tak samo. Ciekawość mnie rozsadzała, zaczęłam prosić, żeby opowiedział mi całą historię. Około dziesięciu lat temu znalazł się na granicy bankructwa. Założył własny interes, przeliczył się i jakby tego było jeszcze mało, jego żona przewlekłe chorowała i leczenie bardzo dużo kosztowało. Wcześniej wybudował piękny dom. Spłacił go w połowie. Postanowił, co było dla niego bolesną decyzją, pozbyć się go, żeby zdobyć gotówkę na ratowanie podupadającego interesu. Umieścił dom na liście nieruchomości do sprzedania. Był wart trzydzieści pięć tysięcy dolarów, ale chciał za niego tylko dwadzieścia. Wtedy na rynku nieruchomości panował kryzys. Nazajutrz złożył mu wizytę doktor Hudson. „Widzę, że chce pan sprzedać dom za dwadzieścia tysięcy- Czemu pan to robi? Jest wart dwa razy tyle”. Młody handlowiec odparł, że pilnie potrzebuje pieniędzy, bo inaczej upadnie jego firma. „Pożyczę panu dwadzieścia tysięcy - powiedział Hudson. - Nie mam ich wprawdzie w tej chwili, ale mogę je zdobyć. Odda mi pan, jak firma znów zacznie

prosperować. Nie chcę procentu, bo sam czerpię z tego korzyść, i proszę, póki żyję, niech pan nikomu nie mówi o naszym układzie."

- Dziwna transakcja - wtrącił Masterson.

- Poczekaj, to jeszcze nie koniec - powiedziała cicho Helen. - W ciągu trzech lat spłacił całą sumę i nalegał, że zapłaci też odsetki. Doktor Hudson odmówił. Jak myślisz, co powiedział?

- Nie mam pojęcia!

- „Nie mogę tego wziąć, bo, widzi pan, sam już wszystko zużyłem!" Zaledwie w ciągu ostatniego tygodnia słyszałam to zdanie pięć razy od różnych osób! Rozumiesz coś z tego?

- Przedziwne! - wykrzyknął Masterson. - A może to ma coś wspólnego z podatkiem dochodowym? No wiesz... tyle darowizn na cele dobroczynne i tak dalej...

- Tommy, nie bądź niemądry!

- A znasz inne wytłumaczenie?

- Nie, nie mam zielonego pojęcia. - Nagle ożywiła się:

- Czy znasz historię młodości doktora Hudsona?

- Nie. Czy tłumaczy ona choć trochę jego dziwne postępowanie?

- Nie. Przynajmniej dla mnie. Może psycholog by to jakoś wyjaśnił, aleja nie potrafię. Ale chciałabym ci o tym opowiedzieć. To żadna tajemnica. Widzisz, rodzice Wayne'a byli bardzo biedni. Mieszkali gdzieś na farmie na północy. Już od najmłodszych lat Wayne musiał sam o siebie dbać. Chciał zostać chirurgiem. W wieku piętnastu lat przyjechał do Detroit, zapisał się do szkoły średniej i pracował u doktora Cummingsa.

- A w końcu ożenił się z jego córką! To wiem.

- Nie tak szybko. W domu Cummingsów Wayne Hudson pełnił funkcje

chłopca na posyłki, stajennego, księgowego, czasami pielęgniarza, kucharza, sekretarza. Czasem po prostu go ratował.

- Ratował? Jak to? Helen zawahała się.

- Doktor Cummings był bardzo uzdolnionym lekarzem, z dużym doświadczeniem, prowadził praktykę na szeroką skalę, ale niestety miał okresy, kiedy za dużo pił. Czasem przez trzy tygodnie, a czasem przez dwa miesiące znikał na całe dni. Do obowiązków Wayne'a należało wytropić go, doprowadzić do ładu, przyprowadzić do domu i jeszcze wymyślić jakieś wytłumaczenie jego nieobecności, a także pełnić rolę łącznika, pośrednika między doktorem a całym jego otoczeniem: szpitalem, pacjentami, rodziną.

- Niezbyt odpowiednie zajęcie dla ucznia.

- Nie - przyznała Helen - ale dzięki temu szybko wydorósł. Doktor Cummings bardzo go cenił i w chwilach skruchy zapewniał o swej dozgonnej wdzięczności. Potem posłał Wayne'a do koledżu i założył mu polisę ubezpieczeniową, żeby zapewnić podopiecznemu możliwość praktyki medycznej. Najdziwniejsze, że Wayne mógł podjąć pieniądze, kiedy najbardziej tego potrzebował, po ukończeniu szkoły, bo wtedy doktor Cummings umarł.

- To tłumaczy, dlaczego Hudson ożenił się jeszcze na studiach - zauważył Masterson. - Dziewczyna pewno za nim przepadała. Do tego miał poważne zobowiązania wobec jej rodziny. No to się pobrali.

- Niezupełnie tak było - zaprzeczyła Helen.

- On za nią szalał, rzucił wszystko, żeby być z nią w Arizonie, ale potem umarła. Przez ponad cztery lata zajmował się głównie nią. Naturalnie to mu przeszkadzało należycie oddać się pracy. Wyznał mi kiedyś, że jeszcze

w szkole medycznej miewał chwile załamania, zastanawiał się, czy naprawdę ma powołanie do tego zawodu. Studia były trudne i bał się, że nie da rady.

- Trudno uwierzyć, że studia medyczne mogły być dla doktora Hudsona trudne.

- Jeszcze przez rok po śmierci żony ledwo je ciągnął. A potem coś się stało. Nie mam pojęcia, co. Nie powiedział mi, a ja nie wypytywałam, ale coś musiało się wydarzyć! Pewnego dnia zdał sobie sprawę, że zmieniło się jego podejście do książek, zawodu. Całe noce pracował w szpitalnym laboratorium, nie czując zmęczenia. Krótco potem jakimś zbiegiem okoliczności o trzeciej nad ranem musiał przeprowadzić trudną operację - nagły przypadek, uraz głowy. Zrobiło się o tym głośno. Wtedy rozpoczął specjalizację neurochirurgiczną. I jak wiesz, odniósł wielki sukces.

Masterson przymknął jedno oko i przyglądał się jej z namysłem.

- Najwyraźniej - powiedział, waząc słowa

- gdzieś głęboko w sercu jesteś przekonana, że jego dziwna, choć tak widoczna przemiana, nagłe podźwignięcie się z depresji i poczucia porażki, które podsuwało mu myśli o porzuceniu medycyny i przerwaniu się na sprzedaż obligacji czy czegoś takiego, potem jakby przebudzenie i sukces... Podejrzewasz, że to ma związek z tą jego dobroczynnością. Mam rację?

Pokiwała twierdząco głową.

- W dużym stopniu, bo wiążą się z tym dwie tajemnicze rzeczy. Chyba podświadomie próbowałam je jakoś ze sobą połączyć... Chociaż może nie być między nimi żadnego związku. Gdyby żył, wszystko by mi powiedział. Ale dość już tych zawikłanych spraw, Tommy. Chodźmy

obejrzyć astry.

Masterson ruszył za Helen przez ogród, ujęty jej dziecięcym zachwytem nad jesiennymi kwiatami. Jakby je w ten sposób obdarzała pieśczęcią.

Wiedział, że powinien już pójść, i bawił się kluczami.

- Nie siedź za dużo w domu - upomniał ją. - Ci ludzie cię wykończą.

- Wezmę sobie kilka dni wolnego, jutro pojedę na wieś odwiedzić Marthę, siostrę naszego dozorca. Nie najlepiej z nią, jest całkowicie załamana, a poza tym nie widziałam się z nią od tamtego czasu...

- Mogę cię zawieźć? Byłbym bardzo rad.

- Dzięki. Ale chciałabym mieć tam samochód.

- Możemy go zaholować!

- Och, naprawdę tak bardzo chcesz tam pojechać? Wiesz co? Przywieź Joyce do Flintridge w niedzielę rano. Do tego czasu pewnie poczuję się samotnie.

Szli w kierunku bramy.

- Wspaniale, że ty i Joyce macie siebie nawzajem!

- Prawda?

Wsiadł do samochodu, pomachał i zniknął za zakrętem. Helen powoli ruszyła do ogrodu, niespiesznie przemierzyła wąską ścieżkę, potem zatrzymała się i ujęła w dłonie jaskrawą dalię. Wspaniale, że ona i Joyce mają siebie nawzajem. Bo przecież tak jest?

Rozdział czwarty

Tego sobotniego wieczoru, wstając od stołu, stary Nicholas powiedział ni to do siebie, ni to do wnuka:

- Cieszę się, że dane mi jest takie długie życie.

Przez ostatnich osiem lat czuł się nieszczęśliwy. Może nie było po temu

specjalnych powodów, raczej bezczynność uświadomiła mu, ile uciech ominęło go w życiu. Od wczesnej młodości aż do odejścia na emeryturę z przedsiębiorstwa, którego był założycielem, całą swą pasję włożył w rozwój firmy: było to przedsięwzięcie szczególnie trudne, ponieważ w tej dziedzinie brakło naturalnego przewodnictwa historii i doświadczeń. Należało ustalić zasady, ale nie istniała żadna, którą można by się kierować. Była to działalność bezprecedensowa.

Ludzie, związani z jakimkolwiek aspektem na przykład branży ceramicznej, mieli za sobą wsparcie tysiąca lat godnej szacunku tradycji. Tkacze, farbiarze, jubilerzy, kamieniarze, budowniczcy domów, statków, katedr, uprawiający zboże lub owoce, hodowcy bydła - wszyscy oni mogli w jakiś sposób unikać ekonomicznych raf i planować przyszłość na podstawie doświadczeń swojej specjalizacji. W przemyśle samochodowym sprawy przedstawiały się zupełnie inaczej.

Dziedzina ta rozwijała się błyskawicznie, wprost spektakularnie! Nowa, dobrze prosperująca fabryka rowerów zainteresowała się poczynaniami eksperymentalnego zakładu, który wytwarzał powozy jeżdżące bez koni, traktując to jako dodatkową próbną działalność. Udziałowcy Merricka nie ukrywali sceptycyzmu co do całego przedsięwzięcia, zwłaszcza wobec ogólnej wesołości, jaką wzbudzały hałaśliwe, zawodne, niezgrabne, niebezpieczne automobile na ropę.

Aż przyszedł dzień, kiedy mechanicznie napędzany pojazd stał się czymś powszechnie uznawanym. Ale różnica między automobilem - małą kopczą skrzynką z piekła rodem, którą po raz pierwszy ujrzał Nicholas Merrick, a szybkim samochodem o opływowym kształcie, z cichym silnikiem, jaki w końcu udało mu się stworzyć, była nie mniejsza niż

między chudą szkapą a koniem wyścigowym.

Rozwój maszyny wiązał się z ryzykiem tak karkołomnym jak inwestycje w Monte Carlo. Zdumiewające tempo, z jakim rodziły się jeden po drugim rewolucyjne wynalazki, wciąż na nowo zmieniało oblicze branży, a inwestorzy załamywali ręce i podsuwali w panice przestraszonym szefom przedsiębiorstw coraz to bardziej niekonsekwentne rady. Dopiero co zmontowaną kosztowną maszynę parku produkcyjnego wyrzucano na złom, żeby nazajutrz postawić w jej miejsce jeszcze droższą. W tych czasach ten, na kim spoczywała ostateczna odpowiedzialność za tak chaotycznie funkcjonującą firmę, dochodził do wniosku, że jego pionierski zakład musi działać pełną parą przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, zanurzając się całkowicie w nieznanym i co kilka tygodni ocierając się o bankructwo.

W odpowiedzi na ogólną wrzawę wokół automobilu, wobec obietnic zdobycia dzięki niemu wielkiej fortuny, producenci z impetem wyruszyli na podbój rynku motorowego i zapanowała na nim bezwzględna i okrutna konkurencja. Większość firm nie zdołała uniknąć katastrofy, poza tymi kilkoma najbardziej zaangażowanymi, najdzielniejszymi, którym sprzyjał los. Merrick w pełni zasmakował niepokoju pioniera prowadzącego za sobą bez kompasu, przez pustkowia bez jednej choćby ścieżyny, długi korowód przestraszonych emigrantów. Przez trzydzieści lat niemal cały swój czas oraz myśli poświęcał sprostaniu owej niełatwej odpowiedzialności.

Kiedy więc znużony, w wieku siedemdziesięciu dwóch lat, zsiadł z tygrysa, którego ujeżdżał

- a wydarzenie to należało uczcić wspaniałym bankietem w Izbie Handlu

w podmiejskim Axion

- był już starym, zmęczonym człowiekiem, właścicielem majątku szacowanego na dwadzieścia milionów, miał nadciśnienie i bagaż dręczących wspomnień.

Clif. Mój ty Boże! Co za tragedia! Jego matka, mały szary wróbelek, zmarła, kiedy miał dwanaście lat. Nicholas nie tęsknił za nią zbyt. Tamtego roku wybudowali wielkie salony sprzedaży. Rzadko widywał syna. Od czasu do czasu dochodziło do krótkiego i gwałtownego spięcia: Nicholas stawał się napastliwy, obrażony Clifford milczał, ale jedynym rezultatem było całkowite wzajemne oddalenie.

Ale nikt nie powie, że nie zrobił wszystkiego, co w jego mocy, by dać synowi szansę. Jedno jest pewne -jeśli „dawanie szansy" to wyłącznie kwestia pieniędzy, Clif niewątpliwie ją miał. Nicholas zawsze uciszał własne wyrzuty sumienia taką ripostą:

- Bóg mi świadkiem, dość na niego łożę! Nie mogę go jeszcze niańczyć! Ale teraz, gdy przymusowa beczynność skłaniała go do poważnych refleksji, siedział z łokciami opartymi na kolanach, z bezsilnie zwisającymi rękami, i roztrząsał wszystko na nowo. Stare usprawiedliwienie było do niczego.

Zdrowy rozsądek podpowiadał, że od nowego pokolenia też nie ma co oczekiwać. Bobby to niewątpliwie kochany młokos. Nicholasa cieszył jego cięty język, ujmujący uśmiech, niezawodne wyczucie nastrojów dziadka, ale nie wróżył wnukowi kariery zawodowej. Oprócz tego, że grał na pianinie jak wirtuoz, posiadał niezwykłą zdolność zawierania i pielęgnowania przyjaźni i zdołał ukończyć koledż, Bobby nie rokował, że kiedykolwiek zrobi coś wartościowego. Teraz jeździ i pije, uprawia hazard

i gra w golfa, poluje i łowi ryby, potem poślubi jakąś beztroską, rozpustną, wymalowaną pannicę i znudzi się nią, będzie spędzać lato w Kanadzie, a zimę w Cannes, odcinać kupony, gawędzić ze swoim krawcem, dotować orkiestrę symfoniczną, pojawi się w dokumentach kilku organizacji charytatywnych i zajmie miejsce na mównicy, kiedy do miasta zjedzie republikański kandydat na prezydenta, a w końcu wsadzą go do krypty w ogromnym, dudniącym pustką mauzoleum w stylu gotyckim, obok Clifforda

- utracjusza.

No, od czasu do czasu pojawiały się przebłyski nadziei, tak maleńkie, że gdy ich iskierka gasła, nastawała jeszcze głębsza ciemność.

W ostatnim dniu nauki wnuka, w połowie roku

- ceremonię przesunięto na rozdanie dyplomów -Nicholas przyjechał do miasteczka uniwersytetu stanowego i zjadł lunch ze swym starym przyjacielem, dziekanem wydziału chemii. Wyprężył się z dumy i pojaśniał na twarzy, kiedy profesor Garland powiedział:

- Nie wiem, czy pan zdaje sobie z tego sprawę, panie Merrick, ale pański chłopak nadaje się na chemika.

- Naprawdę? Porozmawia pan z nim, dobrze? Bardziej to do niego dotrze, jeśli to pan poruszy tę kwestię!

Garland oddał się przydługiemu rytuałowi mieszania herbaty, a potem odpowiedział:

- Chemia to ciężka robota, drogi kolego, a chłopak wie, że nie musi pracować.

Kiedy mina Nicholasowi zrzedła, dodał tonem pocieszenia:

- Niech pan nie ma mu tego za złe. Kto by chciał zakładać na siebie

gumowy fartuch, taplać się w jakichś paskudnych mieszaninach i wachać obrzydliwe wonie, skoro może się w życiu bawić.

Tego wieczoru wielki kamień spadł wreszcie z piersi starego Nicholasa. Nie był przygotowany na jakiegokolwiek dobre wieści; dusza mu śpiewała, ale ciągle jeszcze zgarbione plecy mówiły same za siebie o rozmiarze ciężaru, jaki dopiero co z siebie zrzucił. Położył czule ogorzałą, upstrzoną plamami dłoń na ramieniu Bobby'ego i przeszli razem z jadalni do przestronnej biblioteki. Było to sanktuarium staruszka. Dosłownie całe ściany, od chińskich dywanów aż po wyłożony orzechową boazerią sufit, zajmowały półki niedościgłych - i niezgłębianych - dzieł klasyków. Pożywkę dla umysłu Nicholasa stanowiły bowiem w większości pełne zagadek powieści, łudząco do siebie podobne pod względem fabuły i narracji. I wcale nie dlatego, że umysł Nicholasa nie przyjąłby nic ambitniejszego. Był już po prostu zmęczony myśleniem.

Powoli weszli do biblioteki i znużony życiem starzec z westchnieniem zagłębił się w swym ulubionym fotelu. Na stoliku tekstem do blatu leżał kryminał w tandetnej okładce. Bobby wziął książkę do ręki, przeczytał na głos tytuł i uśmiechnął się szeroko.

- Ognia, dziadku?

Przypalił Nicholasowi koniuszek cygara.

- Trzyma w napięciu?

Nicholas przez chwilę dmuchał i sapał niczym dziurawy miech, aż wreszcie odpowiedział:

- Detektyw właśnie przesłuchuje kucharkę, która twierdzi, że strzał padł dokładnie dziesięć po jedenastej, ponieważ o tej właśnie godzinie zawsze wypuszcza kota.

- To chyba znasz obyczaje tej kucharki już na pamięć. Bo we wszystkich historiach występuje ta sama, co, dziadku?

- W żadnym razie, mój drogi! - zaprotestował Nicholas. - W ostatniej kuchnią zarządzał mężczyzna!

Bobby nie mógł się doczekać, żeby zostać sam - postanowił nakierować uwagę dziadka na jego kryminał i uciec. Napięcie emocjonalne ostatnich kilku godzin było zbyt obciążające. Pewność siebie i spokój, jakie okazywał dziadkowi, wzięły się z wielu dni poważnych rozmyślań, długich nocy spędzonych na przemierzaniu pokoju tam i z powrotem i rozważaniu chwiejnej decyzji z każdej możliwej strony. Teraz, skoro już obrał kierunek, uczciwie było powiedzieć o tym dziadkowi. Tak też zrobił. Starął się ze wszystkich sił uniknąć dramatycznych scen. Nienawidził ich, towarzyszyły mu całe dzieciństwo. Ale stary Nicholas doświadczył w życiu zbyt wiele rozpaczy i zgryzot, i słowa Bobby'ego poruszyły go do głębi: chłopak oświadczył cichym głosem, że zgodnie z pewnym zamysłem zobowiązuje się podjąć zadania związanego z dużymi wyrzeczeniami, i to bezterminowo.

Kiedy Bobby wyrzucił z siebie te słowa, staruszek oniemiał, nie wierząc w to, co słyszy. Odłożył widelec. Bezwiednie rozchylił usta, broda zaczęła mu drżeć konwulsyjnie. Głębokie zmarszczki wokół ust połączyły się z bruzdami otaczającymi oczy w szereg półkoli, kiedy wpatrzony we wnuka pochylił się w jego kierunku. Wczepił kościste palce w biel obrusa, wsparł się na łokciach i zapytał stłumionym dyszkantem:

- Jak to? Chyba nie zrozumiałem. Powiedz jeszcze raz!

Bobby powtórzył całą kwestię, powoli, cicho, z mocą. Pooraną twarz Nicholasa przebiegły skurcze, otarł grzbietem dłoni kąciki zapadniętych

oczu.

- Dzielny z ciebie chłopak! - powiedział łamiącym się głosem.

Zaraz potem, zawstydzony się własnej słabości, głośno odchrząknął, wyprostował się i powiedział z godnością:

- Gratuluję! Nie pamiętam, by jakikolwiek członek tego plemienia powziął decyzję takiej wagi jak ta. Niech Bóg cię błogosławi.

Ostatnie słowa wypowiedział głosem nabrzmiałym wzruszeniem - o mało obaj nie dali się całkowicie ponieść emocjom.

Przez następną godzinę Bobby przedstawiał swoje plany na przyszłość, z dbałością o jasność i szczegóły, udowadniając w dużej mierze, ile poświęcił czasu i myśli ich skryształizowaniu; starszek kwitował każde jego słowo energicznym potakiwaniem okolonej lwią grzywą głowy, a co jakiś czas, by podkreślić swe poparcie, uderzał pięścią w stół:

- Tak jest - pokrzykiwał żywiołowo - uda ci się! Zrobisz to! Masz to w sobie! Zawsze o tym wiedziałem! - Jego zachowanie przypominało stare dobre czasy, kiedy trzeba było nieraz walnąć pięścią, przekonując dyrektorów, że aby sprostać nowym wyzwaniom, konieczna jest radykalna i natychmiastowa zmiana polityki w firmie, nieważne jakim kosztem.

Pierwsza fala zachwytu wzniosła się i opadła nieco - Bobby zapragnął na jakiś czas odłożyć ten temat. Bez przerwy żył tym problemem: jadł, spał, chodził z nim. Przez cały miesiąc brał się z nim za bary, obłaskawiał, przeklinał, a teraz, kiedy doprowadził do swoistego punktu kulminacyjnego, był gotowy odsunąć to na bok.

Wyczuwając napięcie wnuka, który stał przed nim i obracał w dłoniach przycisk do papieru, Nicholas podniósł książkę, odnalazł miejsce, gdzie poprzednio przerwał czytanie, starannie przetaił okulary i uśmiechnął się,

czym jednoznacznie dawał do zrozumienia, że na razie adieu.

- Skoro teraz będziesz czytać, dziadku, to pójdę się przejść - powiedział Bobby.

Nicholas pokiwał głową, głośno sapnął z zadowoleniem i wrócił do swojej opowieści

Ale gdy tylko Bobby się odwrócił, odłożył książkę i zaczął wpatrywać się w odchodzącą postać szeroko otwartymi oczami, rozszerzonymi rozbudzoną ciekawością, do jakiej nie był przyzwyczajony. Bobby obejrzał się w progu i uśmiechnął się do niego. Nicholas podniósł książkę, zmarszczył mocno brew nad zawiłym fragmentem, na który właśnie się natknął, i wypuścił z cygara ogromny kłęb dymu.

Zmieniwszy półbuty na tenisówki i marynarkę na lekki blezer, Bobby wyszedł przez główną bramę na dziedziniec. Na bezchmurnym niebie wisiał księżyc - rogalik, migotały robaczki świętojańskie. Chodził bez celu po podjeździe, wszedł na trawnik, przechadzał się wąską ścieżką przy różanej altanie, nagle znalazł się przy dwóch ogromnych filarach wieńczących bramę i wszedł na drogę. Nie była to ruchliwa szosa, ale wąski żwirowy dojazd do rozległych wiejskich gospodarstw na zachodnim brzegu jeziora.

Wieczór był bardzo cichy. Z rękami w kieszeniach, opuszczoną głową i w głębokim zamyśleniu, szedł przed siebie, nie zwracając uwagi na kierunek, a wzrok przyzwyczajał mu się do ciemności.

Dobrze, że powiedział o tym dziadkowi. Jutro pojedzie do Brightwood i poinformuje Nancy Ash-ford. Podzielić się sekretem z tymi dwiema osobami to jak mieć dwa mocne punkty oparcia w drodze pod wiatr. Miał nadzieję, że Nancy Ashford zareaguje z zadowoleniem: „Bardzo właściwe

posunięcie! Tak jak się spodziewałam!" I wystarczy. Nie bardzo radził sobie z emocjami. Dziadek to co innego. Starszy człowiek, miękki. Nancy chyba zachowa rozsądek.

Przeszedł milę. Jakieś sto jardów przed nim, na ostrym zakręcie drogi pod niebezpiecznym kątem zakołysała się para świateł - samochód zbyt mocno przechylił się na prawo. „Wylądował w rowie”, pomyślał Bobby. Usłyszał nagły zryw silnika, ktoś bezskutecznie usiłował uruchomić uwięzione koła: „Początkujący kierowca” - pomyślał. Ponowny ryk silnika - ktoś tylko pogarszał sytuację. „Ale głupek!” - mruknął i przyspieszył kroku. Najwyraźniej kierowca go zauważył i niepewny zamiarów nieznajomego, czynił ostatnie wysiłki wyswobodzenia wozu, bo kiedy Bobby znalazł się już całkiem blisko, silnik na koniec sapnął rozpaczliwie, a wielki coupe cały się zatrząsał. Za kierownicą siedziała młoda kobieta.

- Na litość boską, siostró! - krzyknął Bobby, kiedy hałas ucichł. - Nie rób tak!

„Siostra” zastosowała się do upomnienia, spojrzawszy na niego szeroko otwartymi oczami, w które Bobby wejrzał teraz ciekawie. Uśmiechnęła się i natychmiast zmienił zdanie: pewnie nie była przyzwyczajona do jazdy po żwirze, nie znała jej pułapek, a na każdej innej powierzchni spisywała się jak wytrawny kierowca.

- Zakopałam się głęboko? - zapytała z niepokojem.

W jej głosie była osobliwa chropowatość, która nadawała jej wypowiedzi intymny, poufny ton.

Bobby podszedł do auta.

- Bardzo! - zawyrokował - aż po piasty. Dyferencjał wbił się w ziemię. Na jej twarzy odmalowało się zagubienie.

- Nie wiem, co to takiego - przyznała - ale chyba tak nie powinno być.

- Nie - powiedział Bobby protekcjonalnie. - Stanowczo lepiej, kiedy koła stoją na drodze.

Westchnęła i musnęła spoconą szyję rąbkiem chustki.

- To moja wina - powiedziała z żalem. - Jechałam raczej szybko i na tym ostrym zakręcie z naprzeciwka wyjechał samochód, światła miał takie, jakich używa się na lotniskach. Skręciłam gwałtownie i ześliznęłam się.

- I oto skutki! - dokończył Bobby. - Dobrze, że nie zrobiła sobie pani krzywdy. Mogła się pani nieźle poturbować.

Badała wzrokiem jego bladą twarz, nieco poruszona ową troską. To, co zobaczyła, nie zmartwiło jej jednak ani trochę.

- Przynajmniej nie muszę się martwić połamanymi kośćmi. Muszę tylko z powrotem wydostać samochód na drogę. Może ma pan jakiś pomysł?

W takich sprawach jestem zupełnie bezradna. Co nie znaczy - dodała pośpiesznie - że wjeżdżam do rowów co chwila.

- Jasne, że nie - powiedział Bobby pocieszająco

- ten żwir jest po prostu bardzo zdradziecki.

- Co powinnam zrobić? - zapytała tonem, którym dawała do zrozumienia, że oto całą dalszą odpowiedzialność składa na jego barki.

To tak, jakby oparła się o niego swoim drobnym ciałem. Przez ostatnie pół godziny uważał się za najbardziej samotnego, najbardziej wyobcowanego człowieka na świecie. Przez ważne postanowienie, jakie powziął, odciął się od dawnego kręgu zainteresowań, ale nie zyskał jeszcze żadnych nowych. Nikt nie potrzebował przyjaźni bardziej niż teraz Bobby.

Oparł łokieć na brzegu otwartej szyby i zaczął protekcjonalny wykład:

- W przypadkach, kiedy energia pobliskiej elektrowni to za mało, należy

udać się po pomoc. Idzie się do sąsiadów. Oni zaś, przewidując, że akurat tego dnia mogą być potrzebni, poszli wcześniej spać i trzeba bardzo głośno walić w drzwi i proponować w nagrodę pół królestwa. Najpierw umyjają się, ogolą, ubiorą i zjedzą śniadanie, w końcu zrzedząc, przywloką się pyrkoczącym traktorem.

- A kiedy wszystko gotowe do ciągnięcia, hol się zrywa i trzeba jechać traktorem do miasta po drugi.

- Na przykład - zgodził się Bobby.

- Już wszystko jasne - odparła, wpasowując się w ton jego wypowiedzi. - Najpierw sąsiad

- wyliczyła na palcach - ale kto?

- Który sąsiad, czy kto z nas ma po niego iść?

- zapytał Bobby ze śmiechem. - Oczywiście ja chętnie pójdę. Ale - dodał rozkazująco - pani

pójdzie ze mną! Nie zostawię pani samej w samochodzie!

Powiedział to spontanicznie. Oczywiście, po prostu niechcący zbyt stanowczo wyraził obawę o jej bezpieczeństwo, nie najlepszy to pomysł zostawiać kobietę samą na rzadko uczęszczanej drodze, to wszystko. Ale żarliwość, wyraźna nuta zaborczości, jaka zabrzmiała w słowach: „nie zostawię pani samej”, wzbudziła w niej dziwne uczucie. Nikt wcześniej nie użył w stosunku do niej takiego tonu. Poczuli się... jakby coś ją pochłaniało, wciągało... odrobinę... jakby pierwsza, niedostrzegalna porcja, wąski strumyczek drobniutkiego piasku przesypał się w cienkim jak igła otworze klepsydry, żaden powód do obaw. Kiedy tylko zechce, łatwo na powrót odwrócić klepsydrę. Ale teraz, w tej chwili, pozwalanie, by piasek przesypywał się dalej, było wcale przyjemne, choćby ze

względu na nowość sytuacji. Tylko trochę. Będzie trzymać rękę na pulsie. Za pół godziny ona i ten zachwycający chłopak o wyrazistym profilu, który mógłby ozdobić grecką monetę, pójdą każde w swoją stronę. Jeśli on lubi wydawać rozkazy, sprawi mu tę przyjemność, przez chwilę znajdzie się w centrum jego uwagi i stuknie dla niego obcasami.

Bobby otworzył drzwi i podał jej rękę. Chwycała ją bez wahania i wysiadła.

- Czy powinnam zaciągnąć ręczny hamulec? - spytała.

- Nieee - odparł Bobby - i tak na pewno po powrocie znajdziemy samochód dokładnie w tym samym miejscu. - Oboje się zaśmiali.

Zeszli z głównej drogi na okoloną z obu stron gęstym żywopłotem dróżkę, prowadzącą przez las wysokich jodeł.

- Mam nadzieję, że pan wie, dokąd idziemy - powiedziała, kiedy Bobby przyspieszył.

- Tego nie mogę powiedzieć - wyznał. - Nigdy przedtem tu nie byłem, ale wydaje mi się, że to prywatna droga do posiadłości Fosterów. Idąc tędy, na pewno dojdziemy do jakiejś farmy.

Dziewczyna dreptała u jego boku, robiąc na wysokich obcasach, zupełnie nienadających się do przemierzania wiejskich dróg, po dwa kroki na każdy krok Bobby'ego. Z lewej strony wybiegła owca i puściła się dzikim pędem w poprzek drogi, zaledwie kilka stóp od nich. Młoda kobieta odruchowo chwyciła Bobby'ego za rękaw.

- Och, ale się przestraszyłam!

- Proszę mnie wziąć za rękę.

Podawała mu drobną dłoń, którą chwycił, jakby prowadził małe dziecko.

Choć to niedorzeczne i nie przyznałby się do tego, traktował ją jak swoją

własność, a ona to czuła i spontanicznie mu się poddawała. Miała wrażenie, że silne dłonie tego władczygo chłopca stopniowo zamykają w sobie każdą drobinę jej osoby.

Bobby w myślach jeszcze wzmocnił uścisk, choć prowadził ją jak młodszą siostrę.

- Mogą nam się przydarzyć różne rzeczy - podsunęła. - A co, jeśli natrafimy na melinę ... tych... fałszerzy!

- Jakich tam fałszerzy - drwił Bobby - teraz alkohol przemyca się z zagranicy. Więcej zysku, mniej ryzyka.

- Jak ja tego nie znoszę! - zawołała z pasją. - Zrobił się z tego obrzydliwy proceder! Do niedawna wcale mnie to nie interesowało. Ale teraz...

niszczy osobę, z którą przyjaźnię się najbardziej na świecie!

Nagle ukłucie w sercu zirytowało Bobby'ego. Czemu miałby być zazdrosny?

- Też mam powody, żeby się tym brzydzić - zawołał z goryczą, a potem westchnął. - Ale już chyba sobie z tym poradziłem.

- Och, mam nadzieję - odparła. - Byłaby wielka szkoda, gdyby...

Niedokończone zdanie zawisło między nimi i przez chwilę milczeli.

- Jak dotąd, nikt mi nie mówił, że by mnie żałował.

No to najwyższa pora odwrócić klepsydrę. Teraz, natychmiast, ale nie tak gwałtownie. Więc jak to zrobić powoli, stopniowo, niepostrzeżenie - zastanawiała się. Może właściwy sposób sam przyjdzie na myśl...

Tymczasem jednak... cisza stawała się coraz dłuższa, milczenie - niepokojące.

- Nie musiał mówić, prawda?

- Nie byłbym taki pewien. Nikogo to specjalnie nie obchodziło.

- Co za głupoty pan opowiada! Nikogo nie obchodziło, czy się pan zrujnuje, czy nie?

- Brzmi melodramatycznie, co? Jakbym robił z siebie biedne, zagubione maleństwo?

- Było panu bardzo... źle, prawda? - Uwaga, ostrożnie... nie pomaga odwrócić klepsydry..

- Potwornie! Ale teraz już nie.

- To dobrze! Wziął się pan w garść?

Żadne z nich nie wiedziało, dlaczego oboje momentalnie wzmocnili uścisk dłoni. Sugestywne słowa dziewczyny? Nagłe zaciśnięcie przez niego palców było tylko potwierdzeniem jej wypowiedzi, może podziękowaniem za dodanie otuchy. Odpowiedziała natychmiast tym samym, wyrażając solidarność wobec bliźniego, który znalazł się na dnie, ale już staje na nogi... Każde miało świadomość, wyczuwało intuicyjnie, że drugie czuje to samo, tę jedność, niedefiniowalne poczucie przynależności. Chwilę później wyswobodziła swą dłoń i natychmiast tego pożałowała. To jak ucieczka po złożeniu obietnicy. A na dodatek nie wyszło to tak naturalnie, jak powinno. Jej ręka powoli wyśliznęła się z jego dłoni, choć on delikatnie próbował ją jeszcze przytrzymać. No, ale odwróciła klepsydrę: tak czy nie?

- O! Widzę światło - zawołała. - Tam w oknie!

Żartując na temat prawdopodobnej reakcji mieszkańców domu, przyspieszyli kroku i po chwili zastukali do furtki. W drzwiach, w blasku zwisającej z sufitu acetylenowej lampy pojawił się mężczyzna. Jego obie nogi obejmowało dwoje małych dzieci, przyglądając się nieznanym z ciekawością.

Po krótkich pertraktacjach farmer założył czapkę i poszedł po traktor.

Bobby nie próbował już wrócić do przerwanej rozmowy. Jednak w drodze powrotnej chwycił drobną dłoń nowej znajomej i wetknął ją sobie pod ramię. Pozwoliła na to bez skrepowania.

- Wraca pani pewnie do koledżu? - zagadnął.

- Nie, nie w tym roku... A pan?

- Ja już skończyłem - powiedział Bobby, starając się, by zabrzmiało to dorośle. - Za kilka dni zaczynam praktyki.

- Prawo?

- Widziałaby mnie pani w tym? Zaśmiała się.

- Chyba powinnam wiedzieć o panu coś więcej, zanim wybiorę panu zawód.

- No... ale gdyby była pani mężczyzną...

- Poszłabym na chirurgię.

- A jaką dokładnie?

- Wiem! - odpowiedziała po krótkim namyśle. - Zostałabym neurochirurgiem.

- Niesamowite!

- Dlaczego?

Jej pytanie pozostało bez odpowiedzi. Z hałasem wyprzedzał ich ciągnik. Zbliźali się do głównej drogi.

Po długim manewrowaniu farmer był gotowy. Bobby zasiadł za kierownicą coupe, a właścicielka czekała w pewnym oddaleniu, aż samochód znów znajdzie się na drodze. Szybko się z tym uporano, ale kierowca zauważył nieśmiało, że należałoby sprawdzić, czy kierownica jest sprawna. Czasem takie przeciążenia - powiedział - mogą uszkodzić

układ kierowniczy. Nie padła prośba o dokładniejsze wyjaśnienia. Może najlepiej byłoby pojechać do miasteczka i sprawdzić, czy wszystko w porządku? Chętnie będzie jej towarzyszył. Wspaniale, skoro jest tak miły..., a może poprowadzi? W tej sytuacji to wielce wskazane...

Spytała farmera, ile się należy za pomoc, i wręczyła mu więcej, niż zażądał. Podziękował z zakłopotaniem, udając, że waha się przyjąć pieniądze. Wsiadła do samochodu, w którym, przybrawszy władczą pozę, z bijącym mocno sercem, siedział już Bobby. Farmer, chcąc okazać przyjacielskie uczucia, odezwał się:

- To, ma się rozumieć, auto pierwsza klasa! Takusieńki jak ten packard, którym jeździł po okolicy doktor Hudson.

- To ten sam - powiedziała dziewczyna cicho. - Dobranoc i jeszcze raz dziękuję.

Bobby wprawnym ruchem wrzucił bieg w samochodzie świętej pamięci doktora Hudsona i ruszyli w kierunku miasteczka.

- Wygląda na to, że nic mu nie jest - rzuciła wesoło młoda kobieta, właścicielka coupe, którym jeździł po okolicy doktor Hudson".

Jej towarzysz nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Wbił wzrok w drogę i ścisnął kierownicę tak mocno, że pobielały mu kłykcie.

Świadomość jej bliskości dziwnie go niepokoiła, jej obecność wyczuwał bardziej niż jakiegokolwiek kobiety, którą znał. Nie było między nimi fizycznego kontaktu, ale wiedział, że ona tu jest w niezwykle intensywny sposób.

- Wszystko OK - wymamrotał z napięciem w głosie.

- I tak miałam jechać do miasteczka - ciągnęła. - Mam nadzieję, że apteka będzie jeszcze czynna.

Kierowca się nie odezwał, zapewne nic nie wiedział o wieczornym rozkładzie dnia aptekarza. Jednak w tym samym momencie nacisnął pedał gazu i ogromny wóz nagle wyrwał do przodu.

- Nie potrafię wyrazić swej wdzięczności - powiedziała dziewczyna, nieco zbita z tropu jego milczeniem. - Nie wiedziałabym, co zrobić... i gdyby nie pan...

Bobby był pochłonięty wsłuchiowaniem się w pracę silnika.

- Jednak obawiam się, że sprawiam panu zbyt wiele kłopotu - dodała nerwowo. Odezwał się rzeczowo, zachowując dystans:

- Samochód jest w idealnym stanie. Tu wysiądę. Nie musi pani jechać do mechanika. - Zdecydowanie nacisnął na hamulec, auto gwałtownie się zatrzymało. Otworzył drzwi i wysiadł.

- Ale jesteśmy teraz całe mile od zakrętu, na którym mnie pan znalazł! - zawołała. - Proszę mi się pozwolić odwieźć w jakieś dogodniejsze miejsce! Bardzo proszę!

Nie patrzył jej w oczy.

- Tak się tylko przechadzałem... - powiedział trochę nieprzytomnie. - To nie ma znaczenia.

Przesiadła się na miejsce kierowcy i wyciągnęła do niego rękę. Dłoń drżała lekko, kiedy jej dotknął.

Była zagubiona. Czym go tak uraziła?

- W takim razie: dobranoc i bardzo dziękuję! - Nie opanowała drżenia głosu.

Przez ułamek chwili przytrzymał jej palce, by tonem, który równie dobrze mógł sugerować znużenie, przygnębienie jak rozczarowanie, życzył dobrej nocy; potem odwrócił się i zanurzył w ciemności. Wrzuciła bieg.

Samochód potoczył się przed siebie: powoli, niechętnie, z wahaniem.

Bobby odprowadzał wzrokiem jego tylne światła, dopóki nie zniknęły za zakrętem.

Jakiś czas później siedział za fortepianem w ciemnej jak grobowiec pracowni w Windymere i zatopiony we własnych myślach, bawił się eksperymentalnym zwieńczeniem Niedokończonej symfonii Schuberta.

Rozdział piąty

Było późne popołudnie ostatniej niedzieli września. Przytulny pokój Nancy Ashford, przylegający do głównego biura szpitala Brightwood, był zbyt mały, by pomieścić radość jej i jej gościa. Z ochotą przystała na propozycję Bobby'ego, żeby wybrali się na przejażdżkę. Siedziała obok niego w okazałym krężowniku szos, łokieć przy łokciu - a myśl, że przechodnie mogą wziąć go za jej syna, sprawiała Nancy przyjemność. Jej życie już dwukrotnie stawało się puste. Teraz znów wypełniło się po brzegi.

Siwowłosa kobieta, witając oczekiwanego gościa w drzwiach biura, była całkowicie pewna, że postanowił przedstawić cel swej wizyty tak, by obronić się przed jej zdumieniem czy nadmiernie emocjonalną reakcją. Przybrał oficjalny ton człowieka interesów, a ona postanowiła się do tego dostosować.

Zaczął już od progu, wyrzucał z siebie słowa jednym tchem. Cisnął kapelusz na biurko, usiadł obok niej na małej kanapce i powiedział szorstko:

- Postanowiłem. Panią to wcale nie zaskoczy. Bo to po pierwsze był pani pomysł, nawet jeśli nie powiedziała pani tego wprost. Już wszystko załatwione. Za tydzień, licząc od czwartku, zaczynam

studia medyczne na uniwersytecie... Cieszy się pani?

Nancy wyciągnęła do niego rękę, zamrugała szybko, by osuszyć łzy, które nagle napłynęły jej do oczu, i próbując się opanować, przygryzła wargę. Nie odezwała się jednak ani słowem.

- Rzecz jasna - ciągnął Bobby pospiesznie, jakby recytował wiersz - nie mam złudzeń. Wiąże się to z długą mozolną harówką, a ja nie jestem zbyt pracowity z natury. Minie przynajmniej pięć lat, zanim się dowiem, czy w ogóle mam jakieś szansę w tym zawodzie, czy się tylko wygłupiam. Możliwe, że na zawsze zostanę przeciętnikiem. Wówczas cały czas poświęcony na naukę okaże się niewart zachodu. Ludzie będą się złośliwie uśmiechać, mówić, już to słyszę: „Ta...to ten, co chciał zostać drugim doktorem Hudsonem”. Ale może taka groźba wyzwoli we mnie większą determinację. Idiotyzmem jest liczyć na to, że choć w połowie mu dorównam, ale w każdym razie coś w tym kierunku zrobię.

- Byłam pewna, że dojdiesz do takiego wniosku, Bobby - odparła Nancy cicho - a jeszcze bardziej jestem pewna tego, że wszystko ci się uda.

- Pani wiara jest mi bardzo potrzebna.

- Myślę więc, że teraz zechcesz dowiedzieć się jak najwięcej o doktorze Hudsonie.

Małe biuro zrobiło się nagle za duszne. Pojadą gdzieś. Bobby będzie prowadzić i słuchać, a Nancy opowiadać. Całe dwadzieścia mil przeciskali się gorączkowo przez niedzielny ruch, potem skręcili w spokojniejsze podmiejskie ulice. Nancy wymieniała oderwane fakty z życia doktora Hudsona, a szczególnie dużo mówiła o jego szerokiej działalności dobroczynnej oraz dziwacznej zachciance, by utrzymywać ją w sekrecie.

- Jego bliscy nic nie wiedzieli?

- Wątpię. Joyce była bardzo mała, kiedy zaczął się tym zajmować, mało prawdopodobne, żeby jej o tym kiedykolwiek wspomniał, a pani Hudson, kiedy dzwoniła do szpitala zeszłego czwartku, zadawała takie pytania, że na pewno nie ma pojęcia o tym aspekcie jego życia. Wielu pacjentów i podopiecznych doktora przychodzi do niej z wyrazami współczucia, niektórzy oferują pomoc. To normalne, że ją to zaintrygowało.

- Tak, wiem. Dziś się dowiedziałem. Kiedy w południe szykowałem się do wyjazdu z Win-dymere, wpadł Tom Masterson. Odwoził właśnie Joyce do letniego domku, pani Hudson już tam jest od kilku dni. Pytał, czy spędzę z nimi popołudnie. Powiedziałem, że mam sprawę do załatwienia w mieście.

- Trzeba było iść z nimi. Mogłeś przecież zadzwonić. Widziałeś się z Joyce?

- Od czasu powrotu z Francji, nie.

- I nie poznałeś pani Hudson?

Bobby żałował, że padło to pytanie. Może wystarczy zaprzeczyć - będzie to dość bliskie prawdy. Po chwili jednak przyszło mu na myśl, że Nancy Ashford należy się z jego strony całkowita szczerłość. Postanowił być uczciwy.

- Owszem, poznałem - odpowiedział niechętnie. - Wczoraj wieczorem spędziłem z nią ponad godzinę na wiejskiej drodze. - I po dłuższym milczeniu dodał: - Ale ona o tym nie wie.

- Jak to? - zdumiała się Nancy.

Opowiedział okoliczności ich spotkania. Błękitne oczy pani Ashford stawały się coraz okrągłejsze. Spod pozorów jego młodzieńczej nonszalancji przebijała doza zafascynowania, której, choć Bobby przyjął obojętny ton, nie udało mu się ukryć.

- Spodobała ci się, co?

Jego zdawkowy uśmiech był starannie wystudiowany. Wmówiłby sobie, że Nancy przyjęła to za wystarczającą odpowiedź, gdyby nie był zuchwały w swym oszustwie i nie spojrzał jej otwarcie w oczy. Wyraz niedowierzania i zawodu na jej twarzy natychmiast go otrzeźwił. Ukrywanie czegokolwiek przed tą kobietą nie miało sensu.

- Droga Nancy - zaczął niepewnym głosem - spodobała mi się tak bardzo, że wolałbym o tym nie mówić.

Wielki samochód Bobby'ego zwolnił, a potem zatrzymał się obok niewielkiego parku. Przez chwilę oboje milczeli.

- Nie do wiary! - wyrwało się Nancy.

- Taaak - zgodził się Bobby bezwiednie - tak jakby.

Znow zapadła długa cisza.

- I nie wiedziała, kim jesteś?

- Nie mogłem jej powiedzieć.

- Jak myślisz, jak długo uda ci się pozostać... incognito?

- Och, to nie będzie takie trudne - powiedział Bobby lekko, jakby chciał umniejszyć własne zasługi. - Na wszelki wypadek, rozmawiając z Mastersonem, udało mi się wymyślić odpowiednią wymówkę na wieczór. A pani Hudson już i tak na pewno zapomniała o tym epizodzie.

Nancy zaśmiała się.

- Bobby Merricku, czy naprawdę myślisz, że kobieta o temperamencie Helen Hudson mogłaby zrobić na kims wrażenie, tak jak zrobiła na tobie, i nie być tego całkowicie świadomą? Przed chwilą sam przyznałeś, jak mocno odczuwałeś jej obecność, to twoje własne słowa, kiedy siedzieliście w samochodzie. Czy myślisz, że doznałbyś czegoś takiego, gdyby ona

tego jakoś nie podzielała?

- Oczywiście, czemużby nie? W tym przypadku wysnuwa pani zbyt jednoznaczne wnioski. Pani Hudson była po prostu uprzejma, życzliwa, wdzięczna za małą przysługę, jaką jej wyświadczyłem. Nie miała powodu podejrzewać, że jestem nią zainteresowany. Właściwie to zachowałem się względem niej dość niegrzecznie, kiedy się rozstawaliśmy.

Nie uznał za stosowne dodać, że jej samochód przez całe dwieście jardów toczył się potem niespiesznie na najniższym biegu, tak niechętnie odjeżdżała.

- Tak - powiedziała Nancy z naciskiem. - To na pewno nie uszło jej uwagi.

- I wie już, wnioskując z mojej opryskliwości, Prawda?

- Co takiego? - drażyla bezlitośnie Nancy.

- No... że nie jestem nią zainteresowany.

- Drogi chłopcze, jak ty niewiele o niej wiesz!

- Czyżby miała dar czytania w najskrytszych myślach?

- Nie, głuptasie. Po prostu jest kobietą!

Stanęli pod wiązami i przypatrywali się, jak chłopcy puszczają łądeczki na małym, upstrzonym liliami oczku wodnym. Ławka była wolna. Za obopólną zgodą zaczęli rozmawiać o niecodziennym zamiłowaniu doktora Hudsona do zajmowania się prywatnymi problemami całych zastępów ludzi oraz o grubym murze tajemnicy, jaki otaczał Owe poczynania.

- Niewątpliwie - mówiła Nancy z pewnością w głosie - dziwny zwyczaj Wayne'a Hudsona, by inwestować słone sumy w ludzi, od których nie oczekiwał ani nie przyjmował potem zwrotu pieniędzy, nie wynikał ze zwykłego kaprysu. On nie poddawał się zachciankom. Nie był też ekscen-trykiem. Nigdy nie

widziałam, żeby kiedykolwiek robił coś bez konkretnego powodu. Nikt nie może twierdzić, że lekkomyślnie szastał pieniędzmi albo nie znał się na interesach. Potrafił zawsze wyjść na swoje. Wiedział, kiedy kupować, a kiedy sprzedawać. Wielu bardziej niż on doświadczonych ludzi interesu prosiło go o prognozy na rynku nieruchomości i liczyło się z jego zdaniem co do popytu konkretnych towarów. Jestem pewna, że robił te dziwne rzeczy dla konkretnych ludzi z typową dla siebie dyskrecją, mając ściśle określony zamysł. W pewien sposób, choć nie mam pojęcia jak, wiązało się to z jego sukcesem zawodowym. Jeśli poznasz jego motywy działania, dowiesz się także, w jaki sposób Wayne Hudson został tak znakomitym chirurgiem.

- Czy to wszystko, co pani wie? - spoglądał na nią badawczo.

- Jest jeszcze pewien notes, rodzaj dziennika, myślę, że masz prawo o tym wiedzieć. Trzymał go w biurowym sejfie razem z ważnymi prywatnymi i oficjalnymi dokumentami. Natknęłam się na ten zeszyt, kiedy przejęłam kierownictwo w Bright-wood. Szukaliśmy wtedy polis ubezpieczeniowych. Zapytałam doktora Hudsona, co to jest. Podobno zapiski dotyczą jakichś spraw szpitala.

- Nie mogła pani sama sprawdzić? - przerwał Bobby.

- To nie było napisane w żadnym znanym mi języku.

- A jaki przypominało? Hiszpański? Niemiecki? Grekę? Potrząsnęła głową.

- Zapytałam, co to takiego. Pamiętam, jakby to było dzisiaj: nagle spoważniał i zamyślił się, stał tak przez kilka minut, pocierając skroń - robił

tak, kiedy podejmował jakąś ważną decyzję - wreszcie po dłuższym

milczeniu powiedział: „To prywatne zapiski”. I dodał z uśmiechem:
„Możesz przeczytać, jeśli tylko potrafisz”.

- Próbowała pani chociaż?

- Czy próbowałam? - zachnęła się. - Spędziłam nad notesem długie godziny.

- No i do czego pani doszła?

- Do bólu głowy.

- Bardzo bym chciał to obejrzeć!

- Pokażę ci. Nikt nie ma do tego większego prawa niż ty. Powiedziałam pani Hudson, że w szpitalnym sejfie jest na pewno wiele cennych dokumentów, ale ona woli, żeby na razie tam zostały, póki razem ich nie przejrzymy, więc notes nadal tam leży.

- Wracajmy - powiedział impulsywnie.

Zanim dotarli do Brightwood, zapadł zmrok. Nancy wyjęła notes z sejfu i położyła go przed Bobbym na biurku. Usiadł i wziął go w ręce - najzwyczajniejszy notatnik, oprawiony w czarną, skórę, wielkości zeszytu, gruby na dwa centymetry. Na wyklejce widniały trzy słowa nakreślone charakterystycznym pismem doktora Hudsona:

KOGOKOLWIEK TO DOTYCZY

- Nikogo nie dotyczy bardziej niż mnie! - Zerknął na Nancy, szukając potwierdzenia. Skinęła głową.

- A teraz otwórz na pierwszej stronie i spróbuj coś zrozumieć!

Bobby długo gapił się na kartkę, mozolnie próbując coś odczytać.

- To jakiś szyfr.

- To będzie dla ciebie trudne - powiedziała Nancy. - Oto co

wydedukowałam: doktor Hudson nie chciał, żeby jego sekretne sprawy

wyszły na jaw za jego życia.. Tytu jego dziwnych podopiecznych wyskakuje teraz znienacka jak diabeł z pudełka i opowiada o niezwykłych układach, jakie z nim zawarli - to utwierdza mnie w przekonaniu, że pewnie wcześniej pod przysięgą obiecali dochować tajemnicy. Teraz, kiedy doktor nie żyje, mogą już wszystko ujawnić. Sądzę, że cała tajemnica jest zawarta w tym notesie. Ktokolwiek zdoła to odszyfrować, pozna całą historię. Może doktor chciał, żeby ludzie po jego śmierci dowiedzieli się prawdy, ale żeby pozostała ona niedostępna dla tych, którzy mogliby to jakoś wykorzystać za jego życia.

- Nie ma co, rzeczywiście jest niedostępna! -jęknął Bobby. - Widziała pani kiedyś coś podobnego?

- Pierwsza strona to niewątpliwie rodzaj przedmowy. - ciągnęła Nancy. - Zauważ, że pozostałe są zapisane w całości. Ta ma tylko dziesięć linijek. To wstęp albo wyjaśnienie, może dedykacja... zabierz to ze sobą... Znasz trochę grekę?

Bobby potrząsnął głową.

- No... to znaczy... znam alfabet grecki - dodał z uśmiechem.

- Wystarczy... jaka jest ostatnia litera?

- Omega - odpowiedział gładko Bobby jak uczeń przy tablicy.

- Jest to też rodzaj znaku stop, jakby kropka, prawda? Oznacza koniec.

Skinął głową.

- Ile liter ma grecki alfabet?

Liczył na palcach, z zamkniętymi oczami.

- Dwadzieścia cztery.

- Omega jest dwudziestą czwartą literą i oznacza koniec!

- Tak jest!

- A teraz: jaka jest dwunasta litera?

- „My” - odpowiedział Bobby po kolejnych przeliczeniach.

- Tak więc, jeśli omega znaczy „skończone”, jak myślisz, co znaczy „my”?

- „Na wpół skończone”, „zawieszony”...

Bobby oprzytomniał, na nowo przyjrzał się pierwszej stronie zapisków i w niemal regularnych odstępach znalazł litery „my”, i co.

- Czy to jakaś wskazówka?

- Tak mi się wydaje - powiedziała Nancy. - Ale niewiele mi to pomogło.

Pokazuję ci to tylko, bo może do czegoś się przyda.

Podczas długiej jazdy do domu, kiedy mknął znaną na pamięć drogą do Windymere, Bobby Merrick ani przez chwilę nie był świadom, gdzie dokładnie się znajduje. O północy zaparkował samochód, poszedł do pokoju, usiadł za biurkiem z notesem doktora Hudsona, ołówkiem i grubym blokiem do pisania - o świcie wciąż podejmował nowe próby, bez śladu powodzenia.

Kiedy Meggs otworzył drzwi, żeby zawołać Bobby'ego na śniadanie, zastał go śpiącego w ubraniu z głową opartą na ramieniu. Oczy mu się zaświeciły i na palcach zszedł na dół.

Kilka minut później wyszeptał triumfalnie do kucharki:

- Przegrałaś!

- Znów pijany?

- A jakże!

Pierwsza strona dziennika Hudsona:

Cyenku aa cę aryail |J, ztli uwż m

iż pzjcea co iaaim o yraoc |i nmwa D wtwłsi co soo orfs

j ż reztć E aik ja, kr ptaiz U pzcy a T zpsi coms tke Rw J

psaa |iaz aż pao E oidć co pwd D da trec zsywrłm E łw |i

ooy L kóyh Azfoae T soa co zouis W ir Cyai ^rzmez maę ztna co

Rozdział szósty

Jasna elipsa rzucona przez gruby abażur lampy stojącej u wezglowia łózka oświetlała rynsztunek, jaki młoda pani Hudson, postanowiwszy czuwać do powrotu Joyce, przygotowała sobie o północy na wypadek walki z sennością: powieść, dwa czasopisma i skórzana teczka wypchana zaległą korespondencją.

Przed drugą przegrała walkę i zasnęła, światło padało prosto na jej zatroskaną twarz. Nie, błahy fakt zaśnięcia nie stanowiłby dla niej powodu do zmartwienia - to wszystko inne zdawało się całkowitą porażką.

Gdyby doktor Hudson w dniu własnej śmierci miał zeznać przed sądem, czy uważa swoje małżeństwo za udane, będąc niezwykle skrupulatny w kwestii prawdomówności, uznałby pytanie za krępujące.

Tamtego rześkiego styczniowego poranka, gdy Helen, doktor Hudson i Joyce (w asyście wujka Percivala i Monty'ego oraz przybyłego z Waszyngtonu senatora Byrnesa), stawili się w kościele Św. Andrzeja, cała trójka nie wyglądała jak narzeczeni z dorosłą córką pana młodego,

łaskawie spoglądającą na ów związek, raczej należałoby rzec, że zjawily się tam dwie olśniewająco piękne młode

kobiety w towarzystwie starszego, dystyngowanego opiekuna, by poprosić Kościół oraz władze państwowe o zalegalizowanie, pobłogosławienie i udzielenie prawa do wzajemnego zbratania.

Był to tak naprawdę mańage de convenance (francuski termin bardzo tu eufemistyczny), lecz doktor Hudson nie dręczył się tym. Nie pielęgnował w sobie żadnych złudzeń - zdawał sobie sprawę, że gdyby wszystkie

małżeństwa świata wynikały wyłącznie z romantycznego afektu i żadna ze stron nie czerpałaby korzyści finansowych, rodzaj ludzki dawno by już wyginał - a jeśli ktoś uznaje za nieetyczne, gdy młoda kobieta bierze ślub, wiedząc, że może nie tak od razu podda się mężowi z nieskończoną miłością, powinien mieć pretensję do samej Najświętszej Panienki.

Jednak zaraz po skonsumowaniu związku doktor Hudson szczerze zakochał się w swej młodziutkiej wybrance, a siostrzana więź, jaka, miał nadzieję, umocni się między Helen i Joyce, została wystawiona na próbę... Joyce nie nadawała się na marynarza i pierwsze trzy dni rejsu były trudne. - Nie, kochanie, czuję się dobrze... No, zmykaj! Proszę. Naprawdę już idź.

Kiedy niedzielnego południa udało się ją namówić, by usiadła na pokładzie na specjalnie dla niej przygotowanym, wyścielonym kocem krześle, okazało się, że nie pochylają się nad nią troskliwie pobłażliwy ojciec ani serdeczna przyjaciółka ze szkoły, lecz mężczyzna i jego żona, niewątpliwie najbliższe jej osoby, ale... odmienione!

Cała trójka próbowała bezskutecznie przywrócić dawne relacje. Może zbyt gorliwie się starali. W Paryżu Hudson gorąco kibicował Joyce w jej ekstrawaganckich zakupach, a Helen, wtórując zgodnie mężowi, popadała w przesadę:

- Jaki niezwykle płaszcz! Świetnie, że go znalazłaś! Jak ci w nim ładnie! Zachowanie samo w sobie właściwe, ale nie-prowadzące do pożądanej zmiany. Nie była to już relacja między dwiema dziewczętami, ale postawa macochy przymilającej się do pasierbicy, wyłażącej wprost ze skóry, by okazać jej czułość i hojność.

Nie dochodziło między nimi do żadnych nieporozumień, choć może oczyściłyby one atmosferę. Na pozór nie wyczuwało się też skrepowania.

Tkwiło ono zbyt głęboko i na tym polegała trudność. Gdy przesadnie zapewniali się o wzajemnej więzi, każde wypowiedane przez nich słowo odbijało się echem - wymówione jak przez megafon, aż przestali brzmieć dla siebie wiarygodnie. Wszyscy czuli, że pozostali próbują wypaść naturalnie. Wiedzieli, że grają niełatwe role. Niemal rozpaczliwie usiłowali wdrapać się na zajmowane poprzednio pozycje, ale zgubili już do nich drogę.

Po śmierci doktora Hudsona dystans między kobietami jeszcze się zwiększył. Przez pierwszych kilka dni trzymały się razem z nowym poczuciem bliskości, w imię przyjaźni, jaką sobie poprzysięgły. Jeśli nie był to przejaw dawnej więzi, to przynajmniej zapowiedź czegoś nowego, może bardziej wartościowego niż to, co ich do tej pory łączyło. Ale i to nie na długo.

Żal Joyce, przez tydzień nieutulony, szybko się wyczerpał. Powodowana zwykłą uczciwością oświadczyła pewnego dnia, że nie ma zamiaru siedzieć i płakać. W przypadku osoby tak jak ona skłonnej do nagłych zmian nastroju, zbyt długie rozpaczanie nawet jeśli byłaby do niego zdolna, stanowiłoby przejaw zwykłej afektacji.

Coś niepokojąco ukrywała, tłumacząc się z późnych powrotów. Taktowne i łagodne dociekania

Helen, sugerujące niezadowolenie z powodu życia towarzyskiego, jakie prowadzi, Joyce zbywała żartami albo odcinała się krótko, choć przyjacielsko, twierdząc, że jest dorosła i wie, dokąd iść, z kim i o której godzinie. Helen nie powinna zaprzętać sobie główki swoją zwariowaną Joyce. Ma żyć własnym życiem i przestać zamartwiać się byle czym.

- Nie czekaj na mnie, kochana! - protestowała Joyce o dziewiątej wieczór.

- Wychodzę z Nedom (albo Tomem, Patem czy Philem). Pewnie późno wrócimy. Dokąd? Nie wiem jeszcze... może potańczyć... gdzieś na kolację... może do Crystal Palace albo Gordonsa.

- Nie lubię, kiedy tam chodzisz, Joyce. To naprawdę nie jest przyjemne miejsce. Obiecuj, że nie pójdziesz do Gordonsa. Proszę!

- No dobrze! Jedna osoba nie powinna podejmować decyzji za wszystkich. Eskorta też ma coś do powiedzenia w tej sprawie!

Na narzucie w róże leżało kilka listów, jeden z nich od Montgomery'ego Brenta - krótki, braterski, w którym pisał, że zawsze służy swej „siostrzyczce” pomocą i radą na wypadek jakichkolwiek problemów w interesach, teraz, kiedy przybyło jej obowiązków.

„Z radością rozwikłałam za ciebie wszelkie zawilości podatkowe, inwestycyjne i związane z zabezpieczeniem majątku. Zajmuję się tym na codzień.”

- Kochany chłopak! - wymamrotała półgłosem, czytając jeszcze raz te słowa. - Jak to miło z jego strony, a poza tym to wcale niezły pomysł. Ciekawe, czy naprawdę się na tym zna. Chyba tak.

Montgomery, którego nazywała w myślach „braciszkiem Montym” (teraz, kiedy czuła się

szczególnie samotna, myślała o nim w jeszcze serdeczniejszy sposób), był od niej starszy o pięć lat. On i koledź jakoś nie mogli się dogadać, więc po pierwszym roku Monty wzbogacił świat jazzu o swój saksofon. Choć podskakiwanie, wygibasy i nadymanie policzków każdego wieczoru od ósmej do drugiej rano na czele orkiestry tanecznej, jako stałe zajęcie niezbyt go satysfakcjonowało, zaprzyjaźnił się z kilkoma młodzieńcami z jednego z biur maklerskich w centrum miasta. Po kilku miesiącach dostał

własne biurko i niewielką posadkę.

- Jestem brokerem! - odpowiadał z powagą, kiedy jakieś dziewczątko dopytywało nieśmiało, do którego koledżu uczęszcza.

Na pewno dobrze sobie radzi. Już od roku nie pożyczył od Helen ani centa, a w prezencie ślubnym podarował jej drogi srebrny wazon; na ceremonię stawiał się ubrany w marynarkę, prążkowane spodnie i getry, jako jedyny mężczyzna, który zignorował prośbę o nieformalny strój. Tak, to zupełnie niezły pomysł. Przynajmniej został jej jeszcze jakiś przyjaciel: dobry stary Monty!

Była też nakreślona z wielką starannością krótka kartka od młodego Merricka, ze stemplem Ann Arbor, adresowana do Joyce. W liście roiło się od niedopowiedzeń - autor wyraźnie uznał, że pewne rzeczy da się odczytać między wierszami. Wstąpił na medycynę, mając nadzieję, że do czegoś się przyda w zawodzie, którego chlubą był jej ojciec.

- Nigdy bym go o to nie posądziła - skomentowała Joyce, przeczytawszy Helen ten fragment.

- Niezła donkiszoteria, nie sądzisz?

- Prawdopodobnie uległ jakiemuś impulsowi

- odparła Helen.

- To dobrze o nim świadczy, prawda? - zaproponowała Joyce.

- Odpowiem ci za rok - odparła Helen półgłosem.

Joyce doczytała list do końca. Gestem zniecierpliwienia rzuciła go na stół i z pasją wbiła łyżeczkę w grejpfruta.

- Lepiej ty mu odpowiedz, Helen. Jedyne ludzkie bardziej osobiste zdanie jest do ciebie. Napisz, że na pewno nauczyciele go polubią i dostanie piątki z wszystkich przedmiotów - rzuciła szorstko.

Jedynie ludzkie, bardziej osobiste zdanie brzmiało: „Proszę, przekaż szczerze wyrazy współczucia i szacunku oraz pozdrowienia pani Hudson, którą, mam nadzieję, wkrótce poznam”.

Helen nic nie odpowiedziała. Jej opinia na temat Merricka opierała się w większości na irytujących wzmiankach Joyce na jego temat - jawił się jej jako zepsuty, źle wychowany młokos ze zbyt dużą ilością pieniędzy. To jasne: dziewczyna się w nim durzyła, a on nie miał zamiaru inwestować w nią swych uczuć. Helen się z tego cieszyła. Nie chciała się z nim spotykać - wzdrygała się na myśl, że pewnego dnia mógłby się tu zjawić.

Wystarczy, że przyczynił się do śmierci jej męża. To nie jego wina, ale lepiej, żeby nie musiała być dla niego miłą. To już minęło. Co za ulga.

List leżał wśród porannej korespondencji, obok talerza. Potem wetknęła go do teczki. Przeczytała go jeszcze raz, leżąc w łóżku. Cóż, w końcu to nie jej sprawa, czy zrobił dobrze, czy źle. Przynajmniej Joyce nie musi zawracać sobie nim głowy... o jednego wątpliwego przyjaciela mniej.

Helen obudziła się gwałtownie: ktoś delikatnie uchylił drzwi do jej pokoju, na tyle szeroko, że zobaczyła w nich zaczerwienioną twarz.

- To ty, Joyce?

Drzwi zaczęły się zamykać, powoli, ostrożnie.

- Przepraszam, moja złota... dobranoc! - dobiegł ją zduszony głos.

- Wejdz! - zawołała Helen.

Po dłuższej chwili drzwi znów się otworzyły. Do pokoju weszła Joyce, jej ruchy były chaotyczne, niemal zasypiała na stojąco, grzbietem dłoni, w której ścisnęła pomięty kapelusz, nieprzytomnie pocierała czoło, drugą ręką bezładnie machała w powietrzu w poszukiwaniu czegoś, czego mogłaby się chwycić. Kiwając się w oszołomieniu, przechyliła się

bezwładnie przez poręcz łóżka.

- Och... ależ, moja droga! - zawołała Helen w zdumieniu, podciągając się gwałtownie na łokciu. - Co się dzieje? Gdzie byłaś?

- W Gordonsie!

Joyce wydobyła z siebie jakiś gardłowy dźwięk i uśmiechnęła się głupkowato.

Helen usiadła i w milczeniu, z niedowierzaniem wpatrywała się w swą rozczochraną pasierbicę, która pod jej badawczym spojrzeniem stawała się coraz bardziej spięta.

- Pisałaś sobie listy? - Podejmując żalostną próbę zachowania pozorów normalności, Joyce zaczęła z nagłym zainteresowaniem oglądać leżące na kołdrze szpargały.

Helen skinęła głową i przycisnęła obie dłonie do czoła w geście rozpacz, który Joyce postanowiła zignorować.

- A jachsi powiem, że nie ma żadnego paskut-necho Bobby'ego? - wychyliła się przez poręcz łóżka i z kosztującą ją wiele wysiłku precyzją pogardliwie uderzyła palcem w list. - Dla siebie to nie Bobby, tylko doktor Merrick!

- No! Joyce Hudson, jesteś pijana!

Helen wsunęła stopy w kapcie, złapała szlafrok i objęła wiotkie ramiona dziewczyny.

- Htto? Ja? - zachichotała Joyce radośnie. - Ja pijana? Szkota, sze nie wiciałaś Tommy'ego!

- Położę cię do łóżka. Możesz spać u mnie.

Joyce jedną ręką bezowocnie manipulowała przy guzikach, drugą niezdarnie wycierała kapelusikiem spocone czoło. Opadła na łóżko - Helen

ściągnęła z niej sukienkę, na oczach położyła zimny kompres z ręcznika.

- Dzięki, kochana! - wymamrotała Joyce między jednym a drugim ciężkim westchnieniem. - Tyle kłopotu... niedobrze... szkoda... moja wina. Nie miej Tommy'emu za złe. Tommy to miły chłopak. Chyba... wyjdę za niego... pogratuluj... słyszysz..., chyba nie mówię zbyt wyraźnie, ale nie cieszysz się, że ja i Tommy?

- Pogadamy o tym rano - uspokajała ją Helen, odwracając ręcznik na drugą stronę i przykładając go do jej pulsujących skroni.

- Ni ma mowy! - wybełkotała Joyce i zamaszyście, nie panując nad ruchami, wyrzuciła przed siebie rękę. - Pogadamy o tym - drobną śliczną dłonią uderzyła w poduszkę - właśnie teraz! - Ręcznik zsunął się na bok, patrzyła buńczucznie spod spuchniętych powiek:

- Sała ty! Płaszysz. Przychodzę do domu szczęśliwa i mówię o sreszynach z Tommym, a ty płaszysz! So snowu? Ty go chcesz?

Hamując narastające zniecierpliwienie, Helen nakłaniała pijaną dziewczynę do pójścia spać. Joyce rozkleiła się i zalała łzami nad samą sobą.

- Nikt mnie nie kocha! - zawodziła. - Tylko stary Tommy! Ale nie wyjdę są niecho! Nie chcę!

Nagle umilkła, oblizła spierzchnięte usta, westchnęła głęboko i zasnęła.

Helen uklękła przy

łóżku z twarzą ukrytą w pościeli, by uniknąć oparów alkoholu, i płakała gorzko.

Wayne Hudson zostawił jej zbyt poważną odpowiedzialność. Tylko tej jednej rzeczy od niej oczekiwał. Zawiodła go.

Wstając na zeszywniałych nogach z nienaturalnej pozycji, w której

zmorzyło ją zmęczenie i emocje, odruchowo pozbierała rozrzucone na podłodze listy, zgasiła światło i z rezygnacją poszła do sypialni Joyce. Położyła koperty na toalecie i obmyła twarz tonikiem.

Oficjalny list Bobby'ego Merricka leżał na samym wierzchu, jakby prosił o uwagę. Nadawca między wersami oświadczał, że czuje się moralnie zobowiązany wobec doktora Hudsona... Gotowa była to zlekceważyć, uznać za zwykłą pozę... za chwilową potrzebę męczeństwa, którym będzie się napawać, aż mu się znudzi... źle pojętą rycerskość... Odwróciła oczy, zagubiona, czując, jak jego słowa ją oskarżają. Czyż ona także nie ma moralnych zobowiązań wobec doktora Hudsona? Młody Merrick właśnie próbuje sprostać temu, do czego zmusza go życie. A ona?

Złożyła starannie list i długo stała, nerwowymi ruchami wygładzając miejsce zagięcia papieru. Nagle uświadomiła sobie, że chętnie porozmawiałaby z Bobbym Merrickiem, długo i szczerze. Może coś by jej poradził. Spojrzała w lustro na swą wymizerowaną twarz i potrząsnęła głową. Nie, nie tędy droga. Znużona, włożyła list do teczki i położyła się do łóżka.

Rozdział siódmy

O pierwszej nad ranem w Święto Dziękczynienia Merrick rozwikłał zagadkę, która przez ostatnie dwa miesiące pochłaniała jego każdą wolną chwilę.

Zaledwie po tygodniu sporadycznej pracy nad szyfrem napisał do Nancy Ashford:

„Jeden promień światła niczego nie rozjaśni. Do pewnego momentu będzie ciemno, że oko wykol, a potem przyjdzie czerwcowy poranek. W tym nie ma półśrodków. Albo przeczyta się wszystko ze zrozumieniem, albo ani

sylaby!"

Przerwa świąteczna rozpoczęła się w środę po południu i Bobby postanowił poświęcić owe krótkie wakacje na pracę nad rozwikłaniem zagadki dziennika. Bardzo dobra pora: mało prawdopodobne, by ktoś mu przeszkadzał i rozpraszał, bo ledwo wybiła dwunasta, akademik opustoszał, jakby właśnie ogłoszono epidemię dżumy. Umówił się wstępnie ze starym Nicholasem na świąteczny obiad „pod warunkiem, że do tego czasu upora się z pewnym niecierpiącym zwłoki problemem”. Całe środowe popołudnie podejmował kolejne daremne próby, wszystkie jego pomysły były wariantami kluczy, które przyszły mu do głowy wcześniej. Irytowało go, że nie może wystarczająco się skupić. Przez godzinę siedział za biurkiem, ostrząc ołówki i wpatrując się szklanym wzrokiem w szydzący z niego rękopis. To znów rzucał się na łóżko, podierał na obolałym łokciu i układał kolumny liter w najbardziej wymyślnie sekwencje. Stracił poczucie czasu, zapominał o niewygodzie, rozpisywał diagramy, a potem darł kartki. Zapadał zmrok - zapalił światło. O północy był już bardzo zmęczony, jego umysł pracował mechanicznie, powoli. Postukał ołówkiem o zęby, jego myśli gdzieś odpłynęły... Odbył małą pieszą przechadzkę wzdłuż szosy na północ od Windymere i pomógł w opałach pewnemu kierowcy... Zniecierpliwiony ocknął się i powrócił do niekończących się szeregów liter.

Nagle przyszła mu do głowy nowa myśl. Nie próbował jeszcze jednej kombinacji. Zapisał pierwsze kilka słów niezrozumiałych zapisków jednym ciągiem, ignorując przerwy między wyrazami. (Przepisywał test drukowanymi literami, w nadziei, że dzięki temu łatwiej się go odczyta.) Podzielił to, co wyglądało na pierwszą frazę, na pół, tekst po greckiej

literze „my”, wyznaczającej połowę, zapisując pod spodem:

CYENKUAACEŃARYAIL ZTLIUWŹMIZPZJCEA

Pod wpływem impulsu, przepisał obie linijki jeszcze raz, pozostawiając w pierwszej linijce odstęp wielkości jednej litery:

CYENKUAACEŃARYAIL ZTLIUWŹMIZPZJCEA

Przez kilka dobrych minut wpatrywał się w zapiski, aż litery zaczęły rozmazywać mu się przed

oczami i nakładać na siebie. Nagle serce zabiło mu mocniej. Drżącą dłonią pospiesznie przepisywał litery raz jeszcze w jednym szeregu.

CZYTELNIKU UWAŻAM CIĘ ZA PRZYJACIELA

- Mam!!! - Wykrzyknął na całe gardło i zaczął niemal histerycznie się śmiać. Jakże dziecinnie proste się to zdawało, teraz, kiedy złamał kod. Po pięciu minutach gorączkowego notowania odczytał krótki wstęp z pierwszej strony:

CZYTELNIKU UWAŻAM CIĘ ZA PRZYJACIELA I NAMAWIAM DO
WYTRWAŁOŚCI SKORO POTRAFISZ JUŻ PRZECZYTAĆ TE
ZAPISKI MASZ TAKŻE PRAWO JE POSIADAĆ POWODY DLA
KTÓRYCH ZASZYFROWAŁEM TE SŁOWA ZROZUMIESZ W
MIARĘ CZYTANIA

Długotrwałe napięcie opadło i Bobby nagle poczuł się głodny jak wilk. Z szerokim uśmiechem zadowolenia z samego siebie zaczął wkładać wyjściowe ubranie. Jak to dobrze czegoś dokonać! Stojąc przed lustrem i wiążąc szal, zerkał na leżącą na stole książeczkę, jak zapewne gladiator mierzył wzrokiem powalonego przeciwnika. Wyszedł na przenikliwy, tnący chłodnymi uderzeniami deszcz ze śniegiem, wyprostował się, wydłużył krok, odetchnął głęboko, zaśmiał się radośnie i zanucił

Marsylianę, maszerując w jej rytm i wymachując triumfalnie ramionami. Nieopodal, zaledwie przecznicę na południe od dworca Michigan Central, znajdował się mały bar grillowy, gdzie całą noc samotnie trzymał wartę Tony. Był on typowym przedstawicielem sklepikarzy, wygadanych fryzjerów, szewców-filozofów, właścicieli restauracji, jakich można spotkać w każdym miasteczku uniwersyteckim, którzy dzięki swej oryginalności, połączonej ze szczerym zainteresowaniem wobec osiągnięć studenckich reprezentacji sportowych, niezmiennie zdobywają miejscowy rozgłos.

Niejeden wykładowca chciałby rozpoznać z nazwiska tyłu studentów co Tony. Inni ludzie z miasteczka przyjeżdżali i odjeżdżali, lecz Tony przez jedenaście lat pobytu w Ann Arbor stał się nieodzownym elementem tego miejsca, niemal instytucją. Zupełnie, jakby był tu już szóstego dnia, kiedy Bóg stwarzał świat.

Uważano go za osobę raczej zamożną, mimo że przedłużał studentom termin spłaty kredytu i pożyczał im pieniądze bez poręczenia z tak naiwną wiarą w uczciwość, że w ciągu czterdziestu ośmiu godzin doprowadziłaby do zamknięcia niejednego banku.

Na pudle z cygarami leżał tani zeszyt. Do niego kawałkiem sznurka przywiązany był ołówek. Kiedy do baru przychodził student bez grosza przy duszy, zamawiał, co chciał, a wychodząc, zapisywał swoje nazwisko oraz należną sumę. Nie ustalano limitu kredytu. Po prostu każdą kwotę wpisywało się do zeszytu. Potem płaciło się hurtem za wszystko, odnajdowało własne wpisy i własnoręcznie wykreślało. Tony przyjmował dług z kamienną miną. Brak uśmiechu podziękowania był komplementem sam w sobie. Skoro Tony spodziewał się, że dostanie pieniądze z

powrotem, czemu miałby wpadać w zachwyty.

Tony osobiście obejmował swe stanowisko o szóstej po południu i zostawał aż do nocy. Za dnia nikt nie widział go za barem - w porze śniadania i lanczu lokal obsługiwał jego sprawny personel.

- Tony, dlaczego pracujesz tylko w nocy? - pytali go często klienci, kiedy na drewnianych nie-nakrytych obrusem stołach stawiał przed nimi półmiski jajek na szynce.

- Wolelibyście, żeby ja nie był, co? - pytał Tony z szerokim uśmiechem, wiedząc, że wśród głośnych protestów, jakie ta odpowiedź wywoła, zapomną, co chcieli tym pytaniem osiągnąć.

Od czasu do czasu młodzi dziennikarze z „The Michigan Daily”, pragnąc rozwijać zdolności, które sobie przypisywali - to znaczy nieprzeciętną smykałkę do pisania wieloszpaltowych artykułów - próbowali wciągnąć Tony'ego w rozmowę na temat jego interesów. Ile rocznie traci na lekkomyślnym udzielaniu pożyczek i kredytów? Dlaczego pracuje tylko wieczorem, kiedy przychody są nieznaczące? - zadawali te i inne pytania formułowane zgodnie z najwyższą sztuką dziennikarskiej impertynencji. Ale na łamach gazet nie pojawiła się ani jedna historia związana, z tym tematem, a Tony, przypierany do muru, wyślizgiwał się, chował, zasłaniając zbyt małą znajomością angielskiego.

- Z niego nic nie da się wyciągnąć. Jest za tępy.

- Czyżby? - odpowiadał wtedy wyrobiony, doświadczony wydawca. - Chłopcze, popełniłeś bardzo typową pomyłkę, biorąc niezgłębiającą mądrość Tony'ego za tępotę!

Bobby Merrick wiedział, że Tony tego wieczora będzie pod ręką i zaspokoi jego niepoohamowany apetyt. Błyskawicznie stanie przed nim

stek, który utrzymałby wysoką pozycję nawet wobec snobistycznych, z francuska nazywanych porcji selekcyonowanej wołowiny zwieńczonej pieczarkami, podawanych na srebrnych paterach wśród niskich sztywnych ukłonów za dziesięciokrotnie większą kwotę niż ta, której żądał Tony. Do tego świeżo parzona kawa i sałatka godna najbardziej wymagającego podniebienia. Tony wiedział doskonale, jak należy natrzeć talerz czosnkiem.

Bobby wpadł do małej knajpki i zastał tam jedynie właściciela. Tony, senny już, ale pogodny, pospiesznie przysunął mu krzesło. Z dworską gracją odebrał od gościa ciężkie futrzane palto i zręcznie strząsnął z niego śnieg.

W tym czasie klient bez namysłu wymienił swe pragnienia jak ktoś, kto dobrze wie, czego chce, a Tony poszedł je spełnić.

- Ziemiakami się nie kłopotcz, Tony - zawołał Bobby, słysząc, że gospodarz zaczyna trzaskać garnkami.

- Tera, kurka, za późno, doktor - dobiegło go przez syk rozgrzanego rusztu. Bezbłędnie wyczuwał medyków, może dlatego, że byli starsi niż cała ta hałastrą i otaczała ich ostra woń. Śmierdzieli przyszłym zawodem.

- Do dziecka mozie?

Lubił pielęgnować w młodych lekarzach przeświadczenie, że wyglądają na dorosłych i mądrych, przynajmniej na tyle, by zajmować się interną albo być wzywani w nagłych przypadkach, służąc wyżej od nich postawionym, którzy leżą sobie w ciepłych łóżeczkach, opatuleni kołderką. W końcu pewnego pięknego czerwcowego ranka ci najbardziej pracowici i wytrwali

- długo po tym, jak otrzymali ten tytuł od Tony'ego - po uroczystej przemowie w głównym audytorium, zostaną wreszcie oficjalnie nazwani

doktorami. Żartowali między sobą na ten temat, ale nigdy nie zwrócili mu uwagi ani nie prosili, by przestał tak się do nich zwracać.

- Nie, Tony - powiedział Bobby - nic z tych rzeczy. Jeszcze długo nie. I żadnych dzieci.

Z podnoszącym na duchu stuknięciem Tony postawił grube kamionkowe talerze na stole przystrojonym jedynie wyciętymi w blacie nożem inicjałami - niektórymi nazwiskami naprawdę mógł się pochwalić, inne z kolei wiązały się z niezwykłymi historiami, bez których tradycja studencka byłaby o wiele uboższa.

Stek był dziełem sztuki. Przybyły też ziemniaki, wielkodusznie ignorując lekceważenie, jakie gość im okazał. Do tego cała główka schłodzonej sałaty, ociekająca aksamitnym sosem z rokfora, jaki można zjeść zaledwie w sześciu innych miejscach w północnej strefie temperatur.

- Kawy, doktor?

- Jasne, Tony! Mocnej jak brandy i gorącej jak piekło! Dziś mam ochotę na dobrą ucztę.

Tony postawił przed nim parujący kubek, wetknął swe wielkie kciuki za fartuch na wysokości kieszeni kamizelki i z głębokim zadowoleniem przyglądał się swemu żarłocznemu klientowi. Na drugim miejscu wśród najlepszych rzeczy na świecie, zaraz po wyśmienitym gorącym steku, stawał obserwowanie, jak zdrowy gość właściwie się z nim obchodzi.

- Nie dzieci? Bobby podniósł ramiona i potrząsnął głową.

- Oczy, uszy, nos, mozie? Dużo taki.

- Głowy! - wyjaśnił Bobby, wyrzekając się mężnie oftalmologii, laryngologii i „wszystkich ich spraw”.

- Ach tak? - ożywił się Tony. - Pokaże głowę! Chcesz pan patrzeć głowa?

Patrz, doktor! - Pochylił się i podsunął do krótkiej obdukcji cztero-calową szramę na tysej czaszce. Prostując się, lekko poklepał bliznę i kilka razy z wielką powagą pokiwał głową.

- Mało nie umarł... bardzo źle!

- Wypadek? - zapytał Bobby.

- Na kolej.

- Zderzenie? Tony się zaśmiał.

- Nie. Pracował na kolej. Ja tylko, jak mówicie, makaroniarz, nie jeździć.

- I potem miałeś już dość pracy na kolei?

- Na mur! - potwierdził Tony. Zaskakujące wplatanie wyrażeń slangowych, poza innymi rzeczami oczywiście, dodawało rozmowie z nim uroku. -

Doktor Hudson tu mnie wstawił.

- A niech mnie! - Bobby odłożył sztucce i zamienił się w słuch. Tony energicznie pokiwał głową.

- Doktor Hudson w Detroit naprawił. Szył głowę. Interes załatwił.

Wspaniały facet. Szkoda, umarł.

Okazało się, że klient chciałby dowiedzieć się wszystkiego na ten temat i Tony odczekał z opowieścią. Przytoczył dramatycznie krwawą relację z wydarzenia, zatrzymując się dłużej na makabrycznych szczegółach, nie zapominając o obszernym sprawozdaniu z serii drobnych incydentów prowadzących do głównego wątku - wiele z nich nie tyle wyjaśniało medyczny aspekt historii, ile dodawało opowiadaniu teatralności.

Wcale nie umarł, ale niewiele brakowało. Lekarz zakładowy posłał po doktora Hudsona. Hudson dokonał „nimoszliwego"! Ale już nigdy Tony nie będzie pracować w piekącym słońcu, nigdy!

„Ale co ja robić? - mówił - Z głoda umrę?" „Umiesz gotować, Tony?" - pytał doktor Hudson.

Tu nastąpiła kolejna długa historia. Doktor Hudson cały dzień szukał dla Tony'ego odpowiedniego miejsca na jego mały lokalik, zapewnił pieniądze na wynajem, pomógł wybrać wyposażenie, na koncie w jednym z wiodących banków złożył

sumę wystarczającą na prowadzenie restauracji, tak by przynosiła regularne zyski.

- Nigdy o tym nie słyszałem! - powiedział Bobby.

- Nie, każdy nie wiedział. Doktor mówi: „Tony, nikomu nie mówisz. Nie kiedy żyję". Teraz on nie żyje. Mogę mówić!

Tony mylnie odczytał szklane zawieszony w próżni spojrzenie gościa jako utratę zainteresowania opowieścią i postanowił już nie zanudzać

Bobby'ego. Zagaił na temat spraw zazwyczaj interesujących lekarzy. Na pewno rozmowa o jego aspiracjach bardziej go wciągnie.

- No! To pewno pan też głowy robisz, jak doktor Hudson?

- Mam taką nadzieję, Tony. Pewnego dnia będę to robić - powiedział Bobby, wstając od stołu.

- Wspaniały facet, doktor Hudson... żaden nie wiedział.

Merrick zapłacił rachunek, wziął płaszcz, życzył dobrej nocy i z wahaniem nacisnął klamkę. Tony zabrał się do sprzątnięcia stołu.

- Tony... Włoch odłożył dwie sterty naczyń.

- Czy doktor Hudson powiedział, dlaczego chce, żeby nikt nie wiedział, kto ci pomógł założyć restaurację?

Tony wetknął kciuki za fartuch, podszedł kilka kroków i w zadumie potrząsnął głową.

- Dziwny facet, kurka! Mówię pan, co on mówi: „Tony, lecę cię, ale więcej nie pracuj w słońce. Kiedy żyje, nie mów żadnemu”. Ja mówię: „Doktor, pan, kurka, diabelnie super. Kiedyś wszystko panu płacę”. On mówi: „E tam....ale Tony, jeśli, kurka, w zimna noc przychodzi tu ktoś głodny i bez pieniędzy...”

- Tak? - zachęcał Bobby, bo Tony wyraźnie zawahał się, czy powinien zaufać rozmówcy, i skwitował resztę machnięciem dłoni. Zmarszczył w napięciu czerwone czoło i z zakłopotaniem pocierał rogiem fartucha szeroki nos. Kiwając głową sam do siebie, jak to robią starzy ludzie, odwrócił się i zajął z powrotem zbieraniem naczyń.

- To co? - nie dawał za wygraną Bobby, chwytając go za łokieć.

- Doktor mówi: „Nie mów nikt, kiedy żyję”.

- Znaczą, nie mów o tych, co przychodzą tu głodni i bez pieniędzy? Słuchaj, stawiam nowy futrzany płaszcz za pudełko papierosów, że ten zeszytik tam na kontuarze...wszyscy, co przychodzą tu głodni i bez forsy...

- Tony mu przerwał. Nagle zaczął się wycofywać. Miał bardzo poważny wyraz twarzy. Podniósł tace, wyprostował się z godnością i odpowiedział bardzo łamaną angielszczyzną:

- Czy ty chcesz zrobić Tony nieszczęście? Ta zeszytik? To dla mnie wiedzieć! Doktor, on mówi: „Tony, nie mówić ty żaden!” A czemu on mówić tak, nie wiedzieć. Ale ja nie mówić żaden!

- Przepraszam, Tony - powiedział Bobby ze skruchą. - Nie mam prawa wtrącać się w twoje prywatne sprawy. Proszę o wybaczenie. Tony uśmiechnął się w zamyśleniu.

- Eech... dopsze, dopsze - powiedział uspokajająco. - Dobranoc, doktor. Zapraszam znów!

Rozdział ósmy

Oslabiony nieprzespaną nocą i cierpieniem, którego się nie spodziewał, Merrick z rezygnacją opadł na fotel w przedziale porannego pociągu do Detroit.

W odpowiedzi na długi i gorączkowy telegram, który poprzedniej nocy wysłał do niej ze stacji po drodze do Tony'ego (dwie godziny później z całego serca już tego żałował), Nancy Ashford zadeszowała, że będzie na niego czekać na dworcu Michigan Central.

Najbardziej obawiał się zobaczyć ją rozpromienioną, wyczekującą, zasypującą go pytaniami. Nie może jej zranić.

Co do niego samego, jakoś zniesie upadek tak pieczołowicie pielęgnowanych wyobrażeń na temat doktora Hudsona oraz zawód, jakiego doznało jego uwielbienie wobec niego, uwielbienie zagrzewające go do monotonnego i żmudnego wkuwania; teraz, kiedy zapadły się fundamenty, nie miał pojęcia, czy da radę tam wrócić i dalej obracać kierat.

Jakkolwiek to trudne, nie może się równać z czekającym go spotkaniem z Nancy Ashford i wyszukiwaniem w popłochu odpowiednio subtelnych sformułowań, żeby dać jej do zrozumienia, że jej święty Wayne Hudson, któremu się tak bez reszty poświęciła, był zwyczajnym wariatem.

I to nawet nie fascynującym szaleńcem. Szaleniec to najczęściej geniusz, któremu pod wpływem jakiegoś ogromnego napięcia pomieszało się w głowie - jego upadek jest widowiskowy, robi się o tym głośno, sąsiedzi biegają z noszami i pasami, pakują go i oddelegowują do domu wariatów. Nie, Hudson nie był na tyle wyjątkowy, by wszyscy usłyszeli o jego szaleństwie i zrozumieli, co ono oznacza. Po prostu. Nie do wiary!

Dorosły człowiek z pozycją zawodową, szanowany i uwielbiany... haruje bez wytchnienia nad sporządzeniem drobiazgowej relacji z tego, co powiedział mu inny pomyleniec o przeprowadzaniu doświadczeń, które nie są w ogóle możliwe, a potem zadaje sobie ogromny trud i zaszyfrowuje ten miszmasz urojeń - czyn godny ucznia siódmej klasy bawiącego się w detektywa z pistoletem--zabawką.

Po powrocie od Tony'ego, Bobby postanowił, choć było bardzo późno, odszyfrować kilka stron dziennika. Na początku czytał cierpliwie, z szerokim uśmiechem, z oczekiwaniem. Potem poganiał w myślach ekscentrycznego autora - mógłby darować sobie te wszystkie banalne ustępy i ujawnić wreszcie ten swój wielki sekret - bo musiała być to zaiste wielka tajemnica, sądząc po skomplikowanych zabiegach Hudsona.

W tym, co zdołał przeczytać, nie było nic do odkrywania, nic, co wymagałoby grubej zasłony tajemnicy. Trudno by było pewnie namówić szeroką publikę do lektury, nawet gdyby to wydrukowano i rozdawano na ulicy za darmo, a już udawanie, że tekst skrywa głęboką tajemnicę, to prawdziwy idiotyzm.

Po chwili dotarł do nowego akapitu; kąciki ust nagle mu opadły i wyrzucił z przepalonego tytoniem gardła: „Co, do diaska!” Z pogardą odepchnął książeczkę, wstał, zaczął przechadzać się po pokoju, zapalił fajkę, po chwili rzucił ją na stół, aż zastukała o blat, rozebrał się i położył do łóżka - ale nie po to, by spać.

To największy cios w jego życiu. Nigdy wcześniej nie interesował się czymś takim jak „wielka chwila”, „przełomowa decyzja”, „niezwykłe postanowienie”, „poświęcenie” i tym podobne. Jeśli ludzie zniecka porzucają coś i w te pędy gonią w przeciwnym kierunku, to dlatego, że

znaleźli coś korzystniejszego. Co do mitów o Szawle, świętym Franciszku czy Joannie d'Arc - rozstrzygnięcie, czy leży w nich ziarnko prawdy, to sprawa psychiatrów.

Nie miał też nigdy cierpliwości do lekko słodkiego sentymentalizmu, tej uroczo perfumowanej księżycowej łuny, którą zniewieściali wizjonerzy nazywają ideałami. Zawsze obstawał, żeby gadaninę na ten temat zostawić kaznodziejom, poetom i dziennikarkom od ckliwych historyjek.

Ostatnio jednak zmienił zdanie. Zbieg okoliczności, jakim było uratowanie go za cenę życia kogoś innego, tak wartościowego, kto utonął w tym samym czasie i w tym samym jeziorze, wywołały w nim falę uczuć.

Potrafił zrozumieć Szawła czy św. Joannę. Hudson stał się jego ideałem, gwiazdą, słońcem, totemem! I oto taki finał!

Jest stara opowieść o idolu, który spadł z cokołu, bo miał gliniane stopy... jego idol stoczył się, bo miał chory łeb. Dorastać bez jakichkolwiek autorytetów, potem, nieco po czasie, z zapalem krzyżowca przyjąć wiarę, a następnie, spaliwszy za sobą wszystkie mosty, odkryć, że jego bohater był obłąkańcem. Niezłe manto!

Wcisnął rozpaloną twarz w poduszkę. Nie żeby znajdował jakąkolwiek winę w zamiłowaniu Hudsona do wtykania nosa w sprawy innych, w dzikiej manii, która kazała mu, jak harcerzykowi, wykonać jeden dobry uczynek dziennie, co wyraźnie sugeruje ten jego głupi dziennik... ale... na Boga! Hudson nie był pierwszym człowiekiem w historii ludzkości, który łechtał własne ego i wypinał pierś, rozdając jałmużnę! Taka afera bez powodu!

W końcu pograżył się w niespokojnym śnie, jęcząc, że wolałby, do cholery, z samego rana jechać do Nowego Jorku i wskoczyć na pierwszy

statek do Cherbourga. Paszport ma jeszcze ważny... dziadek na pewno by mu przysłał... nie musiałby widzieć się z Nancy. Ale to byłoby paskudne zagranie. A dziadek? Biedaczysko, niedawno był z niego taki dumny.... Za pięć minut będzie w Detroit. Musi się postarać i nie urazić Nancy. A może wręczyć jej dziennik i klucz do szyfru i pospiesznie się ulotnić, rzekomo w ważnych sprawach? Na przykład dziadek bardzo go potrzebuje. Nie skłamałby też, gdyby powiedział, że jest chory. Czekala na niego przy wyjściu, z szeroko otwartymi oczami i uśmiechem, ale w miarę jak się zbliżał, na jej twarzy odmalowywała się konsternacja. Wszystko miał po prostu wypisane na gębie! Próbował ułożyć usta do uśmiechu, ale wiedział, że wychodzi z tego niezdrowy grymas. Podał Nancy ramię, nie patrząc jej w oczy, spytał, czy już jadła, kazał bagażowemu zająć się torbami i zaprowadził ją do zacisznego kącika dworcowej restauracyjki, gdzie ceremonialnie odebrał od niej płaszcz - cały czas napięty niczym lis w klatce.

- Myślałam, mój drogi, że ci się udało.

Śledziła badawczo jego ruchy, kiedy zdwoił jeszcze troskliwe zabiegi i z niemalym poświęceniem szukał miejsca, gdzie można by postawić jej parasolkę.

- Nie wyglądasz jak zwycięzca. Raczej jak ktoś, kto ruszył w pogoń za pięknym motylem, myśląc, że to ptak, a potem, kiedy już powyrywał mu skrzydełka, odkrył, że to tylko owad.

Bobby odłożył kartę, którą uważnie studiował, i odpowiedział, machając swym długim palcem wskazującym tuż nad talerzem Nancy:

- Pani to powiedziała! Pobiegłem za motylem, wróciłem ze zwykłym insektem.

- I czyja to wina, motyla?

- Gra toczy się dalej! Zajmujemy pozycję i uderzamy! - skwitował z krótkim śmiechem.

- Uderzamy, dobre sobie! Czym? Zaciekłymi docinkami? Mówiłam ci, że to łatwe uderzenie i powrót do bazy. Ale mniejsza o motyle. Obudź się, głupcze, i zdradź mi ten sekret.

Próbował grać na zwłokę, odchrząknął, zaczął podwijać rękawy. Nie chciał jej zawieść. On może żyć dalej bez przewodnictwa Hudsonowego ducha, ale Nancy nie. Ocali honor tej jej bezcennej zjawy, nawet gdyby miał przerzucić się na kult woodoo, uprawiać czarną magię i nekromancję!

- Jestem po prostu zmęczony. Nie spałem prawie całą noc. Najpierw zawołajmy kelnera. Nie uspokoiło jej to, ale okazywała cierpliwość.

- To proste jak dwa razy dwa - oświadczył, kiedy kelner się oddalił. - To znaczy... - mówił, nerwowo zwijając obrus palcami - samo przetworzenie rękopisu na normalny tekst jest dość łatwe. Ale zrozumieć, o co w tym chodzi...

Przerwał i uśmiechnął się... - ma już trop, wreszcie! Teraz pora na przemowę. Przyzna, że to dla

niego za głębokie! Coś takiego brzmi o wiele lepiej, niż nazwać zapiski dziecinnyymi bzdurami!

- O, jakie to ekscytujące - zawołała Nancy. -Z jednej tajemnicy w drugą! Bobby wyjął dziennik z kieszeni i otworzył na stole, nachylając się ku niej, tak że zetknęli się głowami. Uśmiechał się, zadowolony ze swego posunięcia - ona będzie mu to tłumaczyć.

- Proszę! Przeczytam pani pierwszą stronę. Nic trudnego, prawda?

Nancy była wniebowzięta. Położyła rękę na dłoni Bobby'ego i mocno

zaciśnęła palce. Za piękne, żeby było prawdziwe, co? Skinał głową i w duchu dodał: „Albo chociaż interesujące”.

- Jak daleko doszedłeś? - spytała, kartkując niezrozumiałe stronicie. - Nie jesteś podekscytowany? - Bobby nie znajdował w sobie tyle entuzjazmu co ona, robił jednak, co mógł.

- Dotąd. Około dwudziestu stron. Podekscytowany? Nie... to nie tak... raczej zdumiony... ogłupiały... To mnie przerasta... Oczekiwałem cholernie więcej, pracowałem tak długo, żeby uchylić rąbka tajemnicy, i jak to zrobiłem... może coś zepsułem, a może to nie na mój rozum...

Nancy jeszcze raz ścisnęła jego dłoń, tym razem z wściekłością:

- Patrz mi w oczy, Bobby Merricku! Odkąd się spotkaliśmy, ani przez sekundę nie zachowujesz się naturalnie. Nie zrzucaj wszystkiego na mnie! Widzę cię jak na dłoni! Próbujesz coś przede mną ukryć! Nie dam się nabrać! Bądź w porządku i powiedz mi wszystko. Co cię gryzie, chłopcze? Bobby zaczerwienił się i zwiesił głowę jak niegrzeczne dziecko przyłapanie na wyjadaniu konfitur.

- A... bo to niewiele warte! Do niczego, jeśli chce pani znać moje zdanie.

Gdyby to nie było

doktora Hudsona... Nancy, jest pani pewna, że to naprawdę on napisał?

Nie ma tam jego podpisu.

- Nie gadaj bzdur! Co wyczytałeś?

- No... to chyba nie jest nic religijnego, ale brzmi jak te nawiedzone traktaty, które obdarciuchy z brudnymi brodami wrzucają do samochodów przez otwarte okno ...cały ten groch z kapustą, który za darmo dają całymi tonami! I po co się w ogóle gimnastykujemy, prześwietlamy i obracamy słowa i litery na wszystkie strony, jakby skrywały Bóg wie jaki bezcenny

sekret! Gdyby to napisał ktoś inny, tobym powiedział, że miał nie po kolei w głowie.

Słuchając go, Nancy bębniła paznokciami po stole, najpierw w zamyśleniu, potem w zniecierpliwieniu, a wreszcie ze złością.

- Ile ty masz lat, Bobby? - warknęła.

- Skończyłem dwadzieścia pięć, zacząłem dwudziesty szósty rok - wyrecytował tonem sześciolatka, ale nie zwróciła uwagi na ten żart.

- Kiedy doktor Hudson zdobywał ogólnokrajową sławę po przeprowadzeniu pierwszej neurologicznej operacji, jakiej nikt przed nim się nie podjął, miałeś jeszcze mleczone zęby i galopowałeś po dziecinnym pokoju na koniu z patyka! Kiedy on pisał ten „groch z kapustą”, ty nie potrafiłeś jeszcze sam wyszorować sobie uszu. Nie chcę być dla ciebie za ostra, synku, ale należy ci się lanie i masz je u Nancy Ashford.

- Proszę się nie wahać! Wolę, żeby się pani na mnie gniewała niż...

- Zabrakło ci charakteru, żeby dokończyć, co? Miałeś nadzieję, że się nie dowiem, jakim głupcem był doktor Hudson! Ale tym się nie martw. To mi nie grozi! Widzę, że nie masz nawet bladego pojęcia - ciągnęła, cedząc dobitnie słowa - o czymś, co się nazywa psychologią geniuszu. Bo niby skąd?

Pierwszoroczni studenci medycyny nie zaprzatają sobie głowy zgłębianiem tajników psychiatrii zajmującej się obsesjami. Nie mają czasu, muszą rozcinać trupy, próbują zapamiętać, jak wygląda strzemiączko, a jak kość nadgarstka! Dobrze wiem. Nie musisz mnie tu epatować swoją mądrością.

Nagle zauważyła kelnera stojącego przy niej z rozdziawionymi ustami.

- Proszę! Jeśli chce się pan rozerwać, radzę zabrać tę zimną kawę i

przynieść dzbanek świeżej, najlepiej takiej, którą zaparzano dziś rano.

Kiedy nieszczęśnik odmaszerował, Bobby wybuchnął śmiechem.

- Nancy, jest pani niebywała. Proszę mówić.

Taki właśnie mam zamiar! Oświecę cię, co to znaczy genialna osobowość... Geniusz nie szufladkuje! Nie kataloguje! Nie prowadzi kartoteki! A ponieważ tego nie robi, tępoockie głupki, których nie trzeba nawet przycinać, żeby pasowali do każdej szufladki - i należałoby ich w niej zamknąć - uważają go za wariata. Nie potrafią zrozumieć, więc nazywają go szaleńcem! niech bryka sobie tam, gdzie nigdy nie dotrą, więc na Pewno brak mu piątej klepki! Ujeżdża jakąś wiedzę jak mustanga i puszcza się na niej pędem Przed siebie, przeskakując mury, płoty, doliny, domy, pola i ogrody, powala po drodze najlepszych przyjaciół, i nawet o tym nie wie... nie

ogląda Się Za Siebie i gUZik go to obchodzi dopukii trzyma się swego nieprawdopodobnego zadania.

Nasz doktor Hudson był taką właśnie osobą,

^ obsesyjnie ogarniętą jedną tylko ideą. Stworzył

nowy pogląd... nie wiemy, jak do tego doszedł,

może wyjaśni to jego notatki, taką miałam nadzieję... Jego sukces

zawodowy był powiązany z niecodziennymi dobroczynnymi działaniami,

które musiał trzymać w tajemnicy, żeby spełniły swoje zadanie. Tyle

zdołałam odgadnąć dawno temu... Domyślałam się, że postanowił swą teorię

przekazać w jakiejś formie potomnym czy następcom, albo też

wielbicielom, żeby mogli sami spróbować. Ale chciał zabezpieczyć się

przed ośmieszeniem przez jakiegoś półgłówka, któremu jego zapiski

przypadkowo wpadną w ręce i... Bobby podniósł do góry dłoń.

- Coraz bardziej się pani zagalopowuje, co?
- Uważasz za idiotyczne, że posłużył się tym śmiesznym szyfrem - ciągnęła, zniżając głos. -Dobrze, założmy, że pisałby po łacinie, co mógł z łatwością zrobić bez słownika, czy przysporzyłby ci tym mniej kłopotu? A może greka? Mógł napisać to po grecku! Umiesz przeczytać w tym języku coś więcej poza napisem na godle uczelni? On chciał, żeby ktoś trudząc się, zdołał do tego dotrzeć, i na tym też polegała jego obsesja. Między innymi na tym.
- Wygrała pani, Nancy - przyznał Bobby cicho. - Oboje mamy podobne zdanie o doktorze Hudsonie. Po prostu wyrażamy je innymi słowami. Powiedziałem, że musiał mieć zaburzenia psychiczne, pani twierdzi, że był geniuszem, wszyscy geniusze są pomyleni.... świetnie... teraz możemy zacząć czytać te książeczki razem i zrozumieć się nawzajem, nawet jeśli nie zrozumiemy książeczki.
- Streszczę pokrótce, co do tej pory wyczytałem... Nancy, nie mam za złe, że spędziłem nad tym skomplikowanym szyfrem tyle czasu. Chodzi tylko o to, że nie ma tam nic, co uzasadniałoby takie zabiegi. Sama pani zobaczy!
- Nie przekonasz mnie, dopóki nie przeczytamy wszystkiego od początku do końca. Bobby przeglądał swoje notatki.
- Opowieść zaczyna się około pięciu lat po śmierci Joyce, jego pierwszej żony. Jej długa choroba wprawiała go w apatię, zabrała całą życiową energię, którą powinien poświęcić na doskonalenie się w zawodzie. Znajdując się na granicy zupełnej porażki, w głębokiej depresji, poważnie myślał o rzuceniu chirurgii i zajęciu się biznesem... i pewnego dnia przyszło mu do głowy, że powinien upiększyć grób Joyce.

- A widzisz! - zawołała Nancy, tłumiąc podekscytowanie. Bobby spojrzał na nią pytająco.

- Ten kamień nagrobny był kamieniem milowym - wyjaśniła rozemocjonowana. - Jakże często, umiejscawiając w czasie jakieś wydarzenie ze swego życia, mówił na przykład: „To było krótko po tym, jak postawiłem pomniczek dla Joyce”. Mów dalej!

- Poszedł do przedsiębiorstwa zajmującego się tablicami i nagrobkami i wybrał niedrogi pomnik. Na formularzu wpisał nazwisko żony oraz daty jej narodzin i śmierci. Obsługujący go pracownik zapytał, czy nie zechciałby umieścić jeszcze jakiegoś krótkiego epitafium. W tym czasie było to bardzo powszechne. Nie mogąc na poczekaniu nic wymyślić, a chcąc jak najszybciej zamknąć sprawę, za radą sprzedawcy, postanowił się rozejrzeć. Miał nadzieję, że na innych nagrobkach znajdzie coś, co podsunie mu odpowiednie słowa. Chodził więc po zakładzie kamieniarskim i natknął się na niejakiego Randolpha.

- Mówisz tak, jakby był kimś ważnym. Nigdy o nim nie słyszałam.

- Tak, z tego, co przeczytałem, Randolph jest niewątpliwie bohaterem tego odcinka. Pani pozostawiam ocenę, czy to apostoł światła, czy kompletny paranoik. Właściwie nie rozumiem jego roli. Pojawia się w opowieści jako niezwykle utalentowany hipnotyzer... a potem okazuje się kimś w rodzaju cudotwórcy.

- Chcesz powiedzieć - odezwała się Nancy - że ktoś taki zainteresował Hudsona?

- Cóż... zobaczy pani... Ten cały Randolph siedział w osobnej pracowni. Nie był zwykłym kamieniarzem, lecz rzeźbiarzem, i to dobrym. Właściwie artystą. Akurat pracował nad postacią, jak mówi dziennik, triumfującego

anioła. Wspaniałych rozmiarów rzeźba, przedstawiała go, stojącego w pełnej wdzięku pozie na marmurowym piedestale w kształcie ołtarza, cudnej urody dłonią przysłaniającego wpatrzone gdzieś daleko poza horyzont oczy, urzeczonego odległym blaskiem... Miał w sobie zarazem delikatność i siłę, jak u Canovy...

- Cytujesz?

- Tak, tak jest w dzienniku, dokładnie tymi słowami.

- Ale doktor Hudson nie znał się na sztuce!

- Może znał się bardziej, niż pani myśli. Cały ten obłąkany Randolph, jak się okaże, wywarł na niego wielki wpływ, a był on wytrawnym artystą.

- Och, zastanawiam się... czy myślisz, że chodzi o Clive'a Randolpha? No wiesz, tego, który wyrzeźbił grupkę dzieci w parku Metropolitan? Nie żyje już od wielu lat. Wiesz co, Bobby, bardzo możliwe, że on mieszkał wtedy w Detroit!

- Może tak, a może nie. - Odłożył notatki na stół i siedział przez chwilę w zamyśleniu z na wpół przymkniętymi oczami.

- Kolejny geniusz... - wymamrotał. - Nancy, czy geniusze mają prawo do obłądu?

- Oczywiście - rozpromieniła się Nancy. Bobby wreszcie wychodził z ciemności. Na powrót wziął do rąk notatki.

- Z przodu cokołu widniały wyryte dużymi, gotyckimi literami słowa: „Bogu niech będą dzięki, że dał nam odnieść zwycięstwo”.

Nancy wymamrotała, że to jej zdaniem dziwaczne.

- Co to znaczy „dziwaczne”? To chyba z Biblii, prawda?

- Niewątpliwie - odparła z nerwowym śmiechem. - Ale to nie przeszkadza, że brzmi dziwacznie. Doktor Hudson cytujący werset biblijny! Nie był ani

trochę religijny.

- Niech pani nie będzie tego taka pewna! - zastrzegł.

- Ależ Bobby, on nie tylko okazywał obojętność, on niemal pogardzał wszelkimi religijnymi organizacjami, od dwudziestu lat, od dnia ślubu, nie był w kościele. Zraził się w dzieciństwie, kiedyś mi o tym opowiadał: w tych czasach działał pewien okropny kaznodzieja i gazety były pełne jego tanich prostackich tekstów. Duszpasterze wówczas ciskali na ludzi gromy, namawiali, żeby mieć w pogardzie cały świat, a jednocześnie nie oferowali w zamian nic, poza resztkami średniowiecznych zabobonów.

- Ale czy gdyby nie był jakoś związany z Kościołem, interesowałyby go rzeczy... nadprzyrodzone?

- A czemu nie? Zazwyczaj tak jest.

- Cóż, jeśli ma pani zamiar analizować całą sprawę z punktu widzenia tego, co jest zazwyczaj, a co nie, to chodźmy lepiej na mecz piłki nożnej i przestańmy się męczyć. Pytam! Czy jest w zwyczaju, by człowiek prowadził zwykłą działalność dobroczynną, skrzętnie ją skrywając niczym wiewiórka, która zakopuje orzech w dziurze, i dbając, żeby nikt nie odkrył, że uczynił coś dobrego? Czy jest w zwyczaju, żeby spisywać historię swojego szaleństwa jakimś bzdurnym szyfrem? Powiem pani, kim on był! Jednym ze starożytnych mistyków!... Wierzył w bajki i elfy... miał wizje... igrał z aniołkami!

- Bobby Merricku, ty jesteś szalony!

- Nie, jeszcze nie, ale mam dziwne przeczucie, że niedługo zwariuję.

Nancy odsunęła od siebie talerz i niecierpliwym gestem odgoniła kelnera, kiedy zapytał, czy wszystko w porządku.

- Nie - Bobby powoli potrząsnął głową. - Tu tak naprawdę nie chodzi o

religię, a przynajmniej ja nie tak sobie wyobrażam religię. Nie twierdzę, że się na tym znam, ale czyż religia nie jest bardziej lub mniej powierzchownym przyjęciem starych, pochodzących z żydowskiego folkloru legend? Czyż nie każe ludziom twierdzić, że wierzą w to czy tamto o Bogu, nie uzurpuje sobie wiedzy o tym, czego Bóg oczekuje od ludzkości? Czasem Bóg czeka ze smutkiem, aż ludzie coś zrobią, innym razem pomiata nimi tak, że chcąc nie chcąc, muszą to zrobić. Religia przypisuje sobie prawo wysyłania do tak zwanych bezbożników różnych naganiaczy, którzy ostrzegają ich, że jeśli nie przestaną nazywać swego Boga tak, jak chcą, usmażą się w piekle.

Nancy zaśmiała się.

- Nie jest aż tak źle, Bobby. To nie może być takie głupie. Ludzie czerpią z religii otuchę, inaczej już dawno by ją zarzucili.

- Otuchę! - powtórzył. - Dobrze, że użyła pani tego słowa. Chyba mogę teraz powiedzieć, jaka jest moim zdaniem różnica między tym czymś doktora Hudsona a religią w tradycyjnym rozumieniu. Normalna wiara ma nieść pociechę.

Uwierz w to i czerp z tego pociechę, spokój, pewność, że wszystko jest dobrze i Wielki Ktoś ma nad nami pieczę. Ale religia Hudsona na pewno nie dawała mu pocieszenia! Jeździła na nim jak na starej kobylicy, okładała po karku... goniła za nim dniem i nawiedzała nocą... eksploatowała jak niewolnika... opętała go!

- Mógł przecież dać sobie spokój, jeśli to go tak denerwowało.

- A właśnie! I tu dotknęła pani sedna! Nie, nie mógł zrezygnować, bo to właśnie go napędzało! Trzymało przy życiu! Twierdził, że stworzyło go w sensie zawodowym!

- Obawiam się, Bobby, że ta książeczka zszargała ci nerwy. - Nancy założyła rękawiczki. - Pojedźmy do Brightwood, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzał i przyjrzyjmy się temu.

Bobby ociągał się ze wstaniem od stołu.

- Nancy, teraz, kiedy z panią o tym rozmawiam, moja postawa wobec tej historii się zmienia. Otwarciem mogę powiedzieć, że nigdy w życiu nie czułem się tak zdegustowany i zawiedziony jak zeszłej nocy, gdy usiłowałem to przeczytać. Oczekiwałem normalnego sprawozdania z normalnych doświadczeń normalnego człowieka. A kiedy okazało się, że to coś innego ...popeliłem błąd, nazywając zapiski bzdurami!

Nancy się rozpromieniła.

- No właśnie! Dopóki mówił rzeczy ogólnie przyjęte, normalne, wszystko rozumiałeś i uważałeś Hudsona za osobę przy zdrowych zmysłach, ale kiedy zaczęły się niezwykle wydarzenia, rzeczy, które ci się wymykały, uznałeś go za wariata! Tak właśnie funkcjonuje przeciętny umysł. Tylko nie waż się więcej pochopnie osądzać Hudsona, bo całe życie będziesz miał do czynienia z takimi dziwakami!

Podczas długiej jazdy taksówką do szpitala starannie unikali jakiegokolwiek nawiązywania do zagadki, z którą się borykali.

Rozmawiali o studiach Bobby'ego. Jaki przedmiot lubi najbardziej?

Wzdrygnęła się, kiedy zaczął zachwycać się anatomią.

- Można się do tego przyzwyczaić - zapewniał. - A stary Huber to prawdziwy król. Traktuje biednych nieboszczyków jak krewnych. Założę się, że gdyby niektórzy z nich otrzymali za życia tyle czułości, ile okazuje im Huber w laboratorium, żyliby dłużej... Na koniec semestru grzebie ich prochy, znaczy Huber... urządza tradycyjny pogrzeb z księdzem i

paciorkiem. Utrzymuje, że ci żebracy, niedorozwinięci i kryminaliści, jakimkolwiek ciężarem byli dla społeczeństwa, swoją posługą w laboratorium do końca spłacili wobec niego dług i należy im się godny pochówek... naprawdę wspaniały gość z tego Hubera!

Rozmowa stoczyła się na sprawy Nancy. Przyznała, że jest zaniepokojona. Dochodzą do niej pogłoski, że Joyce Hudson schodzi na złą drogę, a pani Hudson czuje się bezradna. Joyce jest widywana w nieodpowiednich miejscach i z nieodpowiednimi ludźmi.

- Czy myślisz, że można coś na to poradzić, Bobby? Przyjaźniłeś się z nią, prawda?

- Chyba tak - odparł obojętnie. - Nie widziałem się z nią już od roku.

- Może coś mi się ubzdurało, ale zawsze sądziłam, że Joyce się w tobie podkochuje. Zrobił lekceważący gest.

- Teraz nie, ale kiedyś chyba tak! Czy to powód, dla którego miałbym się w to mieszać? Ja nie jestem w niej zakochany. Nie, nie sądzę, żeby moje obowiązki względem doktora Hudsona obejmowały pilnowanie jego córki.

- Nie byłabym tego taka pewna - odparła Nancy. - Miałeś zamiar dokończyć za niego jego sprawy, a Joyce stanowi część tego zadania.

Bywało, że była całą jego pracą! Nie masz pojęcia, ilu rzeczy się dla niej wyrzekł. Nawet ożenił się, żeby utrzymać ją w ryzach.

- To na pewno nie było takie wielkie poświęcenie. - Bobby wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Nie widziałeś się z nią od tej pory?

- Nie próbowałem.

- Myślisz o niej czasem?

- Czemu pani o to pyta? - Tonem głosu dawał do zrozumienia, że w tej

chwili najchętniej zamknąłby między nimi drzwi. Nancy to wyczuła i wycofała się z zadawania dalszych pytań.

- Przepraszam, wybaczysz mi? Nie mam co robić, zabawiam się rozważaniami na takie tematy.

- Więc nie wolno mi pozbawiać pani tego zajęcia.

Nancy powiesiła płaszcze w szafie, przystawiła swoje krzesło obok Bobby'ego i razem zagłębili się na nowo w książce, umawiając się, że ona będzie czytać notatki literka po literce, a Bobby układać je w słowa.

- Najpierw niech mi pani pozwoli dokończyć część, którą już odcyfrowałem - powiedział, odkładając ołówek. - „Randolph wskazał inskrypcję zapytał: »Jak się to panu podoba?«

»Nic mi nie mówi - odpowiedział doktor Hudson. - Jeśli Bóg istnieje, to zapewne na tak zwanym zwycięstwie któregokolwiek z ludzi, które zawsze da się racjonalnie wytłumaczyć, zależy mu nie bardziej niż na zwycięstwie kapusty, co dobrze sobie radzi w żyznej ziemi.«

»Więc ma pan takie same powiązania z Bogiem jak kapusta! -zaśmiał się Randolph. -To dobrze!*

Zabrał się z powrotem do pracy, zręcznie uderzając dłutem. »Kiedyś też tak myślałem - ciągnął, na wpół do siebie. - Ale podjąłem się małego eksperymentu i zmieniłem zdanie.* Odłożył podbijak, wychylił się mocno do przodu i składając dłonie wokół ust, wyznał tajemniczym głosem:

»Miałem Go na linii!"

- Oszalał - mruknęła Nancy.

- Fe! - cmoknął Bobby z niezadowoleniem. -A co z teorią geniuszu?

Twierdzi pani, że może nim być doktor Hudson, a czemu nie Randolph?

- Racja! Mów dalej... ale brzmi to wariacko, prawda?

- Zdecydowanie... i niebezpiecznie, powiedziałbym! Najbardziej wyrachowany, szczwany bluźnierczy pomylenieć, jakiego można sobie wyobrazić. Proszę. To dokładna transkrypcja. Niech pani słucha:

„Ani jego zachowanie, ani ton nie wskazywały na to, że jest maniakiem; mówił cicho, płynnie, zachowując dystans wobec własnej wypowiedzi; nie miał nawyków, po których łatwo rozpoznać aberrację. "Zwycięstwo? Jak najbardziej! Teraz mam wszystko, co chcę, i mogę robić, co zechcę! Pan także! Każdy może to osiągnąć, trzeba tylko przestrzegać zasad. Jest na to przepis, wie pan? Natrafiłem na niego przypadkowo*. Podjął na nowo dłuto.

Był dziwny. Czuję się onieśmielony i zażenowany. Niewątpliwie niespełna rozumu, ale jego zachowanie temu przeczyło. Starłem się wciąż mieć na względzie fakt, że jest artystą, ma prawo do ekscentryczności, ale było w nim coś więcej niż zwykła choroba umysłowa. Przyprawiał mnie o ciarki. Chciałem wyjść. Zacząłem wycofywać się w kierunku drzwi, ale on zawołał:

- Doktorze, czy pan zwycięża?

- Zwyciężam nad czym? - zapytałem niecierpliwie... Nie powiedziałem mu, że jestem zniechęcony ani że jestem lekarzem... nigdy nie dowiedziałem się, w jaki sposób się tego domyślił, pytanie to przyćmiły zaraz sprawy jeszcze bardziej tajemnicze.

- A nad czymkolwiek, nad wszystkim! Posłuchaj pan!

Zszedł rażno z rusztowania i podkradając się chyłkiem w moim kierunku, jakby miał za chwilę wyjawić jakiś wielki sekret, szepnął mi prosto do ucha, chwytając mnie mocno za kołnierz, co jeszcze wzmogło mój niepokój:

- Chciałby pan zostać najlepszym lekarzem w mieście?

I wtedy wiedziałem już na pewno, że jest szalony, zacząłem się więc szamotać, chcąc się uwolnić.

- Niech pan przyjdzie do mnie dziś wieczorem, koło dziewiątej - powiedział, wręczając wizytówkę. - Powiem panu wszystko, co pan powinien wiedzieć.

Musiałem wyglądać na oszołomionego, bo wspinając się po rusztowaniu, zaśmiał się, rozbawiony. Ja także się śmiałem, znalazłszy się na ulicy - sprawa inskrypcji zupełnie wyleciała mi z głowy. Nigdy w życiu nie usłyszałem tylu bredni na raz. »A niech mnie - burknąłem sam do siebie, uruchamiając samochód -jeśli zmarnuję wieczór na siedzenie z tym typkiem!""

- Ten tekst jest autentyczny, Bobby.

„O dziewiątej stałem przed drzwiami mieszkania Randolpha... Kiedy ktoś przeczyta te słowa,

nie będę już w stanie odpowiedzieć na pytanie, co skłoniło mnie do pojawienia się tutaj. I całe szczęście, ponieważ nie mam do powiedzenia nic ponad to (co spotka się zapewne z niedowierzaniem, a niejednego zawiedzie), że zostałem ściągnięty wbrew mojej woli... Nie planowałem iść, skłonił mnie do tego osobliwy przymus, nad którym nie umiałem zapanować... Tego wieczoru byłem w mieście na kolacji, wróciłem do domu o ósmej, natychmiast położyłem się do łóżka - raczej wbrew moim przyzwyczajeniom, bo nigdy nie chodziłem spać przed północą - i zacząłem czytać książkę, ale nie mogłem skupić się choćby na jednej linijce. Nie potrafiłem też oderwać oczu od zegara. Tykał coraz głośniej i głośniej, a moje serce biło coraz szybciej i szybciej, aż przestałem

odróżniać jedno od drugiego. W końcu napięcie stało się nie do wytrzymania, wstałem, ubrałem się pospiesznie, pobiegłem do samochodu i pojechałem do Randolpha, nie zwracając po drodze uwagi na znaki i rozgniewanych policjantów. W ustach miałem sucho, serce mi waliło."

- Jak się pani do tej pory podoba? - zapytał. Nancy z rezygnacją położyła łokcie na biurku, mocno zaciśnięte dłonie wbiła w policzki.

- Och, Bobby, czy to nie okropne?- wyszeptała. - Tragiczne!

- Już tak pani myśli. A to dopiero początek, dalej jest jeszcze gorzej. Spuścił wzrok na notatki.

„- Wcale nie miał pan zamiaru przyjść, prawda? - zapytał Randolph, odbierając ode mnie kapelusz.

- Nie - odparłem kwaśno.

- Tego się właśnie obawiałem - powiedział łagodnie. - Ale tak wyraźnie czułem, że chciałby pan ze mną porozmawiać, że...

- To właśnie chciałbym wiedzieć - zawołałem. -Co pan zrobił?

Uśmiechnął się skromnie, lekko, z zadowoleniem potarł dłoń o dłoń i powiedział:

- Cóż, szczerze pragnąłem, żeby pan przyszedł, a jak już panu mówiłem dziś rano, czegokolwiek szczerze zapragnę, to się dzieje! Chciałem, żeby pan tu przyszedł! I przyszedł pan.

Wskazał mi krzesło w urządzonym z niezwykłym smakiem salonie - chętnie z niego skorzystałem, bo kolana miałem jak z waty. Elegancko przedstawił swoją córkę, która po chwili nas przeprosiła i zostawiła samych. Poczęstował mnie cygarem, a potem nabił leniwie fajkę o długim cybuchu i przysunął swoje krzesło ku mnie. W atłasowej marynarce, z powolnymi ruchami, wydawał się artystą całą gębą - mocno posiwiały, z

krótką bródką a la Van Dyck, patrzył nieco nieśmiało i niepewnie szarymi jasnymi oczami - jednak niepodobna było uciec przed owym spojrzeniem. Nie marnował czasu na wstępy. Sięgnął do małego przybocznego stolika i wyjął Biblię w miękkiej skórzanej oprawie. Już wiedziałem, w co zabrnąłem. Gwałtownie podniosłem dłoń w geście protestu i powiedziałem twardo:

- Nie. To mnie nie interesuje!"

- Widzisz? - zawołała Nancy. - A nie mówiłam?

„Ku memu zdumieniu odłożył książkę na stół i w milczeniu, zamyślony, pykał fajkę, a potem odezwał się:

- Mnie też nie, tylko że mamy tu historię powstania wielkiego systemu religijnego. Jak mi się zdaje, to całkiem pożyteczna rzecz, ale nie obchodzi mnie zbytnio, poza jedną stroną.

Odchylając głowę mocno do tyłu za oparcie wysokiego krzesła, wypuścił kilka kółek z dymu.

- I wyjąłem sobie tę stronę... chciałem tylko pokazać panu ten konkretny egzemplarz Biblii. Kiedy wyskoczył pan ze swoją niecierpliwą uwagą, miałem właśnie powiedzieć, że w tym egzemplarzu Pisma nie ma tajemnej formuły mocy. Brakującą kartkę przechowuję osobno!

- Co jest na niej napisane? - spytałem, zły sam na siebie, że zdradziłem się z zainteresowaniem.

- Och - powiedział obojętnym tonem - to tylko przepis, jak dotrzeć tam, gdzie się chce, robić wszystko, co się chce, i być, kimkolwiek się zechce. Ale to pana nie interesuje, więc pomówmy o czymś innym.

- Co tam jest napisane?! - nalegałem, mój głos zabrzmiał jak pisk.

- Na pewno chce pan wiedzieć? - droczył się, pochylony w moim kierunku, przygważdżając mnie swoim spojrzeniem.

- Tak - warknąłem.

Następne słowa wypowiedział wolno, rzeczowo, jedno po drugim:

- Bardziej niż cokolwiek pragnął pan w życiu wiedzieć?

- Tak - przytaknąłem. I mówiłem prawdę.

- Niech pan powtórzy.

- Bardziej, niż cokolwiek pragnąłem w życiu wiedzieć! Jego zachowanie natychmiast się zmieniło.

- Świetnie! Teraz możemy rozmawiać.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął z niej morokinowy portfel. Wydobył z niego złożoną kartkę. Przeczytałem zawarte na niej słowa, a on starannie wyjaśniał ich znaczenie."

Trzeba było zobaczyć twarz Nancy, kiedy Bobby przerwał czytanie i spojrzał jej w oczy.

- Jest pani gotowa na całkowity nokaut? - spytał. - Jeśli tak, oto następny akapit.

„Wyszedłem od Randolpha o czwartej rano, a kiedy wreszcie wstrząśnięty, zanurzyłem się w ciemność, wiedziałem, że oto moje życie zmieniło się na zawsze. Wszystkie sukcesy w moim życiu zawodowym datują się od tej godziny i należy je tłumaczyć jedynie ową tajemną formułą, którą tamtej nocy przekazał mi Randolph."

Zapadła długa cisza.

- To już prawie wszystko, co przeczytałem - powiedział Bobby.

- I tak dość! - Głębokie westchnienie Nancy świadczyło o jej rezygnacji.

- Dajmy sobie na dziś spokój. - Wstał i spojrzał na zegarek. - Wiemy, że

doktor Hudson napisał to, kiedy był przeciążony pracą, półżywy ze zmęczenia, może miał halucynacje, słyszał głosy. Może nie powinniśmy w ogóle tego czytać. To nie w porządku wobec jego pamięci. Odlóżmy to i zapomnijmy, że zabrnęliśmy aż dotąd, dobrze?

Nancy w zadumie bębniła palcami po stole.

- Ciekawe, co było na tej stronie! Zaśmiał się.

- Jak doktor Hudson! Teraz i pani zadaje to pytanie! I muszę przyznać, że sam chciałbym wiedzieć! - Chwycił ją mocno za ramiona. - I jakkolwiek byśmy się przed tym bronili i opierali, i tak, może pani być pewna, pewnego dnia znów zaczniemy się do tego dobierać, żeby się dowiedzieć, więc bądźmy wobec siebie uczciwi i odkryjmy to teraz! Co pani na to?

Pokiwała głową, nie patrząc na niego.

- Tylko uważajmy! To nas może wciągnąć tak jak jego! - Bobby zapalił papierosa i podszedł do okna z ręką w kieszeni. Odwrócił się i oparłszy się o parapet, przyglądał się jej uważnie.

- Mnie nie! Nie zrobię tego. Jednak nie mogę sobie pozwolić na babranie się w czymś takim. To nie dla mnie. Nie miałem pojęcia, że mogę być na to podatny. Jak pani chce, niech się pani dalej tym zajmuje, ja z tego rezygnuję. - Podniósł rękę z rozcapierzonymi palcami, odrzucając jakiegokolwiek słowa.

Nancy odezwała się chrapliwie.

- Nie dasz rady się od tego uwolnić! Zabrnąłeś za daleko. Dobrze o tym wiesz. Już cię wciągnęło. I wiem, że mnie także! Rozumiem, dlaczego poszedł tamtej nocy do domu Randolpha! Jest w tym coś..., coś nie do uniknięcia, jakaś forma szaleństwa, ale kiedy cię wzywa, kiwa na ciebie, przepadłeś. Pójdiesz jako pierwszy albo ostatni. Dziwne niewidzialne

macki wysuwają się i owijają wokół ciebie.... i podnoszą... i wciągają... i wloką za sobą...

- Nancy, niech pani przestanie!... To niedorzeczne!

Młody Watson wybrał najgorszy moment na otwarcie drzwi i wetknięcie głowy. Pani Ashford miała gościa i, jak uznał, oboje pracowali nad czymś w wielkim napięciu... burza mózgów, ot co! Zorientowawszy się, że przybył nie w porę, zaczął się pospiesznie wycofywać, ale Nancy zawołała:

- Proszę wejść! Pamięta pan pana Merricka?

- Oczywiście - wyciągnął dłoń. - Nie sposób zapomnieć - stoczył najbardziej zaciekłą walkę z zapaleniem płuc, jaką kiedykolwiek widziałem! A teraz, jak słyszę, ma pan potyczki ze starym Grayem. Wyjaśnił pani Ashford, po co przyszedł.

- Pan Folsom. Tracimy go. Za godzinę lub dwie będzie nieprzytomny. Pytał o panią parę minut temu. Czy zechce pani się z nim zobaczyć? On nie ma tu nikogo bliskiego.

Nancy wstała, mamrocząc przeprosiny.

- Zaczekasz na mnie? Merrick skinął głową.

- Popracuję sam przez ten czas. Proszę się nie spieszyć. Nigdzie nie pójde. Drzwi zamknęły się za nimi cicho.

„Wyciągnąłem chciwie dłoń po rozłożony przez Randolpha kawałek papieru, ale on pokręcił głową.

- Jeszcze nie - powiedział, uśmiechając się na widok mojego zapału. -

Naprawdę chcę, żeby to pan zobaczył, ale najpierw muszę panu coś powiedzieć. Ta strona zawiera przepis na osiągnięcie tajemniczej mocy, o której wspominałem. Wypełniając co do litery owe instrukcje, może pan

otrzymać, czego pan tylko zapragnie, zrobić, co pan tylko zamarzy, stać się, kimkolwiek pan zechce. Wypróbowałem to. Działa. W moim przypadku. W pańskim na pewno też.

Połączenie niecierpliwości i niedowierzania skłoniło mnie do urywanego śmiechu, czego nawet nie miał mi za złe.

- Widział pan rzeźbę, nad którą pracowałem, kiedy pan przyszedł?

- Piękna! - wykrzyknąłem szczerze.

- Tak bardzo się panu podoba? - ucieszył go mój zachwyty.

- To niewątpliwie arcydzieło!

- Może powinienem być panu bardziej wdzięczny za ten komplement, ale tak naprawdę niewiele

mam z tym wspólnego... Może zaciekawi to pana -jeszcze trzy lata temu byłem zwykłym kamieniarzem, wycinałem według szablonu litery na nagrobkach. Od dzieciństwa nosiłem w sobie ambicje wykonania jakiejś znaczącej pracy w kamieniu. Ale nigdy nie miałem ani pieniędzy na naukę, ani czasu na eksperymenty. Nieudolne i pospieszne próby podejmowane od czasu do czasu potęgowały jedynie zniechęcenie.

Pewnego dnia poszedłem do kościoła, do którego chodziła moja mała, i usłyszałem, jak ksiądz czyta, słowa z tej właśnie stronicy. Było oczywiste, że nic dla niego nie znaczą, bo wymawiał je monotonnym, drewnianym głosem. A wierni siedzieli ze szklanymi spojrzeniami, czytane zdania najwyraźniej nie robiły na nich absolutnie żadnego wrażenia. Mną jednak wstrząsnęły do głębi. Wysiedziałem do końca nabożeństwa jak na mękach, bo chciałem jak najszybciej pójść gdzieś, gdzie mógłbym spokojnie pomyśleć.

Pognałem co sił do naszego małego pustego domku i z niemałym trudem,

bo nie znałem Biblii, odnalazłem słowa, które czytał kapłan. Był to, czarno na białym - dokładny przepis zdobywania mocy sprawczej i osiągnięcia wszystkiego, czego się zapragnie! Przeprowadziłem próbę."

W drzwiach pojawiła się czujna i zmartwiona twarz Nancy.

- Bobby - powiedziała cicho - nie chcę zostawiać cię samego na tak długo, ale mój pacjent potrzebuje kogoś, kto potrzyzyma go za rękę. Muszę przy nim trochę posiedzieć.

- Bardzo słusznie - zgodził się, rzucając w jej kierunku zaledwie przelotne spojrzenie. - Niech pani przy nim zostanie i nie martwi się o mnie.

Może po pani powrocie będę miał coś ważnego do powiedzenia. Wygląda na to, że wielka tajemnica lada moment się wyda.

Zawahała, się i już chciała zadać pytanie, ale zobaczywszy, jak bez reszty pochłania go praca, wyszła i cicho zamknęła za sobą drzwi.

„Z tymi słowy Randolph wręczył mi ową magiczną stronicę. Około dwudziestu linijek było grubo podkreślonych czerwonym tuszem. W milczeniu palił fajkę, kiedy przebiegałem wzrokiem tajemne akapity, a gdy pytająco podniosłem na niego wzrok, powiedział:

- Ma się rozumieć, nie pojmie pan całej wagi tych słów natychmiast.

Wygląda to bardzo prosto, bo wypowiedziano tę słowa spokojnie, bez orator-skiego zadęcia., bez przydługich wstępów, obiecujących, że za chwilę padnie formuła, będąca kluczem do mocy!

Przysunąwszy jeszcze bliżej krzesło, położył szczupłą dłoń na moim kolanie i spojrzał mi prosto w oczy.

- Doktorze Hudson, jeśli pan ma mały niewygodny ceglany dom, a chciałby pan więcej przestrzeni, czego będzie pan potrzebował do rozbudowy? Cegiel. Jeśli pan ma mały, nieprzydatny do niczego silnik

parowy, potrzebuje pan stali, żeby skonstruować większe cylindry - a nie innego materiału, żeby uzyskać inną parę. Dalej, jeśli ma pan małą niepozorną osobowość, a chciałby pan dać jej szansę i stać się kimś bardziej wartościowym, gdzie poszuka pan materiału do rozbudowy? Wyraźnie czekał na odpowiedź, więc zacząłem z niego kpić.

- Wedle pana logiki, musiałbym zbudować ją z innych osobowości. Czy do tego pan zmierza?

- Dokładnie! - zawołał - ale nie z., tylko w... cieszę się, że pan to powiedział, bo dzięki temu mogę precyzyjnie pokazać panu różnicę między właściwym a niewłaściwym wykorzystywaniem osobowości innych ludzi w celu ulepszenia własnej... Każdy instynktownie czuje, że jego osobowość kształtują inni. Większość ludzi mówi i zachowuje się jak osoby, które im imponują, imitujemy sposób chodzenia jednego, intonację, śmiech czy gesty innego - robiąc z siebie zwykłe małpy... Teoria, o której mówię, nie wymaga budowania własnej osobowości z innych osobowości, ale w innych osobowościach!

- Obawiam się, że to dla mnie za trudne - wyznałem.

Wstał i zaczął przechadzać się tam i z powrotem przed kominkiem, potrząsając rozwichrzoną siwą czupryną i wymachując fajką, jakby to pomagało w lepszym objaśnianiu.

- Widzi pan. Wie pan wszystko o przetaczaniu krwi. To pana zawód. Znakomicie! Jeden człowiek wprowadza życie w drugiego człowieka. Doktorze, jak pan przeprowadza transfuzję? Proszę opowiedzieć ze szczegółami!"

Merrick zerknął, kiedy drzwi się otworzyły.

- Umarł? - spytał rzeczowo. Nancy pokiwała głową.

- Co się działo od czasu mojego wyjścia? - spytała, przysuwając sobie krzesło.

Podsunał jej notatki i obserwował wyraz jej twarzy.

- No więc, jaki jest najlepszy sposób przetaczania krwi? Zobaczmy, ile na ten temat wiesz!

- To dość proste, poza jedną rzeczą. Krew w drodze od dawcy do odbiorcy nie może ulec

koagulacji. Trzeba ją zabezpieczyć przed jakimkolwiek zewnętrznym kontaktem.

- Bobby, co było na tej stronie?

- Jeszcze nie wiem.

- Czy myślisz, że kiedykolwiek się dowiemy?

- Wcześniej czy później musi się to wyjaśnić. Czytajmy dalej. Wydaje mi się, że jesteśmy już blisko.

Nancy chwyciła ołówek i pisała to, co pospiesznie dyktował Bobby.

„Pokrótce wyłuszczyłem zasadę transfuzji i Ran-dolph wyglądał na wielce zadowolonego, zwłaszcza kiedy wspomniałem o problemie koagulacji.”

- Zuch z ciebie, Bobby - zawołała Nancy. - Wiedziałeś! Skwitował jej złośliwością grymasem i dyktował dalej.

„- Zauważy pan - powiedział, wskazując kartkę w mojej dłoni - że pierwszy krok do uzyskania mocy polega na ekspansji - projekcji własnego ja na innych osobowościach. Musi być to uczynione w całkowitej tajemnicy, tak więc, jeśli w jakikolwiek sposób kontakt przestaje być bezpośredni i natychmiastowy, jeśli przypadkiem nastąpi przeciek na linii przekazu - wszystko na nic! Działać trzeba ukradkiem, żeby nawet twoja lewa ręka...”

Nancy rzuciła nagle ołówek na biurko i wyprostowała się na krześle.

- Bobby! Mam! Wiem, gdzie tego szukać!

- Mamy pod ręką Biblię?

- Obawiam się, że nie.

- No to musimy poczekać. Proszę pisać dalej.

„Randolph usiadł i znizywszy głos, mówił dalej.

- Panie Hudson, kiedy spróbowałem tego po raz pierwszy... mogę panu to opowiedzieć, bo i tak nic mi nie wyszło, choć kosztowało mnie to więcej, niż było mnie stać w tamtym czasie. Facet był tak wdzięczny, że opowiedział o wszystkim mojemu sąsiadowi, choć go zaklinałem, żeby nikomu nie mówił. Nie miał skąd wziąć pieniędzy, a w jego rodzinie od dawna panowała choroba. Był zbyt obdarty, żeby ubiegać się o jakąkolwiek pracę. Ubrałem go. Opowiedział o wszystkim. Sąsiad następnego dnia zaczął mi gratulować. Tak więc ponad sześćdziesiąt dolarów z moich ciężko zarobionych pieniędzy poszło w błoto!

- Jak to w błoto? - wykrzyknąłem w zdumieniu. - Jak to w błoto? Dostał pracę? Randolph westchnął.

- O, tak - odparł - dostał. Oczywiście cieszyłem się. Ale mnie nic z tego nie przyszło! Żeby pan wiedział, przy następnej tego typu inwestycji, powiedziałem temu człowiekowi, że jeśli kiedykolwiek dojdą mnie słuchy, że komukolwiek o tym powiedział, skręcę mu kark!"

- Słyszałeś kiedyś o czymś równie potwornym? - wybuchnęła Nancy. - Czy możesz sobie wyobrazić tak demoniczny egoizm? Żeby robić to wszystko dla własnej korzyści! Nie chciał nawet wdzięczności bliźniego! I myślał, że w ten sposób osiąga łączność z Bogiem! Ciarki mnie przechodzą!

- Nie zapominajmy, że jest opętany przez urojenia.

- Raczej przez diabła!

- Może doktor Hudson jakoś to wyjaśni... Kontynuujmy.

„Zaśmiał się radośnie na wspomnienie owego wydarzenia.

- Człowiek myślał, że zwariowałem! - dodał, ocierając sobie oczy.

- A nie zwariował pan? - spytałem tonem, który miał go otrzeźwić.

- W rzeczy samej, brzmi niedorzecznie, prawda? To znaczy, kiedy po raz pierwszy się pan z tym styka. Wcale się nie dziwię, że jest pan zdumiony.

- Nie tylko zdumiony - przyznałem bez ogródek

-jestem zde gustowany!"

- Ja także! - wtrącił Bobby jednym tchem, kończąc zdanie.

„- I nic w tym dziwnego - przyznał Randolph

- gdybym próbował w ten sposób uzyskać moc po to, by zebrać fortunę na własne przyjemności. Ale ja chciałem uwolnić ukryte we mnie zdolności do dokonania czegoś wspaniałego! A co do pańskiego oburzenia, że

poprosiłem tego człowieka, by nikomu nie mówił, co dla niego uczyniłem

- jeśli to się panu nie podoba, nie polubi pan Boga! Bo On często mówił takie rzeczy ludziom, którym pomagał.

- Z pewnością nic o tym nie wiem - powiedziałem. - Nie jestem zaznajomiony z Jego słowami... proszę mówić dalej.

- Dziękuję... Ale najpierw niech pan pozwoli, że wprowadzę pana głębiej w ogólny zamysł. Jeszcze tej samej nocy uczyniłem pierwszą udaną próbę rozszerzenia mojej osobowości - nie mogę podać szczegółów, nie ośmieliłbym się, ale dosłownie zamknąłem się w domu w szafie. To kolejny krok, jak pan przeczytał. Widzi pan, podszedłem do całego przedsięwzięcia bardzo poważnie, a ponieważ zepsułem już jedną próbę,

postanowiłem trzymać się wszystkich zasad bardzo dosłownie...

Potem odkryłem, że formuła działa nie tylko wtedy, gdy zamknę się w szafie. Ważne, żeby się odizolować.

- Och, panie Randolph! Na litość boską! - wybuchnąłem - Cóż to za bajki!"

- Świetnie - przerwała Nancy. Najwyższa pora, żeby go sprowadził na ziemię.

„- Przyznaję, że rozumiem - powiedział Randolph ze zniecierpliwieniem - dlaczego tak trudno to panu przyjąć! Przecież nie stoi to w sprzeczności z zasadą doświadczania przez nas jakiegokolwiek innego rodzaju energii.

Albo będziemy przestrzegać pewnych zasad, albo jej nie otrzymamy. Na co zdałaby się bateria Wolta czy dynamo Fara-daya, gdyby Du Fay nie odkrył izolacji zabezpieczającej przed rozproszeniem prądu, które następuje dlatego, że po drodze, zanim dotrze do obiektu, do którego jest wysyłany, ma kontakt z innymi przedmiotami? Większość osobowości jest, można powiedzieć, uziemionych. Oto, co im dolega!

Wszedłem więc do szafy, zatrzasnąłem drzwi, zamknąłem oczy, w skupieniu wprowadziłem się w stan duchowego otwarcia i poufnie zwróciłem się do Najwyższej Osobowości: Wypełniłem wszystkie wymagane warunki, by uzyskać moc! Jestem gotowy na jej przyjęcie! Pragnę tego! Pragnę stworzyć choć jedną niewiarygodnie wspaniałą rzeźbę!

Może pan pomyśleć, że doświadczyłem tylko osobliwego złudzenia. Jako człowiek nauki uzna pan, że stan mojego umysłu da się łatwo wyjaśnić według dobrze znanych prawideł psychologii. Nie będę miał niczego za złe. To, że proces uzyskiwania mocy poprzez rozszerzenie ludzkiej

osobowości da się wytłumaczyć w kryteriach naukowych, wcale nie umniejsza, według mnie, jego wartości. Śmiem nawet twierdzić, że pewnego dnia nauka uczyni z tego obiekt badań.

Jednak - czy to wytłumaczalne, czy nie - mogę z pełną uczciwością zapewnić, że po eksperymencie w szafie otrzymałem - tak wyraźnie, jakbym został porażony prądem albo oślepiiony światłem po otwarciu szczelnie dotąd zamkniętego pomieszczenia - dziwną wewnętrzną jasność! Była głęboka noc. Wyszedłem z ciemnej, dusznej, małej szafy z poczuciem, że jestem mistrzem. Nagle wyprostowałem się, zacisnąłem szczęki, mój krok stał się sprężysty. Chciało mi się śmiać! Próbowałem zasnąć, ale zorientowałem się, że to daremne, i aż do świtu przechadzałem się ulicami. O wpół do dziewiątej poszedłem do kierownika fabryki i poprosiłem o sześciomiesięczny urlop. Kiedy zapytał o powód, powiedziałem, że pragnę rozpocząć pracę nad rzeźbą.

»Czy to będzie z pożytkiem dla firmy?«* zapytał.

»Jestem tego najzupełniej pewien*« odparłem, zdumiony własną pewnością siebie. Nie dość, że postanowiłem przeżyć pół roku bez zarobku, to jeszcze uczyniłem śmiało zobowiązanie wobec kierownika. Ten zastanawiał się przez chwilę, a potem rzekł:

»Dam panu szansę. Na razie będzie pan otrzymywał dotychczasowe wynagrodzenie, przydzielę też panu pracownię. Jeśli stworzy pan coś, co będziemy mogli zaproponować klientom, otrzyma pan procent ze sprzedaży. Ustalenie godzin pracy należy do pana. Życzę powodzenia.*

Uskrzydłony i podekscytowany, natychmiast zabrałem się do roboty. Glina dosłownie ożywała w moich rękach! Pierwszy dzień był jak objawienie. Czułem się, jakbym dopiero zaczął żyć. Wszystkie barwy wydawały się

intensywniejsze. Niech pan to

zapamięta, Hudson. Ciekawe, czy pan będzie reagował tak samo. Trawa staje się zieleńsza, niebo bardziej błękitne, śpiew ptaków wyraźniejszy. Zmysły wyostrzają się jak po kokainie.

Tego wieczoru znów zamknąłem się w szafie i natychmiast odczułem niezwykłą bliskość między mną a Tym Drugim, kontakt przebiegał już jednak spokojniej niż poprzedniego dnia. Doszedłem do wniosku, że jeśli mam w ten sposób uzyskać jeszcze więcej mocy, muszę odpowiednio przystosować mój duchowy mechanizm.

Był to piątek, dziesiąty czerwca. Pierwszego września zaprosiłem kierownika, żeby obejrzał gotową formę. Przyglądał się jej długo, w milczeniu. Potem odezwał się cicho: »Znam osoby, których może to zainteresować*.

Wyrzeźbiłem postać dziecka - pyzatego, około czteroletniego chłopczyka. Klęczy na jednym kolanku. Właśnie podnosi się po zabawie z piaskiem, który stoi tuż obok niego z piłeczką w pysku, napięty i czujny, czekając, aż malec zwróci na niego uwagę. Dziecko miało rozpiętą pod szyją koszulkę, krótkie spodenki i szelki, gołe nóżki. Patrzyło prosto przed siebie, ze zmarszczoną w zdumieniu, oczarowaniu i zaciekawieniu twarzą. Małą pulchną rączką przysłaniało oczy przed oślepiającym światłem, przechylało główkę, jakby usłyszało coś, czego nie zrozumiało, i nasłuchiwało, czy głos znów się nie odezwie.

Następnego dnia kierownik przyprowadził klientów - mężczyznę i kobietę. Ona była ubrana na czarno. Niedawno stracili synka. Kobieta wybuchnęła rozdzierającym płaczem, ale po chwili się uśmiechnęła. Poczuliśmy się wtedy bardzo szczęśliwi - wiedziałem, że udało mi się wyrazić to, co

zamierzałem.

Poproszono mnie, żebym pracował dalej, i wykonałem rzeźbę w białym marmurze... Traf chciał, że ludzie ci zaadoptowali chłopczyka, który mi pozował.

Wyszedłem od Randolpha około czwartej. Wypełniało mnie wzniosłe oczarowanie. Poszedłem do domu z postanowieniem, że przeprowadzę podobny eksperyment. Zanim położyłem się do łóżka, próbowałem nakierować myśli na odległe duchowe źródło, ale nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Doszedłem do wniosku, że zostałem haniebnie omamiony przez dziwaka i przy goleniu skrzywiłem się do własnego odbicia w lustrze. Tylko wizjoner mógłby robić takie rzeczy z nadzieją na jakiegokolwiek powodzenie, a ja, z racji zawodu, jaki wykonywałem, i charakteru, byłem materialistą i nie ulegałem emocjom. Jednak, jak sobie uświadomiłem, cały dzień w głębi duszy niezmiernie poszukiwałem odpowiedniego materiału klinicznego, który posłużyłby do przeprowadzenia próby rozszerzenia osobowości. Najdziwniejsze jednak w stanie mojego umysłu było to, że moc, po jaką po omacku i nieświadomie zacząłem wyciągać rękę pod wpływem Randolpha, nie była zwykłym zadowoleniem wynikającym z poczucia, że wreszcie stanę się kimś ważnym, czy zaspokojenia własnej próżności... Po raz pierwszy mój zawód jawił mi się nie jako narzędzie obrony, ale wyzwolenia własnej osobowości!

Już przy drzwiach Randolph wypowiedział takie oto ostrzeżenie:

"Przyjacielu, niech pan zważa, w jaki sposób się pan w to angażuje! Nie wiem, jaką karę przynosi ta energia, jeśli jest niewłaściwie użytkowana... Nie mam pojęcia, co przydarzyłoby się Galilejczykowi, gdyby zamienił

kamienie w chleb! Ale ostrzegam! Jeśli ma pan zamiar się tym zajmować po to, by uwić sobie przytulne

gniazdko, niech lepiej da pan sobie spokój... Nie mam pewności, ale przypuszczam, że igranie z tym może być bardzo niebezpieczne!*

Niniejszym przekazuję moje doświadczenia jako potencjalnie użyteczne dla kogoś, kto z ciekawości pokusi się o odszyfrowanie tego dziennika.

Ufam, że dostatecznie jasno wyjaśniłem powody, jakie skłoniły mnie do zastosowania tej niecodziennej formy. Gdybym zaryzykował opisanie moich eksperymentów wprost, uznano by mnie za szaleńca i ucierpiałaby na tym moja reputacja. Nie mam ani jednego przyjaciela, któremu mógłbym bez skrepowania to wszystko opowiedzieć. Ten sekret mi ciąży, ale jak się okazuje, wyznać to wszystko, nawet mając świadomość, że niniejsze słowa nie zostaną najprawdopodobniej przeczytane za mego życia, jest równie trudno, jak zachować tajemnicę. Nie chciałbym zostać uznany za głupca, ani za życia, ani po śmierci.

Kimkolwiek jesteś, być może zechcesz czytać dalej. Może nabrałeś ochoty, by przeprowadzić podobny eksperyment, a może powoduje Tobą jedynie ciekawość. Tak sobie myślę... czy, jeśli się teraz uśmiechasz, to byłoby zbyt wiele prosić Cię, byś zaniechał lektury w tym miejscu?

Niektóre z opisanych tu eksperymentów wiele dla mnie znaczyły w sensie uczuciowym. Nie chciałbym, żeby ktoś z nich szydził. Jeśli ta opowieść do tej pory ani trochę Cię nie wciągnęła, proszę, nie czytaj dalej i nie zaprzataj sobie tym więcej głowy. Jeśli jednak naprawdę chcesz zrobić następny krok, pozwól, że udzielię Ci ostrzeżenia, takiego, jak Randolph udzielił mnie: Będiesz odbiorcą dużego napięcia! Gdy raz tego dotkniesz, nigdy nie zdołasz się uwolnić. Jeśli należysz do ludzi, którzy nie potrafią

wykonywać swej pracy bez pochwał - a wielu niewątpliwie bardzo wartościowych ludzi tak właśnie jest skonstruowanych i nic na to nie poradzą, podobnie jak ktoś wysoki nic nie poradzi na to, że jest wysoki - odłóż to i idź własną drogą. Bo jeśli zrobisz choć jeden krok, zwiąże Cię to na zawsze! Weźmie w zastaw wszystko, co do tej pory uważałeś za Twoją własność, będzie dysponować Twoim czasem, choć wolałbyś spożytkować go dla siebie. To drogo kosztuje. Mężczyznę, który to po raz pierwszy zastosował, zaprowadziło do śmierci na krzyżu w wieku trzydziestu trzech lat!"

Merrick odsunął papiery i odwrócił się powoli, żeby spojrzeć na Nancy, ale ich wzrok się nie spotkał. Oboje czuli się niezrozumiale zakłopotani wzajemną obecnością i wiele minut siedzieli w milczeniu... W końcu odezwał się Bobby:

- „Zwiąże cię to na zawsze” - powiedział. - Raz w to wejdiesz, przepadłeś. Hudson przez swoją śmierć związał mnie ze sobą na zawsze, i pewnie byłby z tego zadowolony.

Nancy wstała i położyła mu swe doświadczone dłonie na ramieniu.

- To dobre miejsce, żeby zakończyć czytanie, nie sądzisz?

Przytaknął. Jutro spędzą razem godzinkę albo dwie. Umówił się z dziadkiem na obiad. Tom Masterson też miał przyjść.

- Chciałbyś zabrać notes?

- Rzućmy monetą!

- Reszka!

Plasnął pieniążkiem o dłoń.

- Przykro mi, Nancy... jutro przyniosę go z powrotem.

Rozdział dziewiąty

- Dziadku - odezwał się Bobby, wolno obracając w ręku kieliszek - opowiedz Tomowi, jak ty i pan Anderson zarzynaliście świnie w Country Clubie.

Rozmowa stawała się zbyt poważna. Masterson, kiedy ogarniał go błogostan, popadał w irytujący dydaktyzm. To, co mówił, było mądre, ciekawe, oryginalne, ale zbyt dogmatyczne jak na obiad w Święto Dziękczynienia.

Poprzez szereg dygresji zeszli na temat podziałów społecznych w Ameryce - Masterson przewodził wycieczce, a po drodze wskazywał wszelakie interesujące fakty. Bobby wolał zmienić temat. Stary Nicholas miał własne zdanie co do tego zagadnienia. Nie wyraziłby go pewnie z taką mocą, z jaką w nie wierzył, jednak mimo wszystko nie należy zachęcać Mastersona do zbyt gwałtownego okazywania emocji, których nie podzielał jego miły gospodarz.

Czemu nie może istnieć klasa dobrobytu? Leni, jeśli wolicie? To jedyny znak świadczący o tym, że Ameryka wzrasta, choćby nieznacznie, w kilku ograniczonych aspektach. Czyż nasz typ demokracji nie jest niebezpieczny? Referendum, też coś! Czy przeciętny wyborca ma o czymkolwiek

pojęcie? Każdy wielki naród osiągnął swą chwałę dzięki przywództwu grupy intelektualistów, stanowiących mniejszość.

Masterson mówił i mówił, niemal przemawiał, a skronie mu płuły. Teraz Bobby postanowił nieodwołalnie zmienić temat.

Stary Nicholas nie zgadzał się z wieloma poglądami Mastersona, ale bardziej niż ich treść przeszkadzała mu forma ich wyrażania, a jeszcze bardziej - sposób, w jaki ów młodzieniec pił wino.

Meggs przyniósł zapomnianą butelkę pierwszorzędnego burgunda. Starszy Merrick uważał, że takie wino zasługuje, by je pieścić, podziwiać jego barwę, wdychać bukiet, odtwarzać historię. Trzeba je sączyć kropla po kropli. Cieszyło go to, że Bobby wiedział, jak się do tego zabrać. To płynne promienie słońca, promyki, które ogrzewały rozkoszne brzegi Rodanu w spokojnych dniach przed wojną. Nie uchodzi wychylać zawartości kieliszka jednym haustem. Masterson pił wino duszkiem. Miło patrzeć na Bobby'ego, jak przymyka oczy, gdy jego usta dotykają brzegu kieliszka - jakby właśnie przyglądał się wesołej gromadzie bosonogich dziewcząt ugniatających winogrona w cieniu jakiejś prowansalskiej winnicy. Chłopak dorośleje, pomyślał stary Nicholas. Nabiera postawy i gestów mężczyzny.

- Bobby co jakiś czas prosi mnie o tę historię - odpowiedział spokojnie. - Opowiadałem ją na jego życzenie już wiele razy.

- Za każdym razem staje się coraz lepsza - wtrącił Bobby z uznaniem.

- Więc posłuchajmy! - zawołał Masterson, dużo bardziej gromko, niż zamierzał. Natychmiast postanowił naprawić ten błąd, kłaniając się niezwykle sztywno i dystygowanie w odpowiedzi na nieme pytanie Meggsa, i butelka ponownie z wahaniem, niechętnie przechyliła się nad jego kieliszkiem. Meggs starał się włożyć w ten gest odpowiednią dozę sceptycyzmu, ale dla gościa owa finezja ruchów okazała się zbyt subtelna.

- No - odezwał się Nicholas, odchrząkując - to było tak. Trzeba wam wiedzieć, że w miejscu, gdzie teraz znajduje się Axion, były kiedyś tylko pastwiska. Jako dzieciaki Joe Andersen i ja zawarliśmy umowę z ludźmi z osady, że latem będziemy co rano wyprowadzać ich krowy na pastwisko i odprowadzać na wieczorne dojenie. Każda krowa była warta dolara

miesięcznie.

Na tych samych polach, gdzie jako piegowate wyrostki z posiniaczonymi i pokaleczonymi stopami spędzaliśmy całe dnie, strugając patyki do latawców, grając w chłopięce zabawy i przechwalając się funkcją kapitana w szkolnej drużynie baseballu - ja i Joe zbudowaliśmy potem kilka wielkich fabryk, które zmieniły krajobraz tej okolicy.

Fabryki zmieniły życie większości mieszkańców. Wiele osób, których sytuacja materialna była raczej skromna, dorobiło się niezłych pieniędzy. Zbudowali imponujące domy, a ich dzieci otrzymały szansę zrobienia kariery. Po pewnym czasie miejsce to zmieniło się nie do poznania - jeszcze trudniej było rozpoznać niektórych ludzi.

Chociaż pochłaniało nas prowadzenie interesów, Joe i ja pozostaliśmy dla siebie po prostu kumplami z dzieciństwa. Niektórzy sobie z tego żartowali. Zachowywaliśmy się tak jak za szczenięcych lat, licytując się, który szybszy, kto silniejszy, używając zwrotów z dzieciństwa: „Jak rany Amelcia, kurka, ale bomba!, a niech to cholewka”. Przyznaję, głupiutkie, ale sprawiało nam to przyjemność.

Zawsze w listopadzie pomagaliśmy ojcom w uboju knurów. W tamtych czasach każda rodzina miała w chlewiku kilka tuczników. Kiedy byliśmy już nastolatkami, obowiązek corocznego uboju należał głównie do nas i zazwyczaj łączyliśmy siły, obierając na miejsce pracy farmę Andersenów, ponieważ mieli do tego lepsze warunki. Staliśmy się doświadczonymi rzeźnikami i byliśmy z tego bardzo dumni. Dziś powiedziałbym, że nasi ojcowie celowo wychwalali nas pod niebiosa w nadziei, że wśród tych wyrazów uznania nie zauważymy, z jaką ulgą zrzucają na nas tę robotę. Pewnego dnia wiele lat później Joe i ja zrobiliśmy sobie wolne od

ważnych spraw i jedliśmy razem lunch w klubie za miastem. Był to nowiusieńki lokal, prosto spod igły, otwarty dopiero przed tygodniem. Jedyną naturalną przeszkodą na polu golfowym obok był niewielki strumyk, w którym Joe i ja jako dzieciaki łowiliśmy raki i „strzelby”. Nikt nie mówił poprawnie, „strzeble”. Wzgórze, na którym stał ów nowy klub, porastał lassek. Joe i ja siadywaliśmy sobie tam kiedyś na powalonym drzewie, oganiając się od komarów i wyglądając szarych wiewiórek. Joe miał stary, ładowany przez lufę sztucer. Niebezpieczna była to zabawka, swoją drogą. To dziwne, że w ogóle żyjemy, przynajmniej kilkanaście razy jeden drugiego o mało nie zastrzelił.

Siedzieliśmy tam i było nam dobrze. Wspominaliśmy dawne czasy. Wydawało się nam niepojęte, że można siedzieć w tym miejscu przy stole z litego mahoniu okrytym weneckimi serwetami, które spływały słodko spod srebrnej grawerowanej zastawy... Wszyscy członkowie klubu mieli mnóstwo pieniędzy, a sam budynek zbudowano i wyposażono, nie licząc się z kosztami. Oszalałymi snobizm. Służących wtajemniczono, że to jedno z najlepszych miejsc tego typu. Obawialiśmy się jednak, że lada chwila będzie tu stanowczo zbyt pretensjonalnie. Właściwie wszyscy miejscowi należący do klubu wywodzili się z całkiem skromnych rodzin, tak jak Joe i ja - martwiliśmy się, że stara demokracja upada. Dotarło już do nas, że nawet jeśli przypadkiem dorobiliśmy się fortuny, to nie musimy od razu z tego powodu robić z siebie angielskich lordów.

Przy sąsiednich stolikach siedział drugi wychów Axionitów obojga płci, rozprawiając o polo, derby, regatach, polowaniach na głuszce w Szkocji, i doszliśmy do wniosku, że należałoby poprawić ogólną atmosferę miejsca.

Zaczęliśmy więc opowiadać, jak to wspaniale bawili się chłopcy i dziewczęta z Axion, zanim pojawiły się automobile i przepłoszyły z dróg konie, wypędziły krowy z pastwisk, żeby było gdzie grać w golfa.

Następnie jeden z nas wspomniał o uboju.

Joe przypomniał, że kiedyś urządziliśmy zawody, kto szybciej rozbierze świnie. Doskonale pamiętałem to zdarzenie, ale byłem pewny, że to ja wygrałem niewielką nagrodę, jaką wtedy ustanowiliśmy. Joe oponował tak żarliwie, że przyciągnął uwagę ludzi z sąsiednich stolików, których ogarnęła groza. Kiedy zobaczyliśmy, że zebrała się całkiem pokaźna widownia, uprzejmie kontynuowaliśmy naszą debatę, głównie dla ich przyjemności. W końcu założyliśmy się o tysiąc dolarów, o to, który pierwszy oprawi tuczniaka. Zaczęto nas namawiać, żebyśmy przeprowadzili konkurs w sali grillowej, i wyciągnięto nawet zeszyt, w którym, jak się potem dowiedziałem, zapisywano zakłady sięgające isticie astronomicznych sum.

Wydarzenie wpisano do klubowego kalendarza. Nie wciągnęło to raczej młodzieży, ale starsi szczerze się zapalili. We wtorek po drugim śniadaniu nikt nie stawił się w swoim biurze, jeśli takowe posiadał. Dostarczono dwie żywe dorodne świnie w klatkach. Na podłodze grillowni rozścielono brezent, ja i Joe rozebraliśmy się do naga i włożyliśmy fartuchy rzeźnicze. Zademonstrowaliśmy wszystkie etapy, od zarzynania po produkcję kiełbasek. Dowiedzieliśmy się potem, że cały budynek trzeba było wyszorować, od fundamentów aż po dach. Jeszcze po wielu dniach na schodach znajdowano tłuszcz, szczecinę w zupie i kawałki skóry w dywanach.

- Czy w klubie zapanował bardziej demokratyczny duch? - spytał ze

śmiechem Masterson. Stary Nicholas potrząsnął głową i uśmiechnął się.

- Nie, nie sędzę. Kiedy raz odrzucisz prostotę życia, nie wskrzesisz jej już ani nawet nie umiesz cieszyć się wspomnieniem zwykłych przyjemności. Łatwo przejść od kukurydzianego chleba do puddingu śliwkowego, ale z powrotem wiedzie długa droga!

- Co pan sądzi o naszym drugim młodym pokoleniu, panie Merrick? - spytał Masterson.

- To znaczy twoim i Bobby'ego? Jesteście trzecim pokoleniem, licząc od mojej generacji. Cóż, myślę, że więcej można się spodziewać po was niż po waszych ojcach.

Nicholas powiódł wzrokiem w stronę Bobby'ego i ciągnął:

- Mamy tu na przykład młodego człowieka, który uczy się, żeby zostać lekarzem. Jego ojciec był amatorskim pogromcą jeleni. Kiedy Clif usłyszał historyjkę o oprawianiu tuczników w klubie, bardzo go to zafrapowało. Powiedziałem: „Ależ Clif, słyszałem twoje przechwałki, jak wspaniale umiesz wyprawić kozła”. „Tak - odparł - ale to zupełnie co innego”... I myślę, że miał rację - dodał Nicholas po chwili milczenia.

- Naszą rodzinę - w głosie Mastersona pobrzmiwał cynizm - dziwnym trafem jakoś ominęły utrapienia związane ze zgromadzeniem majątku. Mój ojciec jest redaktorem małej lokalnej gazety w Indianie. Jego ojciec był wiejskim lekarzem, a mój pradziadek z kolei metodystą-domokrażcą. Jedyne problemy z pieniędzmi pojawiały się, gdy brakowało ich na zapłacenie rachunków... Ale co do Bobby'ego... wiadomo, nie zachowuje się typowo dla swojej klasy. Jest tworem biologicznym... albo raczej fiskalnym?

Nicholas pograżył się w zadumie.

- Tak, przypadek Bobby'ego, jak mówisz, jest w pewnym sensie niezwykły.

Zmarszczone brwi Mastersona zwiastowały, że oto nastraja kotły na właściwą tonację i jeśli się go w porę nie powstrzyma, za chwilę znów się rozpędzi.

- Nie zajmujmy się teraz diagnozowaniem mojego przypadku - zaprotestował Bobby z dobrodusznym sarkazmem. - Poza tym ja jeszcze nic nie zrobiłem. To nie jest odpowiednia pora na poważne rozmowy. Dziadku, a może opowiesz Tommy'emu, jak ty i pan Andersen założyliście się, który w ciągu godziny wymłóci więcej słomy?

Masterson zerknął ukradkiem na zegarek, na czym przyłapał go stary Nicholas - i ignorując prośbę Bobby'ego, natychmiast odsunął krzesło, skierował się do przestronnej pracowni, gdzie stanął przy fortepianie i zaczął wpatrywać się w nuty.

- Jak leci ta Niedokończona symfonia, Bobby? Zagrasz to dla nas?

- Nie mam nastroju, dziadku, to za ciężkie. Potrzeba nam czegoś żywszego.

- A może, Neapolitańskie noce?

- Dobry numer, ale z kolei zbyt ckliwy jak na świąteczne popołudnie.

- To coś rytmicznego, co nas rozgrzeje - powiedział Nicholas, zanurzając się z pełnym zadowolenia westchnieniem w głębokim fotelu.

Masterson przysunął się do Bobby'ego i wymamrotał mu do ucha:

- Będę uciekać, myślisz, że twój dziadek się nie obrazi? Obiecałem wpaść do Gordonsa. Dziś jest taka specjalna rewia. Może ty też byś się wybrał?

- Kto będzie?

- No, wszyscy! Cała stara gromadka... którą już od miesięcy masz w nosie!

Bobby zastanawiał się przez chwilę, a potem impulsywnie i ku wielkiemu zdumieniu Master-sona, odpowiedział:

- Chyba przyjdę, Tommy. Mam znów ochotę ujrzeć jasne światła. Długo mnie tam nie było.

Masterson postukał nerwowo po politurze fortepianu. Potem opamiętał się nagle i powiedział z entuzjazmem:

- Brawo! Stary byku! Powiedzmy o tym dziadkowi i już nas nie ma... umówmy się dwadzieścia pięć po ósmej, zlądujemy tam o północy.

Odpowiednia pora.

- Miałeś zamiar kogoś zabrać?

- No cóż, owszem - przyznał Tom z wahaniem. - To znaczy, umówiłem się, że koło północy wstąpię po Joyce Hudson i potem ją odwiozę. Ale chyba ci to nie przeszkadza?

- Trochę tak! Nie chcę się wpychać na trzeciego, ale pojedę z tobą i spędzę wieczór w klubie dziadka... i tak muszę być tu rano... może zajrzę do Gordonsa. Zobaczymy.

Stary Nicholas z radością pozbył się obu chłopców. W ich obecności musiał pamiętać o świętych

obowiązkach gospodarza. Tymczasem późnym popołudniem w Tragedii w kabinie 33 doszedł do sceny wielce zagęszczającej intrygę i wprost wyłaził ze skóry, by jak najszybciej dowiedzieć się, czy pilot, związany i zamknięty przez hrabiego w garderobie, zdoła się wyswobodzić i ostrzec Amerykankę, zanim przybędzie motorówka ze spiskowcami.

- Czy ja chcę, żebyście poszli? - mruknął Nicholas, kiedy pobiegli na górę.

- Wielkie nieba!

Rozdział dziesiąty

Gordons! Kolorowy Gordons! Gordons, egzotyczny! Gordons o wpół do trzeciej nad ranem!... Rzęście oświetlony, tłoczny aż brak tchu, z duszącym papierosowym dymem, lepki od potu, rozbujany ginem, z pozostawianą wszędzie brudną zastawą i toastami wznoszonymi z namaszczeniem z piersiówek z monogramem, Gordons ogłuszający najnowszą muzyką przywiezioną bezcłowo z górnego biegu rzeki Kongo, doprowadzoną do triumfalnej perfekcji przez najlepiej opłacane orkiestry w Stanach - prosto z Nowego Jorku, gdzie nagle zakończył się ich angaż. Letnia zabawa!

Skrzypce popiskiwały, jęczały saksofony, chichotały oboje... zawodziły klarnety, ryczały tuby, dzwoniły trójki. Lament potępionych? Ależ nie! Bez ciebie jestem smutny i samotny.

Bobby Merrick, czekając w pełnym rokokowego przepychu wejściu na odbiór płaszcza, słuchał tego wszystkiego jak ktoś, kto właśnie przyleciał z Marsa, i uśmiechał się krzywo.

Powiedział, że przyjdzie pod wpływem impulsu. Zanim pociąg dotarł do Detroit, zdecydował jednak nie iść do Gordonsa. Jak zauważył, komunikując tę decyzję, rozładował pewne napięcie towarzyszące rozmowie. Tom wyraźnie się rozpromienił, choć kurtuazyjnie udawał, że jest zawiedziony.

- Czytam pewną bardzo interesującą książkę - wyjaśnił Bobby. - Wolę sobie poczytać niż obijać się z tłumem koledżowych szejków.

- No i ten twój reumatyzm, wujku Dudley! - prychnął Masterson. - W twoim wieku powinieneś bardziej na siebie uważać. Eeech, weź się w garść!

- Nie, ja po prostu już z tego wyrosłem. Beznadziejne! To dla mnie zbyt

przygnębiające, Tommy... Wszyscy udają! Gość przy sąsiednim stoliku od czasu do czasu grzebie widelcem w jedzeniu, które kosztowało go siedemnaście dolców za dwie porcje, to połowa jego tygodniówki. Podskakuje z pełnymi ustami, próbując choć trochę powywijać z jakąś Mazie w tym rozkołysanym tłumie, modli się o odwagę, by poprosić ją o rękę, i zastanawia się, skąd wytrzasnąć trzy stówy na świecidełko dla niej. Mazie nie nosi nic choćby centa tańszego. I bujają się pod to smętne zawodzenie, chociaż broń Boże to nie wina Clarence'a, że lubi ponure kawałki. Jest smutnym młodym człowiekiem, ma właśnie na pieńku z papą i wypił za dużo drinków.

- Czy myślałeś kiedyś o wstąpieniu do Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Obrony Moralności?

- Nie bądź zjadliwy, Tommy. Leć do Gordonsa i wyjaw im tam, co szykujesz w najnowszym opowiadaniu, a ja poczytam książkę.

- To musi być pioruńsko dobra książka. Jaki ma tytuł?

- A, praca pewnego lekarza. Nie przebrnąłbyś.

- Jestem poważny człowiek, co?

- Eskulap pękłby z zazdrości, synku.

Przestali w końcu się droczyć, a Bobby rozpytywał z zaciekawieniem o członków paczki, która ostatnimi czasy niewiele zaprzętała jego uwagę.

Na wzmiankę o Joyce zagadnął, szczerze zainteresowany:

- Często się teraz z nią widujesz, Tommy? Masterson skinął głową.

- Coś poważnego?

- Chciałbym, żeby tak było.

- Zainteresowana tobą?

- Jeszcze jak, nie ma co! I cholernie dobrze wiesz, dlaczego!

- Nonsens! Nie widziałem się z nią od roku!

- Żaden nonsens... nie dla niej. Nieźle zawróciłeś jej w głowie, doktorku. Bobby machnął lekceważąco ręką.

- To świetna dziewczyna! Powodzenia, Tommy!

- Dzięki. A teraz się zmywaj, to może będzie moja.

- A tak przy okazji...nie widzisz czasem pani Hudson?

- Jasne... jest boska! Nienaganna i niedostępna! Nigdzie nie wychodzi. Wiesz, żałoba. Tradycja Południa. Pewnego dnia zrzuci czarne łachy i wywoła sensację! Śliczna to mało powiedziane. Niech mnie drzwi ścisną! Nie znasz jej? No to jeszcze nigdzie nie byłeś i niczego nie widziałeś!

- Aż tak? To czasem będę wpadał trochę się ponapawać.

- Lepiej nie... masz dużo pracy i nie powinieneś się rozpraszać.

Pociąg stęknął i zatrzymał się na najbrzydszej stacji między Bombajem a Aurora Borealis. Przyrzekłszy sobie, że niedługo znów się zobaczą, rozstali się i każdy wsiadł do taksówki.

Serdecznie przyjęty i wygodnie ulokowany w hotelu Columbia, Bobby przebrał się w szlafrok i powrócił do pracy nad dziennikiem Hudsona. Moje życie toczyło się wąskimi torami. W ten sposób istniało minimalne prawdopodobieństwo, że wyrządę komuś krzywdę czy dopuszczę się oszustwa, nawet gdybym miał taką naturę. Niewiele w moich planach pozostawiłem miejsca na kupowanie czy sprzedawanie. Przez większość czasu żyłem pod czujnym nadzorem - w szkole, na studiach jako praktykant - i nie miałem okazji do popełnienia poważnych czy nieodwracalnych błędów.

Kiedy jednak zacząłem wypłatywać się z sieci dawnych zobowiązań, zdałem sobie sprawę, że jestem mocno na minusie. Dotarło do mnie na

przykład, że wykreśliłem z rejestru wielu rozsianych po świecie ludzi. Czy mówiąc to wprost, czy dając odczuć własnym zachowaniem, odesłałem ich do wszystkich diabłów. W niektórych przypadkach, myślałem, ich odsunięcie z mojego życia usprawiedliwiały niefortunne okoliczności. Ale w większości były to osoby, z którymi, jak pamiętam, utrzymywałem takie czy inne, jednak zawsze bliskie stosunki - na tyle bliskie, by można było mówić o zerwaniu. Odkryłem, że niemal bez wyjątku wszyscy, których odepchnąłem - czy też, jak wolicie, oddelegowałem do piekła, należeli w jakimś momencie do mojego najbliższego otoczenia. Tak więc z mojego punktu widzenia diabli ich wzięli i zabrali przy okazji niemałą część mnie samego.

Sukces we wprowadzaniu w życie przedstawionej tu filozofii osiągnie się tylko wtedy, jeśli się naprawi i odbuduje fragmenty osobowości, które zostały zniszczone albo odeszły wraz z ludźmi. Jeśli jakakolwiek energia uległa rozproszeniu, trzeba ją przywrócić.

Twórca tej filozofii, świadom, jak łatwo narazić się na takie straty, radził, by wszelkie nieporozumienia rozwiązywać od razu. Kiedy tracisz zwykłe kontakty z przyjacielem, on oddala się i odchodząc, unosi ze sobą część ciebie. W jakiś sposób winienesz pozbierać owe kawałki, tak aby zanim rozpoczniesz ekspansję osobowościową na szerszą skalę, złożyć to, co do ciebie należy, w całość.

Jeszcze jedna sprawa: jeśli zaczniesz za wszelką cenę poszukiwać sposobności do wbudowywania siebie samego w inne osobowości poprzez ich naprawianie, zabłądzisz. Powstrzymał mnie od tego szczęśliwy zbieg okoliczności. Co najdziwniejsze, pierwsza naprawdę ważna rzecz, jakiej wolno mi było się podjąć, zanim rozpocząłem eksperymenty nad tajemną

dynamiką, dotyczyła córki człowieka, który wskazał mi drogę....

Postawiłem na szali swą nieistotną reputację, wszystko, co miałem nadzieję osiągnąć, i podjąłem się przeprowadzenia operacji, która ocaliła jej życie, a przypadkiem przyniosło mi to trzystronicowy zapis w nowym wydaniu Encyklopedii medycznej."

Bobby zostawił wszystkie zapiski tak, jak leżały, ubrał się starannie, zamówił taksówkę i pojechał do Gordonsa. Nie potrafił jednoznacznie powiedzieć, skąd ta niespodziewana decyzja. Gdyby ktoś nalegał, odpowiedziałby, że nagle wydało mu się, iż jest tam potrzebny. Z całą pewnością nie szukał rozrywki.

Nie mógł dotrzeć do słynnego lokalu bardziej w porę. Jeszcze godzinę wcześniej przy stole powitałaby go hałaśliwie i kpiarsko grupka niefrasobliwych i rozochoconych znajomych, którzy chcieliby oglądać go tak pijanego jak oni, pałając niemalże oburzeniem, że pokazuje im swe trzeźwe oblicze.

Był to świąteczny wieczór, przygotowano więc listę atrakcji bogatszą niż zwykle.

Chórek dziewcząt, najwyraźniej w gorszym składzie z powodu święta - podczas przerw składały wiele wizyt przy stolikach - cicho zawodził motyw z popularnej arii operowej, a wielki mężczyzna w rozchełstanej koszuli i ałłasowych spodniach, z zawiązaną na szyi chustką, jaką widywało się u bandytów, popisował się w świetle jupiterów, tańcząc solo. Występ Aleppa był gwoździem programu. Na początku wszechstronność artysty - siłacza i akrobaty, który skomplikowanymi układami tanecznymi i egzaltowanymi pieśniami dodawał finezji swej tężyznie - nagrodzono gromkimi brawami. Nieskromne zadowolenie i pewność siebie były z jego

śniadej twarzy, kiedy wykonywał swe misterne kroki.

Bobby czekał przy wejściu, aż skończy się numer. Stał za daleko od sceny, żeby usłyszeć, co Aleppo ogłosił. Dowiedział się tego nieco później: osiłek zapytał publiczność, kto chciałby mu partnerować. Na scenę wspięła się chwiejnym krokiem wysoka blondynka w błękitnym szyfonie. Padła w szerokie ramiona tancerza, a on zaczął huścić ją na boki w rytmie szybkiego, dzikiego fokstrota. Dziewczyną tą była Joyce Hudson.

Tłum gromko wiwatował. Muzycy ożywili się. Chórek wycofał się na brzeg sceny, żeby zrobić miejsce.

Chcąc na koniec wprawić publiczność w całkowity zachwyt, wielki Aleppo uniósł swą part-nerkę-amatorkę i przełożył sobie przez ramię. Tylko doświadczony akrobata mógł wybrnąć z tej sytuacji z wdziękiem. Aleppo nie przestał lekko wirować po scenie. Ciężar nic dla niego nie znaczył. Mocno pijana Joyce przechyliła się na bok, wczepiona w kudłatą głowę tancerza, usiłowała

zachować równowagę i bezwładnie bujała się na jego ramieniu, podczas gdy on, obejmując ją potężnymi, umięśnionymi rękami za kolana, kręcił się jak fryga, zupełnie jakby wcześniej wspólnie z partnerką świetnie wyćwiczył występ i nie musiał obawiać się o jej bezpieczeństwo. Nagle włosy Joyce zafalowały, gwałtownie zamachała ramionami i w wyniku przedziwnych ewolucji została wyrzucona wysoko w powietrze.

Bobby nie pamiętał potem, w jakiś sposób znalazł się na scenie.

Bez pardonowo utorował sobie łokciami drogę przez publikę, przewracał krzesła, przesuwiał stoły. Wyciągając rękę przed siebie, rozkazał tancerzowi przestać. Twarz miał ponurą i bladą. Aleppo z ironicznym uśmiechem wyminął intruza, lecz Bobby ruszył za nim. Między

stolikami wybuchło zamieszanie i goście zaczęli tłoczyć się pod sceną. Tom Masterson przepchnął się przez tłum, wspiął na podest i złapał Bobby'ego za rękaw.

- Co się z tobą, do diabła, dzieje? - wrzasnął. - Skoro Joyce chce sobie trochę poszaleć, co to cię obchodzi?

Orkiestra umilkła. Aleppo postawił Joyce, która natychmiast upadła na podłogę. Pochyliło się nad nią kilka dziewcząt z chórkę, jedna pobiegła po wodę.

Kiwając się na boki jak pięściarz, Aleppo ruszył przed siebie. Małe paciorkowate oczy zaświeciły mu niebezpiecznie. Wojowniczo wysunął szczękę. Zacisnął wielkie pięści. Obnażając zęby w złośliwym uśmiechu, warknął:

- Ty! Widzę, że szukasz guza!

- Uważaj! - zawołał Masterson. - Nie rób tego!

- Rąbnij go! - ryknął ktoś z tłumu. Aleppo rzucił się agresywnie przed siebie prosto ku czekającej już na niego niespodziance.

Na jego twarz spadły bowiem trzy szybkie ciosy, prawy sierpowy w okolicach lewego oka, lewy w okolicach prawego i jeszcze jeden prawy w sam środek brody. Pod osiłkiem ugięły się kolana i upadł, nie wydawszy nawet jęku.

Na chwilę w Gordonsie zapadła martwa cisza. Bieg wydarzeń zaparł wszystkim dech.

Brutalnie odepchnąwszy Mastersona, Bobby podszedł do Joyce, pochylił się, wziął ją na ręce, zszedł ze sceny, a tłum rozstępował się, żeby zrobić mu przejście.

- Chwileczkę! - krzyknął Masterson, ruszając za nim. - Ona jest pod moją

opieką. Nie bądź taki nadgorliwy!

Bobby odwrócił się w jego kierunku i powiedział cicho:

- Trzeba było pomyśleć o tym trochę wcześniej. Upokorzonego

Mastersona ogarnęła pijacka wściekłość.

- No, jeśli myślisz, że ujdzie ci to płazem...

Chwytał Bobby'ego za koszulę pod szyją, od-dzierając mu kołnierzyk, wczepił się w jego włosy, wbił spinki od mankietów głęboko w policzek przyjaciela - krew popłynęła na koszulę.

Podtrzymując bezwładny ciężar lewą ręką, Bobby wymierzył cios w wątlą brzuch Mastersona, degradując go do kategorii niezdolnych do walki.

Wziął Joyce z powrotem na ręce i pomaszerował przed siebie, własnym ciałem odsuwając stoły i krzesła.

Przy drzwiach zatrzymał go krzepki kelner.

- Czy ta pani przyszła z panem?

- Nie! Ale ze mną wychodzi!

- Nie tak prędko!

Bobby ponownie postawił stopy Joyce na podłodze, podparł ją ramieniem i mruknął:

- Otwórz drzwi. Nie mam zamiaru więcej zadzierać z kimkolwiek tego wieczoru, ale jeśli będziesz robić trudności, ululam cię do snu tak jak twojego koleżkę.

Osilek zawahał się. Ktoś krzyknął:

- Puść go, zanim połamie ci gnaty! Niech ją odwiezie do domu. Proszę, tu jest jej płaszcz!

Powiew rzeńskiego powietrza częściowo otrzeźwił Joyce.

Podjechała taksówka. Bobby wsadził dziewczynę do środka, poleciał

szczerzącemu się w uśmiechu kierowcy, by jechał bulwarem na wschód i czekał na dalsze instrukcje, a potem usiadł obok niej.

Rozpoznała go ze zdumieniem, popatrzyła tępo na jego twarz i wymamrotała:

- Och, Bobby, jesteś w końcu. Tak długo czekałam! Tak tęskniłam!

Położyła mu głowę na ramieniu, objął ją, lecz oszczędził sobie odpowiedzi, bo powrót do przytomności okazał się krótki. Zasnęła.

No i co teraz z nią zrobić? Przyszło mu do głowy, że zanim odwiezie ją do domu, może ją gdzieś zabrać i poczekać, aż wytrzeźwieje, ale natychmiast zrezygnował z tego pomysłu. Nie dojdzie do siebie przez długie godziny.

Jest kompletnie pijana. Czy naprawdę się jej przysłużył tą godną filmu płaszczą i szpady interwencją? Może naraził ją na jeszcze większą niesławę, niż gdyby zostawił ją samą sobie, gdziekolwiek by się zatoczyła. Czy on i Tom pozostaną przyjaciółmi? Mało prawdopodobne.

Kierowca odwrócił się, oczekując dalszych wskazówek i Bobby podał mu adres Joyce. Musi ją odwieźć do domu. Spróbuje jakoś przemycić dziewczynę, nie stawiając przy tym wszystkich na nogi. Potrząsnął nią mocno, kiedy zbliżali się do rogu.

- Joyce! Gdzie masz klucze?

Zaczęła grzebać w płaszczu i w końcu znalazła je w wewnętrznej kieszeni. Taksówka zatrzymała się przy krawężniku. Kierowca zgodził się zgasić silnik i poczekać.

Oprzytomniawszy, kiedy przez otwarte drzwi do samochodu wdarł się powiew zimnego powietrza, Joyce objęła oburącz Bobby'ego za szyję i pocałowała go w policzek. Nadal krwawił, ale w jej stanie nie mogła tego zauważyć.

Łatwiej ją nieść niż wlec. Sprawnie dotarli do drzwi frontowych, otworzyli je cicho i zamknęli za sobą. Przypomniał sobie wszystkie wizyty w tym domu. Położył Joyce na sofie w salonie, ściągnął jej pantofle i przykrył kocem. Na twarzy miała krew. Nie obędzie się bez wyjaśnień, przez co cała ta historia się rozwlecze, dokładając tylko Joyce w jej już i tak nieszczęsnym położeniu więcej wstydu i zgryzot. Jej godność bardziej zasługiwała na ochronę.

Dedukując, że na parterze musi być jakaś łazienka, rozpoczął jej poszukiwania i po dwóch szarżach na szafy ubraniowe trafił w końcu na małą umywalnię przy bibliotece - zwilżył ręcznik i właśnie z nim wracał, kiedy dotarł do niego dźwięczny głos, na trwałe wyryty w jego pamięci. Nagle tygodnie, które minęły od momentu, gdy usłyszał pożegnanie: „Dobranoc i bardzo dziękuję”, połączyły się w jedno z terażniejszością. - Joyce, ty jesteś ranna!

Brak odpowiedzi... zapadła cisza... na pewno zobaczyła światło w bibliotece. Pewnie zauważyła też jego płaszcz, przerzucony przez oparcie krzesła. Pomyślał, że nie chce zostać złapany, jak w pułapce... Spotkali się przy drzwiach.

Wydała mu się niższa, niż zapamiętał, może dlatego, że miała teraz na nogach czerwono-czarne ranne pantofle na płaskim obcasie. Potargane kręcone włosy, grzywka w nieładzie nadawały jej wygląd dziecka wyrwanego nagle ze snu, a wrażenie to potęgowała jeszcze piżama w japońskim stylu, czarna w czerwone maki, zapinana wysoko pod szyją. Choć jej powab docierał do Bobby'ego, widział przed sobą tylko zdumione błękitne oczy wpatrzone w niego w oszołomieniu.

Na jego widok wydała stłumiony okrzyk, przyłożyła dłoń do ust, jak

gdyby oczekiwała ciosu, i spojrzała pytająco na jego umazany krwią policzek.

- Ach, to pan! - wyszeptała - Co pan tu robi?

- Przywiozłem Joyce... Przepraszam, że panią przestraszyłem... Miałem nadzieję, że uda nam się pani nie obudzić.

- Ale ja myślałam, że Joyce wyszła z panem Mastersonem. Czy coś mu się stało? Pan jest ranny! Mieliście wypadek?

- Coś w tym stylu... ale to nic takiego... Z Joyce wszystko w porządku, jest po prostu bardzo zmęczona i śpiąca.

- Ma krew na twarzy... widzę, że chciał się pan tym zająć. Podał jej ręcznik.

- Przekona się pani, że nie jest ranna. Ubrudziła się moją krwią, kiedy ją niosłem. Pomyślałem, że to wytę, żeby się pani nie przeraziła.

Stali dłuższą chwilę, oceniając sytuację, patrząc sobie w oczy -jej szeroko otwarte z ciekawości, z tłącym się w spojrzeniu żalem, ale i współczuciem, jego błagające o powstrzymanie się przed pochopnym osądem - oboje nie potrafili znaleźć odpowiednich słów, ciągle jeszcze połączeni niemym porozumieniem, jakie zawiązało się między nimi podczas poprzedniego krótkiego spotkania.

- Więc wiedział pan, że jedzie do mojego domu. Może zechciałby się pan przedstawić. Nie zrobił pan tego... wtedy.

W źrenicach, a zaraz potem na ustach Helen pojawił się cień uśmiechu.

Bobby zawahał się i wybąkał:

- Merrick.

- Więc to pan!

Jej oczy się zwężyły. Wcisnęła piąstki w żebra. w buńczucznym geście,

który uznałby za rozkosznie niedorzeczny, gdyby zademonstrowała go w mniej poważnych okolicznościach - nie nadawała się do tragicznych ról, a o jej stroju można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest bojowy.

- Za mało kłopotów nam pan przysporzył? Nie wystarczy panu to, co przeszliśmy! Jeszcze chce pan dodać trochę upokorzenia? Przywiózł mi pan Joyce zupełnie pijaną. Sam też pan wygląda, jakby pił. Bójka, co? Szkoda, że pan siebie nie widzi!

- Tak... wiem. Nie przedstawiam sobą zbyt miłego widoku i pozory świadczą przeciwko mnie. Rano Joyce wszystko pani opowie. Chciałem dobrze... Przepraszam.

- Proszę już iść. Wziął płaszcz.

- Szkoda - mruknął, mijając ją, na wpół do siebie.

Zupełnie, jakby już go tam nie było, Helen osunęła się na kanapę obok Joyce, przyłożyła obie dłonie do twarzy i rozplakała się jak dziecko, postraszona karą. Był to rozdzierający widok. Wyglądała tak samotnie, tak rozpaczliwie potrzebowała przyjacielskiego pocieszenia.

Zatrzymawszy się w pół kroku, Bobby, zawładnięty znów niepojętym przekonaniem o ich wzajemnej przynależności, patrzył na nią z głębokim współczuciem, głębszym niż kiedykolwiek doświadczył. Odwrócił się i podszedł do niej niepewnie. Nagle przypomniała sobie o jego obecności, i jakby zgadując jego myśli, wolno pokręciła głową.

- Nie, nic pan nie może dla nas zrobić... niech pan sobie pójdzie. Głos mu się łamał z bólu.

- Nie mogę pani tak zostawić. Czy mam już zawsze pamiętać panią na tej kanapie, zapłakaną, skrzywdzoną? - Pochylił się i wyciągnął do niej dłoń. - Pożegna mnie pani?

Z ociąganiem podniosła na niego wzrok.

- Wciąż pan krwawi - powiedziała drewnianym tonem. - Niech pan coś z tym zrobi. Proszę pójść się umyć.

Bobby odłożył płaszcz i poszedł z powrotem do małej łazienki.

Machinalnie zmywał zabrudzenia, z goryczą cisnął ręcznik. Opierając się bezradnie o futrynę, czekała na niego w korytarzu z zadartą do góry głową i przymkniętymi oczami - w rękę trzymała bandaż, plaster i nożyczki.

- Bardzo pani troskliwa - wyciągnął rękę po opatrunek.

- Ani trochę - ucięła krótko, ignorując jego ruch. - Nie bardziej niż wobec zranionego psa. Byłam zbyt wzburzona, nie zauważyłam, że potrzebuje pan opatrunku. Proszę podejść do światła. Spróbuję coś z tym zrobić.

Podszedł za nią do stołu. Zręcznie przygotowała okład z gazy, oderwała kilka kawałków plastra i z obojętnością doświadczonej wolontariuszki w szpitalu skupiła uwagę na jego policzku. Kiedy podniosła ręce, rękawy bluzy od pizamy zsunęły jej się z przedramion. Dotyk jej dłoni na twarzy, jej ciepła bliskość, trwożliwe przełykanie śliny -serce zaczęło mu bić szaleńczo.

- Proszę - powiedziała w końcu, podnosząc najdłuższe rzęsy, jakie w życiu widział, i zerkając pytająco w jego oczy. - Czy teraz lepiej?

Parę godzin później, kiedy szalejące w niej wzburzenie ustąpiło miejsca zwykłemu zmęczeniu, zaczęła czynić sobie wyrzuty, które przyćmiły żywioną wobec niego wzdargę.

Przeżywając wewnętrzne tortury, analizowała wciąż od nowa każdą sekundę - bo wszystko działo się tak szybko - jakby śledziła film klatka po klatce.

Może gdyby natychmiast się odwróciła, wyjąkałby po prostu jakieś

podziękowanie i wyszedł. Jakże to z jej strony nierozsądnie wpatrywać mu się w oczy, stojąc tak blisko, i pytać ze szczerą troską w głosie: „Czy teraz lepiej?” Poczul się lepiej, a jakże, i wyraził swą wdzięczność, ujmując jej dłoń, kiedy tylko ją odjęła od jego twarzy, i podnosząc do ust. Wyrwała rękę ze złością. Potem, rozmyślając nad tym wszystkim, uznała, że lepiej było poddać się z godnością temu spontanicznemu gestowi... i kazać mu odejść.

Stał upokorzony, jakby ktoś dał mu w twarz. Potem odezwał się chrapliwie, ważąc każde słowo:

- Ciekawe, czy tak zachowałyby się pani wobec rannego psa, który okazałby pani wdzięczność za odrobinę niespodziewanej dobroci.

Jakże przebiegle wykorzystał jej współczucie - jej odruch życzliwości!

- Tak, przyznaję, bardzo to z mojej strony nieuprzejmie... miałam ciężki wieczór... nie panuję do końca nad sobą.... proszę... niech pan już sobie pójdzie.

Powinna była rozkazać, nie prosić.

- Wiem, że przysporzyłem pani wielu okropnych problemów ... i serce mi pęka - powiedział.

Z rozpalonymi policzkami wciśniętymi w poduszkę bez końca odtwarzała tę scenę w pamięci, próbując zrozumieć, jak do tego doszło. Kiedy łagodnie zamknął ją w ramionach, na chwilę zapomniała, że to Bobby Merrick. Bobby Merrick był jakąś legendarną postacią, z którą nie chciała mieć nic do czynienia. Pamiętała tylko spokojnego, zamyślonego, ujmującego młodzieńca, który prowadził ją kiedyś jak dziecko ciemnymi wiejskimi drózkami... a ona czuła się taka samotna, tak bardzo potrzebowała czułości.

Delikatnie otarł jej oczy chusteczką... jak mogła stać i bez słowa poddawać się tym jego bezczelnym karesom? Dlaczego w ogóle postawiła się w tak nieznośnym położeniu? Cóż z niego za potwór, skoro wykorzystał jej tęsknotę do odrobiny ludzkiego ciepła... właśnie wtedy, gdy cały jej świat - o czym dobrze wiedział - dopiero co legł w gruzach. Ale zanim wyszedł, dała mu odczuć, co myśli o takiej nikczemności.

Czyż nie powiedziała mu do słuchu, tak ostro, tak zjadliwie, że aż się skulił? Niewielka to jednak pociecha dla jej urażonej dumy. Bo przecież stała, przyciskając czoło do jego ramienia, on gładził ją smukłymi dłońmi po włosach, nie potrafiła zareagować... niczym we śnie widziała przed sobą drobny piasek przesypujący się cienkim strumyczkiem w klepsydrze i opadający, by powiększyć małą rudobrazową górkę na dnie... Zastanawiała się, jak to przerwać. Została zahipnotyzowana!

- Czy teraz mi pani wybaczy? - wyszeptał.

Dlaczego nie wyrwała się z jego ramion, nie uśmiechnęła się i nie powiedziała ugodowym tonem, ale rzeczowo: „Nie mam do pana pretensji. Dobranoc”. Wypowiedziała w poduszkę kilka wariantów tej kurtuazyjnej frazy, z całego serca żałując, że wtedy nie przyszło jej to do głowy, i próbowała wmówić sobie, że tak właśnie powiedziała.

Ale on patrzył tak tęsknie! Podniosła głowę i rozchyliła usta, chcąc wypowiedzieć choć jedno przyjacielskie uspokajające słówko, kiedy... to się stało. I nie stawiała oporu! Och, ładne ma teraz o niej zdanie! Jakiż to z jego strony brak szacunku dla wdowy. Przecież przyczynił się do śmierci jej męża! Taki z niego drań, że na pewno ośmielił się pomyśleć, że ona odwzajemnia pocałunek... Właśnie ten powracający wciąż lęk przysparzał jej największych mąk.

Oczywiście, zrobiła co w jej mocy, gwałtownie i brutalnie, żeby ratować swą reputację. Odepchnęła go od siebie, zabroniła odezwać się do niej choćby słowem, bardzo wzburzona wyszła z pokoju, nie zatrzymując się nawet, żeby rzucić okiem na Joyce, która mocno spała. Gdyby była świadoma, co się dzieje, ta scena niewątpliwie bardzo by ją wciągnęła. O dziewiątej Helen usiadła przed lustrem i patrząc z wyrzutem na swe wymizerowane odbicie, wyprostowała się sztywno i powiedziała:

- Cokolwiek sobie pomyśli, to nieprawda.

Zaspani służący w hotelu Columbia uśmiechali się szeroko i mrugali do siebie porozumiewawczo, kiedy o wpół do czwartej przyjechał Bobby, posepny i z ubraniem w nieładzie.

- Teddy - burknął do windziarza - przynieś mi butelkę szkockiej i syfon wody sodowej.

Przebrał się, zrobił sobie mocnego drinka, potem kolejnego, i trzeciego, i jeszcze jednego, skrzywił się nienawistnie do swego oblicza w łazienkowym lustrze i mruknął: „Nieudacznik!” Zniszczył coś, czego pragnął najbardziej - to jedyne, o czym marzył na tym świecie! Ona już nigdy nie zechce się z nim zobaczyć... tak powiedziała, zupełnie poważnie. Narzucił się jej, wykorzystał jej uprzejmość, zmusił do odpowiedzi na okazywane jej współczucie, czego teraz będzie żałowała, czując wstręt dla samej siebie. Nic już teraz nie ma znaczenia.

Dziennik Hudsona leżał na biurku, tam, gdzie go zostawił, obok arkusza hotelowego papieru listowego pokrytego rzędami liter.

Ze wzgardą odsunął grzbietem dłoni notes, który wpadł do kosza na papiery.

- Cholerna beznadziejna pisanina! - wymamrotał. - Precz z tymi bzdurami!

Rozdział jedenasty

- .Proszę usiąść, panie Merrick - powiedziała sucho sekretarka już dwadzieścia minut temu. -Dziekan jest jeszcze zajęty.

Analiza grymasu, jaki widniał na twarzy pana Merricka, kiedy siedział, wiercąc się na krześle, wyodrębniłaby trzy części składowe: dwie jednostki ciekawości, dwie niepokoju i zirytowanie... Plus śladowe ilości rozgoryczenia.

Na wezwaniu wpisano godzinę jedenastą -wszedł do sekretariatu, nim zegar skończył bić dwunastą. Powodu wezwania nie podano. Za dużo by chciał wiedzieć. Uprzejmość i troska o innych stały w sprzeczności z zasadami oficjalnych poczynań dziekanów.

Wielkie uczelnie, podobnie jak służby publiczne i biura podatkowe, lubią być przez petentów poważane w najwyższym stopniu, uwielbiają popisywać się władzą, chcą, by ludzie czekali, zachodzili w głowę, zamartwiali się, pragną przysparzać im wszelakich możliwych problemów. Pan Merrick patrzył spode łba. Najpierw obrzucił gniewnym wzrokiem wielką, wiszącą w rogu nad biurkiem sekretarki reprodukcję przedstawiającą sekcję zwłok... Siedmiu lekarzy wgapiających się w trupa. Wszyscy brzuchaci, z obwisłymi podbródkami wyglądają jak stado pelikanów. Pod oczami worki... gromada pękatych zjaw owiniętych w prześcieradła. Zwłoki też były tłuste. Po co ciąć delikwenta? Nawet laik powie, co mu dolegało - był żarłokiem. Niech sobie lepiej mądre głowy wezmą do serca widok tego otyłego truposza i przerzucą się na dietę jogurtowo-szpinakową, zanim jakieś konsylium położy ich na stół i zacznie im buszować w przestronnych zimnych brzuchach, ku chwale materia medica... Odrażające - cała ta spasiona czereda.

Skończywszy na jakiś czas z zagadnieniem sekcji zwłok, niecierpliwy interesant dziekana Whit-leya zaczął wodzić gniewnym wzrokiem po tytułach dużych ksiąg. Choroby i zaburzenia nerwowe Simpsona... stary baran. Trzeba czytać to ględzenie ze słownikiem, w siedmiokilogramowym tomiszczu nie sposób znaleźć choćby dziesięciu słów złożonych z mniej niż siedmiu sylab. Obsesje Mounta... Czemu te nadęte bęcwały uważają, że nie wypada pisać zrozumiałym i prostym językiem bez naukowego zadęcia - bo przestaną być poważani? A co do obsesji, stary Mount sam był maniakiem, jednym z tych, co stukają laseczką w co trzeci słup telegraficzny i plują do studzienek kanalizacyjnych. Podobno jak którąś pomiął, to się wracał... Mentalność Burka albo Reksa. Tak, Mount powinien rzeczywiście zostać uznany za autorytet, jeśli chodzi o zachowania obsesyjne.

Świątynię dziekana opuścił wysoki, smukły lekarz, bardzo czerwony na twarzy. Czterema susami żwawo przemierzył pokój i walnął pięścią w drzwi, które zniosły to pewnie nie pierwszy raz.

Wyrwany z analizowania książek na półce, pan Merrick staksował wzrokiem kościstą kobietę, która grzechotała maszyną do pisania.

Siedziała zadowolona z siebie i nadęta, usta zacisnęła w wąską linijkę, bezrzęse powieki latały w górę i w dół, rozdymały się skrzydełka wąskiego nosa... nietrudno zgadnąć, co robi - pisze list do jakiegoś biedaka, zapraszając go na dziewiątą na spotkanie z dziekanem. Powinna dodać w postscriptum, żeby adresat nastawił się na to, że spędzi w tej ohydnej dziurze połowę pięknego czerwcowego poranka, czekając, aż jaśnie pan raczy skończyć lekturę Free Press, opiłuje paznokietki, zdejmie nogi ze stołu i naciśnie przycisk, żeby wpuścić nędzarza. - Pan

dziekan pana prosi, panie Merrick.

- Panie Merrick - odezwał się dziekan Whitley, kiedy Bobby zasiadł na wskazanym mu krześle. - Muszę z panem pomówić po przyjacielsku. Podobno obiecał pan, że w ciągu pierwszych pięciu tygodni semestru odniesie spektakularny sukces w medycynie. Po egzaminach wśródsemestralnych, które, jak widzę, zdał pan z najwyższymi notami z całej grupy, zaczął się pan opuszczać. Wykorzystał pan limit nieobecności. Stał się pan obojętny i niezadowolony. Co się dzieje?

- Zobaczy pan, że radziłem sobie zupełnie przeciętnie, sir!

Dziekan Whitley potrząsnął długim kościstym palcem.

- Otóż to! Przeciętnie! Czy chce pan zostać przeciętnym lekarzem?

- No... skoro tak pan stawia sprawę... Oczywiście, że nie.

Dziekan odchylił się na fotelu i splótł dłonie za głową

- Pana przypadek jest, rzekłbym, niezwykły, panie Merrick. Jest pan spadkobiercą dużej fortuny. Nie musi pan poszukiwać powołania. Przychodząc tu, zaskoczył pan wszystkich swoich przyjaciół. Mógł pan wybrać grę w polo, czyli nie zadawać sobie trudu. Ale pan z zapałem rzucił się w wir pracy, tak że wkrótce postawił pan na baczność wszystkich studentów pierwszego roku, i wycisnął wszystko, co się da z kadry naukowej. A teraz... co się stało z pana duchem? Czy możemy jakoś przywrócić panu dawny zapał?

Bobby ze zwieszoną głową bawił się platynowym łańcuszkiem od zegarka.

- Ma pan najzupełniej rację, panie dziekanie. Myślę, że na początku trzymała mnie nowość sytuacji, w której się znalazłem.

- Tak, ale proszę tylko spojrzeć! - dziekan przerzucił plik zestawień i przesunął je po stole w jego kierunku. - Niech pan po prostu idzie dalej

tym torem, jakim pan szedł od rozpoczęcia roku do Święta Dziękczynienia. Nie opuścił pan przez ten czas ani jednych zajęć. A proszę popatrzeć dalej i zobaczyć, co pan zrobił ze swoimi ocenami. Co się takiego stało w Święto Dziękczynienia albo w okolicach tej daty? Może powinien pan dostać jakąś nagrodę. Za dobrze pan rokuje, by przegrać, jeśli możemy pana ocalić...

- Po prostu znużyło mnie to wszystko. Za dużo kucia.

- Wcześniej nie było za dużo!

- No właśnie w tym czasie zrobiło się dla mnie za dużo.

- Myślał pan o rezygnacji?

- Ach nie, sir! Nie mogę tego zrobić!

- Czemuż by nie? Nie chce pan chyba zostać przeciętniakiem?

- Myślę, że będę musiał się tym zadowolić. Kompanów mi nie zabraknie, prawda?

Dziekan spojrzał na niego smutno, obracając w dłoniach nóż do papieru.

- Bardzo mnie pan rozczarowuje! Na pewno nie zaufa mi pan i nie pozwoli sobie pomóc?

Bobby przesunął się na brzeg krzesła i chwycił kapelusz.

- Nie może mi pan pomóc, sir. Bardzo dziękuję za zainteresowanie.

Postaram się podciągnąć w nauce.

Przed budynkiem spotkał Dawsona, studenta pierwszego roku, z którym znał się ledwie z widzenia. Dawson był obdartusem z zapadniętymi policzkami i podkrążonymi oczami, który robił, co mógł, żeby go nie skreślono. Przewyższał wiekiem innych pierwszoroczników i wymagano od niego więcej, niż był w stanie z siebie dać. Wykładowcy nierzadko odnosili się do niego z pogardą, obserwowanie, jak wiję się pod ich

złośliwymi słownymi zaczepkami, sprawiało im widocznie przyjemność. Jeśli na pytanie nie odpowiedziały trzy czy cztery osoby, ciskano nim w nieszczęśnika z kąśliwą uwagą: „I oczywiście pan też nie wie, panie Dawson?" W siedmiu na dziesięć przypadków rzeczywiście nie wiedział. Kilka razy wzbudził w Bob-bym prawdziwe współczucie. I co chcą biedakowi udowodnić? Ma iść się utopić?

- Cześć, Merrick! Byłeś na dywaniku u dziekana?

- O tak - odparł Bobby pogodnie - ale nie w tym sensie, jak myślisz.

Widzisz, dziekan i ja często spotykamy się i gwarzymy. Jest w tym niezły. A ty umówiłeś się z nim na herbatkę?

Dawson miał ponurą minę.

- Eeech, idę mu powiedzieć, że mam dość i że mogą wszyscy iść do diabła!

- To byłby z twojej strony wielki błąd, Dawson! - Bobby przybrał posępnie mentorski ton. - Mniejsza o nich, ale co z tobą? Widzisz, synu, za każdym razem, kiedy odsyłasz do diabła kogoś, z kim utrzymujesz bliskie osobiste kontakty, osoba ta zabiera ze sobą część ciebie. A potem pewnego pięknego dnia, gdy wszystko idzie już zupełnie nieźle i chcesz pozbierać się do kupy, by osiągnąć jakiś szczytny cel, nagle brakuje ci sporego wylomka siebie i musisz po niego iść do piekła.

- Cóż to znowu? Nabijasz się ze mnie? To lepiej przestań. Nie mam na to nastroju. Powiem ci wszystko jak na spowiedzi, jeśli nie masz nic przeciwko, że ci się wyplączę na ramieniu!

- A może przekąsimy co nieco? - zaproponował Bobby, zdumiony własną życzliwością wobec tego smutnego, obdartego człowieczka. - Jeśli chcesz się spotkać z dziekanem tylko po to, żeby posłać go do wszystkich

diabłów, przełoż to do jutra. Nie będzie miał ci tego za złe.

Poddając się z krzywym uśmiechem namowom Bobby'ego, Dawson podążył za kolegą.

- No to zrzucaj ciężar z serca - powiedział Mer-rick, kiedy złożyli zamówienie. - Może pragniesz odśpiewać kilka linijek swej pieśni nienawiści. Jeśli tak, nie krępuj się, jak mnie najdzie fantazja, przyłączę się do ciebie w refrenie.

- Dzięki, Merrick. Dobry z ciebie kumpel. Może naprawdę powinienem wypuścić z siebie trochę pary. Opowiem ci. Zawsze chciałem być chirurgiem, od dziecka gadałem o tym bez końca... myślałem tylko o tym... jak nowicjusz o święceniach. Po koledżu wyleciałem z obiegu na trzy lata, zbierałem pieniądze, żeby dalej się uczyć. Zniechęciłem się, zrezygnowałem, potem się zakochałem i ożeniłem. Dziewczyna obudziła we mnie nowe nadzieje. Oboje tyraliśmy jak woły - ona w biurze, ja sprzedawałem obligacje. Przyjechaliśmy tu z powrotem we wrześniu zeszłego roku. Znalazła pracę. Potem urodziło się dziecko... mamy mnóstwo wydatków. Życie kosztuje nas więcej, niż się spodziewaliśmy. Podjąłem nocną robotę w kregielni... ustawiam kregle, żeby ci z pierwszego roku mogli je sobie po jednym strącać. No i co, czy według ciebie to nie może wywołać kompleksu niższości?

- Cóż, na pewno nie wprowadza żadnego faceta w halucynacyjne poczucie wszechmocy!

- Stałem się otepiałym ślimakiem, ot co. Wszystko przez tę pracę! Nic dziwnego, że robię z siebie osła! A jakby jeszcze tego wszystkiego było za mało... ale do diaska, dość już o tym.

- Mów dalej! - nalegał Bobby. - Zdradziłeś mi tyle, to równie dobrze

możesz dopowiedzieć resztę. Opowiedz mi wszystko do końca. Jesteś ślimakiem i osłem, i czym jeszcze? Co się stało?

- Moja żona choruje. Nie, nic poważnego. Jest po prostu wycieńczona, niedożywiona i znerwicowana, mówi że jest dla mnie ciężarem i chciałaby umrzeć. Ciągłe o tym myśli. Czasem, kiedy wracam do domu, boję się, że sobie coś zrobiła.

- Powinna wyjechać latem na wieś - poradził Bobby. - Świeże powietrze, mleko, słońce.

- Równie dobrze mógłbyś jej zalecić wyjazd do Europy - mruknął Dawson. - Jesteśmy bez grosza.

- Nie macie nikogo na wsi?

- Nikogo. Poza okropnie skąpym ojczymem Marion, który nie chce jej znać, od kiedy za mnie wyszła. Wybrał dla niej kmiota z sąsiedztwa. Moja matka jest wdową, mieszka z moją siostrą na południu stanu. Nie przelewa im się, w domu ciasno.

- A może pożyczka? Przecież w końcu skończysz szkołę. Każdy uznałby to za bezpieczną inwestycję.

- Nie znam osoby, do której mógłbym się zwrócić z taką propozycją. Jadł żarłocznie. Kiedy kroił mięso, trzęsły mu się ręce.

- Mam trochę pieniędzy, które nie są mi teraz potrzebne.

Dawson potrząsnął głową

- Nie, Boże mój! Nie opowiedziałem ci tego wszystkiego, żeby wyłudzić od ciebie pieniądze. Pewnie jak cała reszta ledwo wiążesz koniec z końcem. Wielkie dzięki, stary. Bardzo to wspaniałomyślnie z twojej strony. Nie, nie, rzucę szkołę i poszukam sobie pracy!

- Nie zrozumiałeś mnie, Dawson. Nie proponowałem ci opłacenia

tygodniowych sprawunków w sklepie spożywczym. Chcę pożyczyć ci, powiedzmy, pięć tysięcy.

Oto ktoś, kto uznał go za towarzysza w biedzie. Nic dziwnego. Dawson orał jak wół, trzymał się na uboczu. Nie musiał wiedzieć, że Bobby jest tak zamożny. I nie zaaranżował tej rozmowy.

- Naprawdę?

- Oczywiście! Nie myślałeś chyba, że żartowałem z tobą na temat pięciu tysięcy dolarów?

Bobby nigdy nie podejrzewałby go o taki przyływ energii i spontaniczności. Dawson rozpromienił się, jakby właśnie na jego oczach dokonał się cud.

- Merrick - odezwał się ze wzruszeniem, kiedy wyszli na ulicę. - Dziś uratowałeś kilka istnień. Nie pogniewasz się, jeśli pobiegę teraz do domu? Muszę to powiedzieć żonie! A może... pójdziesz ze mną?

Zajmowali dwa obskurne, zagracone pokoiki na trzecim piętrze trzeciorzędnej kamienicy, próbując wygospodarować trochę miejsca. Na tak niewielkiej powierzchni ledwie wydzielili sypialnię, jadalnię, pokójki dziecięcy i kuchnię.

Marion Dawson nie przeproszała za bałagan w domu. Bobby od razu ją za to polubił. Zachwyciła go ta blada, płowowłosa, młoda kobieta o brązowych oczach, która uścisnęła mu dłoń mocno jak mężczyzna i bez popłochu czy zażenowania zdjęła rzeczy z krzesła, żeby mógł usiąść.

Dziecko, przyniesione do pokoju, przywitało gościa spojrzeniem ogromnych mrugających oczu, roześmianych jak oczy jego ojca. Nie mając doświadczenia w obcowaniu z dziećmi, Bobby wpatrywał się w nie, odwzajemniając maleństwu swego rodzaju uroczyste zainteresowanie.

Marion zaśmiała się.

- W ten sposób nie poznacie się bliżej - zawołała. - Musi pan do niego pokukać, pocmokać albo coś w tym rodzaju. On na to czeka. Sam z chęcią się trochę powygłupia i pokuka do pana, ale będzie strasznie zawiedziony, jeśli nie wyda pan z siebie jakichś niemądrych dźwięków.

Bobby wiedział, że zaprzyjaźni się z tą dziewczyną.

- Marion - odezwał się Dawson drżącym głosem - pan Merrick pożycz nam trochę pieniędzy. Mówi, że warto w nas zainwestować. Co do mnie, miałbym wątpliwości, ale ty na pewno na to zasługujesz.

Spoważniała i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w gościa, starając się do końca pojąć wagę słów męża, potem odezwała się z uczuciem:

- Jesteśmy więc uratowani! Jack wreszcie ma szansę! - Położyła mu rękę na ramieniu.

- Mój kochany! Tak długo się męczyłeś. Drugą rękę wyciągnęła w stronę Bobby'ego i z wdzięcznością ujęła jego dłoń.

- Jakie to z pańskiej strony cudowne! - powiedziała.

- Och... wszyscy miewamy kłopoty - wyjąkał Bobby, mając nadzieję, że nie zrobi się zbyt ckliwie. - Pieniądze to najmniejszy problem.

- Chyba, że się ich nie ma - parsknął Dawson.

Tego popołudnia do auli kliniki chirurgicznej Bobby dotarł mocno spóźniony. Operacja okazała się nadzwyczaj interesująca. Zauważył, że aż wychyla się do przodu, żeby lepiej widzieć. Wieczorna lektura skryptów sprawiła mu przyjemność. Zanim o pierwszej położył się spać, napisał jeszcze do Nancy Ashford, której od tygodni był winien wiadomość.

„Dziś złożyłem bardzo ciekawą wizytę pewnemu młodemu lekarzowi, Dawsonowi, i jego żonie” - zaczął na drugiej stronie listu, ale po krótkim

krytycznym wpatrywaniu się w zdanie, zmiął kartkę i zaczął od nowa, nie wspominając o Dawsonach ani słowem.

„Czy odszyfrowała pani resztę dziennika?”

Odesłał jej go, oświadczając, że cała sprawa już go nie obchodzi. Nie nadaje się do zgłębiania podobnych filozofii i nie ma ochoty czerpać z tego satysfakcji czy jakiegokolwiek zysku, a nie byłoby w porządku czytać zapiski tylko z powodu ciekawości - zwłaszcza że doktor Hudson wyraźnie prosił, by tego nie robić.

„Ale kiedy pani skończy, może opowie mi, choć w skrócie, co było dalej. Czytałem o różnych rzadkich obsesjach i dowiedziałem się, że wzmożone skłonności do poszukiwania mistycyzmu pojawiają się niekiedy u ludzi z bardzo materialistycznym podejściem do życia, całkowicie oddanych swym interesom. Zaryzykuję stwierdzenie, że doktor Hudson to typowy przypadek.”

Dwa dni później otrzymał odpowiedź.

„Dziennik zabrała pani Hudson razem z innymi rzeczami przechowywanymi dla niej w sejfie. Wątpię, by zrobiła cokolwiek, żeby dowiedzieć się, o co w tym chodzi. Może nawet nie otworzyła pudełka, które jej przekazaliśmy. W każdym razie o nic mnie nie pytała, a pewnie by się do mnie zwróciła, gdyby szyfr jakoś ją zafrapował. Jestem pewna, że odda ci notatnik, skoro na powrót się nim interesujesz.

Owszem, rozszyfrowałam dziennik do końca. Zdziwiający dokument! Gdyby to wydać, sprzedałby się w setkach tysięcy egzemplarzy. Rzecz jasna, ludzie uznaliby to za zupełnie nieprawdopodobną historię, ale czytaliby - i marzyli z całego serca, żeby to była prawda. Podejrzewam nawet, że ukradkiem przeprowadzaliby eksperymenty na własną rękę,

choć podczas rozmów z przyjaciółmi na ten temat chichotaliby histerycznie.

Nie mam odwagi opowiedzieć ci..., wiesz, dlaczego nie mogę..., przypadły mi ostatnio w udziale niesamowite doświadczenia... Bobby, to wszystko prawda. Naprawdę możesz otrzymać wszystko, czego pragniesz, jeśli to przyczynia się w jakiś sposób do zwiększenia osobistej mocy i ekspresji w konstruktywnym działaniu na rzecz innych ludzi. Nagle na przykład dostajesz listy, na które długo czekałeś i zastanawiałeś się już, czy nie zostałeś zapomniany... brzmi głupio?"

Brzmiało.

„Jakie to przykre - myślał Bobby, składając list - Nancy miała taką fascynującą osobowość. Teraz do końca życia gotowa zajmować się bzdurami. Dobrze, że dałem sobie spokój z tymi dyrdymałami, zanim, mną owładnęły."

Uśmiechnął się gorzko na myśl o sugestii Nancy, żeby zwrócić się do pani Hudson o dziennik. Nie odpowiedziała na jego pełen skruchy liścik z pierwszego grudnia. Przez dwa tygodnie od tej daty chodził za listonoszem krok w krok.

W sobotni rano, kiedy pani Dawson wyjeżdżała z dzieckiem na wieś, Bobby, pod naciskiem wielu namów, przyjął zaproszenie, by im towarzyszyć.

Wybrali zaciszną chatkę należącą do pewnej wdowy, kilka jardów od brzegu jeziora Pleasant, oddalonego zaledwie godzinę jazdy koleją na północ.

Uwolniony od tak długo trawiącego niepokoju, Jack Dawson pozbył się dawnej bladości. Szedł sprężystym krokiem, wyprostowany. A Marion po

prostu promieniała.

Urządzili piknik i zjedli lunch na brzegu jeziora - Jack junior został pod opieką pani Plimpton, która gdy tylko została z nim sama, uznała, że nie ma jak staroświeckie kołysanie i śpiewanie piosenek.

- O nie, tylko nie to! - zaproponowała Marion, wypakowując zawartość koszyka. - Przez cały tydzień macie, doktorki, mnóstwo okazji, żeby sobie uczenie pogadać o chorych żołądkach. Niedobrze mi się robi, jak mam jeść przy stole operacyjnym.

Dawsonowie, zanim Bobby się nimi zainteresował, nie mieli pojęcia o jego zamożności. Teraz na pewno wiedzieli. Ale traktowali go tak samo. Nie okazywali ani żdźbła zażenowania czy czołobitności. Byli prawdziwi, to na pewno. Szkoda, że Bobby nie ma takiej siostry jak Marion Dawson. Obaj późnym popołudniem wrócili do miasta i pożegnali się na stacji.

- Na razie, Bobby - powiedział Jack. - Dzięki, że wpadłeś. Do zobaczenia. Cieszę się, że lepiej ci idzie. Bardzo mnie poratowałeś!

- Z korzyścią dla nas obu - odpowiedział Bobby.

Wieczorem zrealizował zamysł, który go nurtował od poprzedniego dnia. Z dziennika wynikało, że Randolph odczytał wszelkie potrzebne mu informacje w pewnym kluczowym fragmencie galilejskiej opowieści o człowieku, który doskonale opanował zasady rozszerzenia osobowości. Bobby uważał, że jest najzupełniej zdolny do wykonania takich samych badań jak Randolph.

Nigdy w życiu nie miał własnej Biblii. Wczoraj kupił Nowy Testament. Sprzedawca wyłożył cały asortyment. Zamiast typowego czarnego woluminu w miękkiej skórzanej okładce Bobby wybrał wydanie przypominające zwyczajną książkę, zakładał bowiem, że potraktuje Biblię

jak każde inne dzieło.

Wielokrotnie kartkował ją tam i z powrotem, aż w końcu znalazł fragment, do którego tak wielką wagę przywiązywał rzeźbiarz przy poszukiwaniu zasady dynamiki osobowościowej. Studiował go z takim skupieniem i napięciem, jakby to była mapa obcego kraju, który ma za chwilę przemierzyć.

Szczególnie zaintrygowało go pewne osobliwe sformułowanie. Do późna, w nocy czytał ów fragment wciąż od nowa, nie czując zmęczenia. Książka zadziwiała go. Wcześniej, jeśli w ogóle poświęcał jej jakąkolwiek myśl, uważał ten starożytny dokument za usypiającą mieszaninę komunałów, prześlizgujących się po powierzchni żydowskich zabobonów i uznawanych przez prostaczków za uniwersalne remedium na wszystkie bolączki, a w istocie stanowiących odurzający narkotyk, który stępią w ludziach pragnienie rzeczy dla nich nieosiągalnych.

I szybko zrozumiał, że jest to jedna z najbardziej fascynujących rzeczy, jakie kiedykolwiek czytał. Nie tylko nie znalazł nudy, której się spodziewał - natykał się wciąż na tajemnicze sugestie i sekrety - przede wszystkim sekret nieprawdopodobnej energii, która zostanie wlana w każdego człowieka na tyle rozumnego, by przyjąć podane wskazówki z należną powagą, jak przyjmuje się każdą naukową hipotezę, i podjąć się, podobnie jak w laboratorium chemicznym albo fizycznym, wprowadzenia ich w życie.

Uczucie, że trzyma w ręku rzeczywisty podręcznik nauki poświęconej rozszerzeniu i rozwojowi ludzkiej osobowości, było oszałamiające. Jakie to dziwne, że ludzie chylą przed tą księgą czoła, układają do jej słów muzykę i ze ściągniętymi twarzami intonują pobożne hymny. Jakie to

zabawne! Jaka szkoda! To nie jest libretto do wielkiej opery ani epicka historia, którą można przetwarzać na rzewne śpiewy! To poważna naukowa teza nieocenionej wagi. Samo tylko wyśpiewywanie owych słów dowodzi już, że się tego nie rozumie.

Jedną z najważniejszych rzeczy, jakie tamtej nocy odkrył Merrick, było to, że w przeciwieństwie do naukowych traktatów, przyswajalnych jedynie dla wyćwiczonych umysłów, w książce znajdowało się mnóstwo prostych porad dla wszystkich ludzi, wykształconych i niewykształconych. To nie elaborat dla intelektualistów. Jednak potencjalni odbiorcy tekstu zostali wyraźnie podzieleni na grupy. Galilejczyk z najwyższą szczerością proponuje trzy typy wtajemniczenia, w proporcjach 5:2: 1. Podczas jednego z poufnych seminariów otwarcie mówi zaufanym przyjaciołom, że wyjawi im pewne tajemnice, które zachowa przed szeroką publiką, ponieważ większość ludzi nie jest w stanie ich pojąć.

Zafascynowany, zauważył też, że Galilejczyk często okazawszy komuś pomoc, prosił go, jak o specjalną przysługę, żeby nikomu o tym nie mówił.

- Jasne, wprowadzał w życie własne teorie!

Z dokumentu wynikało, że ludzie zaczęli interesować się tą dziwną, niewyjaśnioną mocą w różny sposób i w różnych okolicznościach. Jeden na przykład, widząc czyjaś niezwykłą moc i piękno, postanawiał także je zdobyć, choćby kosztowało go to wszystko, co posiadał. Obrazowała to przypowieść o człowieku, który zobaczył perłę w rękach kogoś innego i sprzedał cały majątek, aby ją zdobyć. Powiedziano dalej, że takie bogactwo można czasem znaleźć przez zwykły przypadek. Inna historia mówiła o podróżniku, który idąc na skróty przez pole, znalazł skarb. W

książce nie ma wyjaśnienia, co nim było. Powiedziane jest tylko, że ów człowiek powrócił do domu, spieniężył wszystko, co miał, i kupił pole, na którym znalazł skarb.

Jednak nic nie uderzyło Bobby'ego bardziej niż często powtarzana rada, by żyć odważnie, niemal twardo. Można osiągnąć wszystko, czegokolwiek się zapragnie, jeśli tylko będzie się dostatecznie długo pukać w drzwi, za którymi ukrywa się spełnienie pragnień. A jeśli nie otrzymuje się tego, czego się chce, to znaczy, że niedostatecznie mocno się pragnie. Choćby nie wiadomo jak daremne zdawało się walenie w drzwi, każdy, kto z całego serca chce je otworzyć, w końcu to uczyni!

„Trzeba mieć ręce zdarte do krwi - pomyślał Bobby - zanim się powie: "Próbowałem i nie wyszło!*"

Ilustrowała to opowieść o biednej wdowie, która, nie mając żadnej władzy i wpływów, żądała zadośćuczynienia od pewnego bogacza. Sędzia, do którego poszła, był łajdakiem. Kobieta nie miała adwokata, przyjaciół, ale przychodziła tak często, że pokonała sędziego.

Zagłębiał się coraz bardziej, poznając umysłowość człowieka, który ustanowił zasady bogatszego, pełniejszego życia, oczarowany Jego spokojem i niezłomnością.

W końcu zamknął oczy i odłożył książkę. Podświadomie w jego umyśle układała się prośba. Gdyby ktoś mu powiedział, że właśnie się modli, bardzo by się zdumiał. Próbował wyobrazić sobie osobę, która stworzyła taką filozofię.

To, czego doświadczył, nadeszło samo z siebie, bez wysiłku.

Gdy próbował potem przeanalizować swe doznanie, najważniejsze i

najintensywniejsze w życiu, pamiętał podwójne wielkie wrota gdzieś na końcu korytarza, które gdzieś w nim - w jego umyśle, w sercu, w duszy - rozchyliły się cicho, wpuszczając miękkie skrzące się światło. Oświetlone ściany korytarza były pokryte mapami, diagramami, tabelami, bronią oraz błyszczącymi instrumentami i aparatami w szklanych gablotach.

Trwało to okamgnienie. Drzwi otworzyły się bardzo nieznacznie. Zaraz się zamknęły i korytarz na powrót ogarnął mrok, tak gęsty, że Bobby nie wiedział, gdzie jest.

Zerwał się w oszołomieniu i ogarnęła go dziwna radość. Śnił? Chyba nie. Wstał i zaczął chwiejnie chodzić po pokoju, starając się strząsnąć z siebie poczucie iluzji.

- Drzwi! Światło za drzwiami... Światło przebijające przez drzwi...

ciekawe, czy korytarz zawsze tam był i czekał, aż go znajdzie! Mogę sprawić, że drzwi otworzą się szerzej. Muszę to zrobić! Jedno jest pewne.

Widziałem. To istnieje! Jest naprawdę! Pewnie nigdy nie uda mi się dotrzeć daleko, ale wiem, że to jest możliwe. Randolph nie był wariatem!

Następnego ranka, gdy wybiegał do biura dziekana zapisać się - mimo próśb starego Nicholasa, by do września dał sobie spokój i wracał do Windymere - na kurs wakacyjny, przyszedł list od Nancy Ashford.

„Pewnie czytałeś o tym w gazecie, ale napiszę, bo wiem, że cię to zainteresuje. W piątek wieczorem Joyce Hudson i Tom Masterson wymknęli się do Toledo i wzięli tam ślub. Pani Hudson w sobotę, dziesiątego, płynie do Europy. Zadzwoiła do mnie, żeby powiedzieć o swych planach... Statek »Lewiatan«. Pomyślałam, że chciałbyś o tym wiedzieć.”

Kilka razy rozważał celowość wysłania na statek kwiatów, ale

zrezygnował z tego pomysłu. Uznałaby to pewnie za impertynencję. Nie, to już nieodwracalne..... Pozostało mu oddanie się pracy, w którą zagłębił się z nowym zapalem.

Rozdział dwunasty

Dziewiąta rano, początek września.

Ostatni letnicy niechętnie żegnali się z pięknem tego miejsca i przysięgali sobie szybko powrócić. Z naręczami kwiatów ogrodowych, ułożonych w urocze ogromne bukiety przez doświadczoną obsługę, która szczerze żałowała, że goście już wyjeżdżają, przycupnęli na krawędzi śliskich autobusowych siedzeń, żeby z wysokości tarasu rzucić jeszcze jedno pospieszne spojrzenie na błękitną zatokę. Potem zjeżdżali do Bellagio i Menag-gio po drugiej stronie zatoki i jeszcze małą śmieszoną kolejką linową sunęli nad górami na zachód, do domu.

W Yilla Serbelloni panowała tego ranka zupełna cisza. Nigdy nie słyszało się tu gwaru, nawet kiedy jej niewielką przestrzeń całkowicie zapełniali ludzie. Było coś niewymownie uspokajającego w tym małym dworku, coś, co spowalniało rytm, rozleniwiało, łagodziło ton głosu i mąciło wzrok.

Ta kojąca atmosfera nadawała całemu regionowi wrażenie osobliwej nierealności. Zupełnie jakby człowiek przechadzał się wewnątrz obrazów Corota. Zmieniające się zarysy chmur, mgła ponad górami i zatoką współgrały z ciepłymi powiewami jesiennej bryzy, nieobliczalnie igrały z poczuciem odległości i czasu. Nie było się nigdy pewnym - ale też nikt o to nie dbał - czy jest akurat wtorek, czy czwartek. To jak wpatrywać się w rozmyty obraz, nieostre zdjęcie. Na tle fioletu wzgórz ani turkusu jeziora nie było żadnych ostrych linii czy zarysów. Nawet kamyczki na podjeździe zdawały się nierzeczywiste, otoczone

maleńką błyszczącą poświatą w kolorze bladego opalu. Każde winogrono w zgrabnych kiściach zwisających na ażurowych ścianach altany okalał bursztynowy nimb, jakby promieniowały wewnętrznym światłem.

Cudowne miejsce do marzeń.

Żeby je jednak w pełni docenić, powinno się mieć wolny od zmartwień umysł, inaczej zawieszony poza czasem spokój tego miejsca wydobywał i nasilał wewnętrzne rozedrganie. Jeśli nie jest się w zgodzie z samym sobą, samotność i przygnębienie dają się tu we znaki jeszcze bardziej niż na pustyni.

Altana nie była jednak opustoszała. Poza zajętą korespondencją parą podstarzałych Anglików przy ostatnim stoliku, co jakiś czas wyciągających po omacku dłonie po filiżankę z herbatą, Helen Hudson miała resztę miejsca dla siebie. Czuła się tak samotna, że przyglądała się z przyjacielskim zainteresowaniem wyczynom ambitnej pszczoły, która wyraźnie domagała się prawa do słoiczka miodu.

Może nigdy nie zdecyduje, jakie jest drugie najpiękniejsze miejsce na ziemi... La Jolla? Jezioro Louise? Wąwóz Royal Gorge? Droga rzeki Kolumbia? Wielki Kanion?

Spędziwszy trzy lata za granicą, Helen stopniowo zmieniała obiekt uwielbienia od Wielkiego

Kanału podczas pełni, do Upper Corniche Road, Amalfi Drive, widoku rzeki Neckar ze zniszczonych balkonów zamku Heidelberg, przebijającej przez korony drzew.

Ale nigdy nie miała wątpliwości co do najpiękniejszej scenerii. Właśnie miała ją przed oczami, siedząc na małej altanie -jezioro Como od wschodniej strony Yilla Serbelloni, a ponad granią widok na Bellagio.

Patrzyła właśnie na ten cud, lecz niewiele do niej docierało, ponieważ jej myśli zwracały się w inną stronę.

Poranna korespondencja potwierdziła niepokojące podejrzenia. Wynikało z niej, że Monty, obracając jej majątkiem, spowodował poważne szkody. Jak zabezpieczyć się przed katastrofą - jeśli naprawdę nic nie jest jeszcze przesądzone - nie przysparzając rodzinie haniebnego rozgłosu? Sprawa była zbyt skomplikowana, by mogła ją rozwikłać.

Od chwili, kiedy rok temu uległa gorącym namowom Monty'ego i powierzyła mu swe wszystkie finansowe sprawy, wyniki jego poczynań ani razu nie spełniały jej oczekiwań.

Gdy w styczniu pisał, że Miedź Północno-Zachodnia przechodzi właśnie „zmiany reorganizacyjne”, co tymczasowo obniża jej wartość i stąd mniejsze dywidendy, przyjęła doniesienia w dobrej wierze i była skłonna, choć ze zdumieniem, uznać je za prawdziwe. Nie udawała, że rozumie długi potok ogłupiających szczegółów w zupełnie jej obcym żargonie.

Martwiła się ową niekorzystną dla siebie sytuacją, ale ufała słowom Monty'ego. Nie miała u kogo zasięgnąć porady, nie odważyła się, czy też nie była na tyle zapobiegliwa, by zrobić to korespondencyjnie. Uczyniła Monty'ego swym przedstawicielem, nadając mu nieograniczone uprawnienia. Złożyła wszystko w jego ręce i mógł robić, co chciał. I to najbardziej ją niepokoiło.

W połowie lipca przyszedł obszerny list, w którym Monty bardzo ubolewał, że Miedź Północno-Zachodnia tak opieszale dźwiga się z kryzysu, nadal boryka się z „trudnościami reorganizacyjnymi”, „problemami z refinansowaniem” oraz „nieznośnym odraczaniem bezsensownych sporów prawnych” - Monty miał talent do serwowania

zbędnych zawilosci. Krótko mówiąc, Miedz Północno-Zachodnia zamknęła półroczny okres rozliczeniowy, nie wypłacając swym udziałowcom jakichkolwiek dywidend. Niewymownie mu z tego powodu przykro - ale, ma się rozumieć, to nie jego wina.

Sparaliżowana świadomością, że znajduje się w obcym kraju sama, bez dopływu gotówki ani jakiegokolwiek gwarancji, że ją odzyska, gryzła się cały dzień, zachodząc w głowę, jakie powinno być kolejne posunięcie w tym kłopotliwym położeniu.

Przyszło jej na myśl, żeby spieniężyć akcje Bright-wood. Wiedziała jednak, że udziały w szpitalu nie mają wartości rynkowej. To nie zwykłe papiery wartościowe. Przychód był mały i niepewny, a wartość samych udziałów taka, jak suma, którą mógłby zaoferować jakiś nabywca-filantrop.

Poza tym miały dla niej znaczenie emocjonalne.

Gdyby nie trudna sytuacja, myśl pozbycia się ich na pewno nie przyszłaby jej do głowy. Ale uczucia uczuciami, a trzeba, jakoś żyć. Dysponowała bardzo ograniczonymi funduszami.

Po miesiącu zamartwiania się napisała do Nancy Ashford. Odrzucając po namyśle pomysł, by przedstawić jej dokładnie obraz sytuacji, w jakiej się znalazła, spytała tylko, czy jest możliwość zamienienia jej udziałów w Brightwood na gotówkę, gdy tylko znajdzie się nabywca. Pani Ashford będzie na pewno zaskoczona i rozczarowana tą decyzją, ale niech sobie myśli, co chce. Nikt nie może się dowiedzieć, skąd to posunięcie.

- Ciekawe dlaczego chce to zrobić? - powiedziała Nancy do doktora Merricka, otrzymawszy list. - Przecież z całą pewnością starcza jej na utrzymanie. Jej zyski z Miedzi Północno-Zachodniej są warte nie mniej

niż sześć tysięcy rocznie. Akcje uprzywilejowane, pewne jak Gibraltar. Myślisz, że ktoś ją okrada? Ona ma raczej blade pojęcie o interesach.

- Kto zajmuje się jej sprawami finansowymi?

- Nikt, o ile mi wiadomo. To nie są zbyt skomplikowane interesy. Mówiła coś, że brat, kuzyn, pomaga jej w przygotowaniu zeznania, podatkowego.

- Wie pani coś o nim?

- Nic a nic. Może to on zajmuje się jej finansami?

- Mało prawdopodobne. Niby z jakiej racji? Chyba że dała mu wolną rękę, ale chyba nie zrobiłaby czegoś takiego.

- I co mam jej odpowiedzieć, Bobby?

- Ile są warte jej udziały w Brightwood?

- Według tradycyjnych przeliczników? - uśmiechnęła się Nancy.

- Nie, w wersji optymistycznej!

- Około dwudziestu tysięcy... Jesteś zainteresowany?

- Tak. Proszę powiedzieć pani Hudson, że podejmie się pani sprzedania jej udziałów za, powiedzmy... dwadzieścia pięć tysięcy. I że nabywca zapłaci w dwudziestu pięciu miesięcznych ratach. To ochroni ją przed pełnym bankructwem i nie

zostanie tam bez grosza przy duszy, a w tym czasie...

- Tak?

Doktor Merrick skierował się do drzwi.

- Och, czy ja wiem... to jej sprawa.

Helen otworzyła kolejny długi list od pani Ashford, z ratującym ją od zguby załącznikiem oraz solenną obietnicą, że wkrótce otrzyma więcej.

Miała wyrzuty sumienia. Odrzuca związek z tym, co było najbliższe sercu doktora Hudsona. Jakby odcięła się od spraw, dla których żył.

W liście nie było nagany, ani wyrażonej wprost, ani między wierszami. Wyczuwała jednak nutę niepokoju.

„Mam nadzieję, że spieniężenie pani wpływów z Brightwood nie oznacza, że jest pani pozbawiona funduszy z innych źródeł. Czy moglibyśmy coś zrobić w pani imieniu?”

Po zwięzłym i jasnym sprawozdaniu z poczynionych transakcji i warunków sprzedaży, Nancy Ashford serwowała garść lokalnych nowin.

„Nie poznałaby pani Detroit! Nowe kluby, teatry, hotele, sklepy! Nawet szpital się rozbudowuje. Są już gotowe plany.

Młody doktor Merrick pracuje u nas. Zresztą może pani wie o tym. Z wielką radością obserwuję, jak szybkie czyni postępy, bo zawsze interesowałam się tym chłopcem. Ma wielką przewagę nad przeciętnymi internistami, bo wiedząc od pierwszego dnia studiów, że zostanie neurochirurgiem, dołączył do nas z bardziej ukierunkowaną wiedzą i większym doświadczeniem niż jakikolwiek młody lekarz, który rozpoczynał pracę w naszej placówce. Już teraz doktor Pyle traktuje go z poważaniem, które bardzo mnie bawi. (Doktor Pyle zazwyczaj krótko trzyma młodych). Bobby uzyskał pozwolenie na prowadzenie własnego laboratorium. Dostał do dyspozycji małe pomieszczenie - może pani sobie przypomina tę wnękę obok głównego solarium na górze. Podzieliliśmy ją. Żeby pani widziała, jaką aparaturę zainstalował! Przypomina bardziej laboratorium fizyczne niż chemiczne. Coś tam podgrzewa! Coś tam wykuwa i przetapia! Wydmuchuje szkło. Piec huczy! Do tego cały szereg elektrycznych urządzeń! Nie da się wyciągnąć od niego na ten temat ani słowa. Poszłam tam wczoraj i zapytałam, czy robi właśnie nowy odbiornik radiowy, a on na to: »Coś w tym stylu«.

Wiadomo, że taka odpowiedź nic nie znaczy, chce po prostu, żeby mu nie przeszkadzać.

Nigdy chyba nie doznam większego wzruszenia, niż w dniu rozdania dyplomów! Zawsze w niego wierzyłam. A kiedy nadszedł wielki dzień i podczas ceremonii wyczytano jego nazwisko (wcześniej ani słowem nie wspomniał, że otrzymał wyróżnienie drugiego stopnia!), siedziałam i płakałam jak niemądra. Jego matka nie mogła przyjechać, więc udawałam, że ja nią jestem. A żeby pani widziała jego dziadka. Czy był dumny? Kiedy rocznik Bobby'ego maszerował przez podest po odbiór dyplomów, drogi pan Merrick wstał, próbując machać chusteczką i jednocześnie wydmuchiwać w nią nos, aż ktoś zaczął ciągnąć go za poły marynarki, żeby usiadł."

Kartki drżały w dłoniach Helen.

Ostatnia linijka na tej stronie - numer osiem - została wykreślona na tyle niestarannie, że można ją było odczytać:

„Młody lekarz, który otrzymał...”

Następna strona miała na początku numer dwanaście. To także zostało niezbyt skutecznie skreślone i zastąpione dziewiątką.

Po namyśle Nancy Ashford opuściła sporą część listu.

- Proszę, oto weksel na tysiąc dolarów - powiedział Bobby, stojąc przy biurku Nancy.

- Dzięki. Właśnie skończyłam do niej pisać. Wyślę jeszcze dziś.

- Świetnie! A tak przy okazji: nie wspomniała pani o Dawsonach?

- Nie. Mam o tym napisać?

- Dajmy sobie z tym spokój. Nie sędzę, żeby to ją interesowało, a ... poza tym, mam swoje powody.

- Jak chcesz - odparła Nancy, pospiesznie wyłuskując kartki, na których napisała:

„Pierwsze wyróżnienie dostał najbliższy przyjaciel doktora Merricka. Są jak Kastor i Polluks... to przyjaźń, o jakiej czyta się w książkach.

Pracowali razem przez całe studia - robili tę samą specjalizację. Nagrodą dla najlepszego studenta, ufundowaną przez pana Owena Simmonsa (z firmy Simmons Turbinę Co.) jest rok w Wiedniu z pokryciem wszystkich wydatków, stypendium, spora dieta etc. Dawsonowie byli tu w zeszły czwartek, w dniu, kiedy nadszedł pani list. Pani Dawson odprowadzała męża do Nowego Jorku.

Cała trójka jest dla siebie jak rodzeństwo. Aż zazdrość bierze. Siedzieli ściśnięci w moim biurze przez całą godzinę, a kiedy wyszli i spotkałam ich na korytarzu, pani Dawson aż promieniała, więc powiedziałam: »Jest pani radosna jak bożonarodzeniowy poranek!* »Mam powód!« - odpowiedziała ze śmiechem: »Jadę z nim!« »Do Europy?" »Oczywiście!«

Mają słodkiego synka, w tym roku skończy cztery latka. W życiu nie widziałam tak grzecznego dziecka. Doktor Merrick pojechał z nimi do Nowego Jorku i do powrotu pani Dawson zabrał małego Jacka ze sobą do Windymere. Niechybnie stary pan Merrick właśnie teraz prowadzi kucyka, którego kupił małemu."

Był też list od Joyce:

„Nie, kochanie, jestem przekonana że myślenie albo powtarzanie: »A nie mówiłam!*, nie sprawi ci przyjemności. To nie w twoim stylu. Nie ma dnia, żebym nie wyrzucała sobie, jak ohydnie traktowałam Cię tej zimy, kiedy Ty z całej siły próbowałeś ratować mnie przed samą sobą.

Dla nikogo nie byłam wtedy dobra. Nawet dla biednego Bobby'ego. Nigdy

ci do końca nie powiedziałam... chciałam, ale... dzwoniłam do niego następnego ranka i poprosiłam, żeby mnie odwiedził. Tak jakoś mgliście pamiętałam, że... no - był miły dla mnie tamtego wieczoru, więc może chce odnowić naszą przyjaźń. Wymówił się. Czułam się zraniona i upokorzona. Wiedziałam, że coś musiało się wydarzyć, coś, co poróżniło Ciebie i Bobby'ego, bo... czy mi wybaczysz, kochanie? Krótco potem zauważyłam list od niego i podejrziałam, o czym pisał. Prosił o przebaczenie, że sprawił Ci tyle bólu. Wiem, że nie powiedział Ci całej prawdy. Myślałaś, że był na tej popijawie w Gordonsie, a ja po tym, jak odmówił spotkania ze mną, nie wyprowadzałam Cię z błędu. Szczera prawda jest taka: przyszedł tam zupełnie trzeźwy i bił się z każdym, kto stanął mu na drodze, żeby mnie stamtąd wyciągnąć, a ja byłam tak zaprawiona, że przez trzy dni nie miałam pojęcia, co się właściwie wydarzyło. Wiem, że Bobby jest dla Ciebie nikim i gardzisz nim, ale powinnaś wiedzieć, bo mu się to należy, jak do tego doszło, że przywiózł mnie do domu po Święcie Dziękczynienia. Nie, kochana, nie jest ani trochę lepiej, nigdy już nie będzie lepiej. Wiem to. Tommy już taki jest. Przychodzi w nocy do domu pijany, opryskliwy i uparty, następnej nocy pijany, śmieszny i sentymentalny, następnej pijany, kłótniwy i zaczepny, następnej pijany, agresywny i rozwścieczony - ale zawsze pijany. Tego mogę być pewna! Nigdy nie wiem, w jakim będzie nastroju, czy zostanę złajana za wyimaginowaną obojętność wobec niego i jego pracy (której niewiele poświęca czasu), czy nękana pozorami uczucia, którego żadne z nas nie żywi - ale jedno mam jak w banku: będzie pijany. Na początku twierdził, że alkohol pomaga mu w pisaniu. Piłam razem z nim, o każdej możliwej porze dnia, w każdym miejscu, z różnymi ludźmi.

Mówił, że wtedy wyraźniej czuje lokalny koloryt. Wierzyłam w każde jego słowo. Potem zrozumiałam, że go to szybko rujnuje. Powoli przestawał się liczyć na rynku wydawniczym. Gazety zaczęły odsyłać jego rzeczy z krótkimi szorstkimi komentarzami. Nie chciałam mu suszyć głowy, ale w pewnym momencie miałam już dość włóczenia się z tą jego brudną hałastrą pijaków pretendujących do jakiegoś tam talentu artystycznego, który albo nigdy się nie rozwinął, albo już dawno przebrzmiał!

Dziś wyszedł sam, niewiele robi pożytecznego, właściwie nic. Dzięki Bogu, nie muszę się martwić o pieniądze na czynsz albo następny posiłek. Drogi tatuś mnie zabezpieczył. Dopóki będzie wydobywana miedź, Tommy i ja możemy stwarzać pozory wspólnego życia, choć to bezbarwna, płytka egzystencja. Zostawiłabym go choćby jutro, gdyby nie to, że czuję się wobec niego zobowiązana. Jestem jak nikt inny odpowiedzialna za jego zachowanie. Co Ty byś zrobiła na moim miejscu?"

Cokolwiek złego działo się z Miedzią Północno--Zachodnią, Joyce nie miała problemów z wyegzekwowaniem swoich dywidend. Trzeba napisać do Monty'ego i wydusić z niego odpowiedź na kilka poważnych pytań. Czy Monty zaofiarował się zająć sprawami Helen z zamiarem przywłaszczenia sobie jej wpływów? Czemu nie zasięgnęła rady, zanim zdała się na jego łaskę i niełaskę? Przecież jest mnóstwo godnych zaufania spółek powierniczych. Może znajdzie się jakieś wyjaśnienie... Cóż, będzie miał okazję je przedstawić... i to bardzo rychło! Napisze jeszcze dziś! Nie, jutro! Dziś nie ma nastroju. A więc on hurmem zdobywa Brightwood. Dmuchanie szkła! Po co? Jaki to ma związek z neurochirurgią? Dlaczego nie powiedział prawdy, co naprawdę się stało w Gordonsie? Na szczęście

jego list z przeprosinami był zbyt mglisty, żeby Joyce go zrozumiała.

Biedna Joyce!

Pozbierała korespondencję, wstała zza stolika, uśmiechnęła się do starego Martino, kiedy wsuwał za nią krzesło, i ruszyła powolnym krokiem w dół krętej drogi. Mała wesoła parasolka przeciwsłoneczna nie podzielała jej trosk i kłopotów, i rozjaśniła jej twarz. Helen zeszła wąskimi schodkami na górską drogę, która wiła się od wioski, potem podążyła jej wdzięcznym łukiem do drugich schodków prowadzących na uliczkę upstrzoną małymi malowniczymi sklepikami.

Wczoraj obiecała sobie, że rano zrobi wycieczkę do Villa Carlotta.

Położony nad zatoką na gęsto zalesionym, pięknym brzegu słynny dom nieobecnego księcia otwarto dla zwiedzających. Wielkie dzieła Canovy, rzadkie gatunki orchidei, dużo egzotyki. Trzeba to zobaczyć. Wszyscy to widzieli.

Kiedy wchodziła do czerwono-niebieskiej zadaszonej motorówki, nie zabrakło troskliwych pomocników. Równie liczna asysta czuwała, gdy ją opuszczała na małej kei naprzeciwko Villa Carlotta. Parasolkę podała najbliższemu stojącemu członkowi komitetu powitalnego, przewodnik w skórzanej oprawie wręczyła kolejnemu, ktoś ściągnął jej z ramienia lornetkę na pasku. Pokazała w geście bezradności, że nie pozostało już nic, z czego można by ją odciążyć, i wyciągnęła przed siebie obie ręce, pozwalając innej parze ramion, której wszyscy zazdrościli, pomóc jej się wdrapać przez nadburcie.

Z uśmiechem odebrała swoje rzeczy, wspięła się po schodach do wielkiej żelaznej bramy i weszła w chłód przestronnego hallu, którego ściany i podłogi były wyłożone białym marmurem.

Na stylowej marmurowej ławce przy słynnej rzeźbie Amora i Psyche, w jedynym miejscu, gdzie można było usiąść, siedziała młoda kobieta, mniej więcej w jej wieku lub odrobinę starsza. Była modnie ubrana w dobrze skrojony szary kostium i szary kapelusz, spod którego spływały płowe loki.

Obrzuciły się krótkim spojrzeniem, skinęły sobie głową i uśmiechnęły się. Helen usiadła obok nieznajomej.

- To najlepsze jego dzieło, prawda? - zagaiła dziewczyna w szarym kostiumie.

- Niezwykłe!

„Cóż - powinna wiedzieć coś na temat rzeczy niezrównanych”, pomyślała Marion. To słowo opisywało samą Helen. Gdzieś tu spodziewała się spotkać młodą kobietę z niebieskimi oczami, długimi rzęsami, uczesaną prawdopodobnie w tak zwanego rozwianego pazia, z uwodzicielskim uśmiechem Mony Lizy oraz głosem przypominającym muzykę wiolonczeli. („Bobby, na litość boską! - protestowała. - A może niebiańską harfę?” „Tak, coś w tym stylu” - zgodził się).

- Co jeszcze jest tu ciekawego? - zapytała po dłuższym milczeniu.

- Nigdy tu wcześniej nie byłam - odpowiedziała Helen. - Z tego, co wiem, ogrody, egzotyczne drzewa i paprocie. Zerkniemy? Jest pani tu sama, prawda?

- Zupełnie sama i samotna.

Stukot ich obcasów rozniósł się echem w obszernym korytarzu, kiedy wychodziły na jesienne słońce. Na tarasie zatrzymały się zdezorientowane, poprosiły pracownika o pomoc i podążyły dróżką na północ do pomysłowo zaaranżowanych ogrodów.

- Przyjechała pani z Bellagio?

Tak. Zeszłego wieczoru przybyła z Lugano i zatrzymała się w małym hoteliku w osadzie. Mniej więcej na tydzień.

- O, w takim razie musi pani przenieść się do Villa Serbelloni! Bardzo by mi było miło!

Przedstawiły się sobie i obiecująca znajomość zaczęła się rozwijać z prędkością typową dla sytuacji, kiedy dwoje rodaków spotyka się za granicą. Młoda pani Dawson pokrótce opowiedziała swą historię.

- Lepiej nie będę mu przeszkadzać, dopóki nie przyzwyczai się do obowiązków - wyjaśniła. - Poza tym to moja pierwsza wizyta w Europie. Chcę się trochę powłóczyć i pozwiedzać.

- To dziwne, że z Paryża przyjechałaś prosto do Bellagio. Oczywiście, bardzo się cieszę, ale tu nie ma nic poza pięknymi widokami. Ludzie zazwyczaj oglądają zamki, podróżują wzdłuż Riwieri albo wybierają się do Rzymu, Neapolu, Florencji. Jak tu trafiłaś?

- Czytałam o tym miejscu... dawno temu... Zawsze chciałam tu przyjechać. Przyjemnie było odkrywać wspólne zainteresowania. Doktor Dawson w czerwcu ukończył Akademię Medyczną. Dzięki pierwszemu wyróżnieniu mógł pojechać do Wiednia. Specjalizuje się w neurochirurgii... Helen właśnie dziś rano dostała list od przyjaciółki bardzo dobrze znającej młodego lekarza, który dostał drugie wyróżnienie. Doktor Dawson na pewno się z nim zetknął.

- Merrick? - Marion ściągnęła brwi, próbując sobie przypomnieć. - Taki wysoki i poważny, prawda? Ale ty go nie znasz...

- Poznałam go... bardzo trafnie go opisałaś.

- To ci historia! Zejdźmy na dół.

Zeszły do otoczonego paprociami zakątka i usiadły na okrągłym kamiennym siedzisku, naprzeciwko zdobionego sztukaterią Pana na ładnym cokole.

- Czemu on jest taki poważny? - spytała Helen.

- Przecież dobrze mu się wiedzie!

- Naprawdę uważasz, że tak wygląda? To najbardziej szelmowskie stworzenie, jakie w życiu widziałam! Poważny? Z tym psotnym uśmiechem?

- A, masz na myśli Pana! Tak, diabełek z niego!

- A ty nadal o doktorze Merricku. - Marion wyduła dolną wargę w pełnym wyrozumiałości uśmiechu i przymknęła tajemniczo jedno oko.

- Może wcale nie jest poważny. Czemu miałby być. Strasznie bogaty, co? Spacerowały, natykając się co jakiś czas na urocze niespodzianki - obłupane schodki przy murku porośniętym różami, prowadzące do cienistej sadzawki wodnej, mały klasyczny pawilon, kamienne płyty wśród opadłych żółtych liści. Marion puściła wodze fantazji, paplając o romansach i intrygach od setek lat ukrywanych w tych tajemniczych zakątkach.

- Jest teraz w Brightwood - odezwała się Helen, gdy tylko znajoma przerwała, by zaczerpnąć tchu.

- To był szpital doktora Hudsona, więc, naturalnie, interesuje mnie to.

- Tak, oczywiście - uśmiechnęła się Marion enigmatycznie.

Było już późne popołudnie. Mała łódka, która przyплыnęła po Helen, czekała przycumowana na brzegu. Przewoźnicy pomogli im wejść do środka. Przez pierwsze pięć minut żadna się nie odzywała

- Helen siedziała wpatrzona w srebrny szlak kreślony przez łódź na

spokojnej wodzie, Marion cieszyła oczy pięknymi tarasami i bramami miasteczka.

- To chyba najpiękniejsze miejsce, jakie kiedykolwiek widziałam!

- Jednego nie mogę pojąć - twarz Helen wyrażała zdumienie - jak mogli sobie pomagać i tak dobrze się poznać... w tak krótkim czasie. Razem odebrali wyróżnienia i wybrali tę samą specjalizację. A to przecież bardzo wąska dziedzina.

Marion odwróciła się i spojrzała na nią z łagodnym uśmiechem.

- Gdybym wiedziała, że spotkam osobę tak zainteresowaną Bobbym Merrickiem, przedstawiłabym was sobie. Zajrzyjmy do tych śmiesznych małych sklepików, zanim stąd pójdziemy. Chcesz?

Marion Dawson weszła do swojego pokoju -przeprowadziła się do Villa Serbelloni mimo dręczących ją wątpliwości. Powodzenie jej misji było pewne. Bobby wysłał ją, żeby dowiedziała się wszystkiego o kłopotach finansowych Helen, dzięki czemu będzie mógł im zaradzić. Zarzekał się, że jego zainteresowanie wynika tylko z chęci pomocy. Gdyby żył doktor Hudson, jego żona nie musiałaby się zmagać z takimi problemami, więc tak czy inaczej czuł się winny. Przynajmniej wziął na siebie odpowiedzialność. Zależało mu na jej dobru.

- Na pewno tylko o to chodzi, Bobby? - droczyła się.

- Chciałbym, żeby było inaczej - wyznał - ale to niemożliwe. Porzucam już nadzieję. Ona nienawidzi mojego widoku.

Nie potrzebowała wiele kobiecej intuicji, żeby zauważyć, jak błędnie oceniał postawę Helen Hudson. Byłby w siódmym niebie, gdyby przytoczyła mu dzisiejszą rozmowę o nim. Ale to nie byłoby w porządku. Właśnie, po której ma być stronie? Już wystarczająco zdradzała Helen,

przekazując Bobby'emu jej zwierzenia na temat kłopotów finansowych - choć robiła to wyłącznie dla jej dobra. Jeśli kiedykolwiek dowie się, w jaki sposób rozwiązały się jej problemy, nie będzie zastanawiać się nad metodą. Ale nigdy nie wybaczy zdradzonego zaufania, jeśli chodzi o jej zainteresowanie Bobbym. Doprawdy, rola szpiega nie sprawiała Marion przyjemności.

Całe popołudnie spędziły razem, włócząc się nieskończonymi krętymi uliczkami, o czwartej mozolnie wspinały się pod górę starym fiakrem z wysokimi wysłużonymi kołami, o siódmej leniwie przeciągały kolację na werandzie, każda ze świadomością, że dana im przyjaźń stanie się bardzo cenna. Helen nalegała, aby Marion zajęła pokój obok, po północnej stronie, z oknami balkonowymi wychodzącymi na zatokę... Jutro zjedzą wcześniej śniadanie, żeby złapać pierwszy wycieczkowy parostatek na Corno.

„Jeszcze dziś rzuciłabym to wszystko - pisała Marion - i wróciła prosto do domu, gdybym nie była przekonana, że moja rola detektywa wyjdzie jej na dobre. Ona jest tak straszliwie samotna, ma dużo problemów, ale na pewno w ciągu najbliższych dni wszystko mi wyjawia. Nie muszę nawet o nic ją pytać, sama mi opowie. Ale, Bobby, zwodząc ją, czuję się podle. Jest takim miłym stworzeniem! Nigdy do nikogo tak szybko się nie przywiązałam. Proszę, nie pozwól, żeby kiedykolwiek dowiedziała się, jakie było moje zadanie. Chyba bym nie zniosła, gdyby pomyślała, że pielęgnując te przyjaźń, miałam ukryty cel.”

Sklepikarze w małym Bellagio przyzwyczaili się do widoku dwóch atrakcyjnych Amerykanek na uliczkach miasteczka, a kapitanowie statków wycieczkowych, kursujących po jeziorze Como, chlubili się tymi częstymi

pasażerkami. Co rano jadły razem śniadanie na werandzie, a wieczorami przechadzały się pod ramię doskonale utrzymanymi hotelowymi ogrodami.

Wiedziały już o sobie prawie wszystko. Zwierzały się sobie jak młode dziewczęta, ufnie i czule. Od pierwszej chwili nieodparcie je do siebie ciągnęło, i nie dbały o powściągliwość, przyjmowaną zazwyczaj w kontaktach z nowo poznaną osobą.

Całe popołudnie tego nieszczęsnego wtorku, który potem przywoływały z żalem w pamięci, wędrowały krętą górską drogą nad Menaggio. Helen wyjawiała wątpliwości co do Monty'ego i jego sposobu prowadzenia interesów, i otrzymała radę, żeby do powrotu do Stanów, skoro póki co ma stały dopływ pieniędzy, powstrzymać się od jakichkolwiek działań.

Pozbyła się wszelkich zahamowań i zaczęła swobodnie rozprawiać o Bobbym, zdradzając intonacją głosu to, czego nie chciała wyjawić wprost. Po południu zaczęło padać. Zdecydowały, że pora na małą sjestę i rozeszły się do swoich pokoi. Helen po godzinie się obudziła i postanowiła napisać parę listów. Przypomniała sobie, że w pokoju Marion zostawiła przewodnik. Cicho przekreśliła klamkę, drzwi nie były zamknięte na klucz, na palcach przeszła przez pokój, uśmiechając się na widok wtulonej w poduszkę uśpionej twarzyczki, i wzięła z biurka książkę. Obok niej, oklejona znaczkami i gotowa do wysłania, leżała gruba koperta zaadresowana: „Dr Robert Merrick, Bright-wood Hospital, Detroit, Michigan, USA”.

Stała w oszołomieniu.... jakby ktoś wymierzył jej cios w serce.

Oddychając z trudem, niemal po omacku wróciła do pokoju - tak bardzo obawiała się zbudzić Marion, że zostawiła jej drzwi szeroko otwarte.

Długo siedziała na brzegu łóżka ze zwieszonymi ramionami, dłonie bezsilnie opadły jej na kolana. Świat wokół powoli się zapadał. Z płonącymi policzkami przypomniła sobie rzeczy, które wyszeptała Marion Dawson - tak intymne i poufne, że nie wydobyłyby z niej tego nawet tortury najświętszej Inkwizycji. Niewątpliwie wszystkie te spontaniczne wyznania wsiąkły w papier, żeby zaspokoić ciekawość Bobby'ego Merricka. Teraz wszystko jasne!

A wydawało się, że ona i Marion poznały się i odnalazły najcenniejszą przyjaźń w życiu tylko przypadkiem! Rzeczywiście, przypadek!

Marion spała twardo do piątej. Zerwała się z nieprzyjemnym przeczuciem, że zaszło coś niedobrego. Lało jak z cebra. W pokoju panował mrok i był silny przeciąg. Drzwi były otwarte. Przecież je zamykała.

Nagle wstrzymała oddech i obiema dłońmi złapała się za szyję.

Powolnym, chwiejnym krokiem podeszła do biurka. Przewodnik Helen zniknął! Nie mogła go stąd zabrać, nie zauważywszy listu. Marion rzuciła się na łóżko i wybuchnęła płaczem.

Pół godziny później, ściskając palcami skronie, postanowiła wręczyć list Helen i błagać, żeby zechciała go przeczytać. Opowie wszystko i spróbuje wyjaśnić, jak dała się wciągnąć w ową dobroczynną zdradę.

Z bijącym sercem i płonącymi policzkami delikatnie zastukała do drzwi przyjaciółki, ale nikt nie odpowiedział, więc nacisnęła klamkę. Zamknięte.

Wróciła do pokoju, gwałtownymi ruchami przebrała się do obiadu i krętymi schodami powoli zeszła na dół, przeszukała hol, zajrzała do jadalni, w końcu zdobyła się na odwagę i podeszła do recepcji.

- Czy pani Hudson już zeszła na dół? - spytała ze ściśniętym gardłem.

- Wyjechała. Nie wiedziała pani?
- Wyjechała? To znaczy...nie ma jej w hotelu?
- Wyszła koło czwartej, madame.
- Ale dokąd?
- Nie zostawiła adresu, proszę pani. Powiedziała, że po bagaże przyśle potem.

Marion odwróciła się powoli i zrezygnowana podeszła do schodów, po czym wahając się, zawróciła.

- Proszę sprawdzić, czy nie ma dla mnie żadnej wiadomości.

Recepcjonista zaczął posłusznie przeszukiwać skrytki, przejrzał plik listów, choć oboje wiedzieli, że nic nie znajdzie.

Całą noc lało, a Villa Serbelloni należała teraz do najsamotniej szych miejsc na ziemi - wraz z hotelem Continental w Mediolanie.

Rozdział trzynasty

Dziewczyna o różowawych włosach, rzucająca powłóczyście spojrzenia spod kapiących od tuszu rzęs, poinformowała pana Brenta, że czeka doktor Merrick i chce się z nim widzieć... Nie, nie powiedział, w jakiej sprawie.

- Pan Brent właśnie się przebiera do kolacji i nie może zejść - powiedziała z przestraczem, zakrywając ręką dolną część słuchawki. - Mówi, że może pan powiedzieć przez telefon, o co chodzi. Proszę wejść do budki numer dwa.

- Niech pani mu powie, że idę do niego na górę.

Przekazała, wiadomość, a wysoki młody człowiek o ramionach miotacza dyskiem i szczupłej talii szermierza, niecierpliwie stukał długimi palcami w wysoki kontuar naprzeciwko centrali telefonicznej.

- Mówi, że to nie jest dobry moment - odparła, wyraźnie pragnąc unikać

nieuprzejmych zwrotów.

- Jaki jest numer jego pokoju? - zapytał niezbity z tropu Bobby.

- Trzysta siedemdziesiąt osiem, ale... powiedział, że nie może się teraz z panem zobaczyć.

- Proszę - odezwał się Bobby do stojącego opodal chłopca hotelowego - proszę zanieść te torby

do przechowalni, a potem zaprowadzić mnie do pokoju trzysta siedemdziesiąt osiem.

Pan Brent nie szykował się wcale do kolacji. Pakował się i krzesła, a także łóżko i stół, pokrywały części garderoby, papiery, książki, przybory toaletowe i pognieciona bielizna. W pokoju panował wielki nieład.

Otworzył drzwi z gniewną miną.

- Merrick, mówi pan. Nigdy o panu nie słyszałem. O co chodzi? - zatarasował wejście ciałem i oparł ręce na biodrach.

- Proszę mnie wpuścić, to panu wyjaśnię - powiedział Merrick cicho. Brent cofnął się niechętnie, robiąc przejście.

- No, dobra - skwitował cierpko - ale niech się pan streszcza. Jak pan widzi, jestem zajęty. Powiedziałem tym na dole wyraźnie, że nikt ma mi nie przeszkadzać.

Podniósł z oparcia krzesła płaszcz w krzykliwą kratę, pasującą do spodni, które miał na sobie, i rzucił na łóżko.

- Siadaj pan, jak pan chce. Merrick zignorował gburowatość zaproszenia i zaczął:

- Mieszkam w Detroit i pracuję w szpitalu Bright-wood.

Błada, pokryta dwudniowym szczeciniastym zarostem twarz Brenta poszarzała i stała się jak popiół.

- Tak?

- Może pamięta pan, że szpital ten doprowadził do świetności zmarły mąż pańskiej kuzynki, doktor Hudson.

- No i co z tego? - burknął Brent opryskliwie.

- Około miesiąca temu dotarła do nas informacja, że pani Hudson, przebywająca, jak pan wie, we Włoszech, była zmuszona pozbyć się udziałów w szpitalu. , ^

- A co to pana obchodzi, do cholery? - rzucił Brent, robiąc krok w stronę Bobby'ego. - Jest pan lekarzem, tak? Chyba jej wolno, nie pytając pana o zgodę, sprzedawać własne udziały, jeśli tak jej się podoba?

- Zgoda - odpowiedział Merrick, który postanowił nie tracić nad sobą panowania. - Nie miała okazji mi się zwierzać. Ale jej dobro nie jest nam obojętne, więc, jak mi się zdaje, powinniśmy być sprzymierzeńcami. Pan zajmuje się interesami pani Hudson, prawda?

- Tak! I nie potrzebuję pomocników!

- Tak się składa, że wiem, co pan robi. Przyszedłem o tym porozmawiać.

- A czemuż to tak żywo interesuje się pan moją kuzynką? - szydził Brent. - Chcesz pan położyć łapę na jej pieniądzach?

Obie łapy go świerzbiły...

- Radzę panu nie igrać z moją cierpliwością, Brent!

- Skoro taki pan niecierpliwy, to proszę wyjść. Pewnie teraz ma pan zamiar ożenić się z moją kuzynką, ale najpierw chce się pan upewnić, że ma wystarczająco dużo środków, żeby pana utrzymać.

- Nie będziemy teraz rozmawiać o pani Hudson - ostrzegł Merrick. - Pogadamy o panu! I o udziałach w Miedzi Północno-Zachodniej!

- Masz mi coś do zarzucenia, ty tani węszący szpiegu?

- To, że w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy przepuściłeś na giełdzie i koniach ponad sto tysięcy dolarów. Twój ostatni wygłup w maju, kupno akcji przedsiębiorstwa naftowego, był najgorszym z możliwych posunięć. Przyszedłem tu jako przyjaciel pani Hudson, żeby się dowiedzieć, co właściwie zamierzasz z tym zrobić.

Na twarzy Brenta odmalowała się wściekłość. Wrócił do drzwi i otworzył je na oścież.

- Wynoś się, psiakrew! Albo zawołam detektywa hotelowego. Merrick podszedł do zabałaganionego biurka.

- Oszczędzę ci fatygi - powiedział cicho, podnosząc słuchawkę.

- Odłóż to! - wrzasnął Brent, zatraskując z hukiem drzwi. Merrick posłuchał z uśmiechem.

- Coś nie palisz się do rozmowy z policjantem, Brent. Ale ze mną sobie pogadasz! Wyśpiewasz wszystko, czy mam cię przycisnąć do muru? Z przyjemnością to zrobię, jeśli chcesz.

Oślepiiony furia, Brent rzucił się do niego. Bobby zrobił unik. Lewą ręką chwycił trzęsącą się pięść napastnika. Drugą złapał gruby kark i popchnął Brenta w kierunku stołu, przyciskając go coraz mocniej i mocniej do blatu, aż na purpurowej szyi pojawiły się nabrzmiałe żyły, a oddech stał się chrapliwy - pora zluzować uścisk.

- Może teraz zechcesz porozmawiać o interesach?

Brent z trudem uniósł się na łokciu, jedną ręką grzebał w szufladzie biurka.

- Puść to! - Merrick zacisnął dłoń na przegubie Brenta, aż palce wyprostowały się i pistolet spadł na podłogę.

- Ten pomysł będzie cię dodatkowo kosztował.

Raz jeszcze Bobby zacisnął palce na krtani Brenta, aż jego oddech zmienił się w rżenie.

Merrick pochylił się, podniósł broń, opróżnił magazynek, schował naboje do kieszeni i czekał, aż gospodarz dojdzie do siebie.

Po kilku minutach Brent usiadł, niezgrabnie przetarł podeszłe krwią oczy i ostrożnie pomacał się po szyi.

- No - zachrypiał - skoro już udowodniłeś, że jesteś silniejszy ode mnie, czego chcesz?

- Nie jestem od ciebie silniejszy, Brent, ale niepotrzebnie rzuciłeś się na mnie z zamkniętymi oczami. Liczysz, że twój cios trafi w adresata. To nie najlepsza taktyka. Zamykasz oczy i walisz na oślep, myśląc, że może uda ci się trafić. A ten pomysł z bronią... napytałbyś sobie biedy, gdybym dał ci się zastrzelić. Niezły z ciebie ryzykant.

- Wolałbym krzesło elektryczne niż ciupę.

- Co potwierdza moje słowa. A propos krzesła, podejdź do biurka i usiądź. Coś dla mnie napiszesz.

- Jeśli myślisz, że wymusisz na mnie zeznania, Merrick, to wybij to sobie z głowy.

- Absurd! Mam w zanadrzu dość dowodów, żeby posłać cię za kratki na dwadzieścia lat. Chcę, żebyś napisał do swojej kuzynki. Podyktuję ci. Lepiej nie zrób błędów, bo wyślę osobiście.

Brent opadł ciężko na krzesło i odgarniając stertę przedmiotów z pulpitu biurka, wziął do ręki pióro.

- Najpierw adres i nagłówek, jakim zazwyczaj rozpoczynasz list do niej. Dalej: „Wobec niepewności Twoich dochodów z Miedzi Północno-Zachodniej, pozbyłem się wszystkich udziałów...”

Cisnąwszy pióro z gniewem, Brent wykrzyknął:

- Czy wiesz, że zmuszasz mnie do napisania tego?

- Jak najbardziej! Dlatego piszesz! Dalej, proszę.

- Wiesz, jak to się nazywa?

- No jak?

- To, to, to... jest...

- Odpowiednie określenie wymyślisz po moim wyjściu. A teraz bierz pióro. Masz już to odstąpieniu udziałów? Dalej: „a pieniądze umieściłem w Axion Motor na preferencyjnych warunkach”.

Brent zawahał się i zerknął na Bobby'ego ze zdumieniem.

- Nie rozumiem!

- To nie ma znaczenia - odparł Merrick cierpko. - Nie twój interes. Jesteś tylko sekretarzem. Po napisaniu tego listu nie będziesz miał już nic wspólnego z finansami kuzynki, „...w Axion Motor na preferencyjnych warunkach, pięćset akcji notowanych dziś po dwieście dwadzieścia sześć dolarów. Kapitał akcyjny został ulokowany w dziale powierniczym Czwartego Banku Narodowego w Detroit, gdzie od tej pory będą regularnie napływały twoje dywidendy.”

- Skąd mam wiedzieć, że tak będzie? - burknął Brent.

- Nie musisz, jak powiedziałem, to nie twoja sprawa. Napisałeś? Jeszcze jeden akapit: „Ważne sprawy zmuszają mnie do wyjazdu do Buenos Aires ...”

- Ale... ja nie wybieram się do Buenos Aires!

- Owszem, wybierasz się! Odpływasz w sobotę. Właśnie pakujesz się, żeby pojechać do Waszyngtonu po odbiór paszportu, który dla ciebie załatwiłem. Stamtąd udasz się do Nowego Jorku, gdzie odpłyniesz na

statku „Yirgo”. Wracamy do twojej korespondencji: „Nie wiem, jak długo tam zabawię, więc całą odpowiedzialność za Twoje finanse przekazuję wydziałowi powiernictwa. Zajmie się tym pan T. P. Randall i niedługo otrzymasz od niego sprawozdanie...” A teraz dopisz serdeczności i pozdrowienia, jakie masz odwagę napisać kobiecie, którą okradłeś, i podpisz się. Zaadresuj kopertę.

Kiedy Brent pisał, Merrick wyjął z portfela bilet na statek i odliczył dwa tysiące dolarów w banknotach o wysokich nominałach.

- Proszę. - Wskazał pieniądze, kiedy Brent skończył. - To dla ciebie. Bierz i ulatniaj się.

A jeśli chcesz mojej rady, zrezygnuj z zajmowania się finansami, bo nie jesteś w tym dobry, przestań udawać gracza, lepiej zawrzyj nowe kontakty, znajdź sobie nowych uczciwych przyjaciół, godną szacunku pracę, weź się w garść i bądź mężczyzną!

Z grymasem na twarzy Brent chwycił pieniądze, a potem nie patrząc, wyciągnął przed siebie dłoń, w której je trzymał. Merrick zignorował ten gest. Nie lubił tanich scen.

- Możesz wyjechać z kraju, prawda? Załatwiłem wszystko, więc nie będziesz miał kłopotów z paszportem, chyba że jesteś poszukiwany za inne przestępstwo. Na pewno cię nie zatrzymają? Nie okradłeś nikogo poza swoją kuzyneczką?

- Nie, nie! Boże, ale ze mnie drań! - Monty opadł na krzesło i ukrył potarganą głowę w ramionach.

- Nie musisz nim być, Brent.. zacznij od nowa! Możesz to zrobić! Ja już sobie idę. Jeśli będziesz miał jakiegokolwiek problemy z wyjazdem, zadepesuj. Oto moja wizytówka. I chyba nie muszę ci mówić, że pani

Hudson nie może się dowiedzieć o naszym układzie.

- To znaczy - powiedział Brent, patrząc na niego ze zdumieniem - dowiedzieć się, że to ty dałeś jej te pieniądze? Co chcesz przez to osiągnąć?

- To już moja sprawa! Chociaż... powiem ci, choćby po to, żebyś nie roił podejrzeń, że działałam na jej szkodę... Pamiętasz historię śmierci jej męża? Brent potaknął.

- W tym samym czasie, kiedy tonął doktor Hudson, uratowano pewnego młodego człowieka.

- Taak, pamiętam, to był jakiś bogaty facet... O Boże drogi, to ty?

- Tak! Uratowano mi życie dzięki urządzeniu, które mogło ocalić doktora Hudsona. Gdyby żył, nie zaprzepaściłbyś pieniędzy pani Hudson. Czy teraz rozumiesz?

- Czy także dlatego postanowiłeś zostać lekarzem? - zapytał Brent z szeroko otwartymi oczami.

- To byłby wystarczający powód, ale... nieważne. Chcę, żebyś wiedział, z jakiego powodu interesuję się losem twojej kuzynki. Guzik mnie obchodzi, co sobie o mnie myślisz, ale radzę, żebyś ją traktował z szacunkiem.

- Więc... uznałeś, że on uratował ci życie i musisz uczynić z nim coś dobrego, tak?

- Coś w tym stylu.

Brent siedział dłuższą chwilę, gapiąc się w przestrzeń niewidzącymi oczami, w końcu odezwał się zduszonym głosem.

- Rety, w życiu nie słyszałem o czymś podobnym! A teraz tak po prostu dajesz mi szansę na nowe życie. Gdybym chciał być taki jak ty, musiałbym

jakby... no... coś z tym zrobić?

- Och, niekoniecznie. Zanim, podjąłem jakiekolwiek działania, bardzo długo się zastanawiałem. Byłem niezłym łajdakiem, Brent. Gdybym wtedy wiedział, uniknąłbym tego.

- Co to znaczy - łajdakiem? Chyba nie kradłeś?

- Nie musiałem kraść. Miałem wszystko. Za dużo. Zepsułem wielu ludzi. Ty za to masz za mało. To, zdaje się, główna różnica między nami.

- Czy mógłbym się jakoś odwdziaczyć za to, co zrobiłeś?

- Możesz, jeśli chcesz.

- Jak?

Merrick wstał i wziął płaszcz.

- Sam musisz się domyślić.

- Bardzo bym chciał coś zrobić - powiedział Brent gorąco.

- Naprawdę? - zapytał Merrick, kładąc obie dłonie na ramionach Monty'ego i patrząc mu prosto w oczy.

- Bardziej niż czegokolwiek.

Monty'emu zdawało się, że jego atletyczny dobroczyńca nigdy nie wyłoni się z drugiego końca apartamentu, gdzie zawiodły go te słowa. Stał pochylony nad biurkiem, z rękami w kieszeniach, zamyślony.

- Wobec tego - powiedział w końcu powoli - muszę ci pomóc. Choć wcale nie mam ochoty. Ale istnieje cień szansy, że ... Posłuchaj! Ogól się i przebierz. Będę na dole. Zjemy razem i powiem ci wszystko, co wiem. Reszta zależy od ciebie. I zajodnyuj te zadrapania. Przepraszam, że musiałem cię zranić.

Pojechali taksówką do miasta. Pora obiadowa dawno minęła i mogli bez przeszkód zaszyć się przy stoliku w rogu restauracji. Zapomniawszy o

zdarzeniach ostatnich dwóch godzin, Monty odzyskał pewność siebie i słuchał jak urzeczony. Jeśli nie stanowił wówczas odpowiedniego gruntu pod zasiew nowej idei, to na pewno nie dlatego, że był źle usposobiony do jej przyjęcia.

- Opowiem ci dziwną historię o rzeźbiarzu nazwiskiem Randolph. Wcale się nie zdziwię, jeśli wyda ci się niewiarygodna. Sam ją za taką uznałem, kiedy się z nią zetknąłem po raz pierwszy.

Była to długa historia. Na stole zmieniały się dania. Po godzinie Monty odezwał się:

- On postradał zmysły, prawda? Odsunęli na bok pucharki po deserze i zapalili cygara.

- Oczywiście - powiedział Merrick - jeśli podejmujesz się eksperymentu rozszerzania własnego

ja poprzez inwestowanie w innych ludzi, musisz być przygotowany na wszelkiego rodzaju niepowodzenia, rozczarowania, pełne oburzenia reakcje. Może się okazać, że ponosisz nieskończone wydatki i wysilasz się dla kogoś, kto jest tak naprawdę naciągaczem i wyzyskiwaczem. Ludzie będą ci się narzucać, kłamać, opowiadać o tobie niestworzone rzeczy!

Doświadczysz tak wiele niewdzięczności, że niemal się rozchorujesz. Ale od czasu do czasu uda ci się coś doprowadzić do końca, a wtedy okaże się, że wszystkie porażki były tego warte. Zawiesił głos i zdawało się, że wspomina.

- Coś mi się zdaje, że właśnie się zastanawiasz, czy nie marnujesz na mnie czasu i pieniędzy - odezwał się Monty.

- Co do pieniędzy, myślę, że to nie w ciebie zainwestowałem. Chciałem się tylko ciebie pozbyć. Ale masz rację, zastanawiam się, czy dobrze

zrobiłem, powierzając ci teorię rozszerzania osobowości.

- Czy mogę spytać... sądzisz, że jeśli wejdę na właściwą drogę, zyskasz dodatkową moc we wszystkich poczynaniach?

- Och, niewątpliwie!

- A gdyby kiedykolwiek wyszło na jaw, że to ty mnie na nią sprowadziłeś, czy inwestycja we mnie przyniesie ci straty?

Merrick uśmiechnął się, bawiąc się w zadumie popielniczką.

- Nie. Randolph był ogarnięty obsesją. Groził ludziom skrzyżowaniem karku, gdyby wyjawili, że w nich zainwestował. Stanowczo przesadzał. Hudson konsekwentnie prosił tych, którym pomagał, o milczenie i stosował wszelkie możliwe zabezpieczenia, żeby nikt nie odkrył jego przedsięwzięć, ale nie wierzę, że uważałby je za niewarte wysiłku, gdyby ktoś się wygadał. Najważniejsze, że jeśli tobie się uda, ja również zostanę nagrodzony na tyle, na ile jest to moją zasługą. Poszerzając własne ja, niemal na pewno pomożesz także wzrastać komuś innemu. On z kolei przekaże energię kolejnym ludziom. Jeśli znasz się choć trochę na chemii, spróbuj to sobie wyobrazić jako proces katalizy. Rozszerzanie osobowości to inwestycja jak każda inna. Koło idzie w ruch. Działanie przynosi zyski. Jako sprawca masz do nich prawo. Część z nich pozostanie w pełnym obrocie długo po wystawieniu twojego aktu zgonu. Tak naprawdę, prawdziwy ty możesz być bardziej żywy, w sensie energii osobowościowej, pięćdziesiąt lat po śmierci, niż wtedy, gdy twoim zdaniem znajdowałeś się u szczytu możliwości.

- A jeśli twój beneficjent nie wykorzysta właściwie tego, co od ciebie otrzymał? Merrick wzruszył ramionami.

- W takim przypadku przekonasz się, że nic z tego nie wychodzi.

- Ale przynajmniej się próbowało! Czy już to samo nie przynosi satysfakcji?

- Tak, to z pewnością dobre ćwiczenie, ale jeśli poświęcasz ponad dwadzieścia tysięcy oraz pół roku życia, żeby uruchomić szyb naftowy, a w rezultacie nie masz nic poza suchą dziurą, czy pomoże ci myśl, że mimo wszystko próbowałeś?

Kiedy rozstawali się na rogu, Brent powiedział:

- Czy mogę od czasu do czasu napisać do ciebie i zdać ci relację z tego, co zrobiłem?

- Będzie mi bardzo miło. Ale nie musisz mi mówić, co robisz dla innych. To twoja sprawa. Napisz, czy to działa, a nie co uczyniłeś, żeby zadziało. Rozumiesz? Powodzenia!

Bobby zatrzymał się na noc w hotelu Ritz-Carl-ton; długo stał przy okienku biura Western Union, próbując ułożyć depeszę do Wiednia, w końcu poddał się, kupił kilka czasopism i wsiadł do windy.

Zasiadłszy wygodnie przy biurku, napisał:

„Droga Marion. Łamię sobie głowę nad rozwiązaniem twojego problemu, ale nic mi nie przychodzi na myśl. Straciłaś przyjaciółkę i nie widzę teraz sposobu, byś mogła ją odzyskać. Dziś dowiedziałem się, że jest w Nicei. Nie radzę ci tam jechać, żeby spróbować się z nią pogodzić, bo niechybnie pogorszyłoby to tylko sprawę. Musiałabyś powiedzieć, że to ja wysłałem Cię do Bel-lagio, żeby dowiedzieć się czegoś o jej kłopotach finansowych. Dzięki Twoim informacjom udało mi się w pełni rozwikłać problemy Helen. Wszystko się powiodło. Jednak cała ta maszyna skonstruowana, by odzyskać to, co jej się należy, a przy tym jej nie obrazić, ma bardzo niepewne podstawy. Wierzę, że wszystko będzie dobrze, ale nie zniosę

żadnych ofiar.

Postscriptum Twojego listu niezmiernie mnie zasmuciło. Według Twoich słów wyjechała z Bellagio koło czwartej, w ulewie, ze złamanym sercem, zdradzona... przez nas, którzy gotowi bylibyśmy dla niej umrzeć! I ten niewygodny parowiec do Como! Pewnie spędziła na nim noc albo złapała pociąg do Mediolanu, zastanawiając się, dokąd pojechać i co robić. Moja droga, czy można sobie wyobrazić coś żałośniejszego? Porozmawiaj na ten temat z Jackiem. Zapytaj, czy widzi jakieś rozwiązanie. Jeśli ani on, ani ty nie obmyślicie planu, jak się z nią porozumieć, nie niweczając tego wszystkiego, co chcieliśmy dla niej zdziałać, lepiej trzymajmy się od tego z daleka. Nieszczęśliwy obrót spraw odebrał mi radość, ale cóż mam począć".

Potem napisał do Helen list, którego nie miał zamiaru wysyłać, podarł go na drobne kawałki i położył się do łóżka. Próbował czytać, potem zgasił światło i powoli się uspokoił.

Od pewnego czasu miał w zwyczaju zaglądać przed zaśnięciem w swoje wnętrze. Jego korytarz -jak to nazywał - był halucynacją powstałą dlatego, że jej potrzebował. Uznał, że to tylko dziwaczne miejsce w jego wyobraźni, położone gdzieś na ziemi niczyjej, między odpływającą świadomością a snem.

Bawiło go poszukiwanie tego miejsca, i doszedłszy do wprawy, potrafił w odpowiednim momencie zatrzymać osuwającą się w sen świadomość tam, gdzie mieszkało dziwne widziadło.

Wyrazistość obrazu zależała od nastroju, a ten z kolei warunkowały działania, jakie przedsięwziął, dążąc do rozszerzenia osobowości.

Zazwyczaj na środek kamiennej, zawsze nierównej, jakby pokrytej kocimi

łbami posadzki spływała bardzo cienka, blada smuga nęcącego złotego światła. To trwało maleńką chwilę. Drzwi uchylały się, a światło wydostawało się... za ledwie na tyle, by podsycić wielkie nadzieje.

Dziś, być może z powodu nowej inwestycji, intensywnej koncentracji na sprawach, które objaśniał Brentowi, oraz przez związane z tym napięcie obraz przyszedł wyjątkowo łatwo.

Kiedy zbliżał się do kresu świadomości, widzenie pojawiło się z niezwykłą ostrością. Drzwi zamiast ledwie się uchylić, rozwierały się coraz szerzej, powoli, stopniowo. Korytarz zalała migotliwa jasność! Potem wszystko potoczyło się z zadziwiającą prędkością. Korytarz jakby się oddzielił, stał się niezależnym bytem, a on pojawił się w jego środku. Ogłuszył go straszliwy huk. Patrzenie w oślepiającą jasność, bijącą zza drzwi, było zbyt bolesne, więc skupił się na przedmiotach wiszących na ścianie, mrugając szybko, próbował przyzwyczaić wzrok do oszałamiającej jasności.

Daremnie później wiele razy próbował przypomnieć sobie, co dokładnie ujrzał. Widzenie należało do określonej fazy półświadomości i poza nią nie mógł go odtworzyć. Pamiętał jedynie bardzo mgliście obraz własnego laboratorium: czarny pulpit ze wskazówkami, imadło przytwierdzone do stołu. Mały piec hutniczy pracujący pełną parą, pełgające białe jęzory ognia. To stąd hałas. Drzwi wysokiej szafki skrywającej aparaturę, którą przez wiele miesięcy konstruował w pocie czoła, były otwarte na oścież. Parę dni wcześniej postanowił ją rozmontować i wywieźć, ponieważ pewien dociekliwy kolega z pracy odkrył jego nader śmiałe pomysły i zaczął się z nich natrząsać.

Czy na jawie, czy we śnie, czy był szaleńcem czy przy zdrowych zmysłach

- widział to!

Na najniższej półce mieściła się skrzynka z aparaturą ssącą, rurki były zamontowane inaczej, niż je zakładał! Z całej siły skupił się na skrzynce i całkowicie się obudził.

Odrzucił kołdrę i wyskoczył z łóżka spocony jak mysz - przejmowały go dreszcze tak gwałtowne, że ledwie stał na nogach. Przez godzinę siedział przy biurku, rysując schematy różnych rozmieszczeń rurek. Miał nieodparte wrażenie, że oto znajduje się o krok od dokonania odkrycia... ogarnęła go euforia.

Automatycznie się ubrał, zeszedł do opustoszałego holu i zaczerpnął świeżego powietrza. Szedł długimi krokami mila za milą, nie wiedząc dokąd i nie dbając o kierunek, nic nie widząc wokół siebie, całkowicie poddany doznaniu, które przyłgnęło do niego tak mocno jak za ciasne ubranie. O świcie zorientował się, że jest na przystani.

Po powrocie do hotelu wykapał się, zjadł śniadanie i pojechał na dworzec. Zarezerwował przedział sypialny, rzucił się na łóżko i spał cały dzień bez marzeń. Kiedy się obudził, było ciemno i przez moment nie mógł się zorientować, gdzie jest. Potem szeroko się uśmiechnął -już wiedział.

Przeniknęło go wrażenie doskonałości. Zaśmiał się i pomyślał o Randolphie. On też śmiał się w głos. Dla niego trawa była bardziej zielona, wszystko wokół intensywniejsze, doznania głębsze. Zaśmiał się zupełnie jak Randolph!

- A ja miałem go za wariata!

Usiadł i z wysiłkiem wpatrywał się w lśniące mahoniowe ściany przedziału, pochłonięty bez reszty ową przyjemną autoanalizą. Znow się zaśmiał.

- A ja myślałem, że Hudson oszalał!

Stukot wagonów na łączach szyn, dzwonięcie łańcuchów i zawodzenie stalowych kryz na ostrych zakrętach wyrwało go ze stanu uniesienia.

Własny śmiech nadal brzmiał mu echem w głowie. Potarł mocno czoło grzbietem dłoni i z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Mój Boże! - jęknął. - A może ja także tracę zmysły!

Rozdział czternasty

Po tygodniu Merrick zorientował się, że kiedy ktoś podejrzewa siebie o popadanie w szaleństwo, chaos, w którym się znajduje, jeszcze się pogłębia.

Aż do przesady analizował każdy swój ruch i myśl, wyolbrzymiał znaczenie drobnych gestów, łapał się na bezwiednym wykonywaniu różnych czynności i zastanawiał się, co jeszcze robi, nie będąc tego świadom.

Potem w ciągu dwóch godzin piątkowego poranka usłyszał od Pyle'a:

„Jesteś ostatnio jakiś nieswój. Coś cię gryzie?“, od Watsona: „Zajmę się panią Weber, Merrick. Ona ubrdała sobie, że jesteś za młody. To oczywiście niedorzeczne, ale musimy się z nią liczyć“ i od Nancy Ashford: „Co ci jest, Bobby? Zmęczony?“

To przepełniło czarę. Powiedział Pyle'owi, że wyjeżdża na wieś na kilka tygodni. Popołudnie spędził na przetrząsaniu swego laboratorium, sanitariusz pomógł mu spakować aparaturę do pudeł. W pierwszym odruchu chciał ją ulokować w apartamencie niedaleko szpitala. Po namyśle jednak wysłał wszystko statkiem do Windymere. Może jeszcze się tym trochę pobawi dla zabicia czasu.

Farmerzy z okolic jeziora Saginack przyzwyczaili się do widoku

wysokiego, szczupłego młodzieńca w białym swetrze, przechadzającego się dziarsko drogą - wiedzieli, kim jest, lecz darmo spekulowali, dlaczego nagle zrobił sobie wakacje. Według jednej pogłoski wyrzucono go ze szpitala za pijaństwo, inna mówiła, że postanowił rzucić medycynę. Gdy ciekawość Meggsa urosła tak bardzo, że o mało nie pękł, podjął się wypytać Bob-by'ego o powód powrotu do domu i dowiedział się, że młody pan Merrick właśnie dochodzi do siebie po „lekkim ataku trądu”.

Stary Nicholas postarzał się w ciągu ostatniego tygodnia, ale czynił heroiczne wysiłki, by ukryć swe zmartwienie; oszustwo wynikało z dobrych intencji, lecz tylko zaniepokoiło wnuka. Spolegliwość dziadka drażniła go. Czuł wyrzuty sumienia, że rzuca Nicholasowi nonsensowne uwagi tylko po to, by sprawdzić, jak dalece starzec poważnie zgodzi się z każdą niedorzecznością.

„Pewnie mógłbym przekonać go, że chmura przypomina wielbłąda - myślał Bobby - a potem wmówić, że wygląda jak jastrząb.”

Dopiero po dwóch tygodniach nabrał ochoty do pracy w laboratorium. Wynikało to w pewnej mierze z jego wewnętrznego rozstrojenia, a sama myśl o zajęciu się tym napawała go odrazą. Pewnego ranka oświadczył przy śniadaniu, że chciałby urządzić na poddaszu pracownię.

Nicholas był zachwycony. Jeszcze przed południem w domu zjawili się stolarze, hydraulicy i elektrycy i przyjęli zlecenia od młodego naukowca, który doskonale wiedział, czego chce, zadziwiając głęboką praktyczną znajomością ich fachu.

Tego wieczoru przy kolacji Bobby po raz pierwszy od czasu przyjazdu był taki jak dawniej.

Farmerzy mieszkający niedaleko szosy na darmo go wypatrywali - w

końcu doszli do wniosku, że skończył mu się urlop, został na powrót przyjęty do szpitala albo też: „rozbija się za granicą”.

Stary Nicholas jednak zamartwiał się bardziej niż poprzednio, obawiając się, że permanentne zamknięcie na poddaszu nie wyjdzie wnukowi na zdrowie. Bobby rzadko schodził na dół. Większość posiłków mu zanoszono, ale taca z jedzeniem nieraz wracała do kuchni nienaruszona. Był czwartek około dziewiętej. Całą środową noc w laboratorium paliło się światło. Meggs próbował dostać się do środka, drzwi były jednak zamknięte na klucz; pukał, ale usłyszał, że ma sobie pójść.

Chwyciwszy mały nóż z przymocowanym do niego długim zielonym kablem, Bobby drugą ręką powoli przesunął dźwignię po tarczy rezystora. Mały skalpel ożył!

Siedział na stołku z narzędziem w dłoni, które wreszcie zaczęło działać, zbyt poruszony, by wydobyć z siebie choćby jeden dźwięk, drząc z ekstatycznej radości.

Potem wyłączył dopływ prądu, odłożył skalpel na ławę, wstał, wyrzucił w górę swe długie ramiona, napinając do ostateczności każde ścięgno, i zaśmiał się jak mały chłopiec.

Stary Nicholas przeraził się, kiedy Bobby wyglądający po nieprzespanej nocy jak włóczęga, z zapadniętymi oczami i ziemistą cerą, wmaszerował do biblioteki i powiedział, że chciałby zadzwonić.

- Czy coś się stało, Robercie? - wydusił drżącym głosem, zrywając się gwałtownie i chwytając wnuka za ramię.

Bobby potrząsnął głową i uśmiechnął się. Czekał na połączenie z centrali.

- Nancy, chciałbym rozmawiać z doktorem Pyle'em... Nie! Wszystko dobrze, nawet bardzo dobrze. To pan, doktorze? Czy mógłby pan

przyjechać? Tak, to bardzo ważne! Świetnie! Dziękuję! •» Proszę wziąć bagaże, zajmiemy się panem.

- Cóż to znaczy, synu? Dobrze się czujesz? Nic ci nie jest? - Nicholas opadł na krzesło, przez twarz przebiegały mu skurcze.

- Wprost przeciwnie, czuję się wspaniale! - wykrzyknął Bobby, klepiąc go po ramieniu. - Opowiem ci wszystko za chwilę! Najpierw chciałbym się ogolić. I zjeść śniadanie... Meggs! Zaraz będę na dole. Szykuj gruby plaster szynki, dwa jajka, kilka naleśników i dzbanek mocnej kawy.

Doktora Pyle'a zżerała ciekawość. Nicholas nie potrafił wyjaśnić powodu tego nagłego wezwania. Doktor powinien pójść na górę na poddasze.

Robert tam na niego czeka.

- Też możesz wejść, dziadku! - zawołał Bobby ze szczytu schodów.

Nicholas, posapując, podreptał za Pyle'em do laboratorium.

- Witam, doktorze! - przyjął go rozpromieniony Bobby. - Muszę coś panu pokazać! Chciałem, żeby pan był pierwszy!

Podniósł mały błyszczący skalpel z okablowaniem w zielonej izolacji podłączonym do wysokiej skrzynki.

- Niech pan to weźmie do ręki! A teraz proszę patrzeć! - Podeszedł do tablicy rozdzielczej i pociągnął za dźwignię.

- Ostrożnie! - ostrzegł, kiedy Pyle podniósł narzędzie do oczu, by dokładniej mu się przyjrzeć. - Niech się pan nie poparzy! Wie pan, co to jest?

Pyle powoli skinął głową, ze wzrokiem wciąż wbitym w błyszczące ostrze.

- Hmmmm. Tnie i kanteryzuje jednocześnie ranę, prawda? Hamuje krwawienie, kiedy się tylko pojawia. Hmmmm. Nooo, to zmienia oblicze neurochirurgii!

Pyle wyciągnął owłosioną dłoń.

- Nie muszę panu mówić, czego pan dokonał, panie Merrick! Dziękuję, że mogę panu pogratulować jako pierwszy!

Potem wyciągnął prawicę w kierunku starego Nicholasa, który stał nieopodal z twarzą wyrażającą zdumienie i ciekawość.

- Panie Merrick, pański wnuk wynalazł urządzenie, które zrewolucjonizuje neurochirurgię i uczyni z niej zupełnie nową dziedzinę nauki! Operacje, których do tej pory nie przeprowadzono, bo były zbyt niebezpieczne, staną się możliwe. W ciągu najbliższych trzydziestu lat jego nazwisko będzie tak znane w klinikach europejskich, jak pańskie w przemyśle samochodowym!

Staremu Nicholasowi spazmatycznie drżała broda. Wydusił tylko:

- Co za historia, co za historia.

Objął wnuka ramieniem i wymamrotał:

- No, no Bobby... co za historia.

Pyle nie mógł zostać na noc, ale zgodził się zjeść z nimi obiad, który specjalnie przygotowano wcześniej niż zwykle. Po wyjeździe gościa Nicholas i Bobby, zasiadłszy w głębokich fotelach w bibliotece, rozmawiali o wynalazku.

Ku zadowoleniu Bobby'ego, dziadek zadawał pytania świadczące o tym, że jego zainteresowanie fizyką było wciąż żywe, niegdyś bowiem Nicholas Merrick miał sporą wiedzę na temat zjawisk elektrycznych. Bobby był tak zachwycony trafnością pytań dziadka, że przysunął mały stolik do kawy i zaczął rysować skomplikowany schemat przyrządza koagulacyjnego. Nicholas pilnie go śledził.

- To te rurki próżniowe tak cię zbiły z tropu? A rozwiązanie przyszło, jak

powiedziałeś, niczym grom z jasnego nieba. Co właściwie chcesz przez to powiedzieć?

- Czy kiedykolwiek zdarzyło ci się położyć się spać z jakimś problemem, a rano tak po prostu obudzić się z rozwiązaniem, jakby się przyśniło?

Nicholas potarł szczękę.

- Słyszałem, że tak bywa. Nie mogę powiedzieć, żebym sam tego doświadczył. Czy to właśnie ci się przydarzyło?

Bobby odsunął stolik i przysunął krzesło tak, że zetknęli się kolanami.

- Dziadku - odezwał się rzeczowym tonem - teraz opowiem ci coś, w co pewnie trudno będzie ci uwierzyć. To długa historia, a ja muszę zacząć od początku.

Przez następne półtorej godziny udział Nicholasa w rozmowie ograniczał się do wykrzykiwania co jakiś czas: „Ach tak!” „Niesamowite!” „Co ty powiesz!”

Kiedy Bobby skończył, staruszek zamyślił się na dłuższą chwilę.

- Nigdy bym nie podejrzewał cię o zainteresowania religijne.

- Bo chyba ich nie mam, dziadku.

- Ale właśnie o tym mówisz! Opowiadałeś mi o Najwyższej Osobowości, która obdarza nas dodatkową energią, jeśli o to prosimy i przestrzegamy pewnych zasad. Chodzi o Boga, prawda?

- Niewątpliwie... To tylko Jego inna nazwa.

- Zawsze unikałem tego tematu. Ale ostatnio bardzo zajmuje moje myśli.

Napełnia niepokojem. Widzisz, w głębi duszy buntuję się przeciw śmierci.

Lęk zakrada, się, podstępnie mnie obezwładnia i nie mogę z nim walczyć.

Śmierć ma w grze wszystkie asy. Tak ciężko mi, ciężiej niż jeszcze miesiąc temu, wstać z łóżka. Z tygodnia na tydzień coraz trudniej wejść po

schodach. Zużywa się stara maszyna. Nie chcę umierać. Rozumiem, że kiedy człowiek staje ze śmiercią twarzą w twarz, natura daje rodzaj znieczulenia, które ucisza lęki, i wszystko staje się łatwiejsze do zniesienia, ale niewiele mnie to pociesza. Przyzwyczałem się otwarcie stawiać czoło trudnościom i nie cieszy mnie myśl, że będę oszołomiony i apatyczny - jak skazaniec w drodze na egzekucję. Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby coś tam było... Bobby, wierzysz w nieśmiertelność?

- Chciałbym w innych dręczących mnie rzeczach być tak pewny -
odpowiedział Bobby spontanicznie - jak jestem pewny tego, że nasza osobowość przetrwa po śmierci. Kiedy doświadczysz żywego kontaktu z Najwyższą Osobowością, zaczniesz rozumieć, że moc nie ma związku z materialnymi rzeczami. Dla mnie to zupełnie jasne. Liczy się właśnie osobowość! Te róże w wazonie nie mają żadnego znaczenia, ani jedna dla drugiej, ani same dla siebie. Tygrys nie wie, że jest tygrysem. Nic na tym świecie nie jest rzeczywiste, chyba że my to za takie uznamy. Odrzuć pojęcie osobowości, a wszystko straci znaczenie! Włącz je na powrót i sprawa staje się jasna!

Dużo ostatnio myślałem o duszy. Uderzyło mnie, że to, co się zazwyczaj na ten temat czyta, jest zastraszająco mylące. Ludzie pytają: „Co robisz dla swojej duszy?”, jakby pytali: „Kiedy naprawisz swój stary samochód?” Nie można mówić „moja dusza”, jak mówi się: „mój kapelusz”, „moja łódka” czy „moja wątroba”. Ja jestem duszą. A mam ciało. Moje ciało się zużywa, a kiedy nie da się go już naprawić, trafia na złom, ale ja nie muszę się tam znaleźć. Jestem związany z Najwyższą Osobowością tak jak promień słońca ze słońcem. Nie stracę swej mocy, dopóki On nie straci

swojej. Jeśli to religia, dziadku, to owszem, jestem religijny. Wolę jednak traktować to jako rodzaj nauki.

- Bobby, jesteś chrześcijaninem?

- To właśnie chciałbym wiedzieć, dziadku. Przez pewien czas pochłoneła mnie bez reszty osobowość Chrystusa. Oto Człowiek, który w sposób absolutnie doskonały dostosował się do Najwyższej Osobowości.

Twierdził, że nie zna lęku. Wierzył, że można mieć wszystko, czego się zapragnie, po prostu o to prosząc. Fascynuje mnie zwłaszcza jego bezwzględne przekonanie, że każdy może zrobić to, co On, jeśli naprawdę tego pragnie. Zdumiewa mnie, że tak niewielu ludzi zwraca na to uwagę. Jeśli to oznacza bycie chrześcijaninem, jestem nim.

- Czy tego właśnie uczy Kościół?

- Nie wiem, bo nie chodzę do kościoła. Z tego, co rozumiem, wierni podchodzą do sprawy bardziej emocjonalnie. Traktują duszę jak chorobę zakaźną, którą trzeba leczyć. Przekazują sobie ją niczym skrzynkę z wyłamanymi zawiasami i napisem: „Otrzymane w złym stanie”. A co do tego, co czyta się w gazetach o Kościołach... robią zbiórki pieniędzy, żeby coś wybudować, pomagają wybrać kolejnego publicznego oskarżyciela, protestują przeciw walkom bokserskim, krytykują inne religie albo się zaciekle kłócą. Może założymy Kościół, co, ty i ja?

- Świetnie - zgodził się Nicholas z uśmiechem. - Ty go wybudujesz, a ja zostanę proboszczem...

- I będzie taki, jak inne... Nikt nie zechce ponosić trudów i kosztów budowania własnej relacji z Najwyższą Osobowością. Zamiast tego lepiej śpiewać pieśni o mocy. Co za pomysł! Watt nie śpiewał o elektryczności. Faraday nie konstruował dynama, recytując: „Wierzę w Yolta,

stworzyciela suchej baterii i ojca butelki lejdejskiej, a także jego następcę Ampera, który sformułował zasadę elektrodynamiki, oraz Bena Franklina, który doznał olśnienia, bawiąc się latawcem". Nie, w żadnym razie, do stu tysięcy niutonów. Nie! Faraday dokonał wszystkiego, siedząc samotnie na poddaszu, o pustym żołądku!

Wstał z rozdzierającym ziewnięciem i podszedł do drzwi.

- Wczesnie rano jadę do Brightwood. Lepiej się już położyć.

Stary Nicholas podniósł się z trudem.

- Bobby, nie jestem na tyle sprawny fizycznie, żeby chodzić i szukać okazji do zastosowania twojej teorii. Miej oczy otwarte i powiedz mi, jeśli znajdziesz coś, co mogę zrobić. Ty wszystko zorganizuj, ja zajmę się stroną finansową.

- To na nic się nie zda... nie wystarczy sama książeczka czekowa! A tak przy okazji... wiesz, że stary Jed Turner musiał w zeszłym tygodniu zabić siedemnaście holsztajnow? Weterynarz z inspekcji państwowej powiedział, że to gruźlica. Jest zupełnie załamany.

- Ciekawe, czy ma telefon.

- Och, możesz po niego posłać. Nicholasowi zaświeciły się oczy. Zatarł rękę.

- Dziękuję, Bobby. Powiem ci, jak coś z tego wyjdzie.

- Ależ nie. Nie chcę więcej nic słyszeć na ten temat!

- Może sam chciałeś się tym zająć? - spytał Nicholas. - Jeśli tak, nie będę się wtrącać.

- Nie, holsztajny to nie moja specjalność. To twoja robota. A jak już ruszysz się z domu... widziałem, że dziesięcioletni synek Jima Abbota ma nogę w szynie, nie za dobrze mi to wygląda. A może wskoczysz jutro na

wózek i poprosisz Stephena, żeby cię trochę powoził po okolicy?

Zobaczysz, ile ci da poznanie ludzi, którzy cię potrzebują! Ach, wiem, że już dużo zrobiłeś. Nie byle co, dałeś sto tysięcy na szpital w Axion, masz nawet tablicę pamiątkową z brązu w holu głównym. Wstąp do Abbota i zapytaj o chłopca. Jak poproszą, żebyś został na lunch, peklowaną wołowinę z kapustą - zostań. W domu nie dostaniesz gotowanej kapusty, bo ci szkodzi, ale u Abbotów możesz pojeść i nic ci nie będzie. Słowo lekarza.

- Biegnij do łóżka! - Nicholas poklepał go po plecach. - Dobrze, że o tym porozmawialiśmy. Cieszę się, że twoje zmartwienia się skończyły. Znów możesz być szczęśliwy!

- Nie szukam szczęścia... Ona jest poza moim zasięgiem.

- Od kiedy szczęście jest rodzaju żeńskiego?

- Moje jest!

- O tym też mi opowiesz?

- Kiedyś... dobranoc, dziadku.

Rozdział piętnasty

„Akwitania” wlokła się w górę rzeki z nieznośnym dostojeństwem. Była wigilia Bożego Narodzenia. Bardziej niecierpliwi wymieniali się doświadczeniami przy nieskończonej odprawie celnej, marzyli, żeby inspektorów natchnęła dobra wola wobec bliźniego, zastanawiali się, czy jeśli nie zdążą na pierwszą trzydzieści, uda im się zdobyć miejsce w wagonach pulmanowskich w pociągu o drugiej czterdzieści pięć.

Opatulona szczelnie zapiętym pod szyją futrem, Helen Hudson podeszła do barierki oblodzonego pokładu i uznała, że przenikliwy wiatr zbyt ją męczy. Udało się jej uniknąć trzech zim, a teraz pospieszna podróż z Nicei

do Nowego Jorku obfituje w niewygodę.

Do podjęcia szybkiej decyzji o powrocie skłoniły ją chaotyczne bazgroły Joyce. Czytała list od niej tydzień temu, na kamiennej ławce przy falochronie, rzut kamieniem od moło Casino. Taka to podróż.

„Wszystko spakowane, czekam na taksówkę - zaczęła Joyce. - Wracam do Detroit. Nie wiem, dlaczego właśnie tam, może potrzebuję jakiegoś zakotwiczenia. Spróbuję znaleźć pracę, cokolwiek, co zajęłoby moje myśli. Zeszły miesiąc był koszmar! Nie do zniesienia! Wczoraj wieczorem Tom z furią całą pięścią uderzył mnie w pierś. Potem bardzo się kajał i przeproszał jak dziecko. Powiedziałam, że mam już dość. Dość! Dziś wyszedł wcześniej rano, zawstydzony i ponury. Myśli, że wieczorem, kiedy wróci, zastanie mnie w domu, choć powiedziałam wyraźnie, że wyjeżdżam. Tak sobie myślę, kochana, czy prosiłabym za wiele, gdybyś pobyła ze mną kilka tygodni? Potrzebuję dobrej rady i czuję się okropnie samotna. Wiem, że to haniebne ciągnąć Cię do Detroit w środku zimy, ale przyjedziesz? Nie mam nikogo poza Tobą! Tak bardzo Cię potrzebuję! Zadepesuj ze Statlera. Oszaleję z radości, jak napiszesz, że przyjeżdżasz!”

Podjęcie decyzji zabrało jej zaledwie godzinę. Obracając z wahaniem list w palcach, wstała i machinalnie zaczęła iść Promenadę des Anglais, potem po dobrej pół mili, obok hotelu Negresso i kasyna Ruhl, skrzyła, tak pochłonięta dylematem, że nie zauważała innych spacerowiczów tuzina narodowości. Zanim dotarła do małego parku naprzeciwko promenady la Jetee, Helen uświadomiła sobie, że Joyce wygrała.

Przeanalizowała wszelkie inne możliwości. A może Joyce dołączyłaby do niej? Ale nie, przecież pragnie czymś się zająć. Na Riwierze nie znajdzie pracy. Joyce chciała zacząć od początku. Nie robi tego, włączając się po

Nicei. Jest potwornie samotna. Cóż - Nicea to nie rozwiązanie. Mimo wszystko Helen jest winna przyjaciółce trochę uwagi. Musi jechać! Tego popołudnia uwijała się prawie tak zapamiętała jak w dniu, gdy pod wpływem impulsu opuściła Bellagio.

Wielki statek powoli holowano na pochylnię, oblepione mokrym śniegiem słone cumy owijały się wokół potężnego dudniącego kołowrotu ukrytego gdzieś głęboko pod pokładem; zrzucano trapy, które natychmiast zaroiły się grupkami podekscytowanych, wracających do domu pasażerów. Prawie każdy utkwiał wzrok w stojący na nabrzeżu wydychający kłęby pary tłum, który zbił się przy bramkach, gdy zaczęto je otwierać.

Helen poczuła się nagle sama. Wymieniła nieśmiało „do widzenia” z kilkoma znajomymi z pokładu, wiedząc, że i tak się na nich natknie podczas odprawy celnej.

Niespokojna grupa zgromadziła się już pod wielką literą H, w połowie drogi do chłodnego hangaru, gdzie szybko rosła sterta bagaży. Niektórzy siedzieli na swych kufrach z pełną rezygnacją rozpaczą rozbitka na bezludnej wyspie, inni, mniej doświadczeni, kucali przed rozbebeszonymi walizami, medytując nad ostatnimi poprawkami na formularzach celnych. Choć pani Hudson starała się nie gromadzić w Europie zbyt wielu rzeczy, zdumiało ją, iż przez zaledwie trzy lata zagranicznych podróży, weszła w posiadanie tak wielu rzeczy. Kiedy zbliżała się do swojego stanowiska, zauważyła dwóch urzędników podążających w tę samą stronę - powiedziała, że chciałaby spędzić choć część Bożego Narodzenia z rodziną. Pokazała im swoje bagaże i poprosiła o umieszczenie nalepek. Równie dobrze mogłaby przewozić królewskie klejnoty...

Ku jej radości pociąg o trzeciej nie był zatłoczony, ale czemu miałby być?

To Wigilia! Normalni ludzie siedzą już w domu. Ta myśl ją przygnębiła. Przez małą chwilkę, kiedy pociąg zadudnił w tunelu, zatęskniła za domem tak bardzo, jak nigdy dotąd.

Na myśl, że wraca do Detroit, czuła, przyjemne podniecenie. Była przecież z Joyce tak blisko. Choć nieporozumienia i niesnaski rzuciły cień na ich przyjaźń tej ostatniej męczącej zimy, kiedy bezowocnie usiłowała ocalić dziewczynę przed zrujnowaniem sobie życia, nagła pilna prośba Joyce sprawiła, że wszystko puściła w niepamięć.

Inni przyjaciele też ucieszą się na jej widok... Byrnsowie... Powinna chyba odwiedzić panią Ash- *> ford. Właśnie, czemu nie? Pani Ashford okazywała jej życzliwość. Byłoby czymś dziwnym, gdyby wdowa po doktorze Hudsonie, powróciwszy do Detroit, nie pojawiła się w Brightwood. Zaprosić panią Ashford na wieczór. Nie trzeba będzie iść do szpitala. Oczywiście doktor Pyle by się ucieszył, ale Pyle'ów można odwiedzić w domu. Poza tym niezręcznie byłoby spotkać się z ludźmi, których prawie nie zna, i jeszcze czuć się zobowiązaną, by pamiętać ich nazwiska. A co do tego... hutnika, który wchodzi z butami w sprawy innych i wysyła szpiegów, żeby donosili mu o każdym ich posunięciu, na pewno by się na niego natknęła! I po co on wydmuchuje szkło? Ciężko sobie to wyobrazić! Neurochirurg spędzający czas na tak niepoważnym zajęciu! Niebo miało kolor popiołu. Spore płatki śniegu przylepiały się do szyby i spływały na dół w róg okna. Gdziekolwiek spadły, choćby niemrawo sunęły własną drogą, prędzej czy później lądowały w końcu w tym samym miejscu i zbijały się w grudki... jej myśli także się tłoczyły. Niech sobie uderzają, gdzie chcą, i tak wszystkie spotkają się w jednym punkcie. Niecierpliwiło ją to, otrząsnęła się, wróciła do czytania magazynu i raz

jeszcze z zupełną obojętnością przebiegła wzrokiem stronę, z której za pierwszym razem nic nie zapamiętała. Czy warto wyprowadzać coupe z garażu? Tak

długo nie jeździła po śliskich drogach. Odważy się? Ślizganie jest niebezpieczne. Obserwowała, jak płatek śniegu skrada się po szybie. Wspomnienia zasnuły oczy, wzrok złagodniał. Przygryzła wargi. Policzki zapłonęły... potem, zła na samą siebie, poprawiła się na siedzeniu i na nowo wzięła do ręki czasopismo.

Czy Joyce w końcu uwolniła się od alkoholu? Czy kiedy odnowi kontakty ze swoją paczką, nie wpadnie na powrót w stare nawyki? I będzie się zwlekać do domu o wszelkich możliwych porach w pijackim rozczuleniu, niezdolna? Nadzwyczajnie duży płatek przemknął po szkle, próbując znaleźć oparcie, ale nie dał rady przeciwstawić się zasadzie rządzącej wszystkimi płatkami na szybie. Przez mgnienie chwili była w jego ramionach i czuła jego usta na swoich wargach. Rzuciła czasopismo i zadzwoniła po stolik. Partyjka pasjansa pomoże jej się oderwać.

Miło znów znaleźć się w amerykańskim wagonie restauracyjnym. I biorąc wszystko pod uwagę, lepiej będzie poprosić panią Ashford, żeby wzięła sobie wolne popołudnie i przyjechała do miasta. Nasze posiłki są dużo miłsze niż europejskie, gdzie pasażerów dzieli się na plutony i wyznacza im się ściśle określony czas na pochłonięcie każdego dania. Z jakim żalem musiała sprzedać udziały w Brightwood. Czy to jakoś zmieni jej stosunki z panią Ashford?

Panował przejmujący chłód, pociąg dudnił i zawodził, przemierzając przestrzeń wzdłuż wschodniego brzegu rzeki Hudson, przejeżdżając przez most w Albany - wcisnął swój czarny pysk w twarz oślepiającej śnieżycy,

ale przesuujące się przed oczami rozmyte śniegiem krajobrazy nie wydały się Helen ponuro niegościnne, jak się obawiała. Uniosła się na łokciu, odsunęła roletę i patrzyła na mijane obrysowane szronem drzewa i płoty, na wpół ciesząc się z powrotu. Wtuliła mocno policzek w futro i oddała się rozważaniom na temat tego, czy powinna pojawić się w Brightwood, choćby na chwilę.

Joyce stała przy bramce z wyciągniętymi ramionami, podrygując z radości na widok ukochanej przyjaciółki w asyście dwóch bagażowych, którzy uginali się pod ciężarem waliz oklejonych zagranicznymi nalepkami. Wymamrotały kilka czułych słówek i chwilę później przechylały się w samochodzie na zakrętach, łańcuchy na oponach grzechotały wesoło. Kipiąc wprost z podekscytowania, Joyce usiłowała opowiedzieć dziesięć rzeczy na raz.

- Pierwsze, co zrobiłam, kochana, po przyjeździe tydzień temu, to spotkałam się z Nancy Ashford. Czyż ona nie jest po prostu słodka? Ale ty mało ją znasz. Jest cudowna! Pojechałam do Brightwood i powiedziałam Nancy wszystko: że nie wytrzymam ani minuty dłużej, po prostu muszę go zostawić, i że szukam jakiegoś zajęcia, żeby nie oszaleć. I co, jak myślisz? Zgadnij? Właśnie brakowało im pracownika biurowego i zapytali, czy chcę spróbować tydzień lub dwa, żeby zobaczyć, jak sobie poradzę z dyscypliną pracy w określonych godzinach, a w tym czasie, powiedzieli, będziemy wszyscy myśleć i rozglądać się za stałą posadą. Wcale bym się nie pogniewała, gdyby na razie nic innego się nie pojawiło. Naprawdę to nie takie nudne i bardzo mi się podoba!

- Ach, już zaczęłaś?

- Ummm! Jeszcze tego samego popołudnia. Po prostu zdjęłam kapelusz i

zabrałam się do

roboty. Szczerze mówiąc, to niezła zabawa! Oczywiście znałam niektóre osoby, doktora Pyle'a i doktora Cartera, i tego rudego chłopaczka Watsona, który od czasu, kiedy go ostatni raz widziałam, zapuścił wąsy i zaczął nosić okulary, do tego kilkanaście starszych pielęgniarek... i rety... moja złota, powinnaś zobaczyć Merricka. Nie krzyw się tak! Wiem, że nigdy go nie lubiłaś.

- Chcesz powiedzieć, że nigdy go nie znałam.

- Oczywiście! W tym szkopuł. Spotkałaś się z nim tylko raz, i to tej okropnej nocy. Ugh... Helen poklepała ją po dłoni.

- Daj spokój. Nie mówmy o tym. Joyce rozchmurzyła się i wróciła do swego monologu.

- No, jak mówiłam, wiesz o nim tylko tyle, że powziął wzniosłe postanowienie studiowania medycyny, by zostać chirurgiem jak mój kochany tatuś. I uznałaś to za przejaw arogancji, prawda? Posłuchaj! Jemu się to uda! Czy ty wiesz, czego dokonał Bobby Merrick? On wynalazł... Taksówka wjechała na krawężnik i boy wyszedł po bagaże.

- Słuchaj! Ależ on ma głowę! - paplała Joyce, kiedy weszły do lobby. - Wszystko zmienił. Weźmy od razu lunch. Umieram z głodu! Jest miejsce przy oknie. Uchm. Kaczka! To takie bożonarodzeniowe!

- Mówiłaś o pracy w szpitalu, kiedy ci przerwałam - powiedziała Helen, gdy kelner odszedł, notując zamówienie.

- Co ja takiego... A... tak, o Bobbym. Skonstruował takie elektryczne urządzenie, że wszyscy neurochirurdzy z okolicy zjeżdżają się, żeby je zobaczyć. Jakiś elektryczny skalpel... strasznie skomplikowany. Robią tym w Brightwood takie operacje, jakich do tej

pory nikt nie chciał się podjąć. To urządzenie zapobiega krwotokom czy coś takiego. Nancy Ashford mi opowiadała, ale sama nie umie za dobrze tego wyjaśnić. Widziałam to - wielka, wysoka skrzynia pełna najbardziej skomplikowanej aparatury, jaką kiedykolwiek widziałas.

- Ze szkła?

- Eche. Skąd wiesz?

- W urządzeniach elektrycznych zawsze używa się szklanych części, prawda?

- No tak. Spróbuj tego wspaniałego selera, kochana. Najlepszy seler na świecie! Jaki on przystojny! O rety! Szczerze... ledwo go poznałam! Zawsze mi się podobał. Ale ostatnio zmienił się po prostu niebywale. Prawie się go teraz boję. Och, jest takim profesjonalistą. Do tego taki pociągający, bez dwóch zdań! Pielęgniarki po prostu szaleją na jego punkcie, a on nawet nie zdaje sobie sprawy z ich istnienia, zajmuje się najważniejszymi przypadkami. Zwraca się do mnie „pani Masterson”. Czy to nie idiotyczne? Nancy mówi, że to dlatego, że tam pracuję. Śmieszne, nie sądzisz?

Tak, cała ta przemowa była śmieszna.

- Naprawdę - Joyce pochyliła się mocno do przodu i zniżyła głos. - Gdybym miała choć cień szansy, oddałabym mu serce bez reszty! Wiesz, że zawsze czułam do niego słabość.

- Mam nadzieję, że się z tym nie zdradzisz, Joyce.

- Och, postaram się, żeby nie wiedział, że go lubię - zapewniła. - Ale nie chcę, żebyś żywiła do niego urazę. Nie unikniecie spotkania.

- Dlaczego?

- No, teraz, kiedy pracuję w Brightwood, częściej czy rzadziej będę mogła

cię tam widywać.

- Nie rozumiem, dlaczego miałabym się tam pojawiać.

- Ale będziesz przychodzić, prawda? Kochana, musisz być dla niego miła ze względu na mnie.

- Ze względu na ciebie?

Helen ogarnęła lekka fala rozczarowania... Podczas długiej rozłąki wyidealizowała obraz przyjaciółki, ale to wciąż ta sama Joyce, której nie zmienia żadne wpadki i błędy, ta sama Joyce, która nigdy się nie zmieni, nie potrafi o niczym zapomnieć ani niczego się nauczyć, brnąca radośnie przed siebie jak ćma do ognia.

- Tak! - odparła Joyce z emfazą. - Ze względu na mnie!

- W takim razie - powiedziała Helen powoli - żałuję, że wróciłam. Zjadły kaczkę, ale nie była zbyt smaczna.

Wieczorem wybrały się do teatru na przedstawienie Przeciwprostokątna. Była to lekka komedia z niewielką obsadą i prostą scenografią. Przez cały pierwszy akt młoda wdowa i jej pasierbica skrzętnie ukrywały przed sobą nawzajem, że współpracownik nieżyjącego sędziego Haskinsa interesował je nie tylko ze względu na profesjonalne porady adwokackie, jakich im udzielał. W drugim akcie było kilka bardzo zręcznie zagranych scen.

Publiczność szalała z zachwyty.

Na zakończenie, w odpowiedzi na gorące brawa, kurtyna kilka razy podnosiła się i opadała, wszyscy aktorzy pojawili się na scenie, a potem wychodzili jeden po drugim, mama i Poiły kłaniały się, trzymając się za ręce. Ożywiona Joyce odwróciła się, by coś powiedzieć przyjaciółce i ze zdziwieniem napotkała nieprzytomny wzrok Helen. Najwyraźniej oślepiła ją nagła kaskada świateł.

- Jesteś zmęczona? - zapytała Joyce z troską.
- Zawsze potrzeba jakichś dwóch dni, żeby dojść do siebie po podróży.
- Strasznie śmieszne przedstawienie, prawda? Ależ perypetie! To tak jak ty i ja! Bądźmy szczerze! Zobaczymy, która z nas w końcu go dostanie!
- Duszno tu - powiedziała Helen. - Chodźmy odetchnąć do foyer. Co ty na to?

Szczególne skłonności Joyce do paplania bez zastanowienia ujawniła się z całą wyrazistością następnego ranka, kiedy szykowała się do Bright-wood, paplając, że jest „dziewuchom pracujoncom”.

Śniadanie podano w pokojach. Helen siedziała nad kawą i porannymi gazetami - w wykwintnej podomce wyglądała prześlicznie.

- Jakie to cudowne - zachwycała się Joyce, przemawiając do lustra - że tak szybko udało mi się dostosować do rytmu pracy w biurze, co? Po tych wszystkich latach folgowania sobie, spania do południa, szwendania się i obijania jestem szczęśliwsza, niżby mi się śniło. Teraz wiem, że bez codziennej pracy nie mogę być szczęśliwa.

- Cieszę się, że tak ci się to podoba - powiedziała Helen, pochłonięta repertuarem teatrów. - Co mówią o tym nowym musicalu, Jasmine?

- Podobno dużo ładnych melodii. Podoba ci się ten kapelusz?

- Śliczny! Może pani Ashford wybrałaby się jutro z nami na kolację i do teatru?

- O, na pewno będzie zachwycona! Zapytam ją. I wiesz, złotko, ona i Bobby Merrick są ze sobą bardzo zaprzyjaźnieni. Nie byłoby dobrze, gdyby on też się przyłączył?

- Ani trochę! Nie znam go! I nie chcę go znać. -Helen nie ukrywała zniecierpliwienia.

- No, ale możesz go poznać. Ja go znam. Czy nie mogłabyś choć trochę liczyć się z tym, czego ja chcę? - Joyce z pasją strzepywała z płaszcza niewidzialny pył.

- Podaj mi torebkę...leży na kominku. Dzięki. Helen otworzyła ją i wyjęła list.

- O, to ode mnie. No i co?

- Przeczytaj. Prosiłaś mnie o przebycie pięciu tysięcy mil, żeby służyć ci dobrą radą. Skoro już zadałam sobie ten trud i spełniam twoje zachcianki, mam nadzieję, że spotkam się ze zrozumieniem, jeśli powiem, że twój stosunek do doktora Merricka jest idiotyczny! Jeśli oszalałaś na jego punkcie, przynajmniej mnie do tego nie mieszaj! Nie zniosę tego. Nie mam też ochoty być zmuszana do spotykania się z nim.

- Co się stało? Nie wiedziałam, że pobyt we Francji i Włoszech sprawi, że staniesz się taka przeczulona. Wydaje mi się, że ktoś, kto tak jak ty obdarza szacunkiem ludzi wartościowych, gotowych do najwyższych poświęceń, by zrobić coś dla innych wielkim kosztem, poświęcając siebie samych, powinien wykrzesać z siebie odrobinę zwykłego ludzkiego zainteresowania dla Bob-by'ego Merricka, który jak niewolnik zaharowuje się na śmierć, a gdyby chciał, mógłby rozbijać się jachtem po Morzu Śródziemnym. Słyszałam, jak jedna z pielęgniarek mówiła, że w wieku dwudziestu pięciu lat odziedziczył udziały w Axion Motors warte milion dolarów i dostanie kolejny milion, kiedy skończy trzydziestkę. Zasluguje na trochę uwagi! Cześć. Nie złość się tak. Do zobaczenia koło wpół do czwartej.

Kiedy drzwi trzasnęły, Helen wstała i tkwiła wpatrzona w ulicę. Axion Motors! Fortuna warta milion dolarów w Axion Motors! Axion!

Rozdział szesnasty

Pan T.P. Randall zajął się swą uroczą klientką niezmiernie troskliwie. Zadzwoiła do niego około dziesiątej i umówili się na spotkanie o wpół do drugiej.

Randall był wysoki, dobrze odżywiony, z siwiejącymi skroniami. Krawiec, który uszył jego kamizelkę, mógłby zostać uznanym rzeźbiarzem. Kiedy Helen weszła do jego wyłożonego skórą i mahoniem gabinetu, wstał i szarmancko podał jej dłoń, skłonił się z powagą, pochylając się ku jej szaremu kapeluszu, pomógł jej zdjąć szare futerko, które odsłoniło szarą sukienkę, podsunął przypominające tron krzesło, poczekał, aż usiądzie, majestatycznym krokiem podszedł do stołu, opadł na obrotowy fotel, splótł wielkie różowe, świeżo wymanikiurowane dłonie na pustym blacie i jeszcze raz powiedział, że miło mu ją widzieć. Wyglądał jednak na bardziej niż trochę zaniepokojonego.

Uznając sprowadzenie rozmowy na bezpieczne tory za sprawę najwyższej wagi, rozprawiał o Paryżu, w którym bawił niegdyś dwa tygodnie, oraz Wenecji, gdzie, jak zadeklarował, mógłby mieszkać - ale z nerwowego gestu, jakim pocierała grzbiety popielatych rękawiczek, jasno wynikało, że nie przyszła wysłuchiwać jego wrażeń z pobytu w Europie.

Przy pierwszej pauzie wysunęła się w jego stronę na wielkim krześle.

- Rozmawiał pan z panem Brentem o moich sprawach. - bo pod takim mianem znano go w całym Fourth National, uśmiechnął się nerwowo.

Dlaczego, do diaska, nie powiedziano mu, że powinien porozmawiać z tym szubrawcem Brentem? Był przekonany, że Brent miał załatwiać wszystkie sprawy z nim drogą korespondencyjną.

- Hmmm - mruknął T.P. jakby z głębi trzewi. Nadał owemu dźwiękowi

taki nieokreślony, głęboki ton, że równie dobrze mogło to uchodzić za potwierdzenie, zwykle przyjęcie informacji albo też obietnicę szczegółowego wyjaśnienia po wysłuchaniu jej uwag.

Ale ona nie zadowolila się jego „hmmm”. Dostrzegł to od razu.

Pani Hudson uśmiechnęła się nieco łobuzersko.

- Był pewien człowiek, z którym musiał się pan liczyć, czy nie tak?

Niestety jeśli chodzi o precyzję wyrażania się, nabrała kontynentalnych wpływów. Przez co trudno mu było wymigać się od odpowiedzi. Do kroćset! Czyżby to niewinne dziecko z wielkimi niebieskimi oczami chciało wywieść w pole najbardziej przebiegłego lawiranta? Cóż, da jej prowadzić i zobaczy, co z tego wyniknie. Nagle coś przyszło mu na myśl, rozpromienił się, podniósł do góry rozcapierzoną dłoń.

- Ma się rozumieć! Mężczyzna nieprzeciętnego wzrostu! Pani kuzyn, jak sądzę.

- Tak - zgodziła się pani Hudson. T.P. nabrał powietrza, wypuścił je z lubością i poczuł ulgę.

- Ponad metr osiemdziesiąt?

- Mniej więcej mojego wzrostu - odparła - ale rzeczywiście jest moim kuzynem...

- Och, naturalnie! -T.P. zaśmiał się hałaśliwie. - Naturalnie! Przecież pani wie, że sobie żartuję! Helen nie podzielała jego rozbawienia.

- Dziwne, że pan go nie pamięta - powiedziała znacząco.

Ilekcóż nie wiedział, co robić, T.P. przybierał pozę mentorską. Oszalał i wprowadzał rozmówców w konsternację specjalistycznym słownictwem, terminami z wyższej półki świata wielkich finansów. Chwycił się teraz tego z wielką stanowczością, ignorując wcześniejszą krótką wymianę

uwag, i zaczął rozprawiać na temat papierów wartościowych. Większość przedsiębiorstw ma się teraz dobrze, a zwłaszcza branża, motoryzacyjna, o..., Axion z całą pewnością. Może być pewna, że jej pieniądze zostały ulokowane bardzo roztropnie. Niech śpi spokojnie, a Czwarty Oddział Banku Narodowego zajmie się jej interesami. A tak przy okazji, chciałby oprowadzić ją jeszcze po ich wspólnym nowym budynku, jeśli ma oczywiście czas. Nie do końca zadowolony z jej reakcji, rozpoczął długą orację poświęconą tendencjom w gospodarce narodowej, zmianom na rynku finansowym, obecnie, dzięki rezerwom federalnym na szczęście ustabilizowanym. Przy pierwszej sposobności przerwała mu:

- Chciałabym zobaczyć moje certyfikaty własności.

- Oczywiście, pani Hudson, ma się rozumieć.

T.P. przybrał ojcowski ton. Zaśmiał się w duchu. Jeśli ta zadziwiająco piękna młoda wdowa ma nadzieję dowiedzieć się, w jaki sposób weszła w posiadanie akcji Axion Motors, studiując certyfikaty, to za chwilę się rozczaruje. Przyłapała go

na kręceniu w kwestii jego kontaktów z kuzynem nieudacznikiem, ale następny ruch w tej grze należał do niego. No cóż, z owych certyfikatów nic nie wyczyta. Poleciał przecież Rileyowi odesłać papiery doktora Hudsona z powrotem do biura Axion, żeby ponownie wystawiono je na nazwisko pani Hudson.

Jednak, żeby się do końca upewnić... Wprawdzie dobrze pamięta, jak pisał do Blaira, agenta transferów z Axion Motors, zaznaczając, że od tej chwili wszystkie dywidendy z tego pakietu akcji mają być przekazywane na adres pani Hudson, która stała się ich właścicielką, a certyfikaty zostaną przesłane do ponownego wystawienia. Na pewno mówił o tym Rileyowi.

Jednak dla absolutnej pewności zapyta jeszcze raz.

- Proszę, żeby natychmiast je przyniesiono

- ciągnął T.P., tryskając uprzejmością. - Przepraszam panią na chwilę.

Zatrzymano go w biurze obok na całe pięć minut, a kiedy wrócił, pocierał grube brwi wielką chustką z monogramem. Usiadł na swoim miejscu, uśmiechnął się niezbyt radośnie i powiedział:

- To może zająć trochę czasu. Gdybyśmy wiedzieli, że pani zechce je obejrzeć, przygotowalibyśmy je wcześniej. Takie rzeczy przechowujemy w bezpiecznym miejscu.

- Tak - odparła Helen ze zrozumieniem. - Na pewno przygotowalibyście papiery wcześniej.

- Przykro mi, że tak długo panią zatrzymuję

- T.P. przybrał współczujący wyraz twarzy. Czemu ta kobieta nie powie po prostu: „Więc dajmy sobie z tym spokój”?

- Mogę poczekać - powiedziała, rozsiadając się wygodnie w wielkim krześle. T.P. niespokojnie bębnił palcami po stole.

- Pewnie, że je mamy, inaczej nie otrzymywałyby pani dywidend.

- Oczywiście.

- Certyfikaty jak każde inne. Widziała pani kiedyś takie dokumenty, prawda? - Wciąż bardzo uprzejmy, ale zaczynał tracić pewność siebie.

- Tak... i te również chciałam obejrzeć - zerknęła na zegarek.

T.P. nie mógł już zrobić nic więcej. Nacisnął dzwonek, złożył zamówienie, próbował być wesoły, nonszalancki, ale rozmowa się nie kleiła. Nie sprawiała przyjemności ani jednej, ani drugiej stronie.

W końcu przyniesiono dokumenty i T.P. przesunął je po stole w jej kierunku.

Wyjęła pierwszy z wierzchu papier ze związanego grubą gumką rulonu, rozwinęła i rzuciła okiem na adnotację: „Przekazane na rzecz Helen Hudson przez Roberta Merricka”.

- Dziękuję - powiedziała, wstając. - To chyba wszystko. Przyjdę jutro w tej samej sprawie.

Klientka wyszła i T.P. nie tracił czasu. Chwycił za telefon i swym popisowym bankierskim tonem poprosił o rozmowę z doktorem Merrickiem w szpitalu Brightwood. Kiedy tylko zrealizowano połączenie, T.P. bez żadnych wstępów opowiedział, co zaszło. W odpowiedzi usłyszał kilka zwrotów niezbyt stosownych w rozmowie telefonicznej.

- Doktorze, proszę się nie unosić. Mówię panu, że tego absolutnie nie dało się uniknąć. Mogłem najwyżej powiedzieć, że nie mamy jej udziałów. Czy to by polepszyło sytuację? Do kroćset! Jest potwornie podejrzliwa.

Powinien był pan to przewidzieć. Ta kobieta nie jest głupia. Co pan mówi? A niech mnie, gdybym tylko wiedział! Wybiegła przed sekundą, trochę zdenerwowana. Nie wiem, mówię panu. Może. Jeśli tak, niedługo się pan dowie. Bardzo mi przykro, ale trzeba było...

T.P. usłyszał metaliczne kliknięcie i zamrugał. Odłożył słuchawkę na widełki, otworzył lewą dolną szufladę biurka, wyjął z niej butelkę i kieliszek, nalał, przełknął, wzdrygnął się, mruknął coś, schował butelkę, zamknął biurko, zapalił cygaro i nacisnął na dzwonek.

- Riley, odłóż te certyfikaty tam, skąd je wzięłeś... Jeśli ktoś będzie miał do mnie coś ważnego, zadzwoń do klubu Athletic. Boli mnie głowa.

Helen Hudson nieczęsto ulegała emocjom. Jej spokój nie był pozą, nie przychodził jej też z trudnością. Miała go we krwi.

Lecz tamtego popołudnia po prostu odrzuciła zwykłe opanowanie i

poddała się porywowi oburzenia. Pognała do Brightwood, a myśli w jej głowie galopowały jedna za drugą.

Niepokój, konsternacja, złe przeczucia, obawy i podejrzenia gotowały się w niej przez te wszystkie niekończące się miesiące, a teraz nagle zaczęły kipieć i nadeszła chwila, by to wszystko wylać.

Taksówka czekała już na nią przed bankiem, kiedy wyszła nieprzytomna z upokorzenia. Szybkim krokiem podeszła do samochodu, podała kierowcy adres i przez całą podróż siedziała napięta jak struna.

Ten okropny Merrick postawił ją w nieznośnym położeniu. Mniejsza o intencje, na pewno dobrze się bawił, grając rycerza. Zrobił z niej cudzą utrzymankę, potraktował jak nieodpowiedzialne dziecko, obarczył zobowiązaniami, których najprawdopodobniej nie da rady się pozbyć. Odmówi przyjęcia czegokolwiek z jego rąk. Natychmiast zwróci cały kapitał i zabierze się za odpracowanie tego, co wydała.

Co dokładnie powie Bobby'emu Merrickowi, Helen jeszcze nie ustaliła. Jednego była pewna: potępi jego nadgorliwość w mieszaniu się w nie swoje sprawy i uświadomi mu jednoznacznie, co o nim myśli. Dostanie wszystko z powrotem! Przycisnęła drżące palce do powiek, próbując dłońmi ostudzić policzki.

Ledwo przytomna, nieszczęsna wysiadła z taksówki przed szpitalem, poprosiła kierowcę, żeby na nią zaczekał - nie potrwa to długo - i stukając obcasami, ruszyła szerokim chodnikiem między przyciętymi równo krzewami pokrytymi migoczącym szronem.

W niewielkiej recepcji spytała o panią Ashford, i zaprowadzono ją do biura kierowniczkii. Egzotyczna uroda Helen zaparła Nancy dech.

- Ach, jakże się cieszę! - wykrzyknęła, wyciągając w powitaniu obie

dłonie. - Wiedziałam, że jest pani w mieście i bardzo chciałam się z panią zobaczyć.

- Tak - odparła Helen, starając się uspokoić oddech i opanować głos. - Naprawdę chciałabym się z panią umówić i zrobię to niedługo. Ale... nie teraz. Mam pilną ważną sprawę do doktora Mer-ricka. Czy mogę się z nim zobaczyć? Jest w szpitalu?

Jest i zaraz do niej przyjdzie. Właśnie skończył operować i ma chwilę czasu. Tutaj będą mogli porozmawiać.

Nancy wyszła z bijącym sercem i zamknęła za sobą drzwi. Przez chwilę Helen wierciła się niespokojnie na małej sofie, bawiła się torebką, otwierała ją i zamykała, i znów otwierała, przytupywała o dywan małymi stopami w szarych pantofelkach, potem, nie mogąc już wysiedzieć kolejnej

minuty, podeszła do okna i stała tak, wpatrując się zapamiętale w ulicę i bezwiednie obracała w palcach korale na szyi.

Wreszcie drzwi się otworzyły szybko i równie szybko zamknęły - uświadomiła sobie jego obecność. Wiedziała, że tam stoi, tuż przy wejściu, oczekując, że ona odwróci się i spojrzy mu w twarz... Dlaczego tego nie robi? Czy ma przejść przez pokój i podejść do niej? I zagaić? Może lepiej nie. Ale dlaczego się nie odwraca w jego stronę? Przecież posłała po niego, prawda? Prosiła o rozmowę. Co ją powstrzymuje? To zwlekanie jest najgorsze. Z każdą sekundą sytuacja stawała się coraz bardziej nieznośna. Wieczność potem odezwał się niepewnym tonem:

- Chciała się pani ze mną widzieć.

Ta cicha wypowiedź przerwała czar. Helen odwróciła się szybko i opierając się o okno, położyła dłonie na parapecie w pozie, którą Bobby

odczytał z żalem jako obronę osoby przypartej do muru. Głowę miała spuszczoną, oczy wbiła w podłogę. Cokolwiek skłoniło ją do przyjęcia takiej postawy, na pewno nie chciał nic takiego zrobić.

Helen czuła niesmak wobec własnych uczuć. Dziesięć minut temu była gotowa do ataku. Kiedy podeszła do okna, pałała pragnieniem, by obrzucić go wyzwiskami, zranić, dać mu posmakować upokorzenia, jakie jej zgotował. Co się z nią stało? Czuła się opuszczona nawet przez własną złość. Nie może jednak dłużej tak stać i milczeć.

Podniosła na niego wzrok.

- Muszę z panem porozmawiać - powiedziała tym głębokim kontraltem, który wiele razy przypominał sobie z taką przyjemnością - tembr jej głosu wyzwalał dziwne dreszcze w głębi jego jestestwa.

- Nie poda mi pani ręki? - błagał.

- Nie ma takiej potrzeby! - odparła, strzepując palcami.

- To może pani usiądzie?

- Dziękuję, nie. Zaraz wszystko powiem. Bobby z ramionami skrzyżowanymi na piersiach oparł się o biurko Nancy i słuchał.

- Właśnie odkryłam, że wszystko, co mam na tym świecie, należy do pana. Od jakiegoś czasu żyłam jako osoba od pana zależna. Nie wiedziałam o tym. Musi mi pan uwierzyć, że o tym nie wiedziałam.

- Oczywiście, że pani nie wiedziała! Nie powinna się pani za nic winić. Mówiła dalej, jakby go nie słyszała.

- Nawet ubranie, które mam teraz na sobie...

Opuściła głowę i zakryła twarz dłońmi.

Bobby nie mógł dłużej tego znieść. Z walącym dziko sercem przyskoczył do niej i chwycił ją za ręce. Przez maleńki ułamek chwili pozwoliła na ten

spontaniczny gest, a potem cofnęła dłonie, potrząsając głową.

- Nie! Nie! Nie przyszłam tu po litość! - Jej głos był teraz mocniejszy i pobrzmiwało w nim rosnące zniecierpliwienie. - Doznawałam jej już wystarczająco długo. Przyszłam powiedzieć, że zwrócę wszystkie pieniądze co do dolara, kiedy tylko zdołam je zarobić.

Bobby westchnął głęboko ze smutkiem, odsunął się, oparł całym ciężarem o biurko i wbił wzrok gdzieś przed siebie.

- Tak mi przykro - powiedział powoli. - Widzi pani... Temu wszystkiemu towarzyszyły bardzo dziwne okoliczności. Chciałem, jeśli to w mojej mocy, oszczędzić pani niedoli i kolejnych nieszczęść. Ale, jak widzę, obrałem złą drogę - choć chciałem dobrze. Czy chociaż w to może pani uwierzyć?

Przez sekundę ich oczy spotkały się w spojrzeniu, które potem każde wspominało, leżąc bezsennie nocą, odtwarzając tę scenę kawałeczek po kawałeczku - Bobby zastanawiał się z goryczą, czy gdyby wziął ją wtedy w ramiona, skończyłyby się wszelkie problemy, Helen wyrzucała sobie i łajała się w myślach za, jej zdaniem, jawne okazywanie uczuć, które próbowała poskromić.

- Może i tak - przyznała., usiłując uwolnić się od jego wzroku. -Ale moje położenie nie jest przez to ani odrobinę łatwiejsze. Nie życzę sobie, żeby ktoś mnie utrzymywał. Oddam wszystkie pieniądze - wkład jutro, a sumę, którą wydałam, jak tylko ją zarobię!

- Nie wolno pani tego zrobić! Głos Bobby'ego był surowy i rozkazujący. Stał sztywno wyprostowany i patrzył na nią z uporem.

- Nie zdaje sobie pani sprawy, co to znaczy... a ja nie odważyłbym się tego powiedzieć. Bez wątpienia powiązane jest z tym życie wielu osób.

Cokolwiek pani postanowi zrobić z tymi pieniędzmi, nie może mi ich pani zwrócić! Nie przyjmę ich! Nie mogę przyjąć... bo... widzi pani... są już zużyte...

Helen obrzuciła go szybkim spojrzeniem otwartych szeroko ze zdumienia oczu. Przełknęła ciężko.

- Co? - wyszeptała. - Co pan powiedział?

- Już wszystko wykorzystałem! Czy pani wie, co to znaczy?

- Nie! Proszę mi powiedzieć! Co to znaczy?

- Niech pani usiądzie - powiedział łagodnie. - Spróbuję to wytłumaczyć. Chociaż to niełatwe. Z lekkim ociąganiem podeszła do sofy i usiadła.

- Może pani zauważyła - zaczął Bobby ostrożnie - że czasem zachodzi niezwykła zależność między dobrowolnym, potajemnym obdarowaniem kogoś bez oczekiwania wzajemności czy nagrody a znaczącymi sukcesami, jakie przypadają w udziale dobroczyńcy. Teraz jednak nie jestem pewien, czy pieniądze, które z taką radością oddałem do pani dyspozycji, nie stały się także tego rodzaju inwestycją. Krótco po tym, kiedy wszystko załatwiłem, zdarzyło się coś o wielkim znaczeniu, coś, z czym nie ma żartów, a co dotyczy pani i mnie. Wiem, że trudno mi będzie panią przekonać. Czy nie mogłaby pani po prostu uwierzyć mi na słowo i zaufać?... Kochana...?

Helen oblała się rumieńcem i wstała, oczy jej pałały.

- Nie, nie jest pan wobec mnie w porządku - odparła z mocą. - A ja nie jestem dla pana kochana. Poniżył mnie pan. Chciałabym się dowiedzieć jeszcze wielu rzeczy i pewnie mógłby pan wyjaśnić mi niejedną zagadkę, ale nie wydaje mi się, żeby miał pan na to ochotę. Idę. Załatwię sprawy w banku. Pozostałą część też oddam. Może być pan tego pewien! - Stała przy

drzwiach z ręką na klamce.

Bobby podeszedł do niej i nakrył jej rękę swoją dłonią.

- Proszę posłuchać - powiedział rzeczowo. - Oboje nie chcielibyśmy znaleźć się na językach całej okolicy. Ludzie zaczną plotkować, że spotkaliśmy się tu i pokłóciliśmy. Gotowa pani wybiec, kipiąc z wściekłości. W ten sposób wzbudzimy tylko ludzką ciekawość i trzeba będzie się tłumaczyć.

- Niech pan się tłumaczy! Ja nie poczuwam się do obowiązku wyjaśniania czegokolwiek. Jeśli uważa pan inaczej, trudno. A teraz chcę wyjść.

Bobby nie cofnął dłoni.

- Moja droga - powiedział głośnym szeptem. - Odwołuję się do pani poczucia fair play. Bez wątpienia ma pani powód do oburzenia.

Niewątpliwie przez mój błąd znalazła się pani w okropnej sytuacji. Ale niech nasze nieporozumienia pozostaną przynajmniej między nami. Proszę się uspokoić, wyjdziemy do ludzi, jakby nic nie zaszło. Czy tak nie będzie lepiej?

Wahała się przez dłuższą chwilę, w poszukiwaniu odpowiedzi, niczym zagubione dziecko zajrzała mu badawczo w oczy, w końcu odpowiedziała:

- Zgoda.

Uwolnił jej dłoń - podeszła do okna, wzięła mały neseser i skontrolowała swój wygląd. Bobby wodził za nią pełnym skruchy wzrokiem. Wszystko popsuł, wszystko!

Odwróciła się i spokojnie spojrzała na niego jak na obcą osobę.

- Jestem gotowa, a pan? Bobby ociągał się.

- Ale... nie., sądzi pani - wyjąkał nieśmiało - że maleńki uśmiech pomógłby w... w...

- W stosownym czasie wezmę to pod uwagę.

Otworzył drzwi i z zapraszającym gestem przepuścił ją przodem. W tej samej sekundzie stała się kimś innym - pogodna, łagodna, uśmiechnięta... Podeszła do nich Nancy Ashford, wyczekująca nieopodal z ciekawością i niepokojem. Westchnęła krótko, jakby z ulgą.

- Cieszę się, że w końcu nadarzyła się okazja, żebyście się poznali - zawołała, z napięciem zaglądając im w oczy.

- Prawda? - odparła Helen, nieco zmieszana jej zachowaniem. - Doktor Merrick i ja rozmawialiśmy o tylu ciekawych rzeczach... Obawiam się, że niektóre z nich są, niestety, dość pogmatwane i niejasne.

- Tak, właśnie... zawile i niezrozumiałe! Pani Hudson zadawała mi pytania. Pewnie dowiedziała

się przypadkiem, że potrafię rzucić światło na zagadkowe kwestie, jakie pozostawił po sobie jej mąż. Stąd to spotkanie. Nancy promieniała.

- Mam nadzieję, że wkrótce złożę pani wizytę, pani Ashford - ciągnęła Helen. - Dziś nieco się spieszę. Ważne sprawy...

Słyszając znajomy głos, Joyce wskoczyła w sam środek grupki, piszcząc przenikliwie z zachwytu i zasypując wszystkich pytaniami.

- Cóż cię tu sprowadza, kochana? Dlaczego nie powiedziałaś, że przyjdiesz tak wcześnie? Ty i doktor Merrick już się znacie? Jak bosko! No to teraz możemy umówić się na kolację, tak jak rozmawialiśmy. Dzisiaj! We czwórkę! Ja wszystko załatwię! Bilety na Jasmine też. Co wy na to? Wybierze się pani z nami, pani Ashford?

Nancy zerknęła przelotnie Helen w oczy i wydało jej się, że dostrzegła w nich leciutkie zirytowanie. Czy powinna poprzeć pomysł wspólnego wyjścia? Cóż za niezręczna sytuacja.

Nagle czując się w obowiązku, by serdecznie odpowiedzieć na propozycję Joyce, Helen uśmiechnęła się pytająco i Nancy powiedziała:

- Z wielką radością, Joyce. Dziękuję.

- I ty też możesz prawda, Bobby? - nalegała Joyce.

Przez sekundę badał twarz Helen i kiedy spojrzała na niego pytająco, niechybnie czekając na odpowiedź, poczuł, jak wali mu serce.

- Z przyjemnością.

Helen zerknęła na zegarek.

- Muszę już iść - powiedziała stanowczo. -W takim razie do zobaczenia wieczorem.

Pozostała trójka odprowadziła ją do wielkich oszklonych drzwi, Bobby podał jej ramię i zaoferował, że odprowadzi do taksówki. Gdy znaleźli się na ośnieżonych schodach - jej dłoń na jego ramieniu - wiedzieli, że Nancy i Joyce stoją wciąż przy drzwiach i patrzą.

- Rozmawiajmy - powiedział Bobby wesoło. -Gra się jeszcze nie skończyła.

- To prawda - przyznała. Helen, spoglądając na niego z uśmiechem, który przyprawił go o zawrót głowy. -I mamy przed sobą cały wieczór tej uroczej rozrywki. Co też skłoniło pana do przyjęcia zaproszenia na tę nieszczęsną kolację, którą Joyce sobie umyśliła? Zasady fairplay, jak sądzę?

Twarz Bobby'ego wyrażała skruchę.

- Niech pan tak nie patrzy - rozkazała, tonem nieprzystającym do uśmiechu. - Pomyślą, że się spieramy!

- Cóż - odezwał się ponuro - a nie spieramy się? Zaśmiała się.

- Nadawałby się pan bardziej na producenta melodramatów niż aktora!

- Naprawdę miałem zamiar odmówić. Ale kiedy spojrzałem w pani stronę, zerknęła pani tak przyjaźnie.

- A co miałam zrobić? Pokazać panu język? Udawanie, że jesteśmy w dobrej komitywie, to pański pomysł. A teraz jak zwykle wykorzystał pan sytuację. - Nadal się uśmiechała. Dotarli do krawężnika. Taksówkarz rozgrzewał silnik.

- Wymyślę jakąś wymówkę - rzucił Bobby słabo. - Przepraszam.

- Nie, nie robi pan tego. Siedzimy w tym oboje po uszy, więc musimy dotrwać do końca, i mogę obiecać, że nikt nie zobaczy, co naprawdę czuję.

- Po chwili dodała: - Nawet pan. Proszę być spokojnym, nie zepsuję wieczoru.

Bobby otworzył drzwi taksówki i pomógł jej wsiąść. Ciepły uścisk jego dłoni na ramieniu

przyprawił ją o dreszcz. Siedząc bezpiecznie we wnętrzu pojazdu, nie musiała już udawać sympatii. Uśmiech zniknął z jej twarzy. Bobby wyciągnął ku niej dłoń, a ona, choć ze złością, musiała ją przyjąć. Uścisnął mocno jej rękę.

- Do widzenia, kochana - powiedział miękko. - Proszę nie myśleć o mnie tak źle. Popełniłem straszny błąd... ale bardzo panią kocham... naprawdę.

Rozdział siedemnasty

Merrick wrócił do swego apartamentu krótko po północy, zrzucił wieczorowe ubranie, założył szlafrok, poprosił Matsu, żeby dorzucił do kominka jeszcze jeden kawałek sosnowego drewna, i polecił służącemu iść spać.

Wieczne wyjście przypominało szarpiącą symfonię o zmieniającej się

tonacji i rytmie - były w niej pасаże nieopisanej czulości, przelotne porywy nadziei, naznaczone posępnością interwały, a od czasu do czasu zapierające dech, niepokojące crescendo, zgrzytliwie szarpiące skalę chromatyczną. Niestety całość zwieńczył wielce rozstrajający nieudany akord. Ogólnie rzecz biorąc, nastrój zmieniał się tak kapryśnie jak w Valse tńste Sibeliusa.

Miał nadzieję do końca zachować sportową postawę, niczym lekkoatleta przystępujący do wyczerpującego wyścigu. Jego droga antagonistka obiecała, że nikt, nawet on, nie będzie oglądał jej irytacji i niezadowolenia, i wiedział, że dotrzyma słowa. Jeśli ona miała trudną rolę, on tym bardziej. Musiała tylko udawać życzliwość. Każdy, kto ma choć trochę towarzyskiego obycia, zmuszony do przebywania z osobami, których nie lubi, potrafi ukryć się za maską życzliwości. Jego rola wymagała jednak chłodnej naturalności, nie sztywnej rezerwy albo pokazu obojętności... Musi być po prostu uprzejmy, jak mężczyzna wobec kobiety, którą ledwo zna. Do niego należało odegranie roli w sposób przekonywający - choć serce mu płonęło.

Kiedy przed wyjściem przelotnie sprawdzał w lustrze swój wygląd, przysięgł solennie własnemu odbiciu, że zachowa postawę dystygowanej *> rycerskości względem kobiety, której pozorowana przyjaźń będzie dla niego z całą pewnością torturą... i znosił ją walecznie prawie do samego końca.

A jednak, choć wyrzucał sobie to jedno krótkie, ale całkowite wyłamanie z samodyscypliny, przez które ich stosunki stały się jeszcze trudniejsze, drżał po same koniuszki nerwów na wspomnienie kilku czarodziejskich momentów, kiedy jej zachowanie względem niego było szczere.

Niczym skąpiec, który chce zostać sam, żeby poobracać w palcach swe złoto, niecierpliwie oddalił krzątającego się Matsu, zapalił fajkę i usadowił się w głębokim fotelu przed trzaskającym ogniem z zamiarem ponownego przeżycia jeszcze raz chwila po chwili tego wieczoru i najbardziej poruszających doznań.

Zgodnie z instrukcjami Joyce, przyjechał po Nancy Ashford. Wyglądała jak królowa - w oszalamiającym szkarłacie, z młodzieńczą twarzą, lśniącymi białymi włosami, wspaniałą figurą i sprężystym krokiem w pełni zasługiwała na podziw. Powiedział jej o tym, wręczając bukiet kwiatów. Podziękowała.

Nic nie umknęło jej uwadze. Kiedy pomagał jej wsiąść do limuzyny, zauważyła, że szofer, Richard, ma nową czapkę i getry.

- Do tej pory nie kazałeś mu nosić uniformu, prawda? - spytała. -

Myślałam, że masz demokratyczne poglądy.

- Owszem, miałem - przyznał. - Ale zmieniłem zdanie. W uniformie staje się jakby instytucją i nie przychodzą mu do głowy niemądre pomysły.

Przynajmniej teoretycznie. Poza tym mundurek mu się podoba.

Jakiś czas oddawali się podobnym pogawędkom, inicjowanym przez Bobby'ego z niecodziennym ożywieniem, aż w końcu Nancy udało się przedrzeć przez kanonadę chaotycznej gadaniny.

- Bobby - powiedziała, kiedy jego piękny nowy samochód włączył się do ruchu na bulwarze i sunął gładko przed siebie - coś mi mówi, że to nie będzie łatwe doświadczenie.

- Jest pani jak zwykle bystrym obserwatorem, Nancy - odparł.

- Nie trzeba być jasnowidzem, żeby zauważyć, że dziś po południu w Brightwood panowała raczej ciężka atmosfera.

- Przepraszam, że przerywam, ale bardzo pani ładnie w tym kolorze.

Wygląda pani przepięknie, moja droga.

- Nie chcesz o tym rozmawiać?

- Coś w tym stylu.

- Trudno. Zamknę oczy, zakryję uszy i usta. Jak te trzy mądre małpki.

Będę udawać, że nie wiem o waszych niesnaskach.

- Jakie to miłe.

- A także o tym, że jesteście, głuptasy, tak bardzo w sobie zakochani, iż boicie się choćby na siebie zerknąć, żeby tajemnica się nie wydała.

- Naprawdę jest pani piękna, Nancy.

- Ale głupia!

- Nie, nie! Co to to nie. Wręcz przeciwnie. Przebaczyła mu, uścisnęła jego dłoń, nazwała swoim kochanym chłopcem i przez resztę jazdy rozmawiali o sprawach szpitala w bardzo oficjalnym tonie.

Zatrzymali się przy hotelu Book-Cadillac, wysiedli prosto w gęstą zawieję i pospiesznie schowali się przed nią w obrotowych drzwiach. Joyce i Helen czekały już na nich na półpiętrze, tak jak się umówili. Joyce zachowywała się z hałaśliwą wesołością, szykowna i gibka w zielonej taftowej sukience, do której przypięła przysłany przez niego bukietik, i - chyba, że się mylił - zdążyła już wychylić kilka koktajli, bo w jej przesadnej gestykulacji dało się wyczuć nerwowość, a w mowie zbyt głośne tony, które trudno przypisać czemuś innemu niż trzem szklaneczkom ginu. Jeśli Helen to zauważyła, najwyraźniej postanowiła zignorować. W końcu czemu miałyby czepiać się takiego szczegółu? Jakie z niej zachwycające stworzenie w czarnym atłasie, perłach i przysłanych orchideach. A więc jednak zgodziła się w nich wystąpić! Jeden punkt na

niekorzyść najdroższego wroga!

Co dziwne, niemal od pierwszej chwili Joyce starała się uparcie, niemal agresywnie, popchnąć ich sobie w ramiona. Może to sprawka ginu? A może instynkt podpowiadał jej, że istnieje między nimi jakaś nieokreślona łączność, i poczuła się w obowiązku ją ujawnić? Trudno, rzecz jasna, stwierdzić, co Joyce sobie myślała. Jakikolwiek motywy nią powodowały, nie starała się wcale ukryć swych zamiarów: potraktowała spotkanie jako okazję do przyspieszenia wzrostu ich kiełkującej znajomości... jakby chodziło o gatunek grzyba, który albo dojrzeje natychmiast, albo nigdy.

Była nieustępliwa. Przy sałatce wychwyciła przerwę w rozmowie i mruknęła pod nosem, przesadnie akcentując sylaby:

- „Paaaani Hudson, doktooorze Merricku”. Jak rany! - wzdrygnęła się i westchnęła. - Miałam nadzieję, że do tej pory będziecie już dla siebie Bobbym i Helen. - Na co Helen, pochylając się ku niej, odparowała matczynym tonem, jakby przeproszała za nią pozostałych zebranych: - Pij mleczko, malutka. Grzeczna, dziewczynka, grzeczna. - Wszyscy się zaśmiali z aprobatą.

W hotelu było tłoczno i duszno. Właśnie odbywała się jakaś wielka konferencja handlowa, a w korytarzach roiło się od nadętych tłustych mężczyzn, z których każdy miał w klapie marynarki podłużny niebiesko-złoty znaczek, a na czole krople potu. Dziesiątki takich jegomości rozchodziło się we wszystkich kierunkach, przesuwali się bokiem pod prąd, przepaszając na prawo i lewo, jakby mówili „z drogi!”. Marszczyli brwi, dając do zrozumienia, że jeśli nie uda im się przecisnąć, bez nich całe przedsięwzięcie, wysiłek i koszty organizacji pójdą na marne.

Ich znudzone żony w omdlewających pozach spoczywały na fotelach, niespokojnymi palcami skubiąc świeże owoce. Kilka bardziej nieustraszonych próbowało zachować senną obojętność wobec trzymanyh na odległość wyciągniętego ramienia papierosów, lecz nieprzyzwyczajone, spoglądały na nie nieufnie jak lekkomyślny urwis trzymający w dłoni syczącą petardę - niby nonszalancko, ale z obawą czającą się w spojrzeniu. Joyce zamasyście chwyciła Nancy pod rękę i zaczęła torować sobie drogę.

- Trzymajcie się nas, wy tam! - krzyknęła przez ramię. - Nie zgubcie się. Musimy się pospieszyć, żeby zdążyć na przedstawienie - i pociągnęła Nancy w kłębiący się tłum.

Bobby podał Helen ramię - przyjęła je wcale nie zdawkowo, ale tak, jakby naprawdę sprawiło jej to przyjemność. Nie musiała. Ani Joyce, ani Nancy nie mogły ich widzieć. Nie było potrzeby odgrywać komedii.

Wtopili się w tłum. Przyciągnął ją bliżej do siebie, a ona się temu poddała. Nie, to nie napierający ludzie przycisnęli ją do niego. To ona z własnej nieprzymuszonej woli zgodziła się, by mocniej ją przytulił.

Odruchowo zapalił fajkę i w zamyśleniu trzymał między palcami zapaloną zapałkę, aż zaczęła go parzyć.

Odpowiedziała na jego uścisk tak ochoczo, że poczuł jej ciepłe miękkie ciało. Nie musiała. Tego nie było w scenariuszu. Ale to właśnie tak by się mogła zachować, gdyby nie nieporozumienie. A może nie. Trudno myśleć trzeźwo o takich sprawach.

Do tej pory nie rozmawiali ze sobą poza krótkim przywitaniem, które i tak zagłuszyło trajkotanie Joyce. Czuł, że powinien się do niej odezwać. Nie znosił czczych komunałów, ale nie chciał, by cisza dłużej narastała.

Nagle stał się bardzo śmiały.

- Prowadziłem kiedyś panią w ten sposób bardzo ciemną drogą, pamięta pani? - usłyszał własny głos.

- Naprawdę? - zaśmiała się - A ja myślałam, że szliśmy ramię w ramię. Czułam się jak mała dziewczynka, która po raz pierwszy idzie do przedszkola.

- A więc pani nie zapomniała!

- Oczywiście, że nie! Nie wiem, co bym zrobiła tej nocy bez pana. - Spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się. Przemknęło mu przez myśl, czy ona czuje, jak wali mu serce. Weszli do sali. Joyce machała od stolika w samym środku.

- Skoro już przy tym jesteśmy, niech mi pan powie jedną rzecz - ciągnęła Helen poufale. - Dlaczego nie pozwolił mi pan wtedy odwieźć się do domu albo przynajmniej wysadzić przy posiadłości?

- Bo wołałem, żeby pani nie wiedziała, kim jestem. Pomyślałem, że jeśli pani się dowie, to ...

- urwał bezradnie, szukając odpowiednich słów.

- Niewątpliwie to bardzo właściwy sposób za-dzierzganania przyjaźni takiej jak nasza - powiedziała rzeczowo. - Widzę, że od początku była skazana na niedopowiedzenia i kłamstwa.

- Bardzo mi przykro - odparł. I było widać, że istotnie tak jest.

- Proszę się nie smucić! - zakomenderowała gorąco, potrząsając energicznie jego ramieniem.

- Wygląda pan jak Hamlet! Niech się pan uśmiechnie! Nancy Ashford bardzo dobrze wie, że się posprzeczailiśmy. Wyczytałam to z jej twarzy. Nie będę odgrywać tej farsy sama.

Spojrzał w jej wielkie niebieskie oczy, zdumiony tym przypiływem przychylności, tak niepasującym do jej surowego wyrazu twarzy, a ona zaśmiała się głośno. Teraz, wspominając to na nowo, także się zaśmiał. Sytuacja była co najmniej niedorzeczna, przyniosła wielką ulgę.

- Z czego się śmiejecie? - spytała Joyce, kiedy kelnerzy przynieśli jej krzesło.

- To długa historia - odparła Helen lakonicznie. - I tu obecny dobry człowiek już raz się z niej śmiał. Nie będę go zmuszać do wysłuchiwania wszystkiego od początku. Nancy wyglądała na skonsternowaną. On zaś w głębi duszy cieszył się z jej zdumienia i bawiło go obserwowanie, jak czuje się zakłopotana tym, że nie wie o wszystkim.

- Twoje menu jest już ustalone - mówiła Joyce, kiedy odeszli kelnerzy. - Poza deserem. W tej kwestii masz wolny wybór. Poza tym weźmiesz to, co jest uważane za właściwe. Nie, kochanie - dodała, zwracając się do Helen - nie bierz cielęciny. Pamiętam, że już zdobyłaś wszystkie punkty w specjalizacji cielęciny.

- Proszę nam opowiedzieć coś o pani zagranicznym wyjeździe! - poprosiła Nancy. - Chciałabym wybrać się gdzieś latem i chętnie słucham opowieści o podróżach.

Jakże wdzięcznie na to przystała! I jak uroczo relacjonowała swoje wrażenia. Większość dużych miast znał prawie jak własną kieszeń, ale ona widziała tam rzeczy, na które on nie zwracał uwagi - intymność wąskich uliczek i urocze sklepiki, gdzie często zaprzyjaźniała się z całymi rodzinami... a z jaką czułością mówiła o małych dzieciach!

- Właśnie w ten sposób zdobyłam wspaniałych przyjaciół, prowadzili

niewielki sklepik w Asyżu - opowiadała. - Na początku przychodziłam do Bordinich podszkolić potoczny włoski. Oczywiście zawsze kupowałam u nich jakiś drobiazg, żeby w ten sposób odwdziżyć się za naukę, albo przynosiłam coś dla dzieci, ale w pewnym momencie zorientowałam się, że składam im wizyty, bo ich lubię i naprawdę potrzebuję ich ciepła. Pewnego dnia trzyletnia Maria ciężko się rozchorowała. Przez trzy tygodnie jej życie wisiało na włosku. Ogromnie się martwili. Ponieważ i tak nie miałam nic ważnego do roboty, wpadałam do nich co chwila. - Przerwała i odpięła z szyi mały srebrny krzyżyk.

- Matka Marii dała mi to, zanim wyjechałam z Asyżu.

Drobiazg krążył wokół stołu, przekazywany z rąk do rąk. Kiedy trafił do Bobby'ego, obejrzał go, czując się dziwnie uroczyście. Krzyżyk wydał mu się świętością.

- Nie chciałam tego przyjąć - ciągnęła Helen - bo na pewno to najcenniejsza rzecz, jaką ta kobieta posiadała. Poświęcił go osobiście Ojciec Święty, kiedy pani Bordini jako mała dziewczynka była na pielgrzymce w Rzymie w 1900 roku.

- To dlatego nosisz ten tani krzyżyk! - zawołała Joyce. - Czy przynosi ci szczęście? Helen uśmiechnęła się.

- Może - odparła. - A na pewno wolę go niż całą moją biżuterię.

- To naturalne - odezwała się Nancy ze zrozumieniem. Joyce bardzo się ożywiła.

- Widocznie musiałaś być dla tej rodziny wielką podporą w tym trudnym okresie, skoro zasłużyłaś na ich zaczarowany krzyżyk. Mów dalej. Co dla nich zrobiłaś podczas choroby Marii? Pomagałaś prowadzić sklep?

Opiekowałaś się małą? No, kochanie! Opowiedz!

Nie potrafił się powstrzymać. Ku własnemu zdziwieniu, podniósł dłoń w geście protestu.

- Nie, nie, Joyce. Naprawdę nie powinniśmy prosić pani Hudson, żeby o tym mówiła! - I natychmiast bardzo się stropił.

- A to dobre! A czemuż by nie? Zwrócił się do Helen i zapytał wprost:

- Opowiadała już pani tę historię? Komukolwiek?

- Nie... chyba nie.

- Na pani miejscu bym tego nie robił. To bardzo cenna pamiątka i jej moc leży w tym, że nikt nie wie, jak ją pani zdobyła.

- Jakież to ślicznie idiotyczne, Bobby! - wykrzyknęła Joyce. -

Pomyślałabyś, że on jest taki przesądny, Nancy?

- Już go parę razy o to podejrzewałam...

Helen przyglądała mu się szeroko otwartymi ze zdumienia oczami, gdy położył mały przedmiot na jej dłoni gestem niebezpiecznie przypominającym pieszczotę, opuszkami palców dotykając jej ręki dłużej, niż powinien.

- Czasem zastanawiam się, czyjej tego nie odesłać. Doktorze Merrick, ma pan na ten temat własne zdanie. Może pan mi doradzi, co zrobić.

- W żadnym wypadku. Jeśli ona przyjmie krzyżyk z powrotem, nie będzie już miał dla niej żadnej wartości. Teraz nie może już go wziąć, bo, bo...

Helen rozchyliła usta, oddychała nieco szybciej.

- Tak? Bo co? - nalegała niecierpliwie.

- Bo... do tego czasu pewnie już i tak przyniosło jej to korzyść.

Patrzyła na niego przez chwilę, nie mrugnawszy, jakby zobaczyła ducha.

Potem szepnęła niemal bezgłośnie, żeby tylko on usłyszał:

- To właśnie to znaczy...

- Tak.

Oczy zaszły jej mgłą, drżącymi palcami zapinała krzyżyk z powrotem.

- Cieszę się, że mi pan to powiedział. Często się nad tym zastanawiałam.

Joyce złożyła obie dłonie w geście zniecierpliwienia.

- O czym wy mówicie? Nancy, czy pani coś z tego rozumie?

- Och, piąte przez dziesiąte - odparła. - Najbardziej podobały się pani małe miasteczka, prawda? Posłuchajmy jeszcze trochę. Była pani w Bellagio.

Proszę opowiedzieć!

- Och tak - poparła ją Joyce. Pisałaś stamtąd takie cudowne listy. Jak się nazywał ten hotel na wzgórzu?

- Yiła Serbelloni - Helen zasmuciła się. - Tak, na początku podobało mi się tam, ale byłam coraz bardziej samotna. W pewnym momencie poczułam się tak nieszczęśliwa, że nagle po prostu wyjechałam, w samym środku oberwania chmury.

- Dlaczego, co się stało, kochanie? - dopytywała Joyce z troską.

- Miałam dosyć samotności! Było już po sezonie i wszyscy wyjechali. Poznałam tam pewną młodą kobietę, którą uważałam za życzliwą, ale okazało się, że ona nic tylko pisze. Widziałam, że w tym celu przyjechała, więc nie chciałam się jej dłużej narzucać swoją obecnością i pewnego paskudnego burzowego dnia opuściłam Bellagio.

- Widziała pani kiedyś, co ona pisze? - dopytywała Nancy. Helen potrząsnęła głową.

- Może trzeba było się zainteresować - zasugerowała Joyce. - A jak jesteś teraz bohaterką opowiadań? To musi być niezwykle uczucie czytać opowiadanie i odnajdywać w nim siebie.

Podczas rozmowy o Bellagio Helen zwracała się głównie do innych.

Jednak odpowiadając na pytanie Joyce, powoli skierowała wzrok w jego stronę.

- Możliwe, że zostałam opisana jako jakaś drugoplanowa postać w opowieści, bo zanim się dowiedziałam, czym się zajmuje ta kobieta, paplałam i paplałam jak pensjonarka.

- Na pewno stała się pani główną bohaterką tej książki - zapewnił z mocą.

- Mógłbym przysiąc!

- Mówi pan z taką pewnością, jakby pan ją znał. - Pochyliła się lekko w jego kierunku. Jej bliskość skłoniła go do wyszeptania, ledwo do-
słyszalnie:

- Bo znam.

Rozmowa zeszała na statki. Nancy chciała wiedzieć wszystko o rejsach, w co się ubrać, komu i ile dać napiwku, z jakim wyprzedzeniem zarezerwować bilet, żeby mieć dobre miejsce.

- Helen, wracając, kupiła bilet dzień wcześniej - przypomniała sobie Joyce.

- Ale nie zawsze to się udaje - oponowała Nancy. - Pamiętam, jak trudno było zdobyć miejsce dla znajomego Bobby'ego, który nagle musiał popłynąć do Buenos Aires.

Zerknęła z przestachem na Helen i zobaczyła, że patrzy mu w oczy ze ściągniętymi brwiami. Nancy otrząsnęła się jednak szybko i powiedziała:

- Może z powodu pory roku. Kiedy to było? - Kiedy, Bobby? - dopytywała się Nancy. - Powinieneś pamiętać. Bardzo ci zależało, żeby popłynął tym statkiem. To było jakiś rok temu, może trochę wcześniej.

- Tak, chyba mniej więcej wtedy - zgodził się obojętnie.

Kelner przyniósł kartę. Pochylone ku sobie głowami Joyce i Nancy

omawiały smaki deserów lodowych. Helen podniosła do góry swoje menu, odgradzając się od nich.

- Bardzo szlachetnie z pana strony - powiedziała miękko. - Nigdy bym nie przypuszczała.

- Nie chciałem, żeby pani wiedziała. Mam nadzieję, że już nie będzie się pani nad tym zastanawiać. Przepraszam, że to tak nagle wypląnęło. Przez chwilę jej twarz była nieruchoma, potem rozpromieniła się w nagłym zrozumieniu.

- Ach tak... Już pojmuję... - mruknęła.

- Naprawdę?

Skinęła energicznie głową.

- To coś takiego jak rodzina Bordini i krzyżyk, prawda?

- Tak, dokładnie tak samo!

Joyce położyła kres ich tajemniczym szeptom, żądając rozwiązania problemu z deserem. To była chwila czułości. Kiedy rozważał ją teraz bez końca, przyszło mu na myśl, że gdyby wtedy, zanim wszystko potoczyło się inaczej, został wezwany do jakiegoś nagłego przypadku, mógłby mieć nadzieję, że nieporozumienia dobiegły końca...

Wstał i zaczął przechadzać się po pokoju, masując skronie palcami, przystanął przy stoliku, nabił na nowo fajkę, dołożył do ognia w kominku i znów opadł na fotel. Mały zegar na kominkowej półeczce wybił smętnie kwadrans po pierwszej.

Uderzenia zegara rozproszyły jego myśli i jak zawsze ściągnęły chmury nad jego duszę. Trzy kwadransy temu zegar jakby się radował. Przed półgodziną brzmiał niemal kojąco. Ale teraz to niemrawe, pełne rezygnacji, szydercze „da di da dum” napełniało Bobby'ego

przeświadczeniem o głupocie wszystkich jego posunięć i daremności wszelkich planów. Zupełnie, jakby nieśmiertelna Fortuna rozpościerała swe długie ramiona i ziewała. Nigdy nie wiadomo, co zegar oznajmi. Czasem uderzenia brzmiały jak cztery westchnięcia nieopisanego znużenia.

Uderzenia wciąż wibrowały w powietrzu. Zerknął. Piętnaście po drugiej. Powrócił ze smutkiem do swych myśli, wiedząc, że przypominanie zdarzeń minionego wieczoru od tego momentu będzie bolesne.

Po krótkiej jeździe jego samochodem bez przeszkód dotarli do pobliskiego teatru. Kiedy się zatrzymywał, usłyszał, jak Helen mówi do Nancy:

- Jaki piękny wóz. Cóż to za marka? - Nie dosłyszał odpowiedzi Nancy, ale znał odpowiedź.

Zbyt długo zasiedzieli się przy kolacji i teraz byli mocno spóźnieni. Idąc po omacku za światełkiem rzuconym przez latarkę biletera, dotarli na swoje miejsca, na szczęście blisko korytarza.

Gibkie tancerki przemaszerowały z afektacją przez scenę w jednym zwartym rzędku, niczym jaskrawa gąsienica - kokietowały publiczność, wydały z siebie przenikliwy okrzyk, złamały szereg i zostały wsparte przez męską grupę, która dołączyła z boku sceny. Wszyscy razem jeszcze raz zaśpiewali tytułową piosenkę, wieńcząc utwór ogłuszającym piskiem i wyrzucając w górę ramiona, salę zalały światła i kurtyna opadła.

Joyce, która uparła się, że pójdzie przodem, wychyliła się do idącego na końcu Bobby'ego, żeby podać mu numerki. Jakże wyraźnie, niczym relief, wryła mu się w pamięci każda sekunda. Kiedy wyciągnął rękę, lekko otarł się o nagie ramię Helen. Każde przypadkowe zetknięcie ich ciał zapierało dech w piersiach. Tylko dzięki naj-solenniejszym złożonym

samemu sobie obietnicom opanował pokusę, by ją dotknąć.

Nie pamiętał, o czym rozmawiali podczas pierwszego antraktu. Mówiła głównie Joyce - opowiadała jakąś zabawną anegdotę związaną z premierą Jasmine w Nowym Jorku. Nancy była wdzięcznym słuchaczem, Helen uśmiechała się, na wpół nieobecna.

Orkiestra już przygotowała się, by zagrzmieć, dyrygent uniósł obie dłonie, obrzucając zespół uważnym spojrzeniem, kiedy ruszyli galopem wśród opadającej ciemności.

Wolałby nie czuć tak intensywnie jej obecności, obawiał się, że domyśli się, jak cały się ku niej wyrywa. Przypomniały mu się uwagi doświadczonej Nancy. Kiedyś wyznał jej, jak bardzo czuł obecność dziewczyny w odjeżdżającym samochodzie tamtej nocy za miastem.

Nancy wyśmiała jego naiwne przekonanie, że Helen była obojętna wobec jego odczuć.

- Bzdura! - zrugła go. - Myślisz, że tak by na ciebie działała, gdyby była obojętna? Niewiele wiesz o kobietach.

Katastrofa nastąpiła pod koniec drugiego aktu.

Nie śledził głupiutkiej oklepanej fabuły na tyle uważnie, żeby zdać sobie sprawę, do czego zmierza. Jego umysł skoncentrował się na jej magnetycznej obecności tuż obok, rozmyślał o tym, jakiego doznałby szczęścia, otaczając ją tym, na co zasługuje. Dopiero kiedy dopuścił się haniebnej gafy, uprzytomnił sobie, że niechcący ją obraził.

Na scenie znów pojawiła się Pierwsza Naiwna. Wjechała luksusową limuzyną w kolorową scenerię przyjęcia w domu na wsi. To, że tak naprawdę nie miała grosza przy duszy, że samochód należał do cynicznego brokera, który przez całe przedstawienie wabił ją prezentami, licząc na

późniejszą zapłatę, że zagraniczna suknia, którą miała na sobie, także do niego należała, umknęło uwadze Bobby'ego.

Za jakiego łajdaka musi go teraz uważać! Lecz chyba zdrowy rozsądek podpowie jej przecież, że nie chciał nic złego. Nie w ten sposób!

Nie miał pojęcia, o czym opowiadał ostatni akt, przesiedział go, cierpiąc niewyobrażalne katusze. Zanim nieszczęsne przedstawienie dobiegło wreszcie końca, minęła wieczność.

Pożegnali się krótko, kurtuazyjnie, bez przelotnego choćby porozumiewawczego spojrzenia.

Rano spróbuje wszystko wyjaśnić. Zegar wybił cztery kwadranse i zadzwonił na trzecią. O dziewiątej miał operację.

Znużony zrzucił z siebie ubranie i nakrył się kołdrą. Kiedy leżał z ciężkim sercem, dzwonienie zegara, po swojemu cynicznie pospieszyło z bystrym komentarzem do jego kłopotów.

Rankiem, po przyjeździe do szpitala, znalazł na biurku notatkę, by zadzwonił do pana Randała z Czwartego Oddziału Banku Narodowego, ale ją zignorował.

Skończywszy operację, zadzwonił do Statlera i poprosił o rozmowę z panią Hudson. Wymeldowała się.

Rozdział osiemnasty

McLarenowie gościli doktora Merricka na lanczu w swym przytulnym mieszkaniu. Była niedziela, wrócili właśnie z kościoła, w którym pojawienie się wybitnego młodego chirurga w pierwszej ławce, w towarzystwie pani McLaren, wywołało szmer niekłamanej dumy i zadowolenia.

Ku konsternacji Bobby'ego, jak przystało na prawdziwego naukowca,

przejawiającego nieśmiałość wobec rozgłosu, prasa szeroko rozpisywała się na temat jego bezprecedensowego wkładu w dziedzinę neurochirurgii. Z zażenowaniem patrzył, jak wokół jego wynalazku wzmaga się dziennikarski szum i nie był ani krztynę wdzięczny za wynikające ze szczyrych pobudek peany na pierwszych stronach dzienników czy sentymentalne koloryzujące jego biografię banialuki w przeglądach i magazynach.

Była to rzecz jasna pierwszorzędna historia, warta dwukolumnowego nagłówka na pierwszej stronie. Pismaki nie darowały niczego i eksploatowały temat, ile tylko się da. Doktor Merrick całkowicie porzucił wygodne życie, do którego upoważniała go wielka fortuna, aby z niezmordowanym zapałem oddać się najtrudniejszej, najbardziej niewdzięcznej specjalizacji w chirurgii...

Gdyby w porę nie zapobiegł zalewowi polujących na niego dziennikarzy, byłoby jeszcze gorzej.

- Publiczności coś się od pana należy! - za-ćwierkał jeden z nich, jakby rozmawiał z pretendującym do kariery gwiazdy filmowej dziewczątkiem, które wygrało konkurs piękności magazynu „The Times”.

Wspomniano nawet, że kilka lat temu doktorowi Merrickowi uratowano życie w tym samym czasie, kiedy w jeziorze Saginack utonął znakomity neurochirurg, Wayne Hudson. W jednej z lewicujących gazet obszernie rozważano, czy nagła decyzja wstąpienia do szkoły medycznej i zdobycia zawodu chirurga nie została spowodowana ową tragedią, ale z braku precyzyjnych informacji oraz niemożności wydobywania ich z nieszczęsnego bohatera lub jego współpracowników, zadowolono się podsunieniem odpowiednich poszlak, tak by opinia publiczna sama wyciągnęła wnioski.

W ciągu osiemnastu godzin od ogłoszenia rewelacji Bobby doszedł do wniosku, że gdyby zestawić na szali zyski i straty wynikające z pojawiania się na pierwszych stronach gazet, jego rozrachunek ze Sławą byłby ujemny. Jako nowa gwiazda wolał się za bardzo nie rzucać w oczy. Zalewała go natrętna żebranina wszelkiej maści wyludzaczy, apele od rzekomych filantropów, od fundacji zajmujących się porozumieniem narodowym, aż po działaczy na rzecz prześladowanych sójek. Zmuszano go do czytania, sławiącej jego zasługi amatorskiej poezji, której autorzy żywili nadzieję, że opublikuje ich hymny na swój koszt, otrzymywał nawet lukrowane listy miłosne często z załączonymi fotografiami. Nagabywano go na rozmowy przy lanczu. Stał się uciekinierem od okładki do okładki. Nawet w Windymere, gdzie szukał schronienia choćby na weekend, krótko po tym, jak zaczęło się polowanie na niego, zastał dziadka z dumą goszczącego kilka odsztafirowanych młodych kobiet, które wypytywały go o osobiste szczegóły z dzieciństwa Bobby'ego, by ubarwić nimi artykuł w tygodniku.

- Ach, Robercie, co za niespodzianka! - wykrzyknął Nicholas. - Właśnie o tobie rozmawialiśmy! Ta młoda pani...

- Tak, widzę - odpowiedział Bobby lodowato. - Na pewno wybaczy nam pani, jeśli nie będziemy już o tym rozmawiać.

- Ależ co to to nie - zachichotała.

Nicholas miał bardzo niemądrą minę i wyglądał na bezradnego, więc Bobby przyszedł mu z pomocą, wzywając Meggsa.

- Powiedz Stephenowi, żeby zawiózł tę panią na stację. Nie chcę, żeby się spóźniła na pociąg o czwartej szesnaście....

Co do kolegów po fachu, ich wdzięczność i wylewne gratulacje sprawiły

mu dużą przyjemność. Co dzień napływały podniosłe panegiryki od Znanych specjalistów dziękujących za hojne i szybkie udostępnienie wynalazku. Przychodziły listy ze wszystkich cywilizowanych krajów świata.

Po jakimś czasie, kiedy jego sława już się ugruntowała, Bobby nieśmiało wychylił się z ukrycia, żeby na nowo podjąć zwykły rozkład zajęć i rozrywek. Nie był jeszcze przyzwyczajony do nachalnych spojrzeń, szeptów i porozumiewawczych szturchnięć, czyhających na niego w miejscach publicznych, ale widząc, że nie może już dłużej prześlizgiwać się chyłkiem jak zaszczute zwierzę, ukrywał swą niepewność najlepiej, jak potrafił,

i znosił wszystko z pozorną nonszalancją. Postanowił nawet wybrać się do kościoła.

Doktor McLaren wygłosił dla grupki zebranych, z których połowa nie miała jeszcze czterdziestki, uczone kazanie na temat, który, jak sądził, szczególnie zainteresuje wyjątkowego gościa.

Niepokój, co doktor Merrick pomyśli sobie o jego kazaniu, tak dalece zawładnął umysłem popularnego młodego duszpasterza, że z wielkim trudem powstrzymał się od używania niezrozumiałego dla jego wiernych naukowego słownictwa, aczkolwiek pod względem intelektualnym słuchacze zasługiwali na piątkę z plusem, i pastor mówił to wprost.

Kościół Bożej Łaski świadomie stawiał na postępowość.

- To najbardziej wybiegający w przyszłość, właściwie jedyny wybiegający w przyszłość Kościół w mieście! - Tak właśnie, gwoli wstępu, powiedziała pani Sealback przed wysunięciem kandydatury doktora McLarena jako jedynej odpowiedniej osoby, która może przekazać Boskie

błogosławieństwo obradom kongresu społecznego na temat kontroli narodzin.

- W jakim sensie? - zapytała sucho pani Cordelia Kunz z Grand Rapids, przewodnicząca kongresu, stukając podejrzliwie o notatki małym lornionem. - W kwestii ekonomicznej, społecznej, politycznej czy po prostu jako ostatni bastion ortodoksyjności?

Pani Sealback, lekko oszołomiona i wielce już zirytowana, odparła, że Kościół Bożej Łaski wiedzie wiernych ku wolności, po czym kilka razy bardzo głośno otworzyła i zamknęła torebkę, by podkreślić swój brak dalszego zainteresowania tym tematem, nie zdając sobie sprawy, że opryskliwa sędzina z północy stanu trafiła w samo sedno.

Stosując konieczne środki ostrożności, doktor McLaren w ostatniej chwili wykreślił ze swego kazania pewne mądre sformułowania, które, jak się obawiał, mogły przerosnąć zebranych, ale nawet mimo tych zmian na rzecz większej jasności, przemawiał w gruncie rzeczy jak naukowiec do naukowca, a słuchacze byli jednocześnie połączani i zamroczeni uroczą niezrozumiałością jego słów. Zastanawiali się też, co sądzi o tym pan Robert Merrick, i puchli z dumy z powodu mądrości swego pastora. I mieli ku temu wszelkie prawo. Wielebny Bruce McLaren, doktor filozofii, nie był żadnym tam edukowanym firecykiem ani nadętym gadułą z upodobaniem do wielkich sformułowań, pretendującym do miana erudyty. Jego nauczanie było konkretne, a dzisiejsze kazanie to potwierdziło.

Diakon Chester, serdecznie potrząsając prawicą pastora, wołał, przekrzykując ostatnie dźwięki organów, że jak mu się zdaje, to najgłębsze kazanie w historii Kościoła Bożej Łaski. Stwierdzał to zupełnie szczerze, a

wyrażenie „moim zdaniem” oznaczało coś więcej niż zwyczajowe sformułowanie. Gdyby pan Chester był skrupulatnym stylistą, a nie - tak naprawdę - nieźle prosperującym producentem ciastek, i nie wzbraniał się otwarcie przyznać, że ukończył edukację w wieku trzynastu lat, nie mógłby zapewne wybrać trafniejszego zwrotu, niż „jak mi się wydaje” na określenie zdolności docenienia nauki wynikającej z wygłoszonej homilii. Gdyby wiedzę pana Chestera na temat poruszany przez doktora McLarena zapisać na płycie fotograficznej, byłaby ona nieskazitelnie czysta. Serdeczna przyjaźń między doktorem McLarenem i doktorem Merrickiem datowała się od pewnego chłodnego marcowego wieczoru, kiedy do Brightwood przywieziono smukłego szatyna - był nieprzytomny, oddychał z trudem i miał poważne uszkodzenie prawej skroni. Cały we krwi i błocie, przelewał się przez ręce. Ciężka to była noc, a jedynym odpoczynkiem od dziewiątej wieczór do dziewiątej następnego dnia, na jaki pozwolił sobie doktor Merrick po ukończeniu niezbędnych zabiegów, było kilka rundek tam i z powrotem po korytarzu naprzeciwko sali pacjenta, podczas których miętosił nerwowo papierosy. O trzeciej nad ranem machinalnie przyjął przyniesione przez pielęgniarkę kanapki i mleko. Bobby Merrick polubił McLarena od pierwszej chwili, kiedy leżał na stole operacyjnym, nieświadomie pokonując śmierć. Polubił kształt jego szerokiego czoła, uszu, zagłębienie w brodzie, twardość wyćwiczonego na tenisowych serwach prawego ramienia, fakturę skóry, eliptyczne wygięcie kciuka. Wszystko było w nim charakterystyczne. Doktor Merrick mógłby napisać obszerny esej na temat charakteru doktora McLarena, zanim jeszcze zamienił z nim słowo.

Następnego ranka spodobał mu się naturalny wewnętrzny spokój, jaki okazał pacjent, kiedy po raz pierwszy odzyskawszy przytomność, jednym spojrzeniem ocenił sytuację i, najwyraźniej uznając, że na tym kończy się rozkład zajęć na dziś, bez zadawania jakichkolwiek pytań, zachęcony przez pielęgniarkę, zapadł w sen. Parę dni później Bobby polubił go jeszcze serdeczniej za wyjątkową zdolność przyjmowania cięgow - i to niemałych - bez wzdrygania się i jęczenia. W końcu przypadła mu do gustu jego mentalność, gdy tydzień po wypadku McLaren spokojnie i bez złości mówił o niewypłacalnym pijaku, który najechał na niego na wysepce ulicznej.

- Już i tak pewnie fatalnie się z tym czuje

- stwierdził McLaren głębokim basem, złagodzonego nieco szkockim terkoczącym "r", które odziedziczył po przodkach. - W każdym razie nie zamierzam się w to zagłębiać ani zadrećcać rozmyślaniami na ten temat.

- Wielce roztropnie! - skomentował Merrick, postanawiając jednocześnie, że chętnie pozna bliżej tego człowieka, kiedy tylko postawi go na nogi.

Nigdy wcześniej nie znał żadnego kaznodziei. Mgliste pojęcie o duchownych zbudował sobie na podstawie żartów rysunkowych, kpin i drwin żurnalistów, zasłyszanych mimochodem prześmiewczych docinków oraz krytyki płynącej z teatralnej sceny i ekranu. Ostatnio z niesmakiem przejrzał też pobieżnie powieść szkalującą ludzi o takim powołaniu. Nie przyznałby się do uświadomionej niechęci wobec kleru, jednak w pewnym sensie podzielał panujący powszechnie pogląd, że kaznodzieje i księża to - mówiąc w skrócie - stado osłów.

Sympatia młodego chirurga wobec pacjenta rosła z każdym dniem.

Bobby'ego zachwycaly jego zabawne uwagi rzucane właśnie w tych

chwilach, kiedy poczucie humoru było bardzo potrzebne, bystrość, z jaką McLaren odparowywał przyjacielskie docinki lekarzy i pielęgniarek, sam nierzadko

- urodzony figlarz - jeszcze prowokując kpiny. Prawie wszyscy pracownicy Brightwood odwiedzali go w czasie rekonwalescencji i jednogłośnie twierdzili, że kapitalny z niego gość.

Nie mniej serdecznie personel Brightwood odnosił się do ciemnookiej pani McLaren, która, przerażona, ale wyśmienicie panująca nad sobą, pojawiła się w szpitalu już pół godziny po przywiezieniu jej męża. Otrzymała telefon, że doktor McLaren został poważnie ranny i powinna stawić się jak najszybciej. Nie wpadła w histerię. Czy doktor McLaren wyzdrowieje? Nie wiedzieli. Jeszcze za wcześnie, żeby cokolwiek powiedzieć. Jego obrażenia są bardzo, bardzo poważne. Przyjęła cios godnie, jej hart ducha mógł krzepić innych. Zaproponowano jej, żeby została na noc, i robiono wszystko, żeby docierały do niej wszelkie informacje na temat stanu jej męża, i te dobre, i te złe.

Od samego początku panią McLaren traktowano w Brightwood wyjątkowo. Gdy w południe doktor Merrick powiedział, że jej mąż walczy bardzo dzielnie, co dobrze rokuje, nie zrobiła żadnej sceny. Na chwilę tylko zamknęła mocno oczy, odetchnęła z ulgą i uśmiechnęła się lekko. Trzymała się dzielnie. Bobby cenił ją za to. Cieszył się, że jest blisko. Czasem, kiedy jej mąż spał, czytała. innym rekonwalescentom. Wiele razy udzielała pierwszej pomocy rozhisteryzowanym osobom, czekającym na wynik operacji kogoś bliskiego. Kiedyś na zaproszenie doktora Pyle'a weszła nawet na salę operacyjną, by zobaczyć „bardzo interesujący zabieg” - z której to rozrywki jednak szybko zrezygnowała, bo odgłosy

maleńkiej piły zbyt mocno drażniły jej układ trawienny.

Jednogłośnym werdyktem McLarenów okrzyknięto w Brigtwood „chodzącym dobrem”.

Pewnego popołudnia przewielebny Bruce zwrócił się do doktora Merricka, kiedy ten zasiadł przy jego wózku inwalidzkim nie z wizytą lekarską, ale po to, by usłyszeć kilka nowych szkockich historyjek:

- Mój drogi, niedługo stąd wyjdę i trochę się martwię o moje rachunki.

Mam małe dochody,

a mój obecny stan konta, jeśli w ogóle coś takiego jeszcze istnieje, rozśmieszyłby pana. Oczywiście znam cenę pobytu w szpitalu i dam radę za wszystko zapłacić. Bałem się jednak zapytać o wysokość pańskiego honorarium, bo szok mógłby mi zaszkodzić. Jak to mawiają Szkoci: „Ile się panu należy?”

- Cóż, chcę złożyć pewną propozycję. Pozwolił mi pastor załatać swoją głowę. Ja w takim razie pozwolę pastorowi zająć się moją duszą. I będziemy kwita. Dobrze?

- To wielka hojność - zagrzmał McLaren przynajmniej trzy tony poniżej klucza basowego. - Oczekuję więc pana w moim kościele, jak tylko wrócę do pracy.

- Och! Czy muszę na tę kurację udawać się do kościoła?

- Ja trafiłem do szpitala, żeby poddać się pańskiej, czyż nie?

- Wygrał pastor! - uległ Bobby. - Przyjdę!

Tak jak obiecał, pewnego pięknego majowego poranka, zaanonsowawszy się wcześniej McLarenowi i przyjąwszy zaproszenie na drugie śniadanie po nabożeństwie, wybrał się do kościoła Bożej Łaski. Betty McLaren cieszyła się, że przedstawi go swoim przyjaciołom. Była bardzo dumna z

kazania męża. Wspaniały dzień. Czy doktor Merrick życzy sobie dwie kostki cukru czy trzy, śmietanka czy cytryna? Czy nie dziwi go tylu młodych ludzi wśród wiernych? Doktor Merrick poprosił o jedną kostkę, podziękował za śmietankę oraz cytrynę. A czy jest powód do zdziwienia?

- O, i to wielki! - odparł doktor McLaren, podając gościowi porcję wybornego omletu. - To jeden z naszych sukcesów! Bo widzi pan, studenci, młodzi ludzie kariery i biznesu wyrosli już ze starych tradycji i pragną, rzekłbym, naukowego podejścia do religii. Próbujemy im to dać. - Zauważyłem - powiedział Bobby. - Kazanie było bardzo akademickie i na pewno im się podobało.

- Doktorze, gdyby zechciał pan mi pomóc... Byłbym wdzięczny za pańską szczerą opinię. Co pan o tym myśli jako naukowiec?

- Och, właściwie nie jestem naukowcem. Chirurg nie musi nim być, wystarczy, że jest dobrym rzemieślnikiem.

Betty McLaren zaprotestowała, wybuchając śmiechem.

- Ależ, doktorze! Cóż za pomysł! Pan nie jest naukowcem? Dobrze wiemy, że to nieprawda!

- Ma pan przecież naukowe podejście do życia, naukową postawę - nie dawał za wygraną doktor McLaren. - Może zauważył pan, jak starałem się unikać starych utartych teologicznych zwrotów.

- Obawiam się, że i tak bym ich nie rozpoznał - wyznał Bobby. - Ale... Cóż złego w utartej terminologii?

- Jest przestarzała, myląca! Musimy stworzyć nowe słownictwo, żeby postawić religię na równi z innymi dziedzinami, które fascynują ludzi. Trzeba mówić o niej w sposób nowoczesny, nie sądzi pan? Zgodnie z wymogami współczesności. - Doktor McLaren wyraźnie walczył o

poparcie gościa.

- Może - zgodził się Bobby ostrożnie. - Nie wiem. Nie byłbym pewien, czy ludzie dowiedzą się o religii czegoś więcej, jeśli na nowo sformułuje się jej najważniejsze aspekty. Tak mi przyszło na myśl, kiedy szukałem porównania, że słowo „elektryczność” wywodzi się od słowa „bursztyn”. Starożytni wiedzieli o elektryczności tylko tyle, że jeśli potrze się grudkę bursztynu kawałkiem jedwabiu i zbliży do piórka, zacznie się ono poruszać. Teraz dzięki tej samej zasadzie poruszamy lokomotywy, a słowo „elektryczność” pozostało. Nikomu nie przyszło do głowy zmieniać tej nazwy. Może po prostu zachowano starą nazwę przez sentyment... A jeszcze bardziej prawdopodobne, że w ogóle się nad tym nie zastanawiano. Ludzie byli zbyt pochłonięci praktycznym zastosowaniem elektryczności.

- Ummm. To ciekawa koncepcja. Więc uważa pan, że zmiana nazewnictwa niewiele zmieni?

- Dla mnie nie - odparł Bobby, mając w duchu nadzieję, że nie za ostro zaprzecza bliskiej sercu gospodarza teorii.

- Ale obecnie obserwuje się wyraźną potrzebę rozumienia teologii w sposób bardziej precyzyjny. Staramy się być nieco mniej dogmatyczni w stwierdzeniach i trochę uczciwsi. Na przykład myślę, że dużo lepiej powiedzieć otwarcie, że Bóg to hipoteza, niż starać się udowodnić Jego istnienie, dostarczać dowodów, które nie udźwigną własnego ciężaru. Bobby zwlekał z odpowiedzią i McLarenowie z napięciem wbili w niego wzrok. Musi przecież wierzyć w Boga, przynajmniej przyjmować hipotezę Jego istnienia!

Zauważył ich wyczekiwanie.

- Obawiam się, że nie mogę się z tym zgodzić

- powiedział w końcu nieśmiało.

- Ach! Doktorze Merrick! - zbeształa go zawiedziona Betty. - Chyba nie chce pan powiedzieć, że wcale pan nie wierzy w Boga!

- Chcę tylko powiedzieć, że nie uznaję istnienia Boga za hipotezę.

- Ależ drogi przyjacielu - wykrzyknął McLaren

- przecież nie mamy niezbitych dowodów na Jego istnienie.

- Nie? - spytał Bobby cicho. - Ja mam.

Oba widelce używane przez członków rodziny McLaren w jednej chwili znalazły się na talerzach.

- E... jak to? - spytał gospodarz.

Bobby żałował, że po prostu z uśmiechem nie zgodził się z teorią wielebnego. Nie miał zamiaru wzbudzać kontrowersji. Nawet gdyby należał do zagorzałych wielbicieli takich debat, to nie miejsce na takie rzeczy. Poza tym wiedział, że nie ma prawa wyjaśniać rzekomych dowodów. Nieśmiało odparł, że przekonują one zapewne tylko jego samego. W głębi duszy liczył, że rozmowa stoczy się na bezpieczniejsze tematy.

- Zapewne opiera się pan na idei zamysłu Bożego - podsunął uczenie McLaren.

- No, tak... - powiedział Bobby z lekceważącym ruchem dłoni.

- Cała sprawa religii instytucjonalnej - podjął na nowo McLaren tonem wykładu - wymaga nowego spojrzenia. Oburza mnie rozważanie przyszłości Kościoła, kiedy ludzie dziś pięćdziesięcioletni i starsi znajdują się już w grobie. Obecnie dorastającego pokolenia ani trochę nie obchodzi zorganizowana religijność. Wierzą, powiedziałbym, instynktownie, ale nie chcą mieć nic wspólnego z wyznaniem, mają dość złorzeczenia jednego

Kościół na drugi, bezsensownych sporów dotyczących spraw, w których przypuszczenia jednej osoby są równie prawdopodobne jak innej i nie ma żadnej pewności co do wiary ani zasad!

- Sytuacja przedstawia się aż tak źle? - zdumiał się Bobby. - Nie wiedziałem, że Kościoły tak tracą na znaczeniu. Wydaje mi się, że jest ich całkiem sporo.

- Tak, sporo! - burknął McLaren. - Zbyt wiele... tych niewłaściwych.

Weźmy tak ważną kwestię jak natura i misja samego Twórcy chrześcijaństwa. Chrystus, zbliżający nas do Boga, pomagający nam lepiej Go zrozumieć, musi być postrzegany jako Osoba, która miała problemy podobne do naszych i radziła sobie z nimi, posługując się wiedzą i mocą dostępną nam wszystkim, inaczej nie będzie dla nas przykładem.

A oto większość Kościołów próbuje wzbudzić dla Niego zainteresowanie tym, że On urodził się w cudowny sposób, a ja nie, potrafię zmienić wodę w wino, a ja nie potrafię płacić podatki monetami znalezionymi w pyszczku ryby, na co przy całej mojej szkockiej pomysłowości nie mam szans, uciszył burzę jednym słowem i gestem, a ja musiałbym szarpać się z łódką, wyciągnął z grobu martwego od wielu dni przyjaciela, a ja muszę zadowolić się zasadzeniem krzewu róż na grobie kogoś bliskiego i pogodzić się, że to koniec. Chcemy Chrystusa, którego misja w prowadzeniu do Boga nie opiera się na różnicy między Nim a nami, lecz na podobieństwie!

W naszym Kościele pokazujemy ludziom Chrystusa, nie jako prestidigitatora, karmiącego tłum zawartością koszyczka małego chłopca, ale wielkiego proroka i wyrozumiałego przyjaciela! Nie sądzi pan, że można przyjąć takie założenie i pozostać trzeźwo myślącym naukowcem?

Bobby powoli skinął głową.

- Niewiele wiem na temat konfliktu między tradycyjnym podejściem do Chrystusa a nowoczesnymi teoriami. Sądząc po pozorach, powiedziałbym, że w naszym wieku żadna postawa nie przekona ludzi. Czy nowoczesna szkoła nie wymienia po prostu starej metafizyki na nową? Nasze pokolenie rozumie w kategoriach mocy, energii, dynamiki, czegoś, czego nie można znaleźć w książce, ale da się wyczytać z licznika. Czemuż by więc nie uznać istnienia nadnaturalnej pomocy za rzeczywistość, która przypada w udziale w określonych okolicznościach, i zachęcać ludzi do jej poszukiwania?

- Mówi pan tak, jakby pan wierzył w modlitwę, doktorze Merrick - powiedziała Betty ze smutkiem.

- To znaczy, paść na kolana, w nadziei, że się coś dostanie?

- O nie, to coś więcej, to prosić Boga, żeby nas obdarował.

- Cóż, to zależy od zasług...

- Zgadzam się - skinął głową McLaren.

- Nie rozumiem - powiedziała Betty.

- Pan Merrick ma na myśli to, że jeśli ktoś nie żyje odpowiednio, nie ma po co prosić Boga o poparcie i pomoc. To jasne.

- Nie - odezwał się Bobby. - Nie to chciałem powiedzieć. Jeśli to państwa interesuje, opowiem pewną historię.

Przez następne dwie godziny (przenieśli się do biblioteki, bo Bobby zasugerował, żeby przygotowali się na długą opowieść), McLarenowie siedzieli bez ruchu, nie wierząc własnym uszom.

Pragnąc przekazać im wszystkie kroki, niezbędne do duchowego rozwoju, w odpowiedniej sekwencji chronologicznej, zaczął od studia Randolpha.

Stopniowo, powoli prowadził ich od wydarzenia do wydarzenia, pamiętając skrupulatnie o pominięciu tych wszystkich swoich poczynań, których się podejmował, by wprowadzić w życie teorię skutecznej modlitwy Galilejczyka - po prostu w rzeczowym sprawozdaniu wyłuszczył im fakty.

Skończył podobnie, jak zaczął. Nie oczekuje, że uwierzą w jego słowa, powiedział. Sam w to nie wierzył, czuł się zawiedziony, oburzony, obrażało to jego inteligencję, gwałtownie się buntował, ale czy się to nam podoba, czy nie, tak to właśnie działa.

- Jakże trywialne - odezwał się z pokorą McLaren - wydaje się moje nauczanie wobec tak niezwykłych możliwości. Wygląda na to, że próbujemy przekazać ludziom wiarę, nie wiedząc... o co w niej tak naprawdę chodzi.

- O, tak daleko bym się nie posuwał - pocieszył go Bobby. - Inspiruje pastor ludzi do zastanowienia się nad sobą. Każda, myśl, jaką im pastor podsuwa, na temat właściwego życia i spełniania obowiązków pozwala im stawać się lepszymi. Na tym polega etyka. A jest ona bardzo potrzebna. To, o czym opowiadałem, nie należy do etyki. Przypomina raczej naukę. Dwoimy się i troimy, żeby skonstruować urządzenia i maszyny napędzane prądem, parą i promieniami słonecznymi, ale nie zdajemy sobie sprawy, że istota ludzka może w podobny sposób czerpać moc z Naszej Wielkiej Osobowości.

- Mam wrażenie - powiedział McLaren - jakbym całe życie nic nie robił, dokładnie nic!

- Ależ w żadnym razie! Wykorzeniając stare przesady, mylne, niepotrzebne poglądy, wykonuje pastor bardzo potrzebną pracę. Ten wysiłek na pewno

nie idzie na marne. Ale kiedy przysłuchiwałem się kazaniu, myślałem, jakby to było wspaniale, gdyby nowa interpretacja religii, którą pastor tak pięknie przedstawiał, mogła posunąć się dalej i pokazać, że religia pozostaje w zupełnej zgodzie z nauką. Radził nam dziś pastor zaakceptować teorię ewolucji. Padły słowa - pamiętam dokładnie - że za pomocą tej teorii możemy wyjaśnić wszystko, co mamy i czym jesteśmy. Ale tu się nie zgadzam. Może nasze ciała rzeczywiście są pochodną jakiejś praludzkiej formy życia. Może literatura romantyczna to tylko zaawansowana forma zwierzęcego instynktu reprodukcji. Może nasze mózgi to tylko udoskonalona wersja podstawowego nerwu, który reagował tylko na potrzebę pokarmu i schronienia. To nie zostało udowodnione. Mówił o tym pastor z ambony z większym przekonaniem niż mój profesor w sali wykładowej. Ale... Nawet przyjmując teorię ewolucji, biologia nie wyjaśnia fenomenu osobowości. Stary biolog Harper, zapytany, jak wyjaśnić istnienie ludzkich dążeń, żalu, wyjątkowej zdolności do poznania naszej historii, do troszczenia się o przyszłość, odpowie: „Nie jestem, proszę pana, teologiem, lecz biologiem”.

- Sugeruje pan - uśmiechnął się McLaren - że moim głównym zadaniem jest mówić o ludzkich aspiracjach, troskach i pragnieniu pokonania czasu, a jeśli ktoś zapyta mnie, co sądzę na temat teorii ewolucji, powinienem odpowiedzieć: „Nie jestem biologiem, proszę pana. Jestem teologiem!”

- Coś w tym stylu - potwierdził Bobby.

- Zastanawiam się - odezwał się McLaren po dłuższym milczeniu - czy nam, współczesnym nie przypada w udziale los Mojżesza, który miał dość odwagi, by wyprowadzić ludzi z niewoli, ale nie potrafił zaprowadzić ich do krainy, w której znaleźliby schronienie. Wyzwoliliśmy ludzi z

przesądów, a oni wciąż błakają się w gęstwinie, niezadowoleni, głodni, co jakiś czas powracają do pogaństwa i wypróbują wszelkiego rodzaju dziwaczne kultury, tęsknią za duchowym odpowiednikiem dawno pogrzebanych wierzeń, marząc niekiedy o ponownym zaprzęgnięciu w kierat!

Rozdział dziewiętnasty

.Nalewając kawę w słonecznej jadalni w swym apartamencie przy Boulevard Haussmann niedaleko Place de l'Etoile, Maxine Merrick zerknęła w onieśmieleniu na znakomitego gościa, z trudem rozpoznając w nim własnego syna.

Miał jakby inne usta. Nie będąc obdarzona talentem odgadywania charakterów, nie potrafiła sprecyzować, na czym to polega, ale uśpiony gdzieś w niej instynkt podpowiadał, iż zaszła w nim poważna wewnętrzna zmiana.

Nie, te usta nie są ani surowe, ani smutne, ale maluje się na nich smutek typowy dla ludzi dojrzałych. Już nie proszą, nie oczekują, nie pytają nawet - wyrażają akceptację. Zniknęło z nich pełne zacięcia samozadowolenie, samozwańcza nieomyślność, nie wydymają się hardo i władczo, są to usta człowieka, który polega tylko na faktach i nauczył się je traktować bardzo rzeczowo. Przyjmuje je, czy są cudne jak majowy poranek, czy czarne jak noc.

Oczy też mu się zmieniły. Głębiej osadzone, jakby nie zamykały się już, unikając nieprzyjemnych widoków - to oczy człowieka doświadczonego, przywykłego do oglądania cierpienia, oczy człowieka, który wie, że za wszystko w życiu trzeba zapłacić. Nie są smutne ani znużone, ale wydaje się, że widziały już zbyt wiele, by otworzyć się szeroko w zdumieniu.

Owszem, wiele rzeczy wyzwała w nich blask ożywienia, ale żadne słowa lub czyny nie przyprawiały o niedowierzanie.

Zmieniły się też jego dłonie - te same długie szczupłe palce artysty nie błądzą już ślepo i niepewnie. Nabrały pewności ruchów, spokoju, mocy. Ceną za to było jednak uczciwe, niezmordowane, głęboko doświadczające stawianie czoła faktom, choćby bardzo niemiłym.

Krótko mówiąc, miał usta, oczy i dłonie chirurga.

Wybór zawodu przez Bobby'ego nie zachwycił jej jednak. Poza przekonaniem - któremu poniewczasie i z irytacją dała wyraz - że niepotrzebnie się poświęca, jego postanowienie w żaden sposób jej nie poruszyło. Gdy ukończył szkołę, poprosiła tylko, by skoro już nie ma nauki, spędził z nią lato. Potem, kiedy w lipcu zaczął opisywać codzienność swego zawodu, wymagającego niemal zakonnego oddania, żaliła się przyjaciółkom, że jej syn służy nieznanym, podczas gdy jego owdowiała matka tak rozpaczliwie go potrzebuje. Odpowiadała mu, pisząc fioletowym atramentem wielkimi zamaszystymi literami i litując się nad sobą; niczym rozkapryszone dziecko oskarżała go o obojętność, choć jak zawsze korzystała z uroków życia i bywała sama tylko we śnie.

Kiedy jednakże doszły do niej słuchy - sama nigdy nie sięgała po prasę - że młody doktor Merrick z Detroit („Czy to możliwe, że to jej Hobby?" - zastanawiała się znajoma, która przyniosła tę nowinę) - zdobywa sławę jako wynalazca niezwykłego narzędzia chirurgicznego, jej duma nagle urosła. Uświadomiwszy sobie, że dawno temu poświęciła syna na ołtarzu służby dla ludzkości, czekała na dzień, kiedy jej bezinteresowne wyrzeczenie się matczynych praw zostanie przez wszystkich docenione, Maxine ochoczo zgłosiła się po

hołdy należne jej z racji aktu męczeństwa, które znosiła tak nieustraszenie, sprosiła wszystkie znajomych, żeby obejrzeni stos, na którym to spalała się przez długie dni w płomieniach nadziei i wiary.

Przez calutki tydzień krążyła wśród przyjaciół, przyjmując ze łzami szczęścia ich afektowane szczebiotania i gratulacje, następnie wysłała do syna ckliwą depeszę, w której gorąco dziękowała dobremu Bogu za to, że spełnił jej marzenia, choć kosztowało ją to czterysta piętnaście franków.

Tego ranka Maxine wyglądała na dziesięć lat młodszą, a czuła się jeszcze młodziej. Przeznaczyła niemałą sumkę na wydanie o drugiej wspaniałego obiadu, by triumfalnie pokazać Bobby'ego sześciu młodym duchem, choć nie wiekiem, paniom na dobrowolnym wygnaniu, które albo przeżyły swoich bliskich, albo się nimi znudziły, oraz takiej samej liczbie wytwornych, pachnących naftaliną starych dżentelmenów z siwymi wąsami i oddechem wionącym dżinem. Z mdłą pompatycznością oświadczyła, że dostąpią niezwykłego zaszczytu poznania jej cudownego dziecka, a w duchu miała nadzieję, iż Bobby dorósł już na tyle, by dać świadectwo swej świętości. Nie przewidziała, że syn wróci do niej z takimi ustami, oczami i rękami, oskarżycielsko udowadniając jej wiek - pięćdziesiąt lat i ani dnia mniej.

Przywykła do ról, jakie krótko przed występem podsuwały jej własne nieprzewidywalne zachcianki, postanowiła po swojemu poradzić sobie z tą niezręczną sytuacją. Z radością zagra, matkę lwa, a to, że lew nie jest już lewkiem, podkreśli tylko, jak niełatwo jej pozostać słodkim kociątkiem. Przeprowadzała próbę generalną nowej roli i zachowywała się jak matrona.

- Na pewno przypadną ci do gustu, Bobby!... To tacy uroczy ludzie! I

Bobby - ostrzegawczo podniosła do góry palec i pokiwała nim tajemniczo - poprosiłam moją słodką Partricię Livingstone, by także przyszła. Obie nie możemy się doczekać, kiedy ją poznasz. Będziesz nią oczarowany.

Bobby uśmiechnął się uprzejmie i odparł, że chętnie pozna wszystkich jej przyjaciół, a zwłaszcza tych, których matka uważa za uroczych.

Przygotowywała się do tego momentu jak na koronację, i postanowił sprawić jej przyjemność. Bóg świadkiem, jak rzadko miał okazję sprawić jej radość. Dziś wynagrodzi jej wszystkie zawody i będzie taki, jakim ona chce go widzieć - pogodnie zniesie spotkanie, które, podejrzewał, w opinii każdej myślącej osoby przyniesie mu bez wątpienia reputację kompletnego osła.

Zakładając, że intencje - w tym przypadku -równają się czynom, Bobby mógł zaliczyć przyjęcie w poczet swoich zasług, choć ostatecznie nie wziął w nim udziału.

Decyzja Bobby'ego o wzięciu czteromiesięcznego urlopu była skutkiem ożywionej korespondencji z doktorem Emilem Arnstadem z Wiednia.

Arnstadt pracował nad projektem przyżegacza koagulacyjnego na długo, zanim ogłoszono wynalazek Merricka. Natychmiast zaczął poszukiwać wszelkich informacji na ten temat i natychmiast ochoczo mu je przekazano. Tak zrodziła się między nimi pełna życzliwości znajomość, która podsunęła Arnstadtowi myśl, by zaprosić Merricka do Wiednia na nieformalną konferencję poświęconą ich wspólnym zainteresowaniom.

„Mamy sobie wiele do zaoferowania - pisał Arn-stadt. - Naprawdę powinniśmy się spotkać.”

Szałę przeważył list od Jacka Dawsona, w którym przyjaciel błagał go o przyjęcie zaproszenia niemal na kolanach.

„Zostać zaproszonym na konferencje Arnstadta to wielka sprawa, zapewniam Cię! Musisz tam pojechać! To rozkaz! Zrób to ze względu na mnie! Musisz wiedzieć, że nigdy nie czułem się w porządku jako zdobywca nagrody, którą Ty rzuciłeś mi pod nogi. Nie powinieneś był tego robić. Oczywiście, okazało się, że masz na koncie więcej zasług niż ten cały egzamin u starego Appletona, i zebrałeś diabelnie zasłużone honory. Nie miałem złudzeń, stary, co do mojego pierwszego miejsca. Odstąpiłeś mi je, bo uważałeś, że potrzebuję tego bardziej niż Ty. Ale nigdy nie czułem się z tym do końca w porządku. A teraz, kiedy Arnstadt pragnie zrobić Ci ten zaszczyt, nie odmawiaj. Dzięki temu poczuję się dużo lepiej!"

Ale nawet te nalegania nie skłoniłyby ostatecznie Bobby'ego Merricka do spędzenia lata w Europie. Tak naprawdę powód - musiał przyznać - leżał w tym, że Helen Hudson prowadziła niewielką grupkę turystów przez Włochy i Francję. Miał nadzieję, że się zobaczą. Myśl o niej przeszkadzała mu w pracy, spędzała sen z powiek, stawał się niespokojny, roztargniony, zrozpaczony. Wszystko jedno, co o nim pomyśli, musi ją jeszcze raz zobaczyć, choćby tylko po to, by zetrzeć ten nieznośny obraz, jaki dźwiga w pamięci - obraz Helen zranionej i urażonej przez jego niezamierzoną impertynencję. Trzeba podjąć próbę pogodzenia się. Przełknął wypędzenie z Raju Głupców i nie karmił się już wizją odbudowania wzajemnej przyjaźni, ale warto pojechać, żeby ją zobaczyć - niech będzie mu nawet niechętna, oburzona, obojętna czy pełna pogardy. Musi wymazać z pamięci widok upokorzonej, cierpiącej Helen.

Na bieżąco śledził jej kroki dzięki Joyce, która nie proszona podzieliła się

z nim wiadomością, że Helen wyjechała z Detroit nazajutrz po niesławnym wieczorze w teatrze. Najwyraźniej Joyce nie była dobrze poinformowana i wyraźnie nie chciała wiedzieć, co tamtego zimowego popołudnia tak nagle wyгнаło jej młodą macochę z miasta do Brightwood. Uważała jednak, że istnieje niepodważalny związek między ich wspólną wizytą w teatrze a nagłym niewyjaśnionym wyjazdem w pilnych sprawach następnego ranka.

Niemalże fundując mu tortury łamania kołem, Joyce desperacko i nachalnie, w różny podstępny sposób, wypytywała Bobby'ego, co wie o tej sprawie, ale niewiele złowiła na przynętę nowin, którą mu rzuciła.

Dlaczego właściwie Helen Hudson tak bardzo zależało na pracy, że zatrudniła się jako przewodnik w biurze podróży Beamonda i Graysona, Joyce nie miała pojęcia. To do niej niepodobne. Helen nie lubiła rutyny. Nie była przyzwyczajona do wykonywania czyichś poleceń i stawiania się na określoną godzinę. Miała w sobie mniej więcej tyle zmysłu praktycznego co kot perski na satynowej poduszce.

Bobby, zdumiony własną cierpliwością, wysłuchiwał mnóstwa takich niekończących się przemów; jedynie w momentach szczerości wobec samego siebie uświadamiał sobie, że gdyby Joyce nie paplała bez przerwy na ten temat, i tak by ją do tego nakłaniał.

Szczególnie wdzięczny był za jej gadatliwość w dniu, kiedy napomknęła, że Helen wyjeżdża z biura nowojorskiego do Cherbourga jako przewodnik małej grupy.

- Czy Joyce cię nie irytuje, Bobby? - zapytała go Nancy Ashford z typową dla siebie, wprawiającą w zakłopotanie obcesowością.

- Och, nie, ani trochę! - odpowiedział i poczuł się trochę nieswojo.

- Tak myślałam. Właśnie zaproponowano jej interesującą posadę wizytatorki domowej w Lidze Ochrony Młodzieży. Będę ją namawiać do przyjęcia tej pracy.

Przyparta odpowiednio do muru, Joyce przystała na tę propozycję. W ostatnim dniu w Bright-wood, pojawiła się przed nim, kiedy o piątej wychodził ze szpitala.

- Już cię więcej nie będę widywać - powiedziała. - Wyjeżdżam.

- Tak, prawda - odparł, jakby dopiero teraz to do niego dotarło. - Będiesz zajęta, a wiesz, jak bardzo mnie obliguje praca tutaj. Mam nadzieję, że spodoba ci się nowe zajęcie. Koniecznie napisz, jak ci idzie.

- Nie mógłbyś czasem mnie odwiedzić? Będę się czuła strasznie samotna.

- Ta rozmowa wiele ją kosztowała. Mówiła z trudem.

- O, ja teraz nigdzie nie jeżdżę. Siedzę zamknięty tutaj jak w klatce. Ta robota jest okropnie absorbująca. Ale któregoś dnia może znajdę trochę czasu i...

Zaśmiała się nerwowo, wymuszenie.

- Nie mów już nic więcej, Bobby. Widzę, że nie masz ochoty... Żegnaj. Pewnie bardzo długo nie będziemy się widzieć.

Chwytał jej chłodną dłoń i jeszcze raz życzył wszystkiego dobrego. Cała sytuacja pozostawiła w nim nieprzyjemne wrażenie. Czuł się zdecydowanie niezręcznie. Może, jeśli Tommy się postara, Joyce da mu jeszcze jedną szansę. Warto to zbadać.

Przybywszy do Nowego Jorku w piątek rano dwudziestego drugiego maja

- następnego dnia o czwartej odpływał na statku „Majestic” - Bobby odszukał starego przyjaciela. Jego widok go przeraził. Tommy wyłysiał, był zaniedbany, apatyczny, źle ogolony. Nic dziwnego, że Joyce

zapraęnęła zająć się czymś innym niż niańczenie męża.

Podczas obiadu obaj bez większego powodzenia czynili heroiczne wysiłki, by przywrócić dawno utraconą atmosferę lat studenckich. Upłynęło zbyt wiele wody... a Tommy wlewał w siebie za dużo zupełnie innych płynów.

- Czasem - Masterson ukradkiem wsunął głębiej w rękaw płaszcza poplamiony mankiet koszuli i próbował utrzymać w bezruchu „przeciekającą” łyżkę - czasem myślę, żeby z tym skończyć. Dawno bym to zrobił, gdybym nie był takim cholernym tchórzem.

Skoro ten temat już wypłynął, Bobby go podchwycił. Masterson był typem artysty, potrzebował otuchy i pochwał. Nie należało obchodzić się z nim zbyt obcesowo. Tommy zawsze był głodny zachwytów i komplementów.

Joyce na pewno dałaby radę utrzymać swego mężczyznę w odpowiednich ryzach, gdyby nie skąpiła mu minimalnych porcji ambrozji. Najwyższa pora, żeby jej trochę zakosztował. Bobby nakarmił go całą bombonierą pochwał i o północy zostawił upojonego nimi radośnie niczym whisky.

Ruszy się wreszcie i, na niebiosa, pokaże wszystkim, na co go stać!!!

Chwilowo był w depresji, ale jak powiedział Bobby, to naturalne w przypadku człowieka tak wrażliwego i obdarzonego tak żywą wyobraźnią.

Pije za dużo, ale przecież może przestać. I przestanie! Daje za to głowę!

Miarka się przebrała. Dość... I tak dalej.

Przed pójściem spać Bobby zadeszował do Nancy:

JOYCE PILNIE POTRZEBNA W NOWYM JORKU STOP TOMMY
ZERWAŁ Z WÓDZIĄ JĘCZMIENNĄ STOP PEŁEN NOWEGO
ZAPAŁU STOP POTRZEBUJE TOWARZYSTWA I ZACHĘTY STOP
NIECH PANI JEJ POWIE ŻEBY POMOGLA MU STANAĆ NA NOGI
STOP PROSZĘ PRZEDSTAWIĆ TO JAKO WAŻNĄ POSŁUGĘ

SPOŁECZNĄ STOP TO TEŻ PRACĄ NA RZECZ MŁODYCH STOP
TEGO NIECH PANI NIE MÓWI STOP UŚCISKI PAN NAPRAWIACZ
PS SZANSA NA WIĘKSZE POWODZENIE NIŻ ZAZWYCZAJ PRZY
ZAŁATWIANIU CUDZYCH SPRAW R.M.

W sobotę po południu obudzono go z fotelowej drzemki na pokładzie
parowca, żeby odebrał telegraf. Uśmiechnął się z zadowoleniem.

JOYCE W POŁUDNIE WYJECHAŁA DO NOWEGO JORKU.

- Patricia prześlicznie maluje - ciągnęła Maxine, podając Bobby'emu
filizankę.

- Naprawdę?

- Batiki.

Wzrok Bobby'ego prześliznął się obojętnie po nagłówkach pierwszej
strony dziennika „Le Matm” leżącego pod jego łokciem.

- Jakież ciekawe wieści?

- Nie... Czekał, chwileczkę... „Siedmiu Amerykanów rannych w wypadku
kolejowym niedaleko.” Boże!

Wybiegł z pokoju, Maxine ruszyła za nim i zobaczyła, że dzwoni po
taksówkę. Przez następnych pięć minut, gdy w nieopisanym pośpiechu i
zdenerwowaniu wrzucał najpotrzebniejsze rzeczy do torby, biegała wokół,
szarpała go za łokieć, próbując wyciągnąć z niego choćby strzępy zdań.

- Straszny wypadek... przyjaciółka... muszę jechać... Bardzo
przepraszam... Nie! Nie! Muszę natychmiast...

- Ależ Bobby! Moje przyjęcie! Nie zrobisz mi czegoś takiego! Bądź
rozsądny! Możesz pojechać wieczorem! To takie okrutne z twojej strony,
zbyt okrutne!

Nie słuchał jej. Jakiś obiad. Śmieszne. Ucałował mokrą od łez twarz

Maxine i wybiegł. Nie czekając na winde, ruszył w dół po schodach. Ogłuszający warkot śmigieł samolotu drażnił go, szarpał kawałek po kawałku zakończenia nerwowe. Prawie nie słyszał huku silników. Nie widział nic po drodze na lotnisko Le Bourget i obojętnie patrzył na malejące krajobrazy, kiedy Pierre Laudee poderwał samolot w górę, zakoleysał nim i poprowadził stromo w chmury, wykonując, jak potem się chwalił, swój rekordowy lot z Paryża do Rzymu.

Bobby nadal ścisnął w dłoni gazetę - niepotrzebnie, bo i tak potrafił wyrecytować z pamięci każde słowo... „Nocny ekspres Neapol-Rzym... katastrofa niedaleko Ciampino... otwarta zwrotnica... siedmiu Amerykanów... wśród poszkodowanych przewodniczka grupy turystów, pani Helen Hudson, ...w stanie krytycznym... odwieziona do angielskiego szpitala przy Via Nomentana w Rzymie.”

Pamiętał to miejsce, niewielki szpitalik. Dyrektor, doktor Ardmore, specjalista od chorób gardła, to dobry człowiek. Słyszał o nim.

Czas się dłużył. Chwilami uciekał od napięcia, opadał na oparcie fotela, ciało mu wiotczało, zasypiał kołysany drganiami samolotu. Potem na nowo ogarniał go niepokój, budził się z zaciśniętym gardłem, czując mdłości.

Nieskończona męczarnia. I prawie tak samo długo trzeba się wlec z lotniska do szpitala, w ślimaczym tempie trzydziestu mil na godzinę. Taksówka skręciła w bramę i zwolniła, dalej wiodła kręta droga podjazdowa między zaroślami. Zatrzymał się przed głównym wejściem. Nie pamiętał, że to takie ponure, grobowe, złowrogie miejsce, jak je dziś widział. Zastanawiał się, czy tak samo smutno jawi się Brightwood ludziom, którzy zjawiają się tu chorzy z niepokojem, by zapytać, czy

ukochana osoba jeszcze oddycha.

Rozdział dwudziesty

Tak, doktor Ardmore jest, przyznała recepcjonistka, ale wątpliwe, żeby mógł się z nim zobaczyć. Jest dziś bardzo zajęty. Pani Hudson? Jeszcze żyje. Może Bobby zechce usiąść? Kobieta okazała mu współczucie. Bobby nabazgrał krótką wiadomość.

- Proszę przekazać te wizytówkę doktorowi Ard-more'owi - rozkazał. - I dopilnować, żeby na pewno ją otrzymał!

Po kilku minutach na korytarzu pojawił się potężnie zbudowany, około czterdziestopięcioletni, siwiejący mężczyzna, podszedł do niego szybkim krokiem i wyciągnął rękę.

- Jestem Ardmore. Właśnie dziś o panu rozmawialiśmy, doktorze Merrick. To naprawdę wielki zaszczyt... Chodzi o pana rodaczkę, panią Hudson... Obawiam się, przyjacielu, że nie uda nam się jej uratować. Jeszcze nic nie mogliśmy zrobić. Za wcześnie, rozumie pan. Wstrząśnienie mózgu.

Donelli musi trochę poczekać. Może dziś wieczór... ale trudno za wiele się spodziewać. Od czasu do czasu odzyskuje częściową przytomność.

Musieliśmy podać jej środki uspokajające. Ma świadomość, że zupełnie straciła wzrok.

- To znaczy, że został uszkodzony płat potyliczny!

- Właśnie! Uderzenie prosto w tył głowy! Bardzo głęboka rana. No i pęknięte żebra. Też nie najlepiej to wygląda. Dodatkowo ją osłabia.

Donelli uznał, że nie można ryzykować operacji głowy, ale jeszcze zbiera na ten temat wiadomości. Nieczęsto spotyka się z takimi przypadkami.

Chciałbym, ale... Boże, człowieku! Przecież pan tu jest! Pan to zrobi!

Donelli będzie panu bardzo wdzięczny.

Bobby'emu serce mocno waliło.

- Naprawdę pan uważa, że mi wolno?

- Wolno? Donelli powie, że spadł nam pan z nieba! Znakomity chirurg, ale to nie jego specjalizacja. Zdobędzie pan jego dozgonną wdzięczność! Chodźmy do pacjentki. Ręczę za pełne poparcie Donellego. Proszę za mną.

- Chwileczkę, doktorze Ardmore - powiedział Bobby, uwalniając się od popychającej go lekko dłoni. - Zanim zbadam panią Hudson, muszę panu coś powiedzieć. Czy możemy porozmawiać na osobności?

Ardmore zaprowadził go do małego salonu.

- Chyba powinien pan wiedzieć - powiedział Bobby - że życie tej młodej kobiety obchodzi mnie nie tylko jako lekarza, jej rodaka czy nawet znajomego. Nie, zależy mi na niej znacznie bardziej. Chciałem się z nią ożenić.

- A niech mnie! Co za historia!

- To jeszcze nie wszystko. Zaszło między nami bardzo poważne nieporozumienie. To znaczy, ona źle mnie zrozumiała. Dlatego gdyby chwilowo odzyskała przytomność, będzie lepiej, żeby nie wiedziała, że to ja będę ją operować.

- Ale - zaprotestował Ardmore - czy ta świadomość nie dodałaby jej sił?

- Nie w tym sensie, o jaki nam chodzi.

- No... pan wie lepiej. Powiem o tym pielęgniarce i postaramy się zachować pańską tożsamość w sekrecie.

Dopiero widok jej bezwolnie rozwartych ust wywołał palące łzy w oczach Bobby'ego. Przez chwilę myślał, że nie da rady.

Ardmore zaniepokoił się, obserwując, jak bardzo Merrick to przeżywa.

Operującemu chirurgowi nie wolno reagować emocjonalnie, zwłaszcza w takiej sytuacji. Chwycił swego gościa za ramię, zwierając w żelaznym uścisku wszystkie pięć palców, i mruknął:

- Spokojnie! Jest pan jej lekarzem, nie kochankiem!

Polecił pielęgniarce, żeby razem z nim wyszła na korytarz, i zostawił Bobby'ego sam na sam z pacjentką. Helen poruszyła się nieznacznie, wydała z siebie krótkie przerywane westchnienie, skrzywiła się z bólu, jej wargi na chwilę się zwały, lecz ciało po chwili na nowo znieruchomiło całkowicie bezwolnie.

Bobby chwycił w obie dłonie leżącą na kołdrze rękę. Jej palce odpowiedziały leciutkim uściskiem. Biedne maleństwo! Przynajmniej była choć trochę świadoma, że ktoś życzliwy, wszystko jedno kto, trzyma ją za rękę. Tylko to, a może aż tyle!

W drzwiach pojawił się Ardmore z pielęgniarką, której oczy dziwnie błyszczały. Poznała już ważny sekret.

- Czy zechce pan przystąpić do badania, doktorze? - spytał Ardmore.

Bobby skinął głową. Pielęgniarka zaprowadziła go do umywalni, podała fartuch i rękawiczki

Pacjentkę ułożono w odpowiedniej pozycji i zdjęto prowizoryczne opatrunki. Bobby patrzył

wstrząśnięty. Rana była, jak powiedział Ardmore, bardzo głęboka. Kiedy jej dotknął, wstrzymał gwałtownie oddech. Znów silne palce Anglika zwały się na ramieniu młodszego kolegi:

- Proszę nie zapominać! Ona jest pana pacjentką.

- Czekałem nic nie wskóramy - powiedział Bobby. - Proszę posłać po doktora Donellego. Kiedy tylko przyjdzie, zabieramy się do pracy.

O szóstej położono Helen na stole operacyjnym, o wpół do ósmej przeniesiono ją z powrotem na łóżko.

Na półtorej godziny Bobby Merrick najwyższą siłą woli zmusił się, by być tylko neurochirurgiem i traktować Helen Hudson tylko jako pacjentkę, ciężki przypadek urazu potylicy.

Kiedy wwieziono ją na salę, przez chwilę wydawało mu się, że przyjęcie profesjonalnej postawy jest ponad jego siły. Zawahał się przed wykonaniem inicjującego cięcia, tak jak pewnie wahałby się przez wbiciem skalpela w swe własne serce. Po pierwszym zręcznym ruchu jego palce zaczęły już jednak poruszać się niemal mechanicznie.

Asystował mu czujny Donelli: łagodnie usuwał krew, podziwiając bezbłędną precyzję, z jaką Bobby spinał naczynia krwionośne, niemal zanim jeszcze dały o sobie znać krwawieniem, z pełnym zazdrości zachwytem przypatrywał się zręcznym i pewnym ruchom szczupłych, silnych, doświadczonych palców.

Doktor Merrick z niepokojem spoglądał w oczy anestezjologa - wprowadzenie eteru w obite płuca nie było obojętne dla stanu pacjentki, ale uspokojony tym, co wyczytał we wzroku lekarza, w skupieniu wrócił do pracy.

Operacji towarzyszyło ogromne napięcie i niewielka grupka w sali operacyjnej stała w milczeniu. Wszyscy wiedzieli, że oto przed ich oczami rozgrywa się dramat, może nawet tragedia. Każdy oddech pacjentki mógł być ostatni. Wszystko zależy od chirurga - od jego szybkości i dokładności w usuwaniu skrzepów. Zbyt głębokie nacięcie oznacza śmierć, zbyt płytkie - ślepotę na całe życie.

Kiedy operacja dobiegła końca, Donelli błagalnym spojrzeniem,

wysuwając dłoń, zapytał, czy może założyć szwy, ale Merrick potrząsnął głową.

Pochód znalazł się przy drzwiach. Bobby na miękkich nogach wszedł do przebieralni, usiadł na emaliowanym stołku i z opuszczonymi ramionami wpatrywał się we własne dłonie. Jej krew! Donelli i pielęgniarka pomogli mu zdjąć rękawice i fartuch. Impulsywny Włoch, chcąc okazać współczucie, nalegał, by własnoręcznie obetrzeć mu twarz chłodnym ręcznikiem. To był najbardziej poruszający przypadek w jego życiu.

Namawiano Merricka do jedzenia, ale cały jego obiad składał się z mocnej brandy, którą wlał w siebie zachłannie jak pijak. Nie było sensu się spierać. Chciał natychmiast usiąść przy łóżku pacjentki i czekać na efekty operacji.

- Ale nic pan nie zrobi - spierał się Ardmore. - Miną godziny, zanim będzie można powiedzieć coś więcej, niż wiemy teraz, chyba że... Oczywiście...

- Otóż to! - mruknął Merrick. - To najbardziej mnie martwi. I groźba nagłego zapalenia płuc.

Donelli i Ardmore poszli na kolację. Kiedy się rozstawali przy bramie szpitala, Włoch powiedział:

- Nie ma co się łudzić. Nasz młody przyjaciel będzie zrozpaczony! Tak czy inaczej, mistrzowska robota!

W pokoju panował półmrok, ale gdy tylko Merrick przywykł do ciemności, wpatrywał się w jej śliczną twarzyczkę. Nie zabandażował jej oczu. Długie, niewiarygodnie długie rzęsy rzuciły głębokie cienie na zaczerwienione policzki. Oddychała regularnie, spokojnie, czasem zbyt spokojnie - co jakiś czas zrywał się z krzesła i pochylał nad łóżkiem, napięty do ostateczności.

Większość czasu siedział z łokciami na kolanach i z brodą w dłoniach, a gdy wydawała z siebie dłuższy oddech, natychmiast był tuż przy niej ze stetoskopem w pogotowiu.

Koło północy przeszedł się po korytarzu, a wracając, wyszeptał do ucha Julie Craig:

- Tu jest jej ubranie?

- Tak, doktorze. Pomóc w czymś?

Potrząsnął głową, podszedł do szafy i po chwili wyjął z niej brudną i podartą niebieską sukienkę, poszukał czegoś w kieszeni i znalazłszy to, czego szukał, włożył z powrotem ubranie do szafki.

Julie Craig przyglądała mu się z zainteresowaniem, kiedy obracał drobiazg w palcach. To na pewno podarek od niego. Na pewno wiąże się z tym jakaś tajemnica. Ciekawe, jaka. Po chwili wstał i pochylając się ku niej, szepnął:

- Może by pani trochę się przewietrzyła? Zawołam, jak będzie pani potrzebna.

Świtało. Na stoliku tykał dziarsko mały zegarek. Za oknem ćwierkały zaspane ptaki. Dzwony wzywały na jutrznię.

Z łóżka dobiegło ciężkie westchnienie. Julie Craig pochyliła się z troską. Głosem, brzmiącym jak przyciszona wiolonczela, pacjentka Bobby'ego Merricka wyszeptała wśród urywanego szlochu:

- Bogu niech będą dzięki! Ja widzę!

Rozdział dwudziesty pierwszy*

Julie Craig była romantyczką i dramat, w jakim przyszło jej wziąć udział, całkiem przypadł jej do gustu. Pod względem ilości wypowiedzianych kwestii jej rola nie była zbyt duża, ale za to pozostawała na scenie niemal

cały czas, kiedy akcja się zagęszczała.

Być głównym powiernikiem tak cennego sekretu to bardzo podniecające. Postanowiła strzec tajemnicy przed wszelkimi niebezpieczeństwami aż do wspaniałego finału, kiedy wszystko zostanie ujawnione.

Co do doktora Ardmora'a, tego ranka na wieść o całkowitym powodzeniu operacji Merricka miał tak znakomity humor, że nie interesowało go, w jakich okolicznościach piękna pacjentka pozna tożsamość swego wybawiciela. Ardmora był Brytyjczykiem. Uważał, że jakiegokolwiek nieporozumienie podzieliło tych dwoje interesujących Amerykanów, teraz zgoda jest na dobrej drodze. Jeśli w obliczu tak dramatycznej walki o życie nie potrafią zawrzeć rozejmu, niech lepiej każde pójdzie w swoją stronę i nie oczekuje od nikogo współczucia.

Donelli z kolei, z racji narodowości i temperamentu uwielbiający wielkie operowe zawłóści,

wolał raczej, żeby Merrick zdradził swą tożsamość dopiero wtedy, gdy pacjentka będzie na tyle świadoma, by mogły ogarnąć ją prawdziwe wielkie emocje, i szczerze życzył sobie zostać świadkiem tej sceny.

Julie była za odsunięciem wielkiego momentu na tak długo, jak się da.

Chciała zastanowić się nad sytuacją, wszechstronnie rozważyć ją w myślach, bawić i rozkoszować się nią w fantazji, smakować. W głowie się jej nie mieściło coś tak rozczarowującego jak proste, pozbawione napięcia rozwiązanie, teraz, kiedy wszystko zdawało się zwiastować wielki dramatyczny finał. Aż się wzdrygała na myśl, że doktor mógłby wejść do pokoju w momencie, kiedy jego ukochana właśnie zмага się z torsjami, co na pewno powtórzy się tego dnia jeszcze paręnaście razy. Julie uznała, że należy zapobiec zwykłemu banalnemu przypadkowi i podjęła się owej

misji z oddaniem godnym głównej bohaterki dramatu.

Powiedziała więc w biurze, że chciałaby skontaktować się z doktorem Merrickiem, kiedy tylko wróci ze śniadania i obudzi się z krótkiej drzemki, którą sobie zaplanował. Na wieść, że młody chirurg jest już w budynku, Julie wyszła mu na spotkanie. Przywitał ją ciepło, pochwalił jej oddanie, zasugerował, że dobrze by jej zrobiło parę godzin snu.

Natychmiast załatwi dla niej zastępstwo.

Potrząsnęła głową:

- Nie chce mi się spać. Poczekam do popołudnia. Doktor Ardmore szepnął mi, że pacjentka nie może wiedzieć, kto ją leczy. Założyłam jej więc znowu bandaż na oczy. Powiedziałam, że przez kilka godzin powinna unikać silnego światła. Mam nadzieję, że nie zrobiłam nic złego, proszę pana.

- Jest pani bardzo pomysłowa - powiedział Bobby, starając się zachować powagę. - Czy powinienem jeszcze coś wiedzieć, zanim tam wejdę? Zarumieniła się z dumy.

- Tak, proszę pana. Jeśli pan się nie pogniewa... Powiedziałam jej, że ponieważ nie zna dobrze włoskiego, będę tłumaczyć wszystkie rozmowy z panem. Poprosiłam, żeby dziś podczas obchodu był też doktor Donelli. Dobrze zrobiłam?

- Panno Craig - powiedział Bobby uroczyście.

- Marnuje się tu pani. Powinna pani zasilać korpus dyplomatyczny.

- Mam nadzieję, że się pan ze mnie nie natrzęsa. Doktor Ardmore powiedział, że pani Hudson ma nic nie wiedzieć, a żaden inny pomysł utrzymania tego w sekrecie nie przyszedł mi do głowy.

- Świetnie się pani spisała - skwitował Bobby.

- Teraz się umyję i przebiorę.

Od siódmej Helen wynurzała się powoli z eterowego otumanienia; świadomość wracała jej coraz częściej - uśmiechnęła się nawet z wdzięcznością za pieczyoty Julie.

- Tak się cieszę - powiedziała cicho, kiedy Julie zapewniła ją, że będzie zdrowa jak ryba. -I widzę!

Podniosła bladą dłoń i dotknęła brzegu bandaża na oczach. Julie natychmiast nasunęła go z powrotem.

- Może jutro - obiecała. - Doktor prosił, żeby pani jeszcze chroniła oczy.

- Skoro tak, trudno - odparła posłusznie z westchnieniem. - Wie przecież lepiej.

Julie była zdenerwowana, kiedy wszedł doktor Merrick w pożyczonym fartuchu, w asyście nieprzewidywalnego Donellego, który przywitał pielęgniarkę kanonadą pochwał za pomoc po operacji. Szeptnęła, żeby uważał i nie wydał przypadkowo ich wspólnego sekretu. Donelli skwapliwie pokiwał głową i zaśmiał się.

Doktor Merrick niezwłocznie podszedł do stolika przy łóżku, obejrzał wykres temperatury i zaczął sprawdzać ostatnie pomiary pulsu.

- Proszę powiedzieć doktorowi - odezwała się powoli Helen - że bandaż na piersiach bardzo mnie uciska. Czy nie można by go trochę poluzować?

Julie płynnie przełożyła prośbę na włoskie zdanie składające się z jednego słowa i jakichś dwustu sylab, głównie samogłosek.

Bandaż chirurgiczny zakładał Donelli, Merrick uznał więc za naturalne zapytać kolegę, czy nie wolałby sam go zmienić. Odsuwając się odrobinę, gestem dał Donellemu do zrozumienia, że decyzja należy do niego. Ale Włoch zaprotestował gwałtownie, machając dłonią - z radością zobaczy,

jak gość to robi.

Nie był to najlepszy moment do dyskusji i Bob-by odsunął brzeg kołdry, obejrzał szeroki bandaż, rozpiął go, rozwinął, obnażając białą jedwabistą skórę, delikatnie zbadał odbarwiony obszar złamania i fachowo założył na nowo bandaż.

- O, teraz dużo lepiej - westchnęła wdzięczna pacjentka.

Julie wyrzuciła z siebie kaskadę śpiewnego włoskiego, a doktor chrząknął na znak, że zrozumiał.

- Ma bardzo delikatne dłonie - wymamrotała sennie Helen.

- Czy mam mu to powiedzieć, proszę pani? - spytała Julie, wpatrując się uważnie w twarz doktora Merricka.

- Nie... Proszę powiedzieć, że jestem wdzięczna za przywrócenie mi wzroku.

Pod wpływem impulsu Bobby'emu przyszedł do głowy ryzykowny pomysł. Przypominając sobie z dzieciństwa kilka wyrażen, wyjąkał niezdarnie po włosku, że cała przyjemność po jego stronie, a potem, wzburzony własną nieostrożnością, podszedł do okna wypisać receptę.

Julie utkwiała wzrok w zarumienionej twarzy pacjentki. Już miała przetłumaczyć słowa doktora, lecz zauważyła, że pełne usta Helen lekko się rozchyliły, rządkiem równych białych zębów przygryzła dolną wargę, dołki w policzkach zarysowały się mocniej, i oblała się rumieńcem.

Niespokojnymi dłońmi Julie rozpięła sobie fartuch pod szyją, wrażliwe serduszko waliło jej mocno... „Wie!” - pomyślała Julie. Pochylając się nad Helen, odezwała się łagodnie:

- Zrozumiała pani, co powiedział doktor?

Nie usłyszała odpowiedzi. Pacjentka znów zasnęła. Na jej ustach błąkał się

jeszcze uśmiech, policzki ożywił rumieniec.

Kiedy wszyscy wyszli, doktor Merrick skinął na Julie i powiedział półgłosem:

- Można już zdjąć bandaż z oczu, skoro pani Hudson śpi. Będzie jej wygodniej.

Dwie godziny później znów się obudziła. Przyglądając się przytomnie Julie, zaczęła czegoś szukać przy szyi i wyjęła spod koszuli mały srebrny krzyżyk. Zamknęła go mocno w obu dłoniach, przycisnęła do serca i zapytała:

- Skąd pani wiedziała, że chcę go mieć przy sobie?

- Nie wiedziałam, pewnie miała go pani od początku. Zapadła długa cisza.

- Kiedy mi go założono? Właśnie zauważyłam go na szyi.

- Ja tego nie zrobiłam, proszę pani.

Kolejna długa chwila ciszy.

Widząc, jak pacjentka pociera niezgrabnie oczy brzegiem powłoczki, Julie podała jej szybko chusteczkę, potem odwróciła się i roztropnie podeszła do okna.

- Widziała siostra, jak on mi go zakłada? Julie odpowiedziała niepewnie, nie odwracając się.

- Nie, proszę pani. Poprosił, żebym wyszła.

- Biedactwo!

O dziewiątej Bobby odebrał Marion Dawson ze stacji.

Postanowiła jechać, gdy tylko przeczytała o wypadku i szczęśliwie udało jej się kupić bilet na najlepszy pociąg tego dnia. Merrick odpowiedział uspokajająco na pełen rozpaczliwych pytań telegram do szpitala, który wysłała po drodze. Wiadomość otrzymała o dziesiątej. Nie zdziwiła się

zbyt, że pod depezą widniało jego nazwisko, wiedziała, że skoro przebywał w Paryżu, wiadomość o wypadku prędko do niego dotrze.

- Och, Bobby, jak to dobrze! - zawołała ze łzami w oczach, kiedy zapewnił, że wszystko zmierza do szybkiego wyzdrowienia. - Czy mogę się z nią zobaczyć?

- Dziś wieczorem lepiej nie. Rano będzie przytomniejsza.

- I na pewno oboje, moje aniołki, zrozumieliście już, że jesteście sobie niezbędni?

- No... jeszcze nie - odparł z wahaniem. - Rozumiesz, spotykamy się w niefortunnych okolicznościach. Sam przeprowadziłem operację. Nie chcę wykorzystywać wdzięczności, jaką pewnie za to żywi. Właściwie ona nawet nie wie, że tu jestem.

Marion poczerwieniała z oburzenia. Taksówkarz stał przy otwartych drzwiach samochodu, czekając, aż wsiądą, ale Marion zignorowała jego zapraszający gest i wybuchnęła:

- Bobby Merricku! Uważam, że to po prostu haniebne! Zawsze trzymałeś to biedactwo w niewiedzy i przez ciebie czuła się jak osoba, która błądzi po omacku. A teraz znów zaczynasz z tymi swoimi tajemniczymi sprawami! Zobaczymy, czy tym razem też uda ci się ją oszukać! Mam zamiar wszystko jej powiedzieć, kiedy tylko zobaczę się z nią rano. Nie biorę już udziału w twoich zgadywankach.

Czuł, że mówi poważnie. Podczas krótkiej jazdy do hotelu „Kwirynał”, w którym zarezerwował jej pokój, opowiedział mniej więcej przebieg operacji, próbując sprawić, by Marion zapomniała o swym zirytowaniu, i skierować uwagę przyjaciółki na jego uczucie do Helen.

- Rano wyjeżdżam do Wiednia - powiedział, kiedy upewnił się, że zostanie

należycie obsłużona w hotelowej recepcji. - Doktor Donelli potrafi zmieniać opatrunki równie dobrze jak ja. Niebezpieczeństwo minęło, nie ma powodu, żebym tu dłużej zostawał, szczególnie jeśli chcesz powiedzieć jej prawdę.

- To jedyne uczciwe rozwiązanie - odparła Marion twardo. - Ona ma prawo wiedzieć. Uściskaj ode mnie Jacka i powiedz mu, że wrócę, kiedy Helen nie będzie mnie już potrzebować. Zastanawiam się, czy mi wybaczy!

- Mam nadzieję, moja droga, ale nie liczyłbym na to za bardzo. Do widzenia!

Wieczorem odbył konsultację z Donellim i upewnił się, że zostawia pacjentkę pod profesjonalną opieką. Wszedł do pokoju Helen, zastał ją pogrążoną we śnie, przez chwilę trzymał jej dłoń, a potem wyszedł, obdarzając pielęgniarkę zastępującą Julie zaledwie skinieniem głowy. W recepcji zostawił dla panny Craig krótki liścik z podziękowaniem za „niewysłowioną wierność i pomysłowość” i w dowód wdzięczności załączył niemałą sumkę (której część spożytkowała potem na trzymiesięczny urlop w Szwajcarii).

Marion i Helen pogodziły się szybko i cicho. Ucałowały się i popłakały. Julie zostawiła przyjaciółki same.

- Helen, kochanie - wyszeptała Marion, kiedy tylko zamknęły się za nią drzwi - czy domyślasz się, kto cię operował?

- O taaak - przeciągnęła Helen z uśmiechem.

- To dobrze! A on myślał, że to taka tajemnica! Kiedy się zorientowałaś? Zaśmiała się, krzywiąc się przy tym leciutko z bólu.

- Powiedział coś do mnie wczoraj po włosku.

- I rozpoznałaś go po głosie?

- Natychmiast.

- Jestem pewna, że on nic nie wie.

- Dowie się jeszcze dziś.

Zanim Marion zdążyła odpowiedzieć, w pokoju zaczął krzątać się doktor Donelli w towarzystwie Julie i z uśmiechem podszedł do łóżka.

Helen zerknęła na pielęgniarkę pytająco.

- Doktor Merrick nie przyjdzie, panno Craig? Julie potrząsnęła głową.

- O siódmej wyjechał do Wiednia, kochana - powiedziała Marion. -

Uprzedziłam go, że wyznam ci wszystko, a on od razu uciekł!

- Cały on! - odparła Helen z uśmiechem.

Rozdział dwudziesty drugi

Nieprzeciętne umiejętności doktora Merricka w dziedzinie badań naukowych nie ujawniły się w pełni podczas współpracy z doktorem Arnstadtem. Wiedeńczyk cieszył się z możliwości kontaktu z młodym amerykańskim kolegą, jednak Bob-by był zbyt niespokojny i zdekoncentrowany, by w pełni wykorzystać ową sposobność.

Jack Dawson prędko rozszyfrował przyczynę nie najlepszego nastroju przyjaciela. Pewnego sierpniowego wieczoru, kiedy kończyli kolację u Hengelsa, poradził mu:

- Bobby, nie chciałbym się mieszać w nie swoje sprawy, ale myślę, że powinieneś wrócić do Miasta Imperatorów i załatwić, co masz do załatwienia. Kompan z ciebie marny i zdaje się, że coś ci leży na sercu.

Bobby z powagą skinął głową.

- Racja! Pojadę. Jutro.

Marion została w Rzymie. Jej codzienne listy do Jacka wypełniały prawie

zupełnie relacje z rekonwalescencji Helen.

To był wspaniały dzień w Wiedniu, i było co świętować, kiedy nadeszła wiadomość, że pacjentka siedziała bez podtrzymywania przez pół godziny.

A to znów wywieźli ją na taras. Przeszła się kilka kroków. Teraz obie są w „Kwirynale” i Helen spędza każde popołudnie w ogrodzie hotelowym.

Wieczorami wybierają się na przejażdżki. Prawie nie widać już blizn.

Helen jest taka szczęśliwa.

Rankiem szóstego sierpnia Jack i doktor Arn-stadt odprowadzili

Bobby'ego na stację. Kiedy pociąg powoli ruszył z peronu, Jack

natychmiast wyszukał telegraf i zadeszował do Marion. Nie powiedział

jej, że podróż Bobby'ego to tajemnica. Nic by to nie dało. Marion miała już dość zagadek.

- Jak myślisz, kto do nas jedzie? - zawołała, wpadając do pokoju Helen i machając telegramem.

- Kiedy tu będzie?

- Jutro po południu, koło szóstej! Czyż nie wspaniale?

- Ja uciekam. Nie dam rady. Nie czuję się na siłach.

- O, co za pomysły! Teraz, kiedy wiesz, że tu jedzie, nie wolno ci tego zrobić. Będzie potwornie zawiedziony!

- Ale przecież o niczym nie wiem, to znaczy... oficjalnie. Gdyby chciał, żebym wiedziała, toby mnie powiadomił.

Postanowiła. Nikomu nie udało się jej przekonać. Tego wieczoru Marion i Helen złożyły pożegnalną wizytę w szpitalu. Julie Craig spytała nieśmiało, czy doktor Merrick nadal bawi w Europie, i ze zgrozą przyjęła wiadomość, że nazajutrz będzie w Rzymie.

- Ale już pani nie zastanie! - wykrzyknęła Julie, patrząc z wyrzutem na

pacjentkę. Wyraźnie

ktoś bardzo nieudolnie pokierował tu obrotem spraw.

Jedyne, co w recepcji „Kwirynału” wiadano na temat dwóch Amerykanek, które właśnie wyjechały, to to, że udały się do Paryża. Na widok koloru banknotu, który doktor Merrick obracał w palcach, recepcjonista przypomniał sobie, że cięższy bagaż madame Hudson został wysłany do „Le Havre”. Osobiście tego dopilnował. Miała bilet na czwartek na rejs statkiem „Ile-de-France”.

Bobby przechadzał się godzinę tam i z powrotem po kamiennych ścieżkach hotelowego ogrodu, zastanawiając się, co zrobić. Zabawa w chowanego musi się już skończyć! Postanowił ją osaczyć i wziąć siłą. Wysłał długi telegram do Jacka Dawsona, wyjawiając wszystkie detale swego zuchwałego zamierzenia, I tak szeregiem impertynencji wyrobił sobie już u niej fatalną opinię. To posunięcie przyćmi wszystkie pozostałe aroganckie zachowania. Denerwował się.

Z chwilą, gdy podjął ostateczną decyzję, wydarzenia nabrały tempa. Wynajął samolot i poleciał do Paryża. Potrójne silniki huczały, jego serce waliło szaleńczo, była to niespokojna podróż. Spędził pół godziny z matką, próbując ją udobruchać - wybaczyła mu, kiedy obiecał, że spędzi z nią Boże Narodzenie.

W centrum miasta w biurze Francuskich Linii Oceanicznych wynajął najbardziej luksusową kabinę na „Ile-de-France”. Następnego ranka poleciał do Hawru i dotarł tam godzinę przed pociągiem z Paryża..

Była to długa, pełna napięcia godzina. Nigdy dotąd emocje aż tak go nie obezwładniały.

Umieścił niewielki bagaż w kabinie i sprawdził dokładnie, czy apartament

jest na pewno przygotowany na przyjęcie gościa - nie zapomniał zamówić mnóstwa kwiatów, potem poszedł do kabiny kapitańskiej i poprosił o przysługę.

Zszedł na dół, stanął u stóp schodów wiodących do pokładu pierwszej klasy i czekał z bolesną niecierpliwością.

Co ona sobie pomyśli?

Pociąg powoli wtoczył się pod wiatę i pasażerowie zwarli się w grupki, odbierając bagaże. Zaczęli przesuwać się chaotycznie w kierunku statku. Szła sprężystym krokiem w towarzystwie dwóch bagażowych.

Tym razem ubrana na wrzosowo... skromny, zalotny okrągły kapelusik, podkreślający krągłości kostium.

Zobaczyła go. Wiedziała, że śledzi ją wzrokiem. Patrzyła na niego z lekko rozchylonymi ustami. Ruszyła w jego stronę niemal żołnierskim krokiem. Kiedy była już blisko, nie wyciągnął ku niej dłoni, jak planował. Rozwarł ramiona i ku jego radości wtuliła się w nie ufnie, położyła nieśmiało dłonie na jego ramionach, spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się.

- Proszę zanieść bagaż pani do kabiny B - rozkazał Bobby bagażowym.

- Będziesz podróżować ze mną! - wyjaśnił niepewnym głosem. - Dziś po południu kapitan udzieli nam ślubu.

- Tak, kochany - powiedziała łagodnie - Wiem. Bobby mocniej otulił ją ramionami.

- A skąd wiesz? - Uśmiechnął się łobuzersko jak chłopiec.

- No, cóż, pomyślmy... Zadepeszowałeś do doktora Dawsona, on do Marion, a ona do mnie... Strasznie pokrętna droga, żeby dowiedzieć się o własnym ślubie, prawda?

- Ale... ale... ale się zgadzasz? - błagał, szukając niespokojnie jej wzroku.

Uśmiechnęła się.

- Wejdźmy już na pokład, Bobby. Stoimy w samym przejściu.

KONIEC.